

Łowca Ciemności

Drake Jocelynn

Książka II z Dni Mroku



calibre 0.9.43

Dni Mroku Księga 2 Łowca Ciemności

Dni Mroku [2]

Jocelynn Drake

AMBER (2010)

ŁOWCA CIEMNOŚCI

Dni mroku

Księga 2

Rozdział 1

Należało się pożywić.

Głód Tristana przeszywał moje zmysły, przelewając się przeze mnie gorącą, złą falą, i aż przyciskał mnie do chropowatego ceglanego muru ciągnącego się po obu stronach alejki.

Wbiłam paznokcie we wnętrze dłoni, pozostawiając na skórze krwawe półksiężycy, ledwie panując nad sobą i nad młodym nocnym wędrowcem. Wszechogarniające łaknienie krwi powoli zelżało, gdy wampir przedzierał się przez czerwoną mgłę. Fala cofnęła się, chłuszcząc mnie po odkrytym ciele jak wiązka parzących pokrzyw.

Odchyliłam się w tył, zamknęłam oczy i odetchnęłam, próbując wziąć się w garść, ale zaraz tego pożałowałam. Wąski zaułek wypełniało stęchłe, cuchnące powietrze, fetor gnijącego mięsa, pleśni i, jak mogłam się domyślać, odór rozkładającego się szczura lub kilku szczurów. Mdlilo mnie, straciłam kontrolę nad umysłem Tristana, a następna fala głodu zalała nas oboje, powalając mnie na kolana.

W tym parszywym miejscu błękitne oczy Tristana lśniły blaskiem, który nie miał nic wspólnego z niebem czy też boską chwałą. Jego długie palce przypominały szpony; Tristan wbił paznokcie w ścianę obok siebie w ostatniej desperackiej próbie powstrzymania się przed zaatakowaniem pierwszego stworzenia, jakie stanie mu na drodze. Zachował niewiele ludzkich cech, poza szczupłą sylwetką, która upodobniała go do człowieka. Jego piękna pociągła twarz miała ostre rysy; był rozgorączkowany, same kości i mięśnie, opętane żądzą krwi.

Miro...

Myśli Tristana zetknęły się z moimi, ale rozbrzmiały jak jego cichy głos. Były głuche, szorstkie i mrocznie uwodzicielskie; podobne do grzmotu, którego echa pobrzmiwały w szczątkach mojej duszy. Identyczne monstrum przebudziło się we mnie, łaknąc krwi, tęskniąc do odczuć, towarzyszących zagłębianiu kłów w ciele. To monstrum domagało się krwi tak gwałtownie, że czułam, jak dusza przyszej zdobywszy łaskocze mnie w gardle.

Głos w moim mózgu ucichł, zagłuszony kakofonią ludzkich odgłosów. Cudny Londyn, pełny ludzi i podobnego do grzmotu dudnienia ich serc. Noc była jeszcze młoda i świeża jak beztraska dziewczyna idąca na swój pierwszy bal. Tristan i ja skryliśmy się w mroku, w jakimś brudnym zaułku tego starego miasta tętniącego życiem, huczącego jak miarowy rytm bębna.

Oboje rozpaczliwie musieliśmy się pożywić. Starcie poszło źle, byliśmy ranni i pozbawieni

substancji, dzięki której wiedliśmy długi żywot po dniach, które powinny stanowić nasz naturalny koniec. Potrzebowaliśmy krwi i wiedzieliśmy, że tylko ja mogę uchronić ofiarę Tristana przed śmiercią, gdy on w końcu wbije w nią zęby. Mógłby nienaumyślnie ją uśmiercić, a przecież nie musieliśmy zabijać. Ale jego czynami nie kierowały już nakazy moralne. Zawładnęła nim czerwona fala żądzy krwi i pragnienie przetrwania.

Na końcu przecznicy jakiś człowiek o siwiejących ciemnych włosach, wyszedł

ciężkim krokiem z mroku nocy. Przystanął na rogu. Osłaniając dłońmi papierosa, zapalił go i rozejrzał się wokół, a jego twarz pobrużdżona głębokimi zmarszczkami ukazała się w świetle latarni. Omiótł wzrokiem ulicę; ręka z papierosem drżała, żar ognika poruszał się w ciemności.

W krtani Tristana narastał cichy warkot, gdy wbił spojrzenie w swoją ofiarę. Rzuciłam się w ciasnym zaułku i przygwoździłam go do muru. Młody wampir warknął na mnie wściekle, obnażając kły i zwężając oczy do wąskich szparek. Już mnie nie dostrzegał ani nie dbał o to, że bez trudu mogłam go rozszarpać na strzępy. Byłam starsza i silniejsza, ale potrzebował krwi i nic nie mogło go powstrzymać.

- Zaczekaj - poleciłam przez zaciśnięte zęby, wbijając palce w jego szczupłe, muskularne ramiona. Ubranie miał porwane i splamione krwią po walce z naturi, którą stoczyliśmy wcześniej tego wieczoru. Mieszanina woni krwi Tristana i naturi, jaką wyczuwałam, mąciła moje myśli, wywołując wizje, których wcale nie chciałam. Starcie przyniosło sukces tylko taki, że oboje przeżyliśmy i mieliśmy energię, by zapolować, ale okazało się klęską, bo mój ukochany strażnik Michael leżał teraz martwy w Warowni Temidy.

Pomrukując cicho, skierowałam swoją uwagę na człowieka stojącego na przeciwległym rogu ulicy. Kosztowało mnie niewiele wysiłku, by wejść w jego odurzony narkotykami mózg i nakłonić do błędnego przekonania, że przywołuje go potencjalny klient, zainteresowany jego towarem. Kiedy tak stał w mroku wąskiego zaułka, puściłam Tristana i cofnęłam się bezszelestnie w stronę muru.

- Nie zabijaj go - szepnęłam, gdy młody nocny wędrowiec rzucił się naprzód.

Zdobycz Tristana dosłyszała moje słowa i zdołała odsunąć się o pół kroku w tył, przeszyta nagłym lękiem, który mogłam wyczuć w ciemnym zaułku przez mgiełkę krwawej żądzy - jednak było już za późno. Przywarłam plecami do ceglanego muru, gdy nocny wędrowiec pochwycił tamtego człowieka w ramiona przypominające stalowe kleszcze. Nie mogłam oderwać od nich wzroku i osunęłam się na kolana, kiedy Tristan uczynił to samo.

Wnikając w umysł nocnego wędrowca, poczułam przelewającą się, przytłaczającą falę doznań. Tristan pił chciwie, zasysając oszałamiająco ciepłą krew całym swoim chłodnym ciałem. Słyszałam, jak spazmatycznie pracują mięśnie jego przełyku, pompując gęstą krew do żołądka. Aby w pełni rozkoszować się tą uczcią, Tristan nie pozbawił swojej ofiary przytomności. Serce handlarza narkotyków łomotało w piersi niczym tłok maszyny, ale na próżno. Jego strach wypełniał zaułek, tłumiąc fetor gnijących śmieci i wilgotnej pleśni; z moich rozwartych ust wyrwał się cichy jęk. Klęcząc na ziemi, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, nasłuchiwałam, jak rytm bicia serca tego człowieka zaczyna zwalniać. Tracił przytomność.

- Puść go - powiedziałam chrapliwym głosem. Tristan zawahał się, lecz zrobił, co mu kazałam. Oparł człowieka o mur i zwrócił się ku mnie, balansując na palcach stóp. Jego błękitne oczy lśniły i tańczyły w ciemności, podobne do bezcennych klejnotów.

Po raz pierwszy odkąd go spotkałam Tristan wydawał się naprawdę ożywiony. Wtedy, przebywając w nocnym klubie wraz z Thorne'em, uciekał, krył się przed Sadirą, a nieustanny strach, że zostanie rozpoznany, przytłaczał jego osobowość. Ale teraz coś tchnęło weń wreszcie nowe życie. Obiecałam mu przecież, że pomogę mu uwolnić się od naszej stwórczyni. I wiedział, że zrobię wszystko, by dotrzymać tej obietnicy.

Odgłos szurających stóp wtargnął nagle do naszego mrocznego, zbrukanego krwią zakątka świata. Oboje zastygliśmy w bezruchu, chcąc zobaczyć, kto się zbliża. Odkąd Tristan zatopił kły w swoim posiłku, maskowałam naszą obecność w tym miejscu; było to z mojej strony raczej naturalnym odruchem niż świadomym postępowaniem. Całun chronił nas przed wzrokiem wszystkich poza tymi, którzy parali się czarami - innymi słowy, przed oczami zwykłych ludzi.

Pod wpływem tego miarowego odgłosu kroków młody nocny wędrowiec rozwinął

własny ochronny całun, który od razu splótł się z moim. Tristan czuł się teraz silniejszy, a jego myśli były wyostrzone i jasne. Wyczuwałam lekką nerwowość w jego umyśle, ale Tristan zastygł jak głaz i miałam pewność, że zrobi, co powiem.

Jakiś mężczyzna o krótkich brązowych włosach mijał skraj alejki. Szedł szybko i pewnie. Odwrócił głowę w stronę zaułka, a jego spojrzenie omiotło to ciasne miejsce. Tristan i ja nie poruszaliśmy się, wyczekując. Przez chwilę poczułam się tak, jak gdybym stała się zarazem myśliwym i zwierzyną. A jednak przechodzień nie zwolnił marszu i zaczął znów patrzeć na ulicę przed sobą. Nie zauważył nas.

Ale dostrzegli nas czarownica i wilkołak. Dwa kroki za mężczyzną z kwadratową szczęką podążała wiedźma w wytartych dżinsach i wilkołak w wojskowych ciuchach khaki.

Ona przystanęła nagle i sięgające ramion szatynowe włosy przesłoniły na moment jej wąską twarz. Wilkołak zatrzymał się przy niej i zmarszczył czoło, a na jego surowym obliczu pojawiły się głębokie bruzdy zmarszczek.

- Cholera! - wyrwał jej się podszyty wściekłością szept, gdy wbiła w nas wzrok.

Tristan i ja nie poruszaliśmy się, czekając, aż intruzi wykonają pierwszy ruch.

„Kolacja” Tristana nadal była nieprzytomna, a młody nocny wędrowiec częściowo ją zasłaniał. Jednak oboje mieliśmy na sobie krew i ubranie porozdzierane w wyniku walki stoczonej wcześniej tego wieczoru. Nie wyglądaliśmy najlepiej. Rzecz jasna, w kontaktach z przedstawicielami innych ras wszyscy postępowaliśmy „po swojemu”. Tak więc teraz czekaliśmy. Gdyby czarownica i wilkołak ruszyli dalej, udawalibyśmy, że nie dostrzegliśmy się nawzajem.

Nie mieliśmy jednak tyle szczęścia. Na dźwięk słowa wypowiedzianego przez wiedźmę idący przed nią człowiek obrócił się na pięcie i dobył broni, którą nosił na plecach.

Miał ją ukrytą pod luźną, zapinaną na guziki koszulą, przyozdobioną jaskrawym wizerunkiem smoka. Z pistoletem w ręku ponownie omiół wzrokiem zaułek, ale wciąż nas nie widział.

Czarownica wyciągnęła prawą rękę i położyła ją na jego szerokim ramieniu.

Wyszeptała jedno słowo: *Specto*, i wyczułam przepływającą w powietrzu lekką falę mocy.

Takie zaklęcie potrafił rzucić każdy, kto dopiero wkraczał w świat magii i liznął nieco łaciny, ale to wystarczyło. Mężczyzna mrugnął i od razu pobladł, zaciskając mocniej dłoń na broni.

Teraz już nas widział.

- Nie zatrzymujcie się - powiedziałam cicho. Nie mogłam ryzykować podejmowania walki. Pragnienie pożywienia się wręcz mnie zniewalało i gdybym teraz musiała walczyć, to przypuszczalnie ktoś by musiał zginąć. Monstrum we mnie ryczało i tłukło się w klatce piersiowej gorączkowo, domagając się krwi.

Tristan zwrócił się w moją stronę, czekając na polecenia. Niestety, nasz nowy znajomy najwyraźniej zbyt ochoczo sięgał po broń. Skierował pistolet w kierunku młodego nocnego wędrowca i nacisnął spust. Cichy trzask iglicy w broni zmusił mnie i Tristana do natychmiastowej reakcji. Młody wampir rzucił się na ziemię, ale kula przeszła mu górną część prawego ramienia.

Przemknęłam przez alejkę i chwyciłam rękę strzelającego, gdy próbował wycelować we mnie broń. Głupi ludzie. Nawet gdyby strzelił mi prosto w serce, nie zdołałby mnie zabić.

Zabić nocnego wędrowca nie da się z typowej broni palnej. Gorsze były śrutowe strzelby, ale i wtedy strzelcowi musiałyby się poszczęścić. Z odsłoniętymi kłami uderzyłam jego ręką o pobliski ceglany mur, roztrzaskując mu kości. Wrzasnął, gdy broń wypadła mu z bezwładnych palców i upadła z metalicznym odgłosem. Nie puszczając jego ręki, przerzuciłam go przez bark w głąb zaułka niczym wór odpadków. Uderzył o ścianę i nieprzytomny osunął się na ziemię.

- Miej go na oku - warknęłam do Tristana, skupiając uwagę na wiedźmie i wilkołaku.

Nie było szans, aby załatwić tę sprawę polubownie. A zresztą tak naprawdę nie miałam już ochoty na grzeczne rozmowy. Sapiąc paskudnie, wilkołak rzucił się na mnie, a jego oczy lśniły miedzianoczerwono. Przycisnął mnie do muru z cegły, więząc moje dłonie między naszymi ciałami, sam miał ręce wolne. Przyłożył mi prawą pięścią w lewy bok, łamiąc mi co najmniej dwa żebra. Fala potwornego bólu przebiła we mnie mgłę pragnienia krwi i zmęczenia. Po chwili uderzył mnie lewą pięścią w prawy bok, naruszając narządy wewnętrzne, wciąż osłabione w wyniku wcześniejszej walki z naturi.

Z jękiem bólu raptownie rzuciłam głowę do przodu. Grzmotnęłam czołem w jego nos, łamiąc go. Wilkołak odstąpił o krok, a ja uniosłam kolano, waląc go nim w krocze. Wilkołak zawył i cofnął się na chwiejnych nogach. Odsunął rękę od złamanego nosa i przyłożył ją do pachwiny, jak gdyby mógł w ten sposób złagodzić ból. Woń jego krwi od razu rozeszła się w powietrzu.

Przestałam się wahać. Dopadłam wilkołaka, zanim zdołał nabrać powietrza. Wbiłam mu kły w

gardziel, rozrywając mięśnie. Krew spłynęła mi do gardła, a słodkie ukojenie ogarnęło całe moje ciało. Była gęsta, ciepła i przesycona siłą wilkołaka. On zmagał się ze mną, pchając, zadając ciosy, kopiąc i rozpaczliwie wymachując pazurami, ale nie zdołał mnie odrzucić. Z każdym łykiem krwi, jaką czerpałam z niego, słabł, a ja nabierałam siły, powoli wysysając z niego życie.

- Miro! - wrzasnął Tristan, co zmusiło mnie w końcu do uniesienia głowy. Wilkołak osunął się powoli, nieprzytomny, na moje stopy. Tristan rzucił się naprzód, by stanąć pomiędzy wiedźmą a mną i próbując mnie ochronić, ona jednak najwyraźniej pomyślała, że chce ją zaatakować.

- Nie! - krzyknęła, a jej drobna, bardzo wąska twarz stała się kredowo biała.

Czarownica nie wykonała żadnego ruchu w trakcie mojego krótkiego starcia z jej towarzyszem. Pewnie wstrzymywała oddech. Spojrzenie jej szeroko rozwartych piwnych oczu przeskakiwało ze mnie na Tristana.

Uniosła prawą rękę i zaczęła cicho, szeptem, recytować zaklęcia. Zrobiłam krok w jej kierunku, starając się wyjść przed Tristana, kiedy w jej prawej dłoni pojawiła się kula żółtopomarańczowych płomieni. Przystanęłam, a na ustach zaigrał mi nikły uśmiezek.

Bystra z niej osóbką. Normalnie widok płomieni w dłoni czarownicy napędziłby każdemu nocnemu wędrowcowi niezłego stracha. Tyle że ja nie byłam pierwszym lepszym nocnym wędrowcem, tylko Krzesicielką Ognia. Umiejętność zapanowania nad ognistym żywiołem była już od dziecka moim darem i przekleństwem. Pomyślałam o czarownicy ze współczuciem.

Ze zduszonym odgłosem cisnęła ognistą kulę w kierunku Tristana. Wyciągnęłam prawą rękę, a ogień zatoczył w powietrzu łuk w moją stronę i osiadł w mej otwartej dłoni.

Uśmiechając się od ucha do ucha, zacisnęłam palce i zdusiłam płomienie, a ciasny zaułek znów pogrzyżył się w ciemnościach.

Czarownica ściągnęła brwi i na jej bladej twarzy odmalowało się zmieszanie. Nie chcąc pogodzić się z porażką, uniosła obie ręce i powtórzyła zaklęcie. Tym razem poczułam w powietrzu falę energii. Teraz wkładała w to wszystkie swoje siły. Stanęłam przed Tristanem, gdy cisnęła we mnie parą ognistych kul.

Przymknęłam oczy, a czas spowolnił swój bieg. Fetor śmieci i odgłosy ludzi w mieście jakby przestały istnieć. Był tylko ogień, który huczał we mnie. Z rozwartymi dłońmi machnęłam lewą ręką przed swoim ciałem. Płomienie raz jeszcze podążyły za moją bladą ręką. Okrążyły ją na moment, a potem owinęły się wokół ramienia i klatki piersiowej jak najedzony pyton. Ogień się mnie nie imał.

A jednak coś było nie tak. Kiedy koncentrowałam się na ogniu, usłyszałam, jak monstrum we mnie się wydzielił, lecz nie rykiem głodu, który znałam już od ponad sześciu stuleci. Był to wrzask złości i bólu. Nagle zmieszana i zdjeta strachem pokierowałam płomienie tak, by spłynęły wzdłuż nóg jak woda. Kiedy jednak druga z ognistych kul zetknęła się z podłożem, moje zmysły eksplodowały. Ziemię pochłonęło oślepiające białe światło, płonące w moim mózgu. Pod stopami mogłam odczuć wielkie jak rzeka, płynne źródło mocy, do którego powracał ogień.

I wtedy nastąpiła pustka. Ogień przepadł, a wokół mnie za panowała zimna cisza. Nowe połączenie wyłoniło się nagle, zanim miałam okazję odgadnąć, w co się wpakowałam. Białe światło przygasło. Nawet warczący we mnie głód się uspokoił, pewnie pod wpływem podszytego niepokojem zmieszania.

Charakterystyczny odgłos kroków na cementowym podłożu sprawił, że moją uwagę znów przyciągnęła osoba wiedźmy. Obejmowała się ciasno ramionami i powoli kręciła głową.

- O, Boże - jęknęła chrapliwym głosem. - Krzesicielka Ognia. I to tutaj.

Zanim zdołałam zrobić jeszcze jeden krok w jej stronę, ona sięgnęła po coś w przedniej kieszeni spodni, cofnęła się i znikła.

- Niech to licho - powiedziałam szeptem, otrząsając się z zimnego dreszczu, który przebiegł mi po plecach. Wiedziała, kim jestem. Co innego, gdy rozpoznawał mnie inny nocny wędrowiec. Wzbudzanie strachu przydaje się w kontrolowaniu tych, którzy sami marzą o panowaniu. Nie podobało mi się jednak, kiedy to przedstawiciele innych ras odkrywali moją tożsamość. Nigdy nie wiadomo, kogo się rozjuszy w danej chwili.

Teraz pojawiło się pytanie: gdzie ona przepadła i czy chciała powiadomić o mojej obecności kogoś potężniejszego i groźniejszego od siebie? Sądząc z jej wieku i wyglądu, rodzaju rzucanych czarów i użytej mocy, nie należała do szczególnie doświadczonych czarownic. Z drugiej strony zaklęcia, pozwalające na natychmiastowe przemieszczanie się w przestrzeni, należały do najtrudniejszych. Kiedy sięgała po coś do kieszeni, pewnie dotknęła specjalnego talizmanu, który przypuszczalnie dostała od kogoś znacznie potężniejszego od siebie.

Ściągnęłam brwi i zdusiłam przekleństwo. To wszystko były tylko domysły.

Wiedziałam sporo o magii, gdyż tak często miałam pecha natykać się na wiedźmy i czarowników, by czegoś się od nich nauczyć. Powinnam porozmawiać z Ryanem i przeniknąć jego myśli. Niestety, ten białowłosy czarownik miał własne kłopoty i na razie nie spieszyło mi się do ponownego spotkania z nim. Tymczasem musiał mi wystarczyć pozbawiony przytomności towarzysz zbiegłej czarownicy.

Odwróciłam się, by zbliżyć się do Tristana, lecz nogi się pode mną ugięły i upadłam na kolana. Zamrugałam, aby rozwiać mgłę, narastającą wokół moich myśli. Uziemiając ogień, wyczerpałam resztkę swoich sił, a moje ciało znowu domagało się pożywienia i odpoczynku.

To, co zyskałam, pożywiając się krwią wilkołaka, już zdążyłam zużyć.

Młody wampir znalazł się przy mnie i silną dłonią podtrzymał za łokieć. Spojrzałam na niego; na jego przystojnej twarzy malował się wyraz zaniepokojenia.

- Czy ona zrobiła ci coś złego? - zapytał. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, dosłyszałam w jego mowie lekki akcent. Obcy, może francuski. Echo jego ludzkiego życia.

Powoli pomógł mi usiąść na ziemi i oprzeć się plecami o ceglany mur.

- Nie - odparłam ze znużonym uśmiechem. - Tylko próbowała. Muszę przez chwilę odpocząć. - Skinęłam głową w stronę człowieka, który wcześniej chwycił za broń. - Żyje?

- Jeszcze żyje - mruknął Tristan, zaciskając dłoń na moim łokciu i obrzucając wzrokiem ciało niefortunnego strzelca.

Ujęłam lewą ręką podbródek Tristana i zmusiłam go do tego, aby na mnie spojrzał.

- I niech przeżyje. Chcę, żebyś nie zabijając go, ustalił tożsamość tych, którzy nas zaatakowali.

Marszcząc czoło, Tristan powstał i podszedł do leżącego. Stał nad nim z rękami na biodrach. Nie wiedziałam, czy nocny wędrowiec walczy z niesmakiem, jaki wywołało w nim powierzone zadanie, czy też raczej grzebie w myślach tamtego człowieka. Niektóre wampiry musiały dotykać swoje ofiary, aby wnikać w ich umysł, zwłaszcza jeśli owe ofiary były nieprzytomne.

- To David Perry - powiedział nagle Tristan; jego głos wydawał się dobiegać z oddali.

Połową umysłu pozostawał ze mną, połową przeniknął do mózgu tamtego. - Lat trzydzieści sześć. Był żołnierz piechoty morskiej. Pochodzi z Birmingham w stanie Alabama. On... -

Urwał, sycząc, a jego niebieskie oczy zaśniły, kiedy popatrzył na mnie. - On jest członkiem Przymierza Światła Dnia.

- Tristanie! - warknęłam i zerwałam się na równe nogi, gdy nocny wędrowiec chwycił

nieprzytomnego mężczyznę. Tristan znieruchomiał, ale z gardła wciąż wydobywał mu się cichy warkot, co mnie nie dziwiło. Sama w owej chwili rozszarpałabym temu człowiekowi krtań.

Przymierze Światła Dnia było ugrupowaniem ze Stanów Zjednoczonych, które wiedziało o istnieniu nocnych wędrowców i dążyło do naszej całkowitej eksterminacji.

Ludzie uważali członków tej grupy za postrzelonych fanatyków i nie traktowali ich zbyt poważnie. Oczywiście nie zmieniało to faktu, że członkowie Przymierza unicestwili w ciągu dnia wielu nocnych wędrowców. Wszystkie wampiry, ze Stanów Zjednoczonych i nie tylko, wiedziały o Przymierzu. Wszyscy się obawialiśmy, że w przyszłości trzeba będzie stawić czoło tej organizacji, kiedy, by tak rzec, „wyjdziemy z trumien”.

Teraz jednak niepokoił mnie nie ów nadgorliwiec, leżący u moich stóp, ale czarownica i wilkołak, z którymi się zadawał. Z tego, co było nam dotąd wiadomo, w skład Przymierza Światła Dnia wchodził wyłącznie ludzie, a przedstawiciele innych ras przezornie unikali z nimi kontaktu. W istocie nasze prawo zabraniało nam współdziałania z Przymierzem. Jeden jedyny przypadek zdrady mógł rozpętać powszechną wojnę. Nie zapowiadało to nic dobrego, gdy już toczył się nasz bój z naturi.

- Skup się - rzuciłam ostro, stając koło Tristana. - Kim była tamta kobieta?

Tristan wbił wzrok w mężczyznę, emanując zabójczą mieszaniną wściekłości i lęku.

- Caroline... Caroline Buckberry, tylko zastanawiam się, czy to jej prawdziwe imię i nazwisko... - Wzburzenie zaczęło ustępować, gdy Tristan skoncentrował się na myślach leżącego, świdrując go oczami. - On jej nie zna. Został tu przysłany przez podgrupę z Houston, by ściągnąć tę kobietę i tego gościa. Harolda Finchleya. To wszystko. - Tristan otworzył oczy i popatrzył na mnie. - Kazano mu udać się do Londynu i sprowadzić ich z powrotem do Houston. Chyba nawet nie wie, kim są naprawdę.

- Wcale nie musiał wiedzieć - powiedziałam półgłosem. - Perry to tylko pionek, pacholek. Wypełnia otrzymane rozkazy.

- Sądziysz, że oni zostali podstawieni przez czarownice i wilkołaków? - spytał Tristan.

Nie umknęła mi nuta nadziei w jego głosie.

- Nie - odrzekłam, nieznacznie kręcąc głową. - Wiedźmy i czarownicy nie zadają się z Przymierzem. Każde z nich mogłoby pewnie jakoś wyjaśnić swoje powiązania z tym człowiekiem. Jednak zaatakowali nas, bo znają obowiązujące zasady.

- Ale...

- Zapomnij o tym, co tu widziałeś - powiedziałam, nie dając mu dokończyć zdania. -

Mamy poważniejsze problemy.

- Naturi. - Zacisnął dłonie w pięści i napiął mięśnie szczęki.

Tak, naturi uderzyli, aby zniszczyć nas wszystkich, ludzi i nocnych wędrowców, przy pierwszej lepszej sposobności. W porównaniu z nimi Przymierze Światła Dnia nie liczyło się zbyt; było jak giez na zadzie nosorożca.

Stojąc, podparłam się lewym ramieniem o ścianę w zaułku i przymknęłam na chwilę oczy. Ledwie poznawałam swój świat. Kilka nocy temu znajdowałam się na własnym terenie, w ukochanym Savannah, gdzie ciepły letni wietrzyk przepelniał powietrze wonią wiciokrzewu i bzu. Upłynęło pięćset lat od tamtej nocy w Machu Piechu. Naturi stawali się odległym wspomnieniem, mrocznym koszmarem z przeszłości, który, zdawało się, już dawno przeminął. Przymierze Światła Dnia było zaś marginalną grupą, bez kontaktu z innymi. Ale teraz zagrażali i jedni, i drudzy. Mój świat sypał się w gruzy w zatrważającym tempie, a wszystko to zaczęło się od owego łowcy, od Danausa. Nie było potrzeby zabijać posłańca...

jak dotąd.

Myśl o nim wywołała nikły uśmiezek na moich ustach, gdy odepchnęłam się od ściany i otworzyłam oczy. Tristan wpatrywał się we mnie intensywnie, wyczekująco.

Potrzebna mu byłam żywa dla wypełnienia złożonej mu obietnicy. Wciąż był na to czas.

Rozejrzałam się po zaułku, aż spostrzegłam broń, porzuconą przez tamtego człowieka.

Nie targwały mną wątpliwości. W tej sprawie prawo nie przewidywało łaski. Podeszłam i wystrzeliłam pocisk w czaszkę wilkołaka. Zdradził nie tylko swoją rasę, ale i wszystkie inne.

Zagroził naszemu sekretowi. I teraz przyplacił to życiem.

Ale jego śmierć nie rozplatała zimnego węzła w moim brzuchu. Główny cel działań Przymierza Światła Dnia zawsze stanowili nocni wędrowcy, lecz wszyscy byliśmy przekonani, że w końcu zaatakują oni również inne pozaludzkie istoty. Czy Harold Finchley był wilkołakiem, który pracował na własną rękę, czy też uczestniczył w większym spisku przeciwko nocnym wędrowcom?

- Pozbaw ich pamięci ostatnich wydarzeń - powiedziałam, wskazując na handlarza narkotyków, którego krwią Tristan posilił się kilka minut wcześniej. Podeszłam do członka Przymierza, wytarłam broń o materiał jego koszuli i rzuciłam pistolet koło jego ciała. - A potem wracaj do mojego pokoju hotelowego.

Danaus miał już tam na nas czekać. Z hotelu zamierzaliśmy wyruszyć na lotnisko i polecieć moim odrzutowcem do Wenecji. Jeśli istniała jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie natury i nadciągającej wojny, to powinniśmy przede wszystkim udać się do Wenecji i tam spotkać się z Sabatem, konwentem nocnych wędrowców. A rada ta obmyśli już najlepszy sposób uporania się z narastającym zagrożeniem. Tylko jej członkowie mogli zmobilizować naszą armię.

- A ty gdzie się wybierasz? - zapytał Tristan. Szeroki uśmiech pojawił się na moich ustach, odsłaniając parę długich, białych kłów.

- Na łowy.

Rozdział 2

Przebiegłam kilka przecznic, wtapiając się w mrok, aż znalazłam się w odległości prawie półtora kilometra od Tristana. Moje kończyny ogarnęło straszne drżenie, które zaczęło wstrząsać całym moim ciałem. Dygotałam z bólu i powodu świeżych ran, jakich doznałam w trakcie minionych kilku godzin, i tych starszych, z poprzedniej nocy, które jeszcze niezupełnie się zagoiły. Świat przeobraził się w rozgorączkowaną karuzelę bóleści, hałasów i ostrych światła. Odsuwając od siebie wszystkie te odczucia, skupiałam się na jedynym celu -

na wyszukaniu ofiary.

Polowałam samotnie niemal od chwili swego odrodzenia. Dla mnie było to coś bardzo osobistego. Najczęściej starannie wybierałam zdobycz, interesując się jej przeszłością i wyznawaną przez nią filozofią życiową. Wsłuchiwałam się w myśli takiej osoby do momentu, gdy coś wreszcie skłaniało mnie do skoku. Lecz zdarzały się i noce takie jak ta, kiedy napadałam na pierwszego lepszego głupca, jaki się nawinął.

Tym razem moja zdobycz miała dziewiętnaście lat i przez sekundę sądziła, że jestem gwałcicielem. Schwyciwszy ją za ciemnoblond włosy, zawlokłam dziewczynę w mrok jednej z bram. Próbowwała się wyrwać, a jej duże piwne oczy zaszły łzami. Zatopiłam kły w jej gardle, gdy w ustach ofiary

zamarł krzyk. Z wrodzonej dobroci uspiłam wszelkie jej myśli, kiedy się posilałam. Przełykając krew, czułam, jak przepelniają mnie jej ciepło i żywotność, i piłam aż do chwili, kiedy wspomnienia z tej nocy zaczęły zacierać się i oddalać. Monstrum w mojej piersi, skryte pod resztkami duszy, tymczasowo nasyciło się krwią ofiary.

Niechętnie puściłam ją, gdy jej serce zaczęło zwalniać rytm i bić coraz słabiej.

Trzymając ją w ramionach, wpatrywałam się w gładką, młodą twarz. Nie znałam tej dziewczyny. Może to jakaś studentka albo młoda matka powracająca do domu. Nie poświęciłam czasu na poznawanie jej myśli, obaw, nadziei. Nie znałam jej marzeń o przyszłości i poczułam się trochę oszukana. Łowy i pożywanie się było czymś więcej niż tylko zaspokajaniem popędu. Stanowiło mój ostatni punkt styczny z ludzkością, ostatnią rzecz, która łączyła mnie z rasą, z jakiej się wywodziłam. I choć czułam się odmłodzona, w klatce piersiowej zaczął narastać bardziej subtelny ból. Był to rodzaj znużenia, który mógłby mnie zaniepokoić, gdybym zaczęła go roztrząsać, jednak po prostu nie miałam na to czasu.

Ostrożnie oparłam dziewczynę o framugę drzwi i zagoiłam rany na jej szyi. Jak sądzę, taki dar to efekt ewolucji. Potrafiliśmy leczyć zranienia spowodowane przez nasze kły, dzięki czemu mogliśmy pozostawać w ukryciu.

Niestety, nie byłam w stanie zagoić ran od noża czy kuli, wobec czego nierzadko patrzyłam, jak któryś z moich zranionych towarzyszy kona w moich ramionach.

Zanim odeszłam, wymazałam w mózgu ofiary wspomnienia ostatnich wydarzeń.

Lepiej, żeby na razie nie zapamiętywano nas w ten sposób. Chodziło jednak o coś więcej niż tylko nasze własne bezpieczeństwo. Ta dziewczyna nie musiała wcale pamiętać przerażenia, jakie odczuwała, kiedy ją trzymałam w ramionach.

W drodze powrotnej do hotelu pożywiłam się jeszcze dwukrotnie, postępując tak samo ostrożnie jak z tamtą młodą kobietą. I chociaż nie zadałam sobie trudu, by poznać ich imiona i nazwiska, nie będą pamiętali, co ich zatrzymało tej nocy. Szłam krętymi londyńskimi uliczkami, kierując się ku rzece i przemykając przez tłum ludzi. I stosunkowo nieliczni, którzy pozostali na oświetlonych latarniami ulicach, nie zauważali mojej obecności. W

przeciwnym razie widok mojej zakrwawionej twarzy wywołałby w nich paniczny lęk.

Nocne powietrze aż lepiło się od wilgoci, tak jak gdyby z nieba miała spaść letnia ulewa. Cienka warstwa mgły zalegała tuż nad ziemią, owijając się wokół rosnących tu i ówdzie drzew. Delikatna i wiotka, przypominała zjawę albo raczej zapomnianą duszę tego starego miasta.

Wędrując ulicami, pozwalałam ciepłemu letniemu powietrzu tańczyć wokół mnie, zupełnie jakbym znalazła się u siebie w Savannah i szła River Street. Po rozrywkowej nocy w tamtejszych barach miałam zwyczaj przechadzać się po parkach, których nie brakło w moim uroczym mieście, kierując się w stronę parku Forsyth. Uśmiechałam się wtedy na widok skąpo odzianych młodych ludzi, spieszących do knajpek, restauracji i nocnych klubów, niedostrzegających mnie, nawet kiedy nie

uciekałam się do czarów. Ich śmiech i głosy, ściszone do chrapliwych, przypominających chichot szeptów, omiatały mnie niczym liście unoszone przez wietrzyk, rozpalając w moich oczach iskierkę rozbawienia.

W parku Forsyth zatrzymywałam się koło wielkiej fontanny, skąpanej w blasku żółtawego światła. Przysiadałam na jej skraju, zamykałam oczy i wsłuchiwałam się w nieprzerwany szum miasta krążący wokół mnie. Liście szeleściły, a hiszpański mech poruszał

się na wietrze, szepecząc mi stare historie o miłości, śmierci i samotności. Z tamtego miejsca wyczuwałam puls życia ludzi w moim mieście.

Ale podążając z wysiłkiem po ulicach Londynu, zbrukana zaschniętą krwią naturi, nie słyszałam ani odgłosów Savannah, ani też cichych rozmów i śmiechów tamtejszych ludzi. Po raz pierwszy od bardzo dawna zatęskniłam za domem. Tęskniłam do ulic mojego miasta, przy których rosły pojedyncze stare dęby, i do schludnych małych parków. Brakowało mi fontann i rzeki, obmywającej brzegi. Chciałabym ujrzeć Savannah raz jeszcze, choćby po raz ostatni; przespacerować się po historycznej dzielnicy i popatrzeć na kolejne rzędy odrestaurowanych zabytkowych domów, którym przywrócono piękny wygląd z czasów sprzed wojny secesyjnej.

Jeszcze raz zatańczyć w klubie Port, gdzie muzyka dudniła głośnym, agresywnym rytmem, a powietrze było aż gęste od woni potu i krwi.

Zaledwie kilka dni temu byłam jeszcze królową na własnym niewielkim wzgórzu albo raczej, jak to się mówiło wśród wampirów, strażniczką swoich włości. Wtedy zjawił się Danaus i rozbił mój świat. Ten łowca wampirów przyniósł wieść, że naturi szykują się do zerwania krępujących ich więzów, i pierwszy raz od stuleci grożą przeniknięciem do naszego świata. I choć Danaus, co oczywiste, nie przepadał za nocnymi wędrowcami, to przynajmniej rozumiał, że naturi są jeszcze gorsi od nas.

Strzegąc ziemi od wieków, naturi w końcu nabrali przekonania, że jedyny sposób na ocalenie tej planety to zagłada całej ludzkości. Tak więc doszło do wieloletniej wojny, która przyniosła śmierć setkom naturi, ludzi i nocnych wędrowców. Ostatecznie udało nam się zamknąć większość naturi w innym świecie, odseparowując ich od ziemi, z którą byli złączeni po wieczność. Rozwiązanie to okazało się jednak nietrwałe. Naturi pracowali nad naruszeniem pieczęci i otwarciem wrót, dzielących oba światy, i wiedzieliśmy, że powstrzymanie ich będzie oznaczało nieustanną walkę. Triada nocnych wędrowców trzymała straż nad tą pieczęcią i przez prawie pięć stuleci panował dość dziwny spokój, i mimo że mieliśmy dobrą pamięć, jakoś zapomnieliśmy o przekazaniu stosownych informacji młodemu, nieopierzonym wampirom, których stworzyliśmy.

Skutkiem tego było pasmo śmiertelnych wypadków, które nie powinny się wydarzyć.

W trakcie kolejnych nocy, wypełnionych próbami odtworzenia triady nocnych wędrowców, która trzymała naturi na dystans, nie tylko nie udało mi się ochronić Thorne'a, który miał

przystąpić do triady, ale także straciłam bezgranicznie oddanego mi ochroniarza - Michaela, mojego wiernego aniołastróża o złocistych lokach. Co gorsza, dowiedziałam się, że to ja miałam się stać

oreżem triady i współdziałać tymczasowo z łowcą wampirów.

Z westchnieniem spojrzałam w górę i stwierdziłam, że stoję przed hotelem Savoy.

Pora zająć się ponownie zadaniem ocalenia świata. Kusiło mnie, aby rzucić w diabły to wszystko, ale wtedy utraciłabym też swoje ukochane miasto. A jeśli ja go nie ochronię, to kto to uczyni?

Uśmiechając się niewesoło, wśliznęłam się do hotelu i wjechałam windą na piętro, gdzie znajdował się mój apartament, w którym Tristan i Danaus cierpliwie na mnie czekali.

Cóż, właściwie jeden z nich okazał się bardziej cierpliwy od drugiego.

Kiedy otworzyłam drzwi, Tristan spoczywał w półleżącej pozycji na sofie, z rękami za głową i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Na policzkach miał rumieńce i promieniował

zadowoleniem. Pożywił się ponownie, odkąd go pozostawiłam, i najwyraźniej czuł się znakomicie. Poza tym dobrze zrobiło mu i to, że wziął prysznic i zmył z siebie całą krew, która wcześniej go pokrywała. Wciąż miał na sobie zakrwawione ubranie, ale wiedziałam, że mało go to obchodzi. Pełny brzuch czynił każdego nocnego wędrowca bardziej tolerancyjnym i przyjaznym. Humor poprawiało mu także to, że Sadira, nasza zaborcza stwórczyni, znalazła się już w Wenecji, a on mógł od niej na jakiś czas odpocząć.

Z kolei łowca wampirów stał przy oknie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nadal był

w podartym, pokrwawionym ubraniu, ale, podobnie jak Tristan, zmył z siebie krew. Odgarnął

z twarzy brudne włosy, odsłaniając wysokie i wydatne kości policzkowe oraz żywe oczy o modrej barwie. Na policzkach i szczęce pojawił się cień ciemnego zarostu, co przydawało mu jeszcze bardziej ponury wygląd. Domyślałam się, że nie nawykł do cierpliwego czekania na kogokolwiek, a tym bardziej na wampirzycę.

Kręcąc głową na jego widok, przemknęłam przez pokój w kierunku łazienki. Tam szybko zrzuciłam z siebie odzież i puściłam gorącą wodę. Ledwie zdążyłam wejść pod prysznic, kiedy usłyszałam, jak otwierają się drzwi do łazienki.

- Musimy już ruszać - powiedział Danaus z irytacją w głosie.

- Nie zamierzam podróżować w takim stanie - zawołałam, przekrzykując szumiącą wodę. - Daj mi pięć minut.

Danaus mruknął niezadowolony, co nasunęło mi przypuszczenie, że ustąpił i zamierza

„cierpliwie” poczekać w sąsiednim pokoju. Ten łowca stanowił zagadkę, którą pracowicie starałam się rozgryźć, kierując się lakonicznymi słowami i monosylabami, które od niego słyszałam. A jednak, pomimo jego poirytowania i gróźb, zaczynałam się przyzwyczajać do jego obecności.

- Poczekaj! - zawołałam, słysząc, jak kładzie rękę na klamce, szykując się do wyjścia.

Lewą ręką chwyciłam różowoliliową zasłonę prysznicową i odsunęłam ją na tyle, by wystawić głowę. Przymknęłam jedno oko, gdy woda spływała mi po twarzy. Danaus stał zwrócony do mnie bokiem przy uchylonych drzwiach do łazienki, przez które mógł, w razie nagłej potrzeby, szybko się wycofać. - Co wiesz o Przymierzu Światła Dnia? - zapytałam, przeciągając prawą dłońią po twarzy, by otrzeć wodę z oczu.

Danaus puścił klamkę i z lekkim trzaskiem zamknął drzwi. Złożył ramiona na szerokiej piersi i oparł się biodrem o białą marmurową umywalkę.

- To tylko grupa ludzi polujących na wampiry. Moim zdaniem działają w słusznej sprawie. - Na surowym obliczu Danausa nie malowały się żadne odczucia, ale jego przenikliwe oczy wpatrywały się w moją twarz.

Rzucając mu nieprzychylne spojrzenie, opuściłam zasłonę prysznicową i z powrotem weszłam pod strumień wody. Kiedy wzięłam myjkę, by kontynuować szorowanie ciała, Danaus wybuchnął śmiechem. Właściwie nie roześmiał się na głos, lecz mogłam wyczuć, że się śmieje. Drażnił się ze mną, usiłując mnie zdenerwować.

Wcześniej tego wieczoru dotknął mojej ręki i przesłał przeze mnie swoje moce. Nadal łączyła nas silna więź, kiedy przebywaliśmy blisko siebie. Zabijaliśmy naturi i oboje przetrwaliśmy, ale wciąż staraliśmy się uporać z reperkusjami tego wszystkiego. Niezupełnie potrafiłam przejrzeć jego myśli, choć jego emocje rejestrowałam łatwo. I miałam wrażenie, że on także bez trudu rozszyfrowywał moje odczucia.

- Drań - mruknęłam, szorując prawe ramię. Nie wątpiłam, że dosłyszał mnie przez szum wody. Nie wiedziałam, kim jest Danaus, ale nie był człowiekiem. Przynajmniej nie całkowicie. Uważał się za istotę ludzką, ale słuch miał tak wyostrzony jak nocny wędrowiec.

Wyróżniał się refleksem i zręcznością typową dla wilkołaków, lecz brakowało mu ich siły.

Nie potrafił rzucać zaklęć jak czarownik, jednak prezentował zabójczą zdolność doprowadzania do wrzenia krwi w żyłach różnych stworzeń. Tak czy owak, cechy te nakazywały mi ostrożność w kontaktach z Danausem.

- To fanatycy - powiedział Danaus po chwili. Głos miał zmęczony, prawie tak cichy jak szept. - Pozabijali tylu ludzi, ilu prawdziwych wampirów. A co?

- Tristan i ja spotkaliśmy tej nocy ich trójkę - wyjaśniłam. Namydliłam ponownie myjkę i przeciągnęłam nią po brzuchu, przekonując się z ulgą, że paskudna rana, jakiej nabawiłam się wcześniej, już się całkiem zagoiła. - Nie, właściwie było trochę inaczej.

Natknęliśmy się na członka Przymierza, wilkołaka i wiedźmę.

- Byli razem?

- Tak. Tamtego człowieka wysłano po tę czarownicę i wilkołaka.

- Zabiłaś ich?

- Danusie! - krzyknęłam, zaciskając dłoń na mokrej myjce.

- No, więc?

Rzuciłam myjkę, odwróciłam się i znowu odchyliłam rąbek zasłony, aby na niego popatrzeć.

- Nie liczy się to, że zaatakowali nas jako pierwsi i próbowali nas zabić? - spytałam.

- Nie. - Choć jego twarz i głos emanowały spokojem, kiedy to powiedział, poczułam drgnienie czegoś jeszcze w jego piersi. Błysk gniewu i frustracji. Może odrobinę strachu. Jednakże zdusił w sobie te emocje, zanim zdołałam przejrzeć którąś z myśli, kłębiących się w jego umyśle.

- Tamten człowiek nadal żyje - powiedziałam przez zaciśnięte zęby, raptownie zasuwając zasłonę prysznicza, aż metalowa obręcz na rurze cicho zazgrzytała. - Złamałam mu rękę i pozbawiłam go przytomności. Wiedźma znikła po tym, jak usiłowała spalić Tristana i mnie.

- A wilkołak?

- Wilkołak nie żyje - rzuciłam. Wilkołaki potrafią się otrząsnąć z różnych urazów, ale kula w czaszce wykrwawionego osobnika pozbawiała go życia na amen. - Złamał nasze prawa. Gdyby przeżył, mógł opowiedzieć Przymierzu o nas wszystkich.

Wypowiedziałam te słowa i uwierzyłam w ich sens, ale coś w moim brzuchu splotło się w węzeł już po raz drugi. Dręczył mnie mój całkowity brak wyrzutów sumienia. I fakt, że nie zawahałam się z decyzją zabicia tamtego wilkołaka. Knox, mój asystent z Savannah, nazwał mnie swego czasu bezmyślną zabójczynią. Teraz takie określenie wydało mi się całkiem łagodne.

Stałam pod strumieniem gorącej wody, próbując zmyć wspomnienie tamtego starcia oraz słów Danausa. Nasze wzajemne sporadyczne złośliwe żarty nie robiły na nim wrażenia.

Miał za nic mój respekt dla jego umiejętności i jego poczucia honoru. W ostatecznym rozrachunku chciał doprowadzić do śmierci wszystkich przedstawicieli mojego gatunku.

Pragnął, żebym i ja zginęła, bo widział we mnie tylko morderczynię.

- Cholera, nic nie rozumiesz - powiedziałam do spływającej wody.

- Nie, nie rozumiem. - Jego słowa były jeszcze cichsze niż wcześniej. - Czarownica i wilkołak, zadający się z członkiem Przymierza Światła Dnia. Skontaktuję się z Ryanem i zapytam, czy słyszał o czymś takim. Znasz personalia tej czarownicy?

- Caroline Buckberry - westchnęłam. - To może być pseudonim, ale głowę daję, że ona jest miejscowa. A w każdym razie jej mentor wywodzi się stąd.

- Dlaczego?

- Zdaje się, że użyła specjalnego uroku, by zniknąć, a sądząc po natężeniu mocy, jaką wyczułam w powietrzu, raczej nie podążyła daleko. To nowicjuszka.

- Sprawdź w Temidzie. Ryan może coś wiedzieć.

- Dzięki - powiedziałam szeptem, nie dbając o to, czy dosłyszysz mnie przez szum wody.

- Teraz rozumiem, dlaczego to zrobiłaś, Miro - stwierdził. Nie słyszałam, by się poruszył, ale wydawał się stać bliżej, tuż za zasłoną prysznicą. - Postąpiłaś tak, żeby chronić nas wszystkich. Rozumiem to, choć wcale nie musi mi to odpowiadać.

Dobiegł mnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi do łazienki, i zacisnęłam usta.

Wsparłszy się obiema dłońmi o ścianę przede mną, zamknęłam oczy i wsadziłam głowę pod wodę, chcąc w ten sposób zatopić wszystkie swoje myśli.

Nie udało mi się to. Moją uwagę zwróciły słowa Danausa o „nas”. Pierwszy raz usłyszałam bowiem, jak Danaus wspomina o sobie w kontekście przedstawicieli innych ras, przyznając, choćby mimowolnie, że wszyscy jedziemy na jednym wózku. Taka refleksja sprawiła, że ucisk w moim żołądku zelżał.

Z westchnieniem zajęłam się na nowo zmywaniem z siebie warstw zakrzepłej krwi, będącej pozostałością potyczek w siedzibie Temidy oraz Stonehenge.

W tej wielkiej konfrontacji Przymierze Światła Dnia stanowiło pomniejszy problem.

Na razie miałam zamiar obarczyć dotyczącym ich dochodzeniem Ryana i jego ludzi z Temidy

- tym się przecież zajmowali. Temida była zgrają siwowłosych bibliofilów, którzy badali wszelkie rasy istot innych niż ludzie i notowali poczynione odkrycia w grubych księgach, oprawionych w skórę.

Oczywiście Temida dysponowała także grupą własnych łowców; wyszkolonych zabójców, którym powierzano zadanie likwidacji istot mojego pokroju i wszystkich im łych, które się wyłamywały z porządku ustalonego przez ludzi. Wcześniej Ryan uśmiechał się do mnie i twierdził, że czyni się to wszystko w interesie utrzymania tajemnicy, chroniąc ludzkość przed wiedzą, że wampiry i wilkołaki istnieją naprawdę. Jednak do tego czarownika miałam tyle zaufania, co brudu pod paznokciem. A może jeszcze mniej.

Z jękiem wyrażającym sfrustrowanie zakręciłam wodę i pospiesznie się wytarłam.

Osuszywszy naprędce włosy, przeszłam z łazienki do głównej sypialni, gdzie otworzyłam torbę. Były tam czyste ubrania. Czasami jakiś drobiazg od razu poprawia humor. Moje dotychczasowe ubranie zużyło się w trakcie spotkania z Jamesem Parkerem w londyńskim domu Temidy, podczas incydentu, w którym zginął Thorne, w kłótni z Jabarim, w walce z naturą i w potyczce w Stonehenge. Wrzuciłam stare spodnie i koszulę do kosza na śmieci, powściągając ochotę ich podpalenia. Spalenie tych części garderoby nie oczyściłoby pamięci ze wspomnień dwóch minionych nocy.

Szybko włożyłam nowe, czystsze ubranie i zarzuciłam torbę na ramię. Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin, a musieliśmy dotrzeć do Wenecji, zanim wzejdzie słońce.

Sabat zażądał naszego stawiennictwa. A konwentowi sprawującemu władzę nad nocnymi wędrowcami nie wolno się było sprzeciwiać.

Rozdział 3

Zawahałam się u podnóża schodków, prowadzących na pokład mojego małego odrzutowca. Zamiast przelecieć nim przez ocean, do domu, miałam udać się tym samolotem do mrocznej stolicy imperium nocnych wędrowców, gdzie urzędował Sabat. Jabari mógł

sobie twierdzić, że powinnam to uczynić dla własnego dobra; nie miałam wątpliwości, że Starsi snują jakieś przewrotne, perfidne plany. Naturalnie, głos w tej kwestii nie należał do mnie. Ucieczka tylko pogorszyłaby całą sytuację. A jeszcze musiałam wykombinować, jak zapewnić ochronę Danausowi i Tristanowi.

Z grymasem na twarzy weszłam na pokład, gdzie znalazłam się twarzą w twarz z młodym nocnym wędrowcem. Tristan stał pośrodku samolotu, z dłońmi na szczupłych biodrach, i rozglądał się wokół po nieskazitelnie białym wnętrzu. Zerknął na mnie, pytająco unosząc brew.

Na biało? - spytał, a w jego głosie przebijało rozbawienie. Minęłam go, ignorując tę uwagę. Cóż mogłam mu odpowiedzieć? Uważałam, że wystarczy już taki stereotyp jak czarny strój.

Skontaktuj się z Sadirą - rzuciłam, zauważając, jak jego uśmiezek znika na wspomnienie naszej stwórczyni. Ani mnie, ani jemu nie spieszyło się do ponownego spotkania z nią. Wyrwałam się spod jej „czulej opieki” prawie pięćset lat temu, aby teraz znowu mieć do czynienia z tą zaborczą wampirzycą. Tristan uwolnił się od niej niedawno, lecz trafił pod moje skrzydła, a ja, mimowolnie, poddawałam się manipulacjom Sadiry.

- Powiedz jej, żeby przysłała po nas taksówkę, która ma czekać na nasz przylot -

rozkazałam, rzucając torbę na podłogę kabiny. - Wepchniemy się do jaskini lwa.

Rozsiadłam się na jednej z długich ław stojących po bokach we wnętrzu samolotu, usiłując sprawiać wrażenie, że zupełnie nie porusza mnie fakt, iż lecimy do Wenecji, a do świtu pozostały zaledwie cztery godziny.

- Coś jeszcze, moja pani? - zapytał, elegancko się kłaniając. Spojrzałam na niego spod ściągniętych brwi. Wystarczyło zabrać go od Sadiry, a już przeobrażał się w sarkastycznego dupka, pomyślałam. Tego jeszcze brakowało.

I tak miałam już mnóstwo problemów z Danausem, z Sabatem i z naturi; nie potrzebowałam dodatkowych trosk związanych z młodym nocnym wędrowcem, który chwilowo znalazł się z dala od swojej zwierzchniczki. Jednak miałam mdlące przecucie, że Tristan jest przekonany, iż znajdzie jakiś sposób na wyrwanie go z objęć Sadiry na dobre.

Desperacko przybiecałam mu w tym dopomóc.

Wtedy, gdy to czyniłam, byłam przeświadczona, że jedno z nas nie przeżyje spotkania z Sadirą. Pomyliłam się i teraz pozostałam z nowym problemem.

- Idź na tył samolotu i się prześpij - mruknęłam. Patrzyłam, jak postępuje kilka kroków w kierunku ogona odrzutowca, gdzie za drzwiami znajdowała się mała sypialnia.

Tristan jednak z wahaniem zatrzymał się tuż przed drzwiami.

- No, już - rzuciłam. - Powiedz, co masz do powiedzenia.

- Po co tam lecimy? - Głos Tristana był ledwie głośniejszy od szeptu, jak gdyby on sam lękał się kary za podważanie moich poleceń. Odwrócił się, a jego oczy wyrażały to samo co ujrzałam w nich parę nocy temu w londyńskim zaułku. Był to wyraz strachu. Beznadziei. -

Przecież mamy odrzutowiec. Polećmy na zachód. Tak daleko od Sabatu, jak tylko się da.

- I przez całą wieczność będziemy uciekać przed Sabatem? I przed naturi? - Wstałam i podeszłam do niego powoli. Skulił wąskie ramiona, a całe jego ciało się spięło, jak gdyby w oczekiwaniu na cios. - Nie ma dokąd uciec. Jabari nas wytropi. Wytropią nas naturi. Jeżeli teraz porozumiemy się z Sabatem, to Sabat zmobilizuje armię i powstrzymamy naturi przed uwolnieniem ich królowej.

- A co z samym Sabatem?

Uśmiechnęłam się do niego i musnęłam go opuszkami palców po policzku.

- Inni jakoś przeżywali spotkanie z nim. To wymaga po prostu pewnej finezji.

- Jesteś potrzebna Sabatowi żywa.

- A ja obiecałam, że zachowam cię przy życiu - powiedziałam ze wzruszeniem ramion.

- Tak więc jeśli ja przeżyję, to przetrwasz i ty.

Cyniczny uśmiezek zatańczył na ustach Tristana, lecz nie zamaskował wątpliwości, która czaiła się w jego oczach. Jednak kiwnął głową raz, zanim odwrócił się i zniknął w ciasnej sypialni. Wiedział, że nie było dla nas ucieczki od przeznaczenia. Mieliśmy stanąć przed Sabatem. Skoro zamierzaliśmy pokonać naturi, potrzebowaliśmy jego pomocy.

Powstrzymałam westchnienie i z powrotem usiadłam na ławce. Plan, który miałam, nie był nazbyt rewelacyjny, ale lepszy od żadnego. Kiedy wyciągnęłam nogi i próbowałam się zrelaksować, na pokład odrzutowca wszedł Danaus.

Uśmiech zaskoczenia poruszył kącikami moich ust, gdy Danaus przysiadł na ławie naprzeciwko mnie. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd po raz pierwszy weszliśmy razem na pokład tego samolotu. Wtedy Danaus był spięty i skrępowany, gdy wybieraliśmy się w podróż w poszukiwaniu poszlak

świadczących o tym, jak naturi próbują wyrwać się ze swojej Matki.

Teraz z kolei wydawał się rozluźniony. Już nie stanowiłam dla niego zagrożenia. W tej chwili oboje mieliśmy poważniejsze strapienia od tego, jak możemy zaszkodzić sobie nawzajem.

- O co chodzi? - zapytał znużonym głosem, niemalże burcząc.

- Nadal tu jesteś - odparłam. Jego niebieskie oczy się zwęziły. Kiwnęłam ręką w jego stronę, pragnąc odwrócić od siebie to jego mroczne spojrzenie. - Niezupełnie tak miało być.

Myślałam, że do tej pory już się rozstaniemy, z tej przyczyny, że zginiesz, albo z jakiejś innej.

Poruszył krzaczastą brwią i spojrzał na mnie pytająco.

- Ja też tak uważałem.

Zdaje się, że się ze mnie nabijał. Trudno to było stwierdzić. Jego myśli i odczucia znowu stały się odległe i mgliste, gdy tymczasem twarz przybrała typowy dlań nieprzenikniony, kamienny wyraz. Z więzi, która się zadzierzgnęła poprzez połączenie naszych mocy, nie pozostało niemal nic. Poczucie bliskości przesłaniała aura energii, jaką Danaus wokół siebie roztaczał.

- Już to słyszałam. Ryan powiedział, że pilno ci, żeby wyrwać mi serce. Planujesz je zatrzymać jako trofeum? - Na te słowa Danaus zmarszczył lekko czoło, a ja uśmiechnęłam się szerzej. - Bez względu na to, co chcesz zrobić z różnymi częściami mojego ciała, będziemy musieli współpracować w nadziei przeżycia kilku następnych nocy. Uwierz mi, wcale mnie to nie zachwyca. Psujesz mi reputację.

Danaus zaśmiał się cicho i na krótko jego rysy złagodniały. I przez ten ułamek sekundy dostrzegłam w nim bardzo przystojnego mężczyznę. Opuściły go na moment znużenie i cień zatroskania. Zazwyczaj, rzucając ponure spojrzenia spod ściągniętych brwi, wyglądał bardzo męsko, biła od niego siła i moc. A kiedy się uśmiechał lub śmiał, promień czegoś bardziej ludzkiego przebijał się przez warstwę chmur. Stanowiło to osobliwe połączenie. Danaus potrafił być człowiekiem bez typowych ludzkich słabostek.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że już nie pragnę go zabić. Zerwałam się na równe nogi bez właściwej mi gracji i ruszyłam na tył odrzutowca, mając przekleństwo na końcu języka.

Czyżbym zmiękała? Czy traciłam przewagę?

Ale to, że nie chciałam go zabijać, nie oznaczało, że widziałam w nim towarzysza broni. Danaus był odważnym wojownikiem, a dobrze mieć przy sobie kogoś, kto sam potrafi się o siebie zatroszczyć. Nie był tak kruchy jak moi ukochani aniołowie, za to brakowało mu ich ciepła i współczucia.

Rozciągając ręce nad głową na tyle, na ile się dało w kabinie pasażerskiej małego odrzutowca, odgoniłam od siebie tę dziwną refleksję. Danaus pewnie wciąż grzebał w moich myślach. Próbowałam sobie wmówić, że to przejdzie. Wypadł z mojej listy osób do likwidacji. Dość łatwo mógł jednak trafić na nią z powrotem i to zapewne już podczas naszego pobytu w Wenecji.

- Czy on nas słyszy? - spytał nagle Danaus, kiwając głową w stronę zamkniętych drzwi po przeciwnej stronie kabiny odrzutowca.

Zatrzymałam się i po chwili ruszyłam z powrotem w stronę ławy naprzeciwko niego, w zmieszaniu ściągając brwi.

- A co?

- Musimy pogadać. - Te złowieszcze słowa zagrzmiały w jego piersi, nim w końcu wyszły mu z ust. Domyślałam się, o czym chce porozmawiać, i, choć nie było mi do tego spieszo, należało sprawę załatwić. Mentalnie wniknęłam w umysł Tristana; leżał na łóżku w tyle odrzutowca. Popchnęłam go lekko w głębszy sen, w którym miał pozostać aż do czasu lądowania samolotu.

- Tristan śpi. Nie słyszy nas - powiedziałam, siadając na ławce naprzeciwko Danausa.

Wyciągnęłam nogi i skrzyżowałam je w kostkach, starając się za wszelką cenę przybrać rozluźnioną pozę, choć wszystkie mięśnie w moim ciele napięły się w oczekiwaniu. - Po co taka konspiracja?

- Co się stało? Czy zrobiłaś już kiedyś coś takiego?

Nie musiałam się dopytywać, o co mu chodzi. Kilka godzin temu Danaus, Tristan, Jabari, Sadira i ja znajdowaliśmy się w Warowni Temidy, otoczeni przez naturi. Wydawało się, że już po nas. Nie było ucieczki, nikt nam nie nadszedł z odsieczą. W ostatniej rozpaczliwej próbie wraz z Danausem użyliśmy wspólnie naszych mocy, zagotowując krew wrogów i paląc ich. Gdybyśmy przeżyli, wyczerpalibyśmy siły i znaleźli się na łasce naszych

„towarzyszy”. Jednak zamiast tego Danaus natchnął mnie swoimi mocami, a jego głęboki, niski głos odbijał mi się echem w mózgu, gdy niszczyłam nieprzyjaciół. I to nie tylko tych, którzy podeszli do siedziby Temidy. Pozabijałam wszystkich naturi, którzy znajdowali się w odległości kilku kilometrów od Warowni.

- Czy spaliłam kogoś? Owszem - celowo odpowiedziałam niejasno. Chciałam, żeby sam to nazwał. Musiałam wiedzieć, że nie byłam osamotniona w tym, co odczuwałam.

- Nie w tym rzecz i dobrze o tym wiesz - rzucił gniewnie Danaus. Drgnął, gdyż powiedział to zbyt głośno i obawiał się, że zbudzi Tristana. W rzeczywistości nie mógł go obudzić, ale nie zamierzałam rozwiewać jego obaw. Nie musiał się na mnie wydzierać.

Miałam wystarczająco dużo zmartwień na głowie oprócz tego rozdrażnionego łowcy wampirów. - Zniszczyliśmy ich dusze - podjął cichszym, ciężkim głosem.

Milczałam. Czy mogłam teraz powiedzieć cokolwiek, co nie zabrzmiałoby głupio?

Raczej nie. Może część mnie miała nadzieję, że się mylę. Ale nie myliłam się. Danaus odczuwał to samo.

- Domyślałam się, że nie zrobiłaś czegoś takiego wcześniej - odezwałam się w końcu.

Nie! - krzyknął, zrywając się na nogi. Dwa razy nerwowo otworzył i zacisnął dłonie przy bokach ciała, zanim ponownie usiadł, zapanowując nad emocjami. - Nie. Nie musiałem.

I nie słyszałem nawet o żadnym stworzeniu, czyniącym coś podobnego. - Jego głos brzmiał

trochę spokojniej, ale był to wymuszony spokój. Panikowanie nie załatwiłoby niczego, zresztą ja nie mogłam sobie pozwolić na luksus nawet chwilowego ulegania gniewowi.

- W takim razie dlaczego zmusiłeś mnie do tego? - Ton mego głosu stał się nawet twardszy i chłodniejszy, niż sobie tego życzyłam. Nienawidziłam naturi całym swoim jestestwem, ale czy uzasadniało to zniszczenie duszy innego stworzenia? To było... czymś niesłychanym, przejawem prawdziwego zła.

- Nie zmuszałem cię do niczego! - powiedział, raptownie spoglądając mi w twarz.

- Słyszałam twój głos w swojej głowie. Kazałeś mi ich zabić. Kazałeś mi pozabijać ich wszystkich.

- Ale nie tak.

- Próbowałam zmiążyć ich serca i podpalić je, ale mi nie pozwoliłeś. - Poruszyłam się niespokojnie, stawiając obie stopy na podłodze i przesuwając się na skraj ławy.

- Nie powstrzymywałem cię przed niczym. - Danaus przecesał dłonią gęste czarne włosy, odgarniając kilka kosmyków z pięknych niebieskich oczu. Mogłam niemal wyczuć frustrację w jego muskularnym ciele, narastającą w nim, gdy przywoływał wcześniejsze wydarzenia tego wieczoru. - W chwili, kiedy dotknąłem twojej ręki, poczułem, jakby moje moce zostały spotęgowane. A ponieważ tamci mieli przewagę liczebną i zagrażała nam śmierć, uznałem, że to nic złego.

- I to wszystko? - zapytałam, nie zdoławszy stłumić sceptycyzmu w głosie.

Danaus wziął następny głęboki wdech i wstrzymał na moment powietrze w płucach.

- Mogłem słyszeć twoje myśli - przyznał w końcu, prawie szeptem. Oderwał wzrok od mojej twarzy, kierując go na swoje dłonie, które spoczywały swobodnie na jego udach. -

Byłaś przerażona i odczuwałaś ból. Powtarzałem w myślach: „Zabij ich. Zabij, a ból ustanie”.

- Danaus przerwał i wyczułam, że jego złość zaczyna ustępować. Delikatny zapach morza wypełnił kabinę, wydając się odświeżać powietrze. To była owa niezwykła woń Danausa.

Przymknęłam powieki, pozwalając jego głosowi omiatać moje policzki. - Nie kazałem ci niszczyć ich dusz. Nie przypuszczałem, że coś podobnego jest w ogóle możliwe i nigdy nie poprosiłbym o to.

- Nie sądzę, ale to wszystko jest dla mnie czymś nowym. Chciałam mieć pewność. -

Odchyliłam głowę na oparcie ławki. Nie chciałam już o tym myśleć. Nie było wytłumaczenia tego, co zaszło i, jak się domyślałam, mogło się powtórzyć.

Danaus pozwolił, by przytłaczające, ciężkie milczenie zapanowało znów na pokładzie pogrążonym w półmroku. Upłynęło kilka minut, zanim zdecydował się przemówić ponownie.

Żadne z nas nie chciało już o tym rozmyślać, lecz pewne sprawy należało wyjaśnić przed dotarciem do Wenecji i Sabatu.

- Jakim cudem jestem w stanie cię...

- Kontrolować? - dokończyłam zdanie, które jak gdyby uwięzło mu w krtani; nie wiedziałam, czy z powodu nagłej troski o moje odczucia, czy też z niesmaku, jaki wywoływała w nim ta zdolność. Pomimo beznamiętnego wyrazu twarzy, nie potrafiłam ukryć goryczy w tonie swego głosu. Jabari mógł mnie kontrolować. Sadira też. A dawniej, póki żył, również Tabor. Pierwsza trójka członków triady, w tym moja stwórczyni. A teraz okazało się, że także Danaus.

- Stykałem się w życiu z wieloma wampirami. Ale to, co odczułem, kiedy dotknąłem ciebie... - I znowu jego głos zamarł, a zdanie urwało się, zanim się odezwałam.

- Potrafię tylko częściowo odpowiedzieć na to pytanie. Jabari i Sadira, a także niektórzy inni nocni wędrowcy mogą nade mną zapanować, bo... stworzono mnie inaczej. -

Przerwałam, niemalże dławiąc się tymi słowami. Wszystkie ludowe opowiadki o wybrańcach losu, o dziecku zrodzonym pod szczególną gwiazdą, kończyły się szczęśliwie, odkupieniem i zwycięstwem. Cóż, tymczasem w rzeczywistości ja, owa „wybranka”, okazałam się narzędziem, bronią, mogąc równie łatwo zniszczyć swoją rasę, jak i przynieść jej ocalenie, i to mnie wściekało.

Ściągnęłam brwi i rozejrzałam się po wnętrzu kabiny, usiłując nadać zrozumiałą formę swoim wyjaśnieniom.

- Są dwa sposoby stworzenia nocnego wędrowca. Pierwszy z nich jest szybki, prosty i naturalnie najbardziej rozpowszechniony. Otóż nocny wędrowiec pozbawia człowieka krwi, zastępując ją krwią wampira dokładnie w chwili śmierci. Zaraz potem człowiek taki odradza się jako nocny wędrowiec. Wampiry tego gatunku dopiero po kilku stuleciach uzyskują poważniejsze moce. Ludzie, odrodzeni jako nocni wędrowcy, służą swoim panom za rodzaj rozrywki. Na ogół nie żyją zbyt długo i rzadko tylko przeżywają swoich mistrzów.

- Dlaczego? - ponury uśmieszek przemknął niespodziewanie przez moją twarz, na widok czego łowca zeszywniał.

- Ponieważ wiele naszych rozrywek ma zabójczy charakter, nawet dla nocnych wędrowców. Wśród mojej rasy tacy szybko stworzeni nocni wędrowcy są zwykle określani jako figuranci.

- I Tristan jest... figurantem? - zapytał Danaus, wypowiadając to słowo z widocznym niesmakiem.

- Tak, ale ja się do niego w ten sposób nie zwracam.

- Domyślałam się - rzucił półgłosem.

- Większość nocnych wędrowców powstaje takim trybem. Wymaga to niewielkiego wysiłku i poświęceń.

- A czy ty kiedykolwiek...?

- Nie. - Na chwilę zacisnęłam dłonie na krawędzi siedzenia, prostując się. - Nigdy nie stworzyłam nocnego Wędrowca i nigdy tego nie zrobię. - Kręcąc przecząco głową, rozluźniłam się znowu i usiadłam wygodniej. Wystarczająco dużo wampirów chodziło już po ziemi.

Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w miarowy rytm bijącego serca Danausa, nieco głośniejszy od przytłumionego szumu silnika odrzutowca. To bicie serca działało kojąco, rozwiewając chwilowy niepokój. Nie tworzyłam nocnych wędrowców.

- Jednak ja sama nie powstałam w taki sposób i jeszcze parę nocy temu myślałam, że Sadira to moja jedyna stwórczyni. - Urwałam znowu, zwilżając językiem usta i szukając właściwych słów. - Śmierć ma trzy stadia. Najpierw ustaje oddech, potem przestaje pracować serce i w końcu dusza opuszcza ciało. Kiedy powstawałam, przeobrażenie zaczęło się, zanim moja dusza opuściła ciało. Sadira pracowała powoli i starannie, czuwając, aby moja dusza nie opuściła cielesnej powłoki... Proces taki trwa latami, czasami przez całe dziesięciolecia, gdy jednak nocny wędrowiec w końcu się budzi, jest silniejszy i potężniejszy od świeżo narodzonego figuranta. Niektórzy uważają, że zatrzymując duszę w trakcie tego całego procesu, nocny wędrowiec nabywa mocy wyższego rzędu. Mówiąc krótko, taki wampir jest silniejszy, potężniejszy i trudniej go zabić. Należy do tak zwanej Pierwszej Krwi.

- A więc Tristan nie ma duszy?

- Ma - warknęłam, wstając raptownie. Nie chciałam tego słyszeć. Panował bardzo stary mit, że wampiry to bezduszne stwory, a wielu ludzi nadal w to wierzyło. I po odkryciu naszego istnienia ludzie wykorzystywali te archaiczne wierzenia do tego, by na nas polować.

Wpatrując się w zmęczonego Danausa, zmusiłam się, aby się odprężyć. Nie miał na myśli nic złego, zadając pytania, i wiedziałam, że zareagowałam zbyt gwałtownie. Moje nerwy stawały się coraz bardziej napięte, im bliżej Wenecji się znajdowaliśmy. Ciężko opadłam na siedzenie i westchnęłam.

- Kiedy ciało zostaje ożywione krwią wampira, powraca do niego dusza. Gdy jednak wschodzi słońce, dusza znowu ulatuje z ciała. Oczywiście to wszystko teoria.

- A co z tobą?

- Oni przypuszczają, że nie umieram jak pozostałe wampiry o świcie. Sadira sądzi, że właśnie dlatego potrafię śnić, a inni nocni wędrowcy nie - powiedziałam, kręcąc głową.

- Dlaczego uczyniła cię taką?

- Jeśli wierzyć jej słowom, dlatego, że pragnął tego Jabari - odrzekłam. - Porwano mnie przed wiekami, ze względu na moją umiejętność panowania nad ogniem. Kiedy się obawiali, że szalejąca zaraza odbierze mi ludzkie życie, postanowili zrobić ze mnie nocnego wędrowca. Jednak poza tym

Jabari chciał się przekonać, czy zachowam tę umiejętność, a największą szansę na to dawało przypisanie mnie do Pierwszej Krwi.

- Krew Jabariego płynie w twoich żyłach. I Sadiry. Oraz Tabora. Pierwszych członków triady, dwojga z czterech członków Sabatu. Najpotężniejszych nocnych wędrowców, jacy kiedykolwiek istnieli. Uważa się, że oni oraz część ich potomstwa może mnie kontrolować, bo ich krew płynie we mnie.

- Ale przecież ja nie jestem nocnym wędrowcem. Nigdy nie byłem i nigdy nie będę -

powiedział Danaus.

Powstrzymałam się od rzucenia uwagi, że wciąż jeszcze jest na to czas. Nic bym nie zyskała, nastawiając go przeciwko sobie akurat teraz. Będzie miał wystarczająco dużo problemów z Sabatem i wszystkimi wampirami W Wenecji, pragnącymi rozerwać go na strzępy.

- Ty? Nie mam pojęcia. Skoro nie chcesz mi powiedzieć, kim jesteś, mogę się tylko domyślać, że stanowisz, tak jak ja, jakiś wybryk natury, co zapewnia ci osobliwą przewagę.

- Czy inni wiedzą, co naprawdę się wydarzyło? - zapytał Danaus, zręcznie zmieniając temat. Nie zamierzał jeszcze mi wyznać, kim jest, ale wolałam myśleć, że wydobędę od niego prawdę o nim, zanim wyda ostatnie tchnienie.

- Nie przypuszczam - powiedziałam z westchnieniem. - Gdyby wiedzieli, to nie sądzę, żeby udało nam się wydostać żywcem z Warowni, bez względu na wynik starcia z naturi.

Byłoby najlepiej, gdybyśmy zachowali dla siebie wiedzę o tym, na co nas stać. Niedługo znajdziemy ii, w siedzibie przywódców nocnych wędrowców. Lepiej nie dawać im kolejnego powodu starcia nas na proch.

- Chyba nie uważasz, że zrobią to, kiedy dotrzemy do Wenecji?

- Chwilowo mogą okazać się na tyle uprzejmi, żeby poczekać, aż powstrzymamy naturi - powiedziałam z cichym chichotem i uniosłam głowę, by spojrzeć na Danausa.

- Szczęściarze z nas - stwierdził ponuro Danaus. - Spodziewasz się, że przeżyjesz kilka następnych nocy?

- Niezupełnie. - Wzruszyłam beztróska szczupłymi ramionami. - Ale to jeszcze nie oznacza, że się nie postaram.

- A więc musisz mieć jakiś plan działania w Wenecji - podsunął.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, wyciągając przed siebie nogi i krzyżując je w kostkach. Skórzane obicie siedzenia zajęczało i zaskrzypiało pode mną.

- Mam pewne pomysły, ale bez konkretnego planu. Lepiej mi wychodzi spontaniczne działanie -

powiedziałam, a on zrobił jeszcze bardziej posępną minę. Nie miałam mu tego za złe. Wpakowaliśmy się w kolejny pasztet i Danaus znów musiał mi zaufać, bym ochroniła go przed przedstawicielami mojej rasy. A nie była to dogodna dla niego sytuacja, uwzględniając to, ilu naszych zabił w trakcie swojej jakże długiej kariery łowcy.

- Zamierzasz wyłgać się od śmierci? - odgadł Danaus z niedowierzaniem w głosie i przesunął się na skraj ławki.

- Zamierzam blefować, namawiać, wiecować albo nawet kłamać w żywe oczy, jeśli dzięki temu ocalę głowę - powiedziałam i roześmiałam się, wymachując rękami. Oto jeden z najpotężniejszych nocnych wędrowców w dziejach chciał doprowadzić do mojej śmierci. Nie miałam już nic do stracenia.

- I poświęcić mnie, kiedy nadarzy się okazja - dokończył Danaus, wstając. Ja również się podniosłam i zrobiłam krok w jego stronę, tak że oddzielało nas zaledwie pół metra wolnej przestrzeni. Poczulałam się trochę dziwnie, znalazłszy się tak blisko niego bez broni w ręku.

- Nie darzę Starszych zbyt wielkim uwielbieniem - stwierdziłam. Tylko Jabariego nosiłam kiedyś w sercu, ale zniszczył to uczucie, zanim opuścił siedzibę Temidy. - Z drugiej strony ty uratowałeś mi życie już nieraz. Nie wiem, czym się kierujesz w tej chwili, i mało mnie to obchodzi - dodałam pospiesznie, wyciągając rękę, zanim on zdążył wymienić jakiś z powodów, dla których dążył do utrzymania mnie przy życiu. Byłam pewna, że miał je na końcu języka. Wszak jego reputacja łowcy bardzo by ucierpiała, gdyby stały się znane starania, podejmowane przez niego w celu ratowania nocnych wędrowców. - Dotrzemy do Wenecji razem i wspólnie ją opuścimy, obiecuję. - Trzymałam w powietrzu dłoń, wyciągniętą w jego stronę. Danaus wpatrywał mi się w oczy dłuższy czas, ważąc moje słowa, nim wreszcie uściśnął mi rękę, dobijając targu.

- A potem? - zapytał ostro.

- Po Wenecji? Zakładając, że oboje przeżyjemy, znowu podejmiemy ze sobą walkę na śmierć i życie, zgodnie z nakazami natury - zakpiłam, puszczając jego szorstką, pokrytą odciskami dłoń.

Półśmieszek zaigrał w kąciku ust Danausa, gdy łowca znowu usiadł.

- Proszę cię tylko o to, żebyś trzymał usta zamknięte na kłódkę i zaufał mi - podjęłam, zerkając na niego z góry. - Nie jest to coś niewykonalnego. Jesteś łowcą. Nie wątpię, że załatwiłeś niezliczoną liczbę nocnych wędrowców. Nie zyskałeś pośród nas zbyt wielu przyjaciół.

- Bo nie to jest moim celem - odpowiedział opryskliwie.

- Wierzę w to - rzuciłam cicho i wróciłam na swoje miejsce. Rozsiadłam się na ławce i wsłuchiwałam w huk silnika. Nawet gdybym miała żyć jeszcze tak długo, by nauczyć się latać, to i tak zachowałabym swój śliczny mały odrzutowiec. Poza oczywistą wygodą, jaką zapewniał, lubiłam przysłuchiwać się szumowi powietrza za oknami i rykowi silnika.

Gdy samolot zbliżał się do Włoch, Danaus schylił się i zaczął grzebać w dużej czarnej workowatej

torbie, leżącej koło jego stóp. Słyszałam charakterystyczne odgłosy metalu uderzającego o metal, kiedy tak myszkował w swojej wysłużonej torbie na broń. Żałowałam, że zostawiłam miecz, którym posługiwałam się w siedzibie Temidy, ale w tamtym czasie musiałam zająć się Tristanem. Nie pomyślałam o zaopatrzeniu się w odpowiednie uzbrojenie przed wyprawą do Wenecji. Na szczęście Danaus pamiętał o tym, żeby wziąć z hotelu worek z bronią. Być może, nawet wpadł po drodze po dodatkowe akcesoria do domu Temidy, gdzie wcześniej spotkaliśmy się z Jamesem Parkerem.

Teraz usiadł z pistoletem w rękę. Szybko sprawdził magazynek, a potem wstał i podszedł do mnie. Przelotnie obrzuciłam wzrokiem pistolet, który wyciągnął w moją stronę, i spojrzałam na niego pytająco.

- Broń palna wydaje się skuteczna przeciwko naturi - powiedział, zanim zdążyłam się poruszyć. Wpatrywałam się w splotkę przez sekundę, ze zmarszczonym czołem. Nie lubiłam pistoletów ani karabinów. Były takie bezosobowe. Poza tym nie przydawały się w starciach z nocnymi wędrowcami. Postrzał tylko rozwścieczał wampira, nie wyrządzając mu większej krzywdy. Ponadto od kilku stuleci nie toczyliśmy regularnych bitew z naturi, więc większość z nas, nocnych wędrowców, nie zadawała sobie trudu nauczania się obsługiwania broni palnej.

Ściągając brwi, wzięłam od niego broń, trzymając ją w dwóch palcach z dala od siebie, jak kawał padła. Z jękiem wyrażającym sfrustrowanie Danaus wziął z powrotem pistolet do ręki i usiadł obok mnie.

- To browning hi-power kaliber 9 milimetrów - wyjaśnił, prezentując pistolet w otwartej dłoni. - W magazynku mieści się piętnaście pocisków. - Sprawnie przebierając palcami, pokazał mi, jak przeładować magazynek i jak przesunąć bezpiecznik. Wcześniej o splotkach wiedziałam niewiele ponad to, że należy wycelować lufę i nacisnąć spust. I nie miałam wcale ochoty dowiadywać się więcej, ale skoro czekały mnie nowe potyczki z naturi, to luki browning w moim ręku był czymś o wiele lepszym od noża.

- Przypuszczam, że poradysz sobie z tym - droczył się Danaus, usiłując mnie zdenerwować.

- Dam sobie radę - niemalże warknęłam; wydusiłam te trzy słowa przez zaciśnięte zęby. - Kabura?

Wrócił na swoje miejsce i wydobył z torby skórzaną podwójną kaburę, noszoną na szelkach. Rzucił ją przezabinę, a ja schwyciłam ją wolną ręką. Kabura była wykonana z miękkiej, ciemnobrązowej skóry i regulowana lak, że nie musiałam się obawiać, iż będzie wystawała. Niestety, nie nosiłam paska, więc nie mogłam jej solidniej umocować. Gdy zapinałam szelki, Danaus podał mi następny pistolet.

- To glock 17 kaliber 9 milimetrów - powiedział, gdy wzięłam od niego tę broń i włożyłam ją do prawej kabury Browning powędrował do lewej. Popatrzyłam na siebie i ściągnęłam brwi. Nocny wędrowiec z pistoletami. Wydawało się to niemal świętokradztwem, jeśli można się tak wyrazić. Byliśmy przecież urokliwymi istotami ze Starego Świata. Gdy ginęliśmy, to z cudzej ręki albo od miecza.

- Czy to źle, że refren *fanie's Got a Gun* chodzi mi po głowie? - jęknęłam. Danaus chrząknął

gardłowo, zanim odwrócił wzrok, wcześniej jednak dostrzegłam, jak jego usta wykrzywiają się w półuśmiechu. - Co? Nie lubisz zespołu Aerosmith? - zapytałam.

- Nie! Ja... - Urwał i pokręcił głową, nie powściągając już uśmiechu. - Aerosmith jest niezły. Tylko myślałem o innej piosence.

- O jakiej?

Kiedy zerknął na mnie, nie uśmiechał się, ale rozbawienie tańczyło w jego oczach.

- *Sympathy for the Devil* - odpowiedział. Współczucie dla diabła.

- Ha, ha. Bardzo zabawne, panie łowco - stwierdziłam zjadliwie. - To kawałek Stonesów.

- Mnie chodzi o ten utwór w wersji zespołu Guns'n'-Roses - skorygował, unosząc w uśmiechu kącik ust. Prychnęłam zdegustowana, lecz nie potrafiłam pohamować uśmiechu, który pojawił się na moich ustach. Kiedy jednak spojrzałam w dół na pistolety po bokach, westchnęłam mimowolnie i przestałam się śmiać.

- Nie jest tak źle - powiedział Danaus, ingerując w moje myśli.

Łypnęłam na niego nieprzychylnie. Nie miał pojęcia, jak bardzo było źle.

Jego znużone westchnienie wydawało się czymś bardziej na pokaz niż wyrazem zniechęcenia, gdy po raz ostatni zajrzał do swojej torby i wyciągnął z niej długi miecz oraz pochwę do niego. Z sardonicznym chichotem wyrwała mu tę broń z ręki i przycisnęłam do piersi. Rękojeść i głownia miały prosty wzór, gałkę w kształcie cebuli oraz lekko wygiętą, skrzyżowaną osłonę dłoni z płaską rytowaną ozdobą. Wyciągnęłam nieco miecz z pochwy i przekonałam się, że to dwusieczny pałasz w doskonałym stanie. Właściwie była to hybryda różnych rodzajów broni siecznej, z wydłużoną rękojeścią, typową dla dwuręcznych mieczy.

Pas przy pochwie zaprojektowano tak, żeby przechodził skośnie przez pierś i umożliwiał

szybkie dobycie miecza zza pleców. Popatrzyłam na Danausa, widząc, jak kręci głową i dyskretnie się uśmiecha.

- Nie tylko ja wolę stare metody. - Wykrzywiłam usta i spojrzałam na niego zagadkowo. Danaus rzadko posługiwał się bronią palną, a sposób, w jaki dzierżył miecz, nasuwał przypuszczenie, że urodził się z nim w dłoni.

- Ale żeby przetrwać, trzeba się dostosowywać - powiedział niewesoło.

- Racja - wyszeptałam, spoglądając na pistolety przy swoich bokach. Nie przepadałam za tego typu bronią, ale dzięki niej można było powstrzymać naturę szybciej, niż tnąc ich mieczem na kawałki. - Dzięki.

Danaus mruknął i wrócił na ławę obitą białą skórą. Ostrożnie zdjęłam szelki z kaburą i wraz z

nieczem położyłam je na jednym z wolnych siedzeń. Ponownie wyciągnęłam się na skórzanej ławce, zadowolona, że chwilowo mogłam odłożyć broń.

W odrzutowcu zapanowało głucho milczenie. Słysząc było tylko świst powietrza za oknami. Rozluźniłam się na wyściełanym siedzeniu, przymykając oczy, i oboje pograżyliśmy się myślami w swoich światach. Przywołałam wspomnienie rannego Gabriela, upewniając się, że nic mu nie grozi, ani Ryanowi i Jamesowi. Starłam się za to nie rozmyślać o Sabacie, Jabarim i o naturi. Nie chciałam roztrząsać faktu, że przez prawie stulecie mieszkałam z Jabarim w Egipcie. Przez niemal sto lat kontynuował swój mały eksperyment, pozwalając innym nocnym wędrowcom podejmować próby kontrolowania mnie, i nie przypominałam sobie zbyt wyraźnie nawet jednej chwili z tego okresu. Wspomnienie tych lat rozmazało się, choć nie stanowiły one ziejącej czarnej dziury w mojej przeszłości. Pamiętałam noce w domu Jabariego koło Karnaku, gdzie siedzieliśmy i rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy.

Dyskutowaliśmy, co to znaczy być nocnym wędrowcem, i o innych sprawach, z którymi się oboje zetknęliśmy. Starszy nocny wędrowiec uczył mnie historii i filozofii. Był moim mentorem i przewodnikiem po nocy.

Odgoniłam od siebie te refleksje, zagłębiając się bardziej w mrok swego umysłu, by przywołał obraz Michaela. Jego miękkie, złociste loki wyłoniły się przed moimi oczami i zapragnęłam dotknąć jego gładkiej skóry, pokrywającej mocne mięśnie. Przypominałam sobie jego cudowny uśmiech oraz to, jaki zawsze wydawał się niepewny i zmieszany, gdy starał się odgadnąć mój nastrój. Jednak te miłe wspomnienia zatruwała myśl o wrazeniu, jakie odczuwałam wtedy, gdy trzymałam martwego Michaela w ramionach, a jego bezwładne ciało uciskało moje nogi i spoczywało sztywno w moich ramionach. Tchnienie jego ducha wciąż mroziło mą skórę. Dusza biła mu się w piersi, wyrывая się na swobodę, gdy ja rozpaczliwie pragnęłam, by w nim pozostała. Zostawiłam go, kiedy stracił przytomność, gdyż nie mogłam znieść tych ostatnich chwil, w których jego dusza wydostała się na wolność i opuściła mnie na zawsze.

Odchyliwszy głowę, położyłam łokieć na oparciu siedzenia, a palcami drugiej dłoni przeczesalam włosy. Dusilo mnie w gardle i oczy zaszyły mi łzami, które cisnęły się, by spłynąć po chłodnych policzkach. Doprowadziłam do śmierci Michaela, zupełnie jak gdybym sama wbiła mu ostrze w plecy. Widziałam, jak powoli wkracza do mego świata, oddalając się coraz bardziej od swoich pobratymców. To przejście było powolne i starałam się przekonać samą siebie, że on sobie z tym poradzi. Przecież udało się to Gabrielowi. Ów drugi z moich aniołów chronił mnie od ponad dziesięciu lat, nie doznając przy tym niczego złego.

Ale Gabriel zawsze starał się prowadzić normalne życie, z dala ode mnie. Wiele razy zagłębiałam się w jego umysł i przekonałam się, co go bawi. Gabriel wprost nie mógł się doczekać niedzielnych transmisji meczów piłkarskich i popijaw ze znajomymi w pobliskim barze. Umawiał się na randki i miewał kochanki. W myślach Michaela nigdy nie zauważyłam niczego takiego. Dotyczyły one wyłącznie mnie.

Ludzie nie żyją długo, związując się zbyt ściśle z moją rasą. Przez jakiś czas to ich bawi, ale ich kruche umyły i ciała stają niebawem przed wyborem: śmierć lub odrodzenie.

Mogłam ocalić swojego anioła stróża przed jego losem, lecz nie potrafiłam zmusić się, by go uwolnić. I choć naturi zadał cios, który wyswobodził duszę Michaulu, to ja zastawiłam sidła i stałam się przynętą.

Rozdział 4

Wenecja. Żadne inne miejsce w Europie tak nie przyciąga turystów, a weneccy gondolierzy i place pełne gołębi znane są chyba wszystkim. Oglądanie Wenecji było jak patrzenie na wielką damę, która powoli starzeje się i umiera. To miasto zawsze wypełniają rozgadane, hałaśliwe grupy turystów, pstrykających setki zdjęć małymi aparatami fotograficznymi, stłoczonych na placu Świętego Marka i podziwiających bazylikę. Potem wszyscy przechodzą do mostu Rialto, na ogromny bazar pod gołym niebem. Czy któryś ze zwiedzających zadał sobie trud przekroczenia kanału Guidecca lub przespacerował się po spokojnym i pięknym Campo Santa Margherita? Albo też zajrzał do którejś z najświetniejszych restauracji w San Polo?

Podróżując niegdyś z Jabarim, spędziłam wiele nocy na wędrówkach po wąskich uliczkach Serenissimy. Uwielbiałam gorączkowe nocne życie w Dorsoduro, dzielnicy zamieszkaney przez studentów z pobliskich uniwersytetów. Ubóstwiałam tłoczną wyspę Burano z jej pomalowanymi na jaskrawe kolory budyneczkami. Najbardziej lubiłam jednak przejażdżki wodną taksówką do Torcello w północnej części Laguny Weneckiej. Tam właśnie przed wiekami narodziła się Wenecja, teraz jednak miejsce to było wyludnione, a liczba jego mieszkańców spadła z dwudziestu tysięcy do niespełna trzydziestu osób. Ulice Torcello były wyłożone brudnym i popękany brukiem, a większość tamtejszych budynków rozebrano, przeznaczając cegły i kamienie na nowe gmachy wznoszone gdzie indziej. A jednak te widmowe konstrukcje i tamtejsza opustoszała, zarosnięta chwastami ziemia zapewniały mi wytchnienie od mojego świata. Pozostawałam na tej prawie zapomnianej wyspie nawet za dnia, sypiając w mrocznym, cichym zakątku jakiejś opuszczonej budowli.

Wątpiłam jednak, czy tym razem uda mi się pospacerować po tamtych starych traktach. Kiedy wyszliśmy z samolotu, eskorta już na nas czekała. Wysoki i szczupły nocny wędrowiec stał w pobliżu prywatnego sektora na lotnisku Marco Polo, gdzie podkołował nasz odrzutowiec. Widywałam już tego wampira podczas kilku ostatnich wypraw do Wenecji.

Teraz strząsał pyłek z ciemnego garnituru marki Armani, wydając się niesłychanie znudzony powierzonym mu zadaniem. Były to jednak tylko pozory. Ten wazeliniarz z Sabatu piastował

dość poślednie stanowisko i lepiej byłoby dla niego, gdyby nikomu nie podpadł.

Wychodząc z odrzutowca, zerknęłam nerwowo na niebo. Do świtu pozostawały niespełna dwie godziny, a wciąż musieliśmy załatwić formalności związane z wylądowaniem w Wenecji - w tej stolicy nocnych wędrowców. Gdyby nie ponaglał nas czas, chętnie zaczekałabym do kolejnego zachodu słońca i dopiero wtedy wyruszyła do Wenecji.

Nocny wędrowiec w garniturze od Armaniego podszedł z wdziękiem, gdy Danaus znalazł się obok mnie. Wcześniej przekazałam Danausowi broń palną i miecz, zamierzałam użyć browninga i glocka, gdyby zaszła konieczność ponownego zapołowania na naturi. Jak na razie nie miałam pojęcia o

planach Sabatu, lecz wiedziałam, że Rowe nie odstąpi od zamiaru złamania pieczęci tylko dlatego, iż raz pokrzyżowałam jego plany. Ten naturi na pewno spróbuje znowu i podejrzewałam, że Sabat zażąda, żebym to ja go powstrzymała.

Tristan zszedł po schodkach ostatni, bez wysiłku niosąc obie nasze torby. Stał najniżej w hierarchii, więc to jemu przypadła rola jucznego muła. Może na nią nie zasłużył, ale to my mieliśmy go chronić, a łatwiej to czynić bez bagażu na ramieniu.

- *Benevenuto a Venezia* - powitał nas wampir, mówiąc płynnie po włosku i składając mi przy tym głęboki ukłon. - *Il mio nome e Roberto*.

- Mira - przedstawiłam się, wypowiedziawszy swoje imię przez zaciśnięte zęby, i walcząc z pokusą użycia języka włoskiego. - A to Danaus i Tristan. - Kiwnęłam dłonią w kierunku swoich towarzyszy.

Roberto uśmiechnął się do mnie, a w jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Starsi wyrażają zadowolenie z tego, że bezpiecznie dotarliście na miejsce -

powiedział, przechodząc na angielski z silnym włoskim akcentem.

O mało nie rzuciłam jakiejś zjadliwej uwagi, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. Nie miało sensu wszczynanie kłótni już teraz. Później miało się nadarzyć ku temu mnóstwo okazji.

- Noc dobiega końca. Idziemy? - powiedziałam szybko i ostro, po włosku. Język ten nie sprawiał mi problemów. Sadira nalegała, abym go opanowała, zanim jeszcze doszło do mego odrodzenia, i tylko po włosku zwracał się do mnie Jabari, próbując nauczyć mnie arabskiego. Nie chciałam jednak posługiwać się włoskim; każda sylaba w tym języku rozbrzmiewała echem mrocznych wspomnień i ponurych przyjemności, jakie porzuciłam.

- Macie jeszcze jakieś bagaże? - spytał Roberto, rzucając okiem na odrzutowiec.

- Nie. Przypuszczałam, że Sabat zatroszczy się o moje potrzeby - odpowiedziałam.

- *Naturalmente*. - Kiwnąwszy dłonią, odwrócił się raptownie i zaczął zmierzać w stronę kanałów. Zapytał o moją podróżną trumnę. Ta skrzynia, długości prawie stu siedemdziesięciu centymetrów, stanowiła moje schronienie przed słońcem. Pozostawiłam ją w Londynie, z poleceniem przetransportowania jej do Stanów Zjednoczonych. Obwożenie jej ze sobą stało się niepraktyczne, choć nie cierpiałam wypraw bez niej, mimo że potrafiłam obejść się bez trumny. W razie potrzeby mogłam się przespać w lagunie. Nocni wędrowcy nie oddychają jak ludzie, a muł i wodorosty czyniły wodę tak mętną, że nie przepuszczała promieni słońca. Nie twierdzę wcale, że to przyjemne doznanie - niewiele sytuacji jest bardziej odstręczających od przebudzenia się wśród błota i alg - ale w każdym razie można się było zbudzić.

Nasza trójka podążyła za Robertem do oczekującej łodzi motorowej. Gdy się już w niej usadowiliśmy, wenecki nocny wędrowiec zaczął zręcznie manewrować smukłym kadłubem łodzi po wodach laguny. A jednak coś było nie tak. Zamiast skierować się ku południowo-wschodniej stronie Burano, Roberto minął tę wyspę od południowego - zachodu i wpłynął niebawem w kręte kanały

Wenecji. To wydawało się bez sensu. Zazwyczaj zmieraliśmy na południowy-wschód, w kierunku Lido, a potem zawracaliśmy z powrotem na północ ku odosobnionej wysepce, na której Sabat miał swoją siedzibę. Nowa trasa była bardziej czasochłonna, gdyż musieliśmy płynąć wolniej przez ciasne weneckie kanały. A nie pozostało za wiele czasu, skoro przed świtem mieliśmy stanąć przed Starszymi.

Po kilku chwilach, w trakcie których przepływaliśmy z jednego wąskiego kanału do innego, Danaus dotknął mojego ramienia; spojrzałam mu w twarz. Bez słowa uniósł trzy palce, a potem skinął głową w kierunku okolicznych dachów. Byliśmy obserwowani, co mnie nie dziwiło. Wyczuwałam to, odkąd zesliśmy na płytę lotniska. A jednak łowca nie doliczył

się wszystkich zwiadowców. Puściłam do niego oko i uśmiechnęłam się, chichocząc tubalnie, co przyciągnęło uwagę Roberta.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał, zerkając na mnie przez ramię.

- Łowca jest zaszczycony przemyślnością Sabatu, który wyznaczył nam eskortę, złożoną z czterech nocnych wędrowców - odparłam. Danaus zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, choć jestem pewna, że ująłby w całkiem inne słowa to, co powiedziałam.

- Potrafi wyczuć ich obecność? - zapytał Roberto, przelotnie omiatając wzrokiem Danausa. Przeciągnął przy tym dłonią po ciemnobrązowych włosach, gładko zaczesanych do tyłu.

- *Naturalmente* - przytaknęłam.

Roberto raz jeszcze spojrzał na Danausa, nerwowo przeciągając czubkiem języka po wargach, zanim ponownie skupił uwagę na kanale przed sobą.

- Sabat bardzo pragnie go poznać - powiedział cicho, głosem ledwie słyszalnym wśród szumu motoru łodzi i plusku wody.

Niewątpliwie tak właśnie było, ale przezornie zachowałam ten komentarz dla siebie.

Przyglądałam się mijanym budynkom i drżącemu odbłaskowi świateł latarni na wodach kanału. Szybko przecięliśmy Wielki Kanał, wpływając w kanał Guidecca. Nocni wędrowcy, którzy mieli nas na oku, trzymali się w oddali i nie zrobili nic, by sprowokować pasażerów motorówki. Mieli po prostu pilnować, żebyśmy nie próbowali zrobić czegoś głupiego, choć nie byłam pewna, czego Sabat mógł się obawiać z naszej strony.

Po około trzydziestu minutach Roberto zwolnił nieco i ostrożnie przybił do pięknej przystani od strony Guidecci. Ściągnęłam brwi, wzrokiem i mocami omiatając najbliższą okolicę. Nie tu Sabat miał swoją siedzibę. Znajdowała się ona o dziesięć minut drogi stąd, na samotnej wyspie laguny.

- Nie staniemy przed Sabatem? - spytałam Roberta, kiedy wyłączył silnik.

- Z uwagi na późną porę Starsi wielkodusznie postanowili pozwolić wam najpierw odpocząć. Masz stawić się na dworzec jutro, godzinę po zachodzie słońca - wyjaśnił.

- Sama? - Wstałam, rozstawiając nieco nogi w kołyszącej się łodzi. Domyślałam się odpowiedzi, ale wolałam się upewnić przed spotkaniem ze Starszymi.

- Macie przybyć wszyscy - obwieścił Roberto, obrzucając wzrokiem Tristana i Danausa, i w końcu spoglądając mi w twarz.

Zerknęłam na Tristana, który nadal siedział. Jego mina nie wyrażała niczego, ale kostki dłoni, zaciśniętych bardzo mocno na mojej torbie, zbieleły. Przebywał z Sadirą od ponad stulecia, byłam więc przekonana, że i on równie dobrze jak ja poznał romantyczny włoski język.

- Stawiłeś się już kiedyś na tym dworze? - spytałam go, przechodząc znowu na angielski.

- Nie - odrzekł Tristan, kręcąc przecząco głową i wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Omiotła mnie fala strachu odczuwanego przez młodego nocnego Wędrowca, muskając moje ramiona jak chłodne powietrze. Dwór Sabatu był miejscem, gdzie działy się przerażające rzeczy, zwłaszcza dla słabych wampirów. To tam właśnie zrodziło się określenie „figurant”.

Zwróciłam wzrok w stronę Roberta, który obserwował Tristana niczym myśliwy swoją zdobycz.

- Przekaż Starszym moją prośbę - rzekłam, z wdziękiem przechodząc na włoski. -

Powiedz im, że pokornie proszę, aby pozostawiono Tristana w spokoju. On nie wie nic na temat spraw, które przybyliśmy przedyskutować, i zmarnuje tylko cenny czas zgromadzenia.

Roberto uśmiechnął się, słysząc te starannie dobrane słowa. Nigdy nie okazywałam pokory w niczym, czym się zajmowałam.

- Znalazł się na terytorium Starszych. Musi oddać im należną cześć - przypomniał.

Spojrzenie jego ciemnych oczu prześliznęło się po mojej twarzy.

- Zgodzili się już na dzień odpoczynku dla nas. Jeśli odmówią spełnienia mojej prośby, mogę odesłać Tristana z powrotem do Londynu, zanim zajdzie słońce. Nie zrobił nic złego.

- Przekażę twoje życzenie - powiedział Roberto sztywno, a na jego pociągłej twarzy odmalował się wyraz niezadowolenia.

- *Grazie* - odrzekłam, uśmiechając się do niego na tyle szeroko, by odsłonić kły. Nie była to groźba; raczej przyjacielskie upomnienie, że lepiej mnie nie denerwować. Choć był

sługusem Sabatu, rozrywałam już na strzępy mocniejsze wampiry od niego, i to z błahszych powodów, a on o tym wiedział. Poza tym i tak już miałam na szyi pętlę, co więc jeszcze miałam do stracenia?

Wysiedliśmy z łodzi i udaliśmy się do hotelu. Przystanąłam na chwilę i patrzyłam, jak Roberto odbija od przystani i odpływa w kierunku laguny. Zmierzał do siedziby Sabatu. Inni nocni wędrowcy pozostali w pobliżu hotelu, obserwując nas. Pewnie zechcieliby jeszcze trochę pokręcić się w

okolicy, gdyby nie to, że musieli znaleźć i dla siebie jakiś nocleg, gdyż nadciągał świt. Odwróciłam się, żeby ruszyć w stronę luksusowego hotelu, i zobaczyłam, że Tristan stoi obok mnie z wyrazem wdzięczności na twarzy.

- Dlaczego...? - wyszeptał, a głos jak gdyby uwiązł mu w krtani.

- Nie przeżyłbyś tej nocy - rzuciłam markotnie, obchodząc go i ruszając w kierunku hotelu. Ta mina Tristana, ów mdlący wyraz wdzięczności i podziwu, sprawiała, że poczułam się nieswojo. Tak samo wyglądał, kiedy po raz pierwszy natknęłam się na niego w Londynie, w klubie dla punków. Dla Tristana byłam postacią legendarną i promykiem nadziei -

„umknęłam” naszej stwórczyni i zaczęłam prowadzić własne życie z daleka od niej. A gdy Tristan ujrzał mnie na własne oczy, spodziewał się, że pomogę mu uczynić to samo. Niestety, nie byłam jedną z wampirzyc, które spieszą z pomocą słabszym nocnym wędrowcom. W

rzeczywistości często likwidowałam tych nieopierzonych, kiedy zagrażali ujawnieniem naszego sekretu.

- Sadira nie dopuści, żeby coś mi się stało - przekonywał Tristan, idąc tuż za mną.

- Spróbuję namówić Danausa, aby cię przeszmugłował z powrotem na pokład odrzutowca przed zachodem słońca - powiedziałam, puszczając jego uwagę mimo uszu. -

Możesz znaleźć się z powrotem w Londynie albo w Stanach Zjednoczonych, zanim oni się przebudzą. Zatrzymał mnie, chwytając za ramię.

- A co się stanie, jeśli mnie wezwą, a będę już poza Wenecją?

- Powiem im, że odesłałam cię bez twojej wiedzy. - Wiązało się to ze sporym ryzykiem. Nigdy dotąd nie sprzeciwiłam się woli Sabatu, ale i nie miałam wcześniej ku temu powodu.

- Nie - powiedział stanowczo, kręcąc głową. - Zostanę.

Ponownie zarzucił sobie torby na ramię, nie przejmując się ich znacznym ciężarem.

Ściągnęłam brwi, wpatrując się w niego. Wcześniej tego wieczoru sam chciał uciec przed Sabatem.

- Myślałam, że wolisz się uwolnić od Sadiry - rzuciłam ostro. Zmęczenie i strach wyczerpywały resztki mojej cierpliwości. Nie było czasu na taką dyskusję.

- Oboje wiemy, że przerwienie mnie do innego kraju albo na inny kontynent nie oswobodzi mnie z pęt Sadiry. - Tristan postąpił naprzód i położył mi dłoń na ramieniu.

Nachylił się i nasze policzki niemal się zetknęły, kiedy znów przemówił. - Odesłanie mnie tylko wzburzy Sabat i Sadirę. I chociaż jesteś Krzesicielką Ognia, nie sądzę, żebyś była na tyle mocna, aby się im wszystkim skutecznie przeciwstawić.

Zupełnie jakbym słyszała własne słowa. On miał rację. Odstąpiłam o krok, by spojrzeć mu w oczy.

- W porządku.

Był młody, ale zdeterminowany. Na razie postanowił pozostać przy swojej pani i nie poddać się naciskom ze strony Sabatu. Jeżeli mu się poszczęści, to Sabat okaże się lak zajęty Danausem i mną, że jego, Tristana, przeoczy.

Kiwnęłam potakująco głową i poprowadziłam swoich dwóch towarzyszy do luksusowego hotelu Cipriani. Omiatając miasto mocami tuż po wylądowaniu, wyczułam czekającą na nas Sadirę na jednym z górnych pięter tego budynku. Ani Tristan, ani ja nie mieliśmy najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z tą przewrotną starą jędzą, ale zaczynało brakować nam czasu i należało coś przedsięwziąć, zanim noc wyda swoje ostatnie tchnienie. Gdy zbliżyliśmy się do naszego apartamentu, Sadira otworzyła na oścież białe podwójne drzwi i uśmiechnęła się do swojego młodego wychowanka.

- Nareszcie - powiedziała tonem zdradzającym głęboką ulgę. Na jej białych policzkach wykwitł lekki rumieniec, co świadczyło o tym, że niedawno się posiliła. Włożyła jasnoróżową koszulę i długą czarną spódnicę. Nie widać już było na niej żadnych śladów stoczony w nocy bitwy, jeśli nie liczyć świadczących o zatroskaniu zmarszczek, które rozchodziły się od kąców oczu. Ominęłam, zdegustowana, obejmujących się nocnych wędrowców, Sadirę i Tristana. Wiedziałam, że Tristan posłusznie relacjonuje w myślach swojej pani wydarzenia tej nocy. Nie marnowałam czasu na analizowanie tego, co się wydarzyło, odkąd się rozstaliśmy z Sadira. Chwilowo poświęciłam uwagę naszej kwaterze.

Sadira mogłam zająć się później.

W saloniku naszego apartamentu dominowała chłodna elegancja. Miał kremowobiałe ściany oraz ciemnoszare i czarne marmurowe dekoracje. Meble były obite ciekawym czarno-szarym materiałem, którego kolor znakomicie pasował do barwy wielkiego dywanu leżącego na środku pokoju. Miejsce to emanowało luksusem, a jego urok szedł w parze z komfortem.

Niepokoiliły mnie tylko okna. Przeciwległa ściana składała się prawie w całości z rzędu wielkich okien, wychodzących na pobliski kanał. Marszcząc czoło, pospiesznie zajrzałam do obu sypialni - i tam zobaczyłam podobne, ogromne okna naprzeciwko wejścia. Nawet w łazience okno wychodziło na kanał. Nocą Widok roztaczający się z okien zapierał dech.

Jednak za dnia była to śmiertelna pułapka, gdy promienie słoneczne powoli wkradały się do apartamentu, jakby w poszukiwaniu nas.

- Jak mamy spotkać się z nimi nocą, jeśli spłonimy za dnia? - Mój głos zabrzmiał

bardzo głośno w apartamencie, gdy wkroczyłam z powrotem do saloniku.

- W głównej sypialni kotary są bardzo grube - powiedziała Sadira. - Wystarczająco dobrze zasłaniają słońce.

Jej niewzruszonego spokoju nie zmącił brak emocjonalnej powściągliwości z mojej strony. Ta noc trwała już zbyt długo i zadreślały mnie przykre odkrycia dotyczące mojego ukochanego Jabariego i mego wroga Rowe'a. Nic było czasu, by usiąść w samotności i przemyśleć to, czego się dowiedziałam, oraz opracować nowy plan przetrwania. Nieustannie musiałam brnąć dalej, ku kolejnemu tworzeniu, które chciało mnie kontrolować lub zabić.

Zapraǳnęłam swojej metalowej skrzyni z podwójnymi zamkami od wewnątrz.

Zapraǳnęłam jedyne sanktuarium w świecie, który rozpadał się szybciej niż miłość po Triadzie. Podróżowanie bez tej skrzyni było szaleństwem. Od stuleci nie wyruszałam nigdzie bez niej ze swego terytorium. Ocalała mnie już parokrotnie. Niestety, teraz musiałam przemieszczać się szybko i bez nadmiernego bagażu. Należało znaleźć jakieś inne rozwiązania. Do licha, przez pół sekundy pomyślałam nawet o przespaniu się w lagunie, ale szybko odrzuciłam ten pomysł. Starsi się nami bawili. Jeśli chcieli nas zgładzić, to mogli wymyślić coś znacznie bardziej wyrafinowanego i bolesnego. A to był po prostu żart; śmiertelna pułapka, mająca pozór wystawnego luksusu.

Paniczny lęk złagodniał nieco i skierowałam myśli ku zasadniczemu problemowi; wyczułam, że nocni wędrowcy oddalają się od hotelu. Do świtu pozostała niespełna godzina i musieli poszukać dla siebie jakiegoś miejsca na dzienny spoczynek. Widocznie doszli do wniosku, że nie wpakuję się w jakieś kłopoty, skoro już nadchodził brzask. Ponadto pozostający na ich usługach ludzie mieli tu przybyć dopiero za godzinę lub dwie, by mieć oko na Danausa. Przed dotarciem tutaj musieli się najpierw upewnić, że ich zwierzchnicy spośród wampirów znaleźli bezpieczne lokum na czas dnia. Stwarzało to okazję, choć bardzo niewielką, która mogła się już nie powtórzyć.

- Chodź ze mną - poleciłam Danausowi, kierując się w stronę drzwi.

- Wychodzisz? - Sadira aż sapnęła, przerażona, że wychodzę na zewnątrz, gdy świt zaczynał już rozjaśniać niebo.

Otworzyłam drzwi i odstąpiłam na bok, aby Danaus wyszedł pierwszy.

- Mam pewną sprawę, którą muszę załatwić przed jutrzejszym spotkaniem.

- Ale przecież słońce...

- Nie czekaj na nas - roześmiałam się, wychodząc za Danausem z pokoju.

Przemknęliśmy przez korytarz i przez cały hotel bezgłośnie niczym wiatr. Może i zaśmiałam się, ale czułam, jak noc wchodzi w ostatnie stadium. Bez względu na to, jak mocno zaciskałam pięści, piasek przesypywał mi się przez palce. Tym razem bardzo ryzykowałam, ale musiałam się dowiedzieć. Wybiegłam na zewnątrz i popędziłam ku przystani, a gumowe podeszwy pantofli nie robiły hałasu na starym kamiennym chodniku.

Odcumowałam jedną z łodzi, walcząc z pokusą spojrzenia na niebo.

- Potrafisz uruchomić silnik bez kluczyków? - zawołałam, kiedy Danaus wskoczył do łodzi.

Bez słowa podszedł do koła sterowego i ukląkł przy nim. Wchodziłam właśnie na łódź, gdy usłyszałam trzask zrywanego plastiku z tablicy rozdzielczej. Danaus przez moment majstrował wśród kabli, aż silnik zaskoczył i zakaszłał. Znałam się trochę na mechanice, ale jeszcze nie upilnowałam trudnej sztuki uruchamiania pojazdów bez użycia kluczyków. Kiedy musiałam się gdzieś dostać, zazwyczaj porywałam pojazd wraz z kierowcą, oszczędzając sobie kłopotów. Niestety, o tej porze większość ludzi spała i nie chciałam tracić czasu na tropienie jakiegoś szofera prywatnej wodnej taksówki.

Rzuciłam wyrażającą zniecierpliwienie uwagę, lecz oto motor łodzi wreszcie zaczął

pracować. Danaus wstał i wrzucił wsteczny bieg. Gdy łódź zaczęła płynąć do przodu, wskazałam palcem w kierunku laguny i podążyliśmy w mrok, oddalając się od bezpiecznej kryjówki na czas dnia.

- Dokąd płyniemy? - zapytał po paru minutach. Opuściliśmy kanał Guidecca i znaleźliśmy się na lagunie. Otaczały nas ciemne wody, a łagodne fale wznosiły się i opadały w hipnotycznym tańcu. Wszędzie wokół migotały światła, chłodne i odległe, jak gdyby kusząc mnie obietnicą ochrony przed słońcem, które podchodziło do linii horyzontu. W

pobliżu dominowała gęsta, nieprzenikniona czerń, wodny moczar nocy - schronienie, na które się decydowałam jedynie w ostateczności.

- Kieruj się na tamtą wyspę, na San Clemente - powiedziałam, wskazując w stronę pasa łądu, oddalonego o dziesięć minut rejsu. Wielki gmach hotelu wyłonił się tam z ciemności, a w kilku oknach paliło się światło, jaśniejac na tle ciemnoszarego nieba. Zgrabny rząd latarni rozświetlał chodnik, opasując wyspę. - Tam właśnie Sabat rezyduje przez większą część roku. Początkowo był to klasztor, ale w zeszłym stuleciu przerobiono go na hotel. Na tej wyspie są też inne budynki, w tym także gmach, gdzie urzęduje dwór.

- Dlaczego udajemy się tam teraz? - spytał Danaus, biorąc zakręt i zwiększając prędkość. Spojrzał na niebo, zapewne oceniając, ile jeszcze czasu pozostało do wschodu słońca.

- Nie zrobimy tego - odrzekłam, zmuszając się do uśmiechu. - Wyłącz silnik.

Raptownie zwrócił twarz w moją stronę, ściągając brwi, dezorientowany, ale bez słowa zwolnił bieg łodzi, by unieruchomić motor.

Stałam obok niego na szeroko rozstawionych nogach, gdy kolejne fale wprawiały w kołysanie łódkę, uderzając o jej burty.

- Chcę, żebyś przeczesał okolicę w poszukiwaniu naturi.

- Teraz? - zapytał zdumiony. Znow zerknął na niebo, które z każdą minutą stawało się coraz jaśniejsze.

Uchwyciłam się oparcia siedzenia przed sobą, wbijając paznokcie w plastik.

- Tak, teraz. Po prostu to zrób. Nie mamy czasu na spory.

Z marsem na czole Danaus zaczął wpatrywać się w lagunę. Moce wyszły z jego ciała, przepływając przeze mnie jak przez dym. Drgnęłam, ale się nie poruszyłam. Ciepło tych mocy oplotło mnie niczym kokon, trzymając mocno, lecz po zaledwie kilku sekundach się rozwiało.

- Nie jestem w stanie przeczesać całego miasta - powiedział w końcu. - Tę wyspę chroni jakiś rodzaj magii. Poza wyspą nie ma niczego niepokojącego, ale nie mogę sprawdzić jej samej.

- Tak podejrzewałam - rzuciłam półgłosem. Wyczuwałam żywe istoty za tą barierą.

Nawet nie korzystając zbytnio ze swoich mocy, mogłam stwierdzić, że na San Clemente są ze dwa tuziny nocnych wędrowców, nie zapominając już o prawie trzystu ludziach. Jednakże nie potrafiłam wyczuć obecności naturi. I z tego, co wiedziałam, żaden nocny wędrowiec tego nie umiał.

Mógł mi w tym pomóc Danaus. Zdołałam przecież wyczuć ich na krótko, kiedy połączyliśmy nasze moce w Warowni Temidy. To było szalone i skrajnie ryzykowne, nic musiałam się dowiedzieć. Musiałam wiedzieć, w co wdepniemy jutro.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziałam powoli i silnym głosem, ledwie głośniejszym od szumu napływających fal. - Muszę wiedzieć, czy jest jakiś naturi na tej Wyspie. Kiedy wspólnie użyliśmy naszych mocy w Anglii, potrafiłam wyczuć obecność naturi. Musimy spróbować ponownie. Tylko ja mogę się przebić przez tę ich ochronną zaporę.

Danaus skinął głową i wyciągnął ku mnie rękę. Z wahaniem uniosłam dłoń, ale wciąż nie ujmowałam jego ręki.

- Nie możemy zabić nikogo na tej wyspie. Nie wolno nam nawet tego próbować. Nie myśl o tym, Danausie, bo przysięgam, że zniszczę nas oboje - ostrzegłam. - I nie spieszmy się zbytnio.

Wielkiego wysiłku wymagało ode mnie zmuszenie się do ujęcia jego dłoni. Pamięć bólu, który towarzyszył naszemu niedawnemu zetknięciu, wciąż była świeża w moim umyśle, i choć doszłam po nim do siebie, to bynajmniej się nie spieszyłam, żeby doznawać go znowu.

Na szczęście tym razem było inaczej. Moc nie przeszła jak błyskawica przez moje ciało, tylko powoli przepłynęła przez nie jak mały leśny strumyk. Przyłożyłam ramię do swojej piersi. Ciepło wniknęło mi do kości, przepelniając całe ciało. Lecz wtedy coś uległo zmianie. Moc rozgorzała w moich kościach, aż zdało mi się, że popękają i się pokruszą.

- Za bardzo - zakwiliłam, ledwie ustając na nogach. Przytrzymałam się mocniej oparcia siedzenia przed sobą, ale nie miałam już czucia w palcach. Czułam tylko dłoń Danausa i stale wzmagający się ból.

- Już nie mogę tego spowolnić. Skup się - powiedział. Jego głos zdawał się dochodzić z oddali, jak gdyby z odległego skraju laguny. Szum wody, uderzającej o burty łodzi, ucichł

zupełnie.

Skoncentruj się na tej wyspie.

Tym razem te słowa zabrzmiały w mojej głowie jak rozkaz. Myśli o bólu, rozdzierającym moje członki, odeszły, gdy skupiłam uwagę na wyspie, która wyłaniała się przed nami. I już po chwili odnalazłam to, czego szukałam. Jakiś śpiący naturi znajdował się tam. Jego rozmiary wskazywały na osobnika płci żeńskiej, być może z klanu światła lub wiatru. Szybko omiotłam myślami budynki, ale nie wyczułam innych naturi. Nieważne. Jeden mi wystarczył.

- Przestań - powiedziałam ochryple, usiłując puścić rękę Danausa.

Poczułam, że Danaus się zawahał, choć nadal mocno mnie trzymał. W jego myślach panował chaos, ale pojmowałam jego odczucia. Był sfrustrowany. Wystarczył krótki rozkaz, a wbrew sobie spaliłabym wszystkich nocnych wędrowców na wyspie. Kolejna taka okazja już mu się pewnie nie nadarzy.

- Dostyć! - krzyknęłam załamującym się głosem.

Szarpnęłam ręką, ale nie mogłam uwolnić jej z uścisku Danausa. Zmagałam się z mocą trawiącą moje ciało, próbując ją powstrzymać, gdy szalejąc przetaczała się przeze mnie.

Rozzłoszczony Danaus puścił moją dłoń, a ja upadłam na kolana. Dyszał ciężko, wspierając się na kole sterowym, ale i tak wydawał się w lepszej formie niż wtedy, gdy pierwszy raz wypróbowaliśmy tę sztuczkę.

Bolały mnie kości, mięśnie zdawały się płonąć, pulsowały bólem, który już dobrze znałam. A jednak nie było aż tak źle jak poprzednim razem. Doszłam do siebie dosyć szybko.

- Ciebie też kusiło - powiedział zadyszany, z trudem się prostując.

- Ale nie zrobiłabym tego - zachrypiałam, opierając u; o jedno z siedzeń w łodzi. -

Zawarliśmy umowę. - Położyłam głowę na oparciu i zamknęłam oczy, wsłuchując się w szum wody za burtą. - Nie martw się. Jeszcze będziesz miał okazję, daję słowo.

Coś we mnie obumarło, pozostawiając w moim brzuchu skulone, małe i ciężące zwłoki. Nigdy nie darzyłam Sabatu specjalnym respektem, ale zawsze uważałam, że ostateczny cel tego konwentu to ochrona mojej rasy. Wierzyłam, że Sabat będzie chronił nas wszystkich.

Bardzo wiele wieków temu Sabat został powołany do istnienia przez Naszego Władcę, aby łatwiej mu było roztoczyć nadzór nad coraz większą liczbą nocnych wędrowców na ziemi; aby uporządkować panujący chaos. Nasz Władca wybrał cztery sędziwe wampiry do prowadzenia dworu i ferowania wyroków pod jego nieobecność. Podczas kolejnych stuleci Starsi ginęli w trakcie walk o władzę i w wyniku perfidnych spisków, ale atmosfera panująca na tym dworze się nie zmieniła. Było to miejsce straszliwych wydarzeń i mrocznych fantazji.

Dla Sabatu liczyły się władza i nadzór.

W końcu jednak i ja uwierzyłam, że ma to na celu ochronę naszego rodzaju. Sabat powstał po to, by chronić wszystkich nocnych wędrowców tak samo jak ludzi. W trakcie dziejów naturi mordowali nocnych wędrowców jak zwierzynę. Przez długie wieki tropili i niszczyli tysiące ludzi i wampirów, uważając obie te rasy za zarazę na tej ziemi. Nocni wędrowcy odgradzili naturi od tego świata, a my strzeżliśmy pieczęci. Dlaczego więc Sabat miałby tak nagle zwrócić się przeciwko tej tradycji?

Danaus popatrzył na mnie przeciągle i wyraz zaskoczenia pojawił się w jego błękitnych oczach.

- Wynośmy się stąd - wyszeptałam. - Zaczyna mnie gonić czas.

Skinął głową, znowu uruchomił silnik łodzi i zawróciliśmy w kierunku Cipriani.

Usiadłam i wpatrywałam się w szarzące niebo. Świt się zbliżał. Noc wydawała swe ostatnie, chrapliwe tchnienia, a jej ciężar mnie przytłaczał, zupełnie jak gdyby to na mnie spoczywało zadanie podtrzymania w niej życia.

- Z bardzo konkretnego powodu wybraliśmy Wenecję na siedzibę Sabatu - zaczęłam powoli. - Tu nie ma naturi. I nigdy nie było. Członkowie klanu wodnego nie wylaniają się z tutejszych kanałów. Naturi zwą Wenecję „martwym miastem”. Niezupełnie wiem, dlaczego.

Przypuszczam, że zginął tutaj któryś z ich bogów. I odtąd nie postawili nogi w tym mieście.

- Aż do teraz - wtrącił Danaus.

- Jakiś naturi znalazł się w samym sercu terytorium nocnych wędrowców, ale ktoś musiał tu ściągnąć tę istotę. Wszelkie stworzenia, które mają coś wspólnego z magią, nie mogą pojawić się na tej wyspie bez zaproszenia.

Skąd wiesz, że to nie jeniec?

- Ta naturi nie bała się ani nie cierpiała - wyjaśniłam. Rozgoryczenie sprawiło, że poczułam w gardle paskudny smak. Nie wiedziałam, dlaczego byłam pewna tego, co właśnie powiedziałam. Wcześniej, wyczuwając obecność innych stworzeń, nie potrafiłam określać ich stanu emocjonalnego. Teraz jednak coś mi podpowiadało, że wie działałabym, gdyby owa naturi była poddawana torturom albo obawiała się o własne życie.

Podejrzewałam, że ktoś dopuścił się zdrady wobec mojej rasy. Podczas moich podróży w minionych kilku dniach naturi nieustannie nas wyprzedzali i zawsze dobrze wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. Mogło do tego dojść tylko wtedy, gdy ktoś ich informował. Snułam takie podejrzenia, ale nie wierzyłam, że okażą się uzasadnione.

Oboje milczeliśmy, wpływając do kanału Guidecca i zbliżając się do hotelu. W

okolicy nadal nie było nocnych wędrowców, a większość ludzi spała. Wśród tych, którzy czuwali, byli członkowie hotelowej obsługi - oni również mogli pozostawać na usługach Sabatu. Nie napawało mnie to niepokojem. Starsi wiedzieli, że wyprawiłam się do laguny, ale nie mieli pojęcia, po co to robiłam.

Gdy Danaus cumował łódź, wysilałam się, by nie zamknąć oczu. Wypełzłam na przystań, bez właściwej mi gracji. Byłam ledwie przytomna. Bolało mnie całe ciało, każdy ruch stanowił udrękę. Danaus usiłował mnie podtrzymać, ale warknęłam, raptownie odsuwając się od niego. Miałam jeszcze tyle siły, żeby dowlec się do hotelu.

- Obiecuj mi, że nie zbliżysz się do San Clemente za dnia - wymamrotałam, wchodząc do windy. Oparłam się ciężko o ścianę, walcząc ze znużeniem, które zamykało mi oczy. - Oni się dowiedzą. Czyniąc to, naraziłbyś nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Po prostu zaczekaj do zachodu słońca.

- Ale...

- Obiecuj - rzuciłam. - Jesteśmy na ich terenie. Musimy dostosować się do ich zasad.

- Obiecuję - powiedział z niechęcią, najwyraźniej niezbyt zachwycony moją prośbą.

- Zaczekaj. Poczekaj na mnie. Dopadniemy ich - wyszeptałam.

Drzwi windy otwarły się z cichym sykiem i rzuciłam się naprzód, spiesząc do swojego apartamentu. Słońce już niemal wschodziło. Stopniowo opuszczała mnie świadomość i wiedziałam, że jeśli się nie ukryję, słoneczne promienie spalą mnie na wiór. Otworzywszy pchnięciem odrzwia głównej sypialni, wtoczyłam się do środka i zatrzasnęłam drzwi za sobą.

Nie zadałam sobie trudu, by zamknąć je na klucz. Jeśli Danaus albo ktoś inny zechce tu wtargnąć, kiedy będę spała, i tak znajdzie jakiś sposób, żeby to zrobić. W pokoju panował

nieprzenikniony mrok, gdyż zaciągnięte ciężkie kotary zasłaniały okna. Sadira i Tristan leżeli w wielkim łóżu; ona spoczywała w jego ramionach. Zataczając się, przeszłam przez pokój i rzuciłam się na łóżo obok Tristana. Wyczerpana, zapadałam już w sen, kiedy poczułam, że Tristan się przetacza i oplata mnie rękami w talii. Przysunął się bliżej i przytulił do mnie. A potem nastąpiła nicość.

Rozdział 5

Mgła uniosła się znad moich myśli następnej nocy. Gdy oprzytomniałam, zobaczyłam Tristana wyciągniętego obok mnie na łóżku. Wspierał się na łokciu, a ciemnoblonde włosy opadały mu na oczy, kiedy na mnie patrzył. Nikły uśmiech igrał na jego bladoróżowych ustach, ale w niebieskich oczach czaił się niepokój. Bał się i nie bez powodu. Przeżyliśmy jeden dzień, lecz wciąż czekała nas konfrontacja z Sabatem.

Tristan uniosł dłoń, by dotknąć mojego policzka, ale odsunęłam się gwałtownie od jego palców i zmarszczyłam czoło.

- Pomyślałam, że zechcesz, aby ktoś dotrzymał ci towarzystwa - powiedział łagodnie.

Jego otwarta dłoń unosiła się w powietrzu w pobliżu mojej twarzy, czekając na przyzwolenie ponownego jej dotknięcia. Przez sekundę i zerze żałowałam, że nie mogę przyjąć tej pieśczoćy. Kotary nadal pozostawały zaciągnięte, a w pokoju panowała cisza jak w marmurowym mauzoleum w

lutym, poza sezonem turystycznym. Ale kilka ulotnych, rozkosznych chwil w ramionach Tristana nie rozwiałyby naszych obaw, związanych z Sabatem.

- Nie - odrzekłam, a słowo to legło między nami jak martwa ryba.

Opuścił rękę i oplótł długimi palcami mój nadgarstek, i wtedy podniosłam się i usiadłam.

- Chciałem ci podziękować... za to, co powiedziałaś wczoraj. - Jego słowa były podszyte wahaniem. Rozumiałam, ile go kosztowało wypowiedzenie ich. Pamiętałam, jak to jest być osobą młodą i słabą. Nikt nie lubi poczucia, że jest się dłużnikiem kogoś, kto ma nad tobą władzę, wykorzystywaną w pewnych okazjach.

- Nie chcę twoich podziękowań - odpowiedziałam opryskliwie. Kładąc stopy na podłodze, przeciągnęłam palcami po włosach, odgarniając z twarzy długie, rude kosmyki. Nie była mi potrzebna jego wdzięczność, skoro oboje musieliśmy ujść cało z Wenecji. - Wracaj do swojej pani.

- Ona stwierdziła, że mam się zatroszczyć o ciebie - powiedział, rozciągając się na łożku. Obróciłam się, by na niego spojrzeć, ale to, co ujrzałam, tylko pogłębiło marsa na moim czole. Tristan leżał obnażony do pasa, z nieznacznym uśmiechem na ładnej twarzy.

Ubrany był w skórzane spodnie, stopy miał bose. Stanowił ciekawą mieszankę - czegoś nieprzyzwoitego z odrobiną uroku. Wyciągnął ku mnie rękę, a jego spojrzenie zmiękło.

Wyglądał dość podniecająco, lecz mnie nie skusił. Znajdowałam się w Wenecji i właśnie czekało mnie spotkanie z Sabatem, do którego wkradła się naturi. Tym razem nie było szans uniknąć spotkania, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam.

- Wynoś się stąd, Tristanie - westchnęłam. - Powiedz pozostałym, że będę gotowa za kilka minut.

Nie czekałam, aż wstanie, tylko chwyciłam torbę i poszłam do łazienki, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Po wzięciu szybkiego prysznica poszukałam w torbie czystych ubrań, ale tych zaczynało mi powoli brakować. Nie pomyślałam zawczasu o przygotowaniu zapasu odzieży na dłużej niż kilka dni. Sądziłam, że przekażę całą sprawę w czyjeś ręce wkrótce po przybyciu do Egiptu, zamiast błąkać się po całym świecie, uciekając przed naturi.

Z kwaśną miną zdecydowałam się ostatecznie na czarny top. Do tego włożyłam znowu czarne spodnie ze skóry, które nosiłam poprzedniego dnia, i nowe skórzane buty na wysokich, dziesięciocentymetrowych obcasach. Nie nadawały się zbyt do walki, ale wydawałam się w nich wyższa i bardziej dystygowana. Tej nocy liczyłam, że dzięki blefowaniu obejdzie się bez starć.

Zaczesalam wilgotne włosy i upięłam je z tyłu głowy parą srebrnych spinek. W takiej fryzurze włosy nie spadały mi na oczy, a przy tym zachowałam wyrafinowany i stylowy wygląd. Raz jeszcze zerknęłam w lustro i stłumiłam westchnienie. Wprawdzie wyglądałam dobrze, ale brakowało mi pewności siebie, niezbędnej do odegrania tej całej farsy.

Pochyliłam się do przodu i uchwyciłam obiema dłońmi umywalkę z czarnego marmuru. Jak, do licha, miałam sobie z tym wszystkim poradzić? Jakaś naturi przebywała w pobliżu siedziby Sabatu, Jabari

mógł mną manipulować niby piekielnym orężem, a ja powoli zebrałam w swoim otoczeniu kontyngent istot, które skupiły się przy mnie dla ocalenia własnej skóry. Przyobiecałam łowcy wampirów, że w Wenecji nic złego mu się nie stanie, ale stopniowo stawało się jasne, że również Sadira i Tristan oczekują mli” mnie skutecznej ochrony.

Nie mogłam pokonać Sabatu. Choć byłam w stanie bronić się przed nim przez jakiś czas, w końcu Jabari starłby mnie na krwawą miazgę. W konfrontacji z Macaire'em i Elizabeth też nie miałam większych szans. Jak mogłam okazać się taka nieostrożna i obiecać tym nieszczęsnym istotom ochronę, skoro z ledwością potrafiłam zadbać u własne bezpieczeństwo?

A jednak ktoś musiał powstrzymać Sabat. Obawy, jakie żywiłam w Londynie, znalazły potwierdzenie wraz z pojawieniem się naturi w pobliżu jego siedziby. Zbyt często naturi wiedzieli, i to dokładnie, gdzie mnie szukać. Wiedzieli, jak mnie wytropić, a przecież tylko Sabat znał miejsce mojego pobytu. Ktoś z Sabatu próbował mnie zabić i ten ktoś wyszukał

najemnego zabójcę z grona naturi.

Pukanie do drzwi łazienki przerwało te ponure przemyślenia. Zmusiłam się do oderwania palców od umywalki i wyprostowania się.

- Wejdz.

Mój głos brzmiał mocno i pewnie, choć wcale się tak nie czułam.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Danaus, jeszcze bardziej pochmurny niż zazwyczaj. Znow miał na sobie czarną koszulę i czarne spodnie, tym razem jednak pozostawił

gdzieś ochraniacze na nadgarstki, noże i miecz przypasywany do pleców. Właściwie był teraz nieuzbrojony. Oczywiście mógł zniszczyć nas wszystkich, nie kiwając nawet palcem, chyba jednak czuł się trochę nieswojo bez wypróbowanej broni pod ręką.

- Gotowa?

- A czy miałoby to jakieś znaczenie, gdybym odpowiedziała, że nie?

- Nie.

- W takim razie, owszem, jestem gotowa. Wprost nie mogę się doczekać! - rzuciłam beztrąsko, przywołując usta wyjątkowo nieszczerzy uśmiech.

Ostry, chrapliwy śmiech wyrwał się Danausowi z gardła, co zaskoczyło nas oboje.

Zdaje się, że napięcie zaczynało dawać nam się we znaki. Powoli puszczały nam nerwy.

Kręcąc głową i uśmiechając się niepewnie, ominęła go i zaczęłam kroczyć przez sypialnię, kiedy nagle wyczułam raptowną zmianę jego nastroju. Ten przyływ skrajnego gniewu i strachu był tak ostry, że zwinęłam palce na kształt szponów i rozchyliłam wargi, odsłaniając ostre kły. Odwróciłam

się w oczekiwaniu na atak, ale wciąż nie było w pobliżu nikogo poza Danausem.

- Co jest? - zapytałam, nadal omiatając wzrokiem pokój w poszukiwaniu przeciwnika, który mógł skryć się w mroku. Ktoś odsłonił już kotary, a za oknem ukazały się; światła laguny i luna nad placem Świętego Marka na tle nocnego nieba.

- Twoje plecy - odpowiedział chrapliwym i stłumionym głosem. Wyprostowałam się i natychmiast uspokoiłam. Zapomniałam, że Danaus nie widział dotąd blizn na moich plecach.

Włożyłam ten kusy top z celowym zamiarem zaprezentowania ich zgromadzeniu, co jednak wypadło mi z głowy, kiedy przedefilowałam przed łowcą.

Obróciłam się tak, aby mógł się im lepiej przyjrzeć, i zatrzymałam na środku pokoju.

- Myślałam, że Nerian ci opowiedział - odrzekłam. To imię zagościło na krótko w moich ustach, gdy obraz owe-: go naturi przemknął mi przez myśli. Mój dawny oprawca już nie żył, ale jego wspomnienie wciąż mnie zadręczało.

Usłyszałam, że Danaus zbliża się, powoli i ostrożnie, jak gdyby obawiał się, że mogę się na niego rzucić.

- Owszem, opowiadał, jednak nie sądziłem, że wampiry mają blizny. Myślałem, że zaleczyłaś je wszystkie bez śladu - powiedział, ścisząc głos niemal do szeptu. Danaus trzymał Neriana w niewoli przez tydzień, nim w końcu ja sama zgładziłam tego naturi. W

owym czasie Danaus miał sposobność wyciągnięcia różnorodnych ciekawych informacji od mojego wroga. Na myśl o tym poczułam się przy Danausie skrępowana, lękając się tego, czego dowiedział się o mnie i o tym, co zaszło w chwilach mojej największej słabości.

Obnosiłam się z bliznami, lecz pamięć o innych upokarzających cierpieniach, jakich doznawałam przez tamte dwa tygodnie, pragnęłam zachować tylko dla siebie.

- Jeśli nie posilimy się wkrótce po odniesieniu ran od broni naturi, nasze ciała nie goją się do końca - powiedziała sztywno, próbując odgonić od siebie napływ wspomnień. - Chcę w taki sposób przypomnieć Sabatowi, z kim mają do czynienia.

Opuszkami palców delikatnie przeciągnął po moich plecach, dotykając niektórych szram. Drgnęłam pod wpływem tego dotyku, ale się nie poruszyłam. Jego wzburzenie przenikało przez moją nagą skórę niczym ciepły oddech, działając niemalże kojąco, pomimo drastycznego tematu nizinowy.

- Niektóre z nich przypominają pewne symbole - stwierdził zaskoczony. - Wypisali ci je na plecach.

- Nigdy nie poznałam znaczenia tych symboli. Na pewno nie znaczą nic dobrego.

Danaus milczał przez chwilę, targany mieszanymi odczuciami; jego wzburzenie zaczęło ustępować. Przypatrywał się znakom, natężając przy tym myśli, jak gdyby usiłował

skojarzyć te symbole z odpowiednimi słowami.

- Oznaczają: „Kopnij mnie”.

Odwrociłam się gwałtownie, rozdziawiając usta w niemym szoku. Łowca wpatrywał

się we mnie, a kąciki jego ust poruszyły się. Przez krótki, krystalicznie czysty moment rozbawienie pojawiło się w jego kobaltowymi oczach. Wielkie nieba, ten ponury łowca wampirów miał jednak swoiste poczucie humoru.

Zaśmiałam się, a ów radosny dźwięk przemknął moje ciało, od gardła do palców stóp.

Kręcąc głową, złapałam się za brzuch, kiedy odgłos śmiechu wypełnił cały pokoi i Danaus także cicho zachichotał, co słysząc, zatoczyłam się w kolejnym wybuchu śmiechu jak pijany mnich, próbujący ustać na nogach w pomieszczeniu, które tańczy mu przed oczami. Upłynęła ponad minuta, zanim zdołałam w końcu się wyprostować i opanować kolejny atak śmiechu.

- Dlaczego ktoś spośród naturi znalazł się w siedzibie Sabatu? - zapytał Danaus, gdy wreszcie przestaliśmy się zaśmiewać. W jego głosie nie było surowego oskarżycielskiego tonu, ani nawet cienia zarzutu. Nieomal słyszała się w tym zdaniu inne, niewypowiedziane pytanie:” I co teraz zrobimy?”

- Sabat zawarł pewnie jakiś układ. Sądzę, że to powód, dla którego naturi tak łatwo nas odnajdują - powiedziałam, przysiadając na skraju łóżka.

- Może. Ale jeszcze nas nie załatwili.

- Ostatnim razem Rowe mnie złapał - przypomniałam mu, usiłując usunąć gorycz z tonu mojego głosu, Rowe uprowadził mnie do Stonehenge, abym była świadkiem ofiary towarzyszącej złamaniu pieczęci, i zaproponował przejście na jego stronę. Odrzuciłam tę propozycję i uważałam, że postąpiłam słusznie. A jednak wraz z pojawieniem się naturi w Wielkiej Sali Sabatu zaczęłam w to powątpiewać.

- Za każdym razem, kiedy atakują, jesteśmy coraz bliżej tego, by powstrzymać Rowe'a

- odparł Danaus.

- Ale nieustannie nas zaskakuje.

- Już nie. - Danaus stanął przede mną, wobec czego musiałam usiąść prosto, żeby móc na niego spojrzeć. - Teraz wiemy, że naturi zależy na tobie. Możemy ich wypatrywać. Nawet jeżeli zawarli jakiś układ z Sabatem, to jest ich tam niewielu. Jesteśmy tu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej.

Miałam na końcu języka argument, że czeka nas stawienie się przed Sabatem. Wcale nie byliśmy bezpieczni. Po prostu wisiał nad nami inny rodzaj zagrożenia.

Danaus ukląkł przede mną, obejmując jedną z wielkich, mocnych dłoni mój szczupły nadgarstek.

- Nie dopuszczę, żeby Rowe cię tknął. Już więcej ciebie nie porwie. Ten naturi nie może cię pojmać - przyrzekł, co sprowadziło na moje usta drżący uśmiech. Wcześniej, w *brudnym* londyńskim zaułku, pokryty krwią naturi i odłamkami szkła, złożył mi podobną obietnicę. Mogłam wyczuć jego wzburzenie, kiedy trzymał mnie za przegub dłoni. Obwiniął

się za to, co przydarzyło mi się w Warowni. Czuł się zły i zawstydzony tym, że nie dotrzymał

danego słowa. Ja jednak nie miałam do niego pretensji. Nikt wówczas nie zdołałby powstrzymać Rowe'a.

Wolną dłonią ujęłam jego twarz, pocierając kciukiem mocną kość policzkową. Ból i frustracja Danausa uderzyły mnie, osłabiając uśmiech, do którego się zmuszałam. Jakim cudem doszło do tego wszystkiego? Chroniliśmy się teraz wzajemnie przed zagrożeniami, które wyzierały ze wszystkich stron, podczas gdy oficjalnie powinniśmy próbować się nawzajem zgładzić.

- Danausie, nie oczekuję od ciebie, że dotrzymasz takiej obietnicy. Musiałbyś strzec mnie przez cały czas. Poza tym to krok w naszych relacjach, na który jeszcze nie jestem gotowa - zażartowałam, starając się ulżyć mu trochę, zrzucić ciężar przygniatający jego pierś.

Ku mojemu zdumieniu, Danaus się nie poruszył. Na ogół, kiedy z niego podkpiwałam, warczał i odchodził urażony. Teraz jednak tylko uściśnął mój nadgarstek i nieznacznie pokręcił głową, ustami muskając przelotnie wnętrze mojej dłoni.

- Dotrzymam słowa. Naturi cię nie dopadną.

- Dziękuję - powiedziałam cicho, opuszczając rękę na kolano. Dotychczas nikt nigdy nie poprzysiągł tak otwarcie, że będzie mnie chronić. Inni występowali w mojej obronie, ale miałam poczucie, jakbym była czyjąś własnością, której należy strzec, a nie żywą istotą.

Danaus wstał i odstepił o krok.

- Powinniśmy się zbierać - powiedział i wyciągnął rękę, aby pomóc mi się podnieść.

- Czy uważasz, że inne rasy wiedzą o tym układzie? - spytałam, wsuwając chłodną rękę w jego ciepłą dłoń. W takim kontekście pojawienie się czarownicy i wilkołaka z przedstawicielem Przymierza Światła Dnia nabierało zupełnie nowego, przerażającego znaczenia.

- Miejmy nadzieję, że nie - odpowiedział, stawiając mnie na nogi. - Mogę toczyć tylko jedną wojnę naraz.

I mogłam już zgadnąć, po której stronie by się opowiedział, gdyby inne rasy wszczęły wojnę z nocnymi wędrowcami.

Rozdział 6

Kiedy weszłam z Danausem do saloniku, zastaliśmy tam Roberta, opartego o ścianę przy drzwiach, z dłońmi wsuniętymi w kieszenie spodni. Ubrany w nowy czarny garnitur, wyglądał jak beztrocki

włoski playboy, mający przed sobą wieczór pełen ryzykownych przyjemności. Ciemnoczerwona koszula, którą miał na sobie, była rozpięta pod szyją, a ciemne włosy zaczesał gładko do tyłu. Roberto liczył sobie kilka stuleci; jeśli chodzi o wiek, bliżej mu było do mnie niż do Tristana, niemniej daleko jeszcze do Starszych. Sporadycznie stykałam się z takimi pacholkami Sabatu. Gdy cierpliwość mnie zawodziła, podpalałam ich.

Polecenia przyjmowałam zawsze bezpośrednio od Jabariego i czasem od Tabora.

Tristan stał z nijakim wyrazem twarzy za siedzącą Sadirą. Wciągnął na siebie granatową koszulę, której jeszcze nie zdążył pozapinać. Wszyscy czekali na mnie. Jak to miło z ich strony.

- Starsi cię oczekują - powiedział Roberto.

- A co z Tristanem? - zapytałam go, powstrzymując nocnego wędrowca, który skierował się ku drzwiom. Roberto odwrócił się, omiótł wzrokiem młodego wampira a ponury uśmiešek pojawił się na jego czerwonych ustach.

- On może zostać. Nie był zaproszony na dwór. Przeniosłam spojrzenie z Roberta na Tristana, który obserwował mnie z rozpaczą w oczach. Czy nie narażałam go na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Sabat spełnił moją prośbę, a przecież zgromadzenie to nigdy nie okazywało szczodrobliwości bez jakiegoś konkretnego powodu. Tristan miał tu pozostać, bez ochrony, wystawiony na napaść pierwszego lepszego nocnego wędrowcu, który czaił się w tym mieście. Oczywiście, groziłoby mu równie wiele, gdyby podążył z nami. Jednak pewnie ktoś się bał, że mogę zakłócić zaplanowaną na dzisiejszą noc rozrywkę, gdybym znalazła się w pobliżu, więc przezornie o mnie zadbano. Skoro przyszło mi stanąć przed Sabatem, nie mogłam równocześnie strzec Tristana w hotelu.

Przeklinałam siebie i własną głupotę. Usiłowałam wymanewrować Sabat w próbie ochrony młodego nocnego wędrowca, lecz wpakowałam się w jeszcze większe bagno.

Tristan nie przeżyłby pobytu na dworze Sabatu, ale wątpiłam także, czy przetrwa ten wieczór pozostawiony sam w hotelowym pokoju.

Chociaż nigdy oficjalnie nie wchodziłam w skład personelu dworu, byłam świadkiem, do czego ta instytucja jest zdolna, uczestnicząc w jej gierkach i jako ofiara, i jako myśliwy.

Nocni wędrowcy to wytrzymałe stworzenia, które są w stanie przetrwać nieskończone godziny fizycznych tortur. Ale nie chodziło wyłącznie o fizyczny ból, gdy wampir leżał

skulony w kałuży własnej krwi, wypowiadając nieskończoną litanie prośb i błagając o miłosierdzie lub śmierć. Dręczono taką ofiarę, póki jej umysł nie rozpadł się jak stłuczony witraż i nic z niego nie pozostawało. Odzierano ją z poczucia jaźni i pozbawiono kontaktu z rzeczywistością.

Rzuciłam okiem na Sadirę. Wstała i podeszła do nas, podczas gdy Tristan stał przy opuszczonym przez nią fotelu, zaciskając kurczowo dłoń na oparciu tego mebla jak na ostatniej desce ratunku.

- No, powiedz to - warknęłam na Sadirę. Mój wzrok podążył za nią, gdy minęła mnie i stanęła koło

podwójnych drzwi.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała, ale nie popatrzyła mi w oczy ani nawet nie zerknęła na Tristana.

- Powiedz! Zrób to, czego nigdy nie zrobiłaś dla mnie - wrzasnęłam, wskazując młodego nocnego wędrowca. Ale ona na niego nie spojrzała. I nie przemówiła. Lekko uniosła podbródek i wbiła wzrok w ścianę.

Wbrew woli znowu popatrzyłam na Tristana. Nadal miałam w pamięci jego zapach, kiedy leżał ze mną w łóżku, tę słodką mieszankę woni wrzosu i krwi. Czułam dotyk jego gładkiej skóry, a wspomnienie tego, jak wtulał się we mnie ubiegłej nocy, przepełniało moje myśli.

Wciąż powtarzałam sobie, że to tylko figurant, którego rola to dostarczanie rozrywki, ale słowa te wywoływały posmak goryczy. Kilka nocy wcześniej udał się ze mną do lasu, gdzie zaatakowaliśmy naturę. Walczył u mego boku, choć przeciwnik przeważał liczebnie i groziła nam straszliwa śmierć z rąk naszych wrogów. Pozostał przy mnie, bo wierzył, że dotrzymam danego słowa i uchronię go przed naszą stwórczynią. Pokładał wiarę w moje poczucie honoru.

Wściekłość szalała w moich żyłach, wypierając krew. Nienawidziłam go.

Nienawidziłam siebie. Nienawidziłam losu, który sprowadził nas na krawędź przepaści. Nie mogłam już wykręcić się od złożonej obietnicy ani też żyć dłużej w zgodzie ze sobą, nawet gdybym próbowała.

Ignorując Sadirę i resztę obecnych w pokoju, podeszłam do Tristana. Brutalnie złapałam go za włosy i pociągnęłam ku sobie.

- Nie! - Rozpaczliwy krzyk Sadiry rozległ się echem w cichym pokoju. Nagle zdała sobie sprawę, do czego zmierzam.

Zdażyłam puścić Tristana, zanim rzuciła się na mnie, przygważdżając do ściany, uderzeniem zamroczywszy przy tym Tristana, tak że zniknął mi z pola widzenia. Usiłowałam ją od siebie odepchnąć, ale wbiła paznokcie w moje obnażone ramiona, a ja nie mogłam mocno jej chwycić.

- On nie może być twój - rzuciła.

- Chcesz go oddać na pastwę dworu - odparłam, W końcu przytrzymując ją za chude ramiona.

- Na noc rozrywek.

- Oni go zabiją! - wrzasnęłam, odpychając ją. Natychmiast znów natarła na mnie, ale uderzyłam ją na odlew w głowę, tak że przewróciła się na podłogę.

- Nie możesz być tego pewna.

- Ale jestem. I ty także. *Tristan to moje dziecko.* To zdanie rozległo się jak zdradziecki podszept w

moim mózgu, sprawiając, że drgnęłam, zupełnie jak gdyby Sadira mnie uderzyła.

Tak jak ty, moja Miro. On nie może być twój.

- Roszczę sobie do niego prawa - rzuciłam, zwijając dłonie w pięści, gdy próbowałam oczyścić swoją wolę z jej wpływu. Każde włókno mojego jestestwa domagało się posłuszeństwa wobec Sadiry. Wszystko we mnie żądało, bym rzuciła się na kolana i podpełzła do niej z wyciągniętymi ramionami. Ale nie mogłam tego zrobić. Złożyłam przecież obietnicę Tristanowi.

Ku własnemu zdumieniu zdołałam wyciągnąć rękę w stronę Tristana, przywołując go do siebie. Sadira potrafiła manipulować moimi myślami i emocjami, lecz nie dorównywała siłą Jabariemu. Nie mogła zapanować nade mną w sensie fizycznym, jak nad swoją marionetką.

Ponownie brutalnie złapałam Tristana za włosy i przyciągnęłam do siebie. Sadira jeszcze agresywniej wniknęła mentalnie do mojego mózgu, wywołując naprawdę koszmarny ból. Łzy spływały mi po policzkach spod zaciśniętych powiek. Nie zważając na ból zadawany Tristanowi, wbiłam kły w jego gardło i napiłam się jego krwi. Wystarczyło kilka łyków. I ta krew oczyściła mój mózg z obecności Sadiry.

W trakcie tych kilku sekund wchłonęłam do umysłu całe dzieje Tristana oraz jego emocje. W jednej chwili ujrzałam dom jego dzieciństwa w Genewie, piękną twarz jego zmarłej żony, nadzieje, jakie oboje pokładali w młodo zmarłej córce, a także przerażające pasmo wydarzeń, które składało się na lata spędzone z Sadira.

Odrywając usta od jego szyi, obaliłam go przed sobą na kulana.

- Teraz należysz do mnie. Jesteś mój dopóty, dopóki nic zechcę cię oswobodzić -

powiedziałam drżącym głosem, wpatrując się w jego szeroko otwarte niebieskie oczy.

Puściłam go i zwróciłam w stronę innych, którzy pilnie mi się przypatrywali, po czym skupiłam uwagę na Robercie. - On jest mój - oznajmiłam. Te trzy słowa przez kilka sekund wisiały w pokoju niczym pętla kata, jakby oczekująca na tego, kto poważy mi się sprzeciwić.

- Dowiem się, gdy ktoś go tknie. Jeśli ktoś wyrządzi mu krzywdę, będzie miał do czynienia ze mną.

- Ale Starsi już obiecali... - zaczął Roberto, lecz nie pozwoliłam mu dokończyć zdania.

- Nikt go nie tknie - ostrzegłam, obniżając głos do cichego pomruku. - Powtórz to innym.

Roberto sztywno skinął głową, choć jego złość przeniknęła przez pokój. Sabat mógł

przyznawać prawa do zabawiania się z Tristanem, ale każdy, kto zbliży się do tego młodego nocnego wędrowcy, narażał się teraz na mój gniew. Roberto musiał zatem przemyśleć, czy Sabat ochroni go przede mną, i najwyraźniej nie był tego pewny.

Mój wzrok powędrował w stronę Danausa, który patrzył na mnie ponuro spod ściągniętych brwi.

Wyczuwałam jego niesmak, wywołany tym, co właśnie uczyniłam. Jego zdaniem wzięłam sobie niewolnika. A przecież nic nie usprawiedliwiała pozbawiania wolności osobistej innej obdarzonej uczuciami istoty. Jednak czasem należało zrobić coś okropnego, aby ochronić kogoś słabszego. Jeśli nam się poszczęści, to Tristan pożyje trochę dłużej, choćby o kilka godzin.

Niestety, wiązało się to z tym, w co przyrzekłam sobie nigdy się nie zaangażować -

powołałam do istnienia swoją rodzinę. Tristan należał do mnie, dopóki rościłam sobie do niego prawa. Miałam nim kierować i go strzec. Na swoim terytorium w Savannah byłam strażniczką, dbając o utrzymanie pokojowych relacji oraz naszego sekretu. Żaden z tamtejszych wampirów nie należał formalnie do mnie, a ich codzienne postęпки nie były zależne od moich kaprysów i pragnień. Knox i Amanda działali jako moja asysta, wolno im było jednak w każdej chwili opuścić Savannah i rozpocząć życie na własną rękę. A Tristan nie. I teraz nie mogłam już wyjechać stąd bez Tristana.

Złość kipiała w mojej piersi, choć nawet jeszcze nie opuściłam stosunkowo bezpiecznej kryjówki, jaką stanowił nasz hotelowy apartament. Nie zapowiadało się na to, że sprawy potoczą się w dobrym kierunku. Ale przynajmniej Tristan był odrobinę bezpieczniejszy niż jeszcze kilka minut temu. Dokonałam poważnego wyłomu; odebrałam Sadirze żywą zabawkę i to na jej oczach. To się zdarzało od czasu do czasu wśród nocnych wędrowców, ale jeszcze nigdy dotąd dziecko wampira nie skradło innego nocnego wędrowcy swojej stwórczyni. Rzuciło to zły cień na reputację Sadiry. Jeśli chciała w ogóle zachować twarz, to na pewno postara się powalczyć ze mną o Tristana.

W owej chwili ochoczo skorzystałam z okazji utarcia jej nosa. Miała już na koncie mnóstwo ciemnych sprawek, a poza tym zamierzała rzucić Tristana na pastwę nocnych wędrowców, którzy kręcili się wokół Sabatu. Tak samo postąpiła ze mną przed wielu laty i tylko moja siła i zdolność panowania nad ogniem uchroniły mnie wtedy przed śmiercią.

Tristan pewnie nie dożyłby świtu, gdybym nie zainterweniowała. Jego życie wciąż znajdowało się w niebezpieczeństwie, jednak teraz mógł o nie przynajmniej walczyć.

- Idziemy - powiedziałam, gniewnie zerkając na Sadirę, kiedy przechodziłam koło miejsca, gdzie nadal pólleżała na podłodze, a potem wyszłam z pokoju. Nienawiść płonęła w jej oczach, palce zagięta jak szpony. Nie wątpiłam, że później przyjdzie nam dokończyć tę rozmowę, ale na razie miałam inne troski na głowie. Bez słowa zeszliśmy do oczekującej łodzi motorowej, a Tristan pozostał sam w hotelowym pokoju.

Wokół nas ludzie tłoczyli się w kanałach, przecinając na łodziach wody laguny, spiesząc na wieczór pełen rozrywek lub powracając do domów po długim dniu pracy. Ciepła letnia bryza pieściła moją skórę, trzymając mnie w swoich objęciach. Powietrze było przepełnione słoną wonią Adriatyku. Przed nami wyłoniła się wyspa San Clemente, a wielki tamtejszy hotel zdawał się podrygiwać, gdy łódź kołysała się na wodzie, przecinając fale, podniesione przez przepływające w pobliżu większe kutry i jachty. Przepłynięcie laguny i dotarcie do wyspy zajęło niespełna piętnaście minut. Był to zarazem najdłuższy i najkrótszy kwadrans w moim życiu.

Gdy wstałam, by zejść na brzeg, spojrzałam na Danausa, który przez cały ten rejs siedział koło mnie. Zerknął na moje plecy, a potem popatrzył mi w twarz. Nie odzywając się, ułożył usta tak, jakby

chciał powiedzieć „kopnij mnie”, na co niepewnie się uśmiechnęłam.

Rzeczywiście, miałam ochotę komuś przyłożyć, ale dobrze przynajmniej, że w owej okropnej chwili był ze mną Danaus.

- Przypuszczam, że znasz drogę - powiedział Roberto, wykrzywiając usta z niesmakiem. Było to cokolwiek zabawne. O ile wczoraj okazał się szarmancki, o tyle dziś wydawał się snobistyczny i krytykancki. Najwyraźniej popsułam mu zaplanowaną na tę noc zabawę. Dobra, niech poinformuje o tym swoich zwierzchników. Sama zachowałam dla nich kilka ostrych słów.

- Znam. Baw się dobrze - zadrwiłam i pomachałam mu, schodząc na przystań. Roberto nie odpowiedział, tylko wrzucił wsteczny bieg i odpłynął. Niemalże zrobiło mi się żal jego następnej ofiary.

Marszcząc czoło, zesłam z nadbrzeża i pierwsza ruszyłam ścieżką wiodącą koło hotelu w głąb wyspy. Nawet gdybym nigdy dotąd nie była na dworze Sabatu, to i tak zdołałabym tam trafić. Moc pulsowała z głębi tej wysepki, na której im dalej się szło, tym więcej nocnych wędrowców można było napotkać.

Szłam pierwsza po wiodącej w dół ścieżce, Danaus kroczył za mną, za moim lewym ramieniem, a Sadira stąpała z prawej strony. Napięcie niemalże rozsadzało mi ciało. Drobne włoski na ramionach i karku nagle stanęły dęba, kiedy wyczułam, że jeden z nocnych wędrowców odłączył się od niewidocznej zgrai i ruszył w naszym kierunku. Nie mogłam go dostrzec, ale go wyczuwałam.

- Zachowaj spokój - powiedziałam półgłosem do Danausa, ale, jak sędzę, chciałam uspokoić się sama. Żołądek skręcał się w nerwowym oczekiwaniu jak wąż, zwinięty w ciasną pętlę. Skupiłam się bez reszty na konfrontacji ze Starszymi. Nie spodziewałam się tak długiej drogi na piechotę do ich głównej siedziby. Wcześniej, ilekroć przebywałam na tej wyspie, odkąd porzuciłam Sadirę, znajdowałam się pod opiekuńczym skrzydłem Jabariego, wolna od problemów z hordą sługusów i dworaków, kręcących się przy różnych Starszych.

Zatrzymałam się, kiedy wspomniany nocny wędrowiec wszedł w łunę pobliskiej latarni. Był to Valerio. Przed bardzo wieloma laty odbyliśmy wspólną podróż. Choć starszy ode mnie, nie zaliczał się jeszcze do Starszych. Jednak niewiele już mu brakowało, by znaleźć się w tym gronie. Na tyle mało dzieliło go od przekroczenia tysiącletniego progu, że poczułam się dość nieswojo.

- Opuściłeś Wiedeń z mojego powodu? - zapytałam tonem celowo beztroskim i pogodnym. - Jestem zaszczycona. - Wsunęłam dłonie w tylne kieszenie spodni, gdy Valerio stanął na skraju światła.

Uklonił mi się wdzięcznie, rozchylając ręce na boki. Musiał to być umówiony znak, gdyż poczułam, jak zbliża się kilkoro innych nocnych wędrowców, którzy jednak pozostali w cieniu drzew, porastających wyspę i tworzących mały lasek.

- Czasami składam wizyty na tym dworze w celach rozrywkowych - powiedział, poruszywszy nieznacznie prawym barkiem. - Kiedy usłyszałem, że masz się zjawić, pomyślałem, że wpadnę tu i pogadamy o dawnych czasach.

Valerio był przystojnym wampirem, o szatynowych włosach z pasemkami koloru blond oraz pięknych ciemnobrązowych oczach. Miał w sobie coś z gwiazdora filmowego o marzycielskim wyglądzie. Przypominał bardziej romantyka, który nie znajduje zrozumienia u innych, niż budzącego grozę złoczyńcę. Jego przodkowie wywodzili się z Hiszpanii i Włoch.

- Bardzo zmyślnie! - zaśmiałam się. Staralam się z całych sił wyglądać na rozluźnioną, choć nie było to łatwe wśród tak wielu wrogo usposobionych nocnych wędrowców, którzy się ku mnie zbliżali. Napięcie ogarniało całe moje ciało, napinając mięśnie na karku.

- Ale podobno popsulaś nam zabawę, przewidzianą na tę noc.

- Widzę, że Roberto okazał się na tyle uprzejmy, by rozgłosić tę przykrą wieść. - A więc znów poczta pantoflowa wampirów dała o sobie znać. Telepatia między osobnikami mojej rasy miała swoje dobre i złe strony. Tym razem mogło to zadziałać na moją korzyść, choć nieszczególnie na to liczyłam. - Zgadza się, Tristan został wycofany z dzisiejszego menu. Jest zbyt młody, żeby budzić jakiegokolwiek zainteresowanie tutejszej grupy.

Na szczęście dla nas ten młodzik nie miał stanowić głównego dania - rozległ się w mroku mrukliwy kobiecy głos. Krągła brunetka wyłoniła się z ciemności po mojej lewej stronie. Wampirzyca mierzająca zaledwie nieco ponad metr pięćdziesiąt była atrakcyjnym stworzeniem odzianym w zwiewną spódnicę w subtelny, kwiecisty wzorek i jasnoróżową koszulkę bez rękawów. Chociaż nigdy dotąd nie zostałyśmy sobie formalnie przedstawione, wiedziałam, że ma na imię Gwen. Nie była szczególnie miła. Mogłam się domyślać, kto miał

stanowić to główne danie; domyślał się również Danaus, ponieważ cały wyraźnie się spiął, kiedy ona zaczęła się zbliżać.

- Wróciła do nas słynna Mira - zadrwiła Gwen. - Ta, która nie tylko potrafi zapanować nad ogniem, ale i poskromić łowcę.

Pospiesznie rzuciłam okiem na Danausa, który nie spuszczał wzroku z wampirzycy.

„Poskromić” - sama raczej nie użyłabym takiego określenia, ale nie było czasu spierać się o znaczenie słów. Nie miałam wątpliwości, że Danaus wyrazi swoją opinię na ten temat, jeśli tylko przeżyjemy.

- Nie mogę się doczekać, żeby go spróbować - podjęła Gwen. Wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy Danausa, lecz błyskawicznie schwyciłam ją za przegub dłoni i odepchnęłam o kilka kroków. Jej oczy zabłysły wściekłością, jednak powstrzymała się przed syknięciem.

Gwen była służebnicą Elizabeth i od dawna przywykła do stawiania na swoim. Byłyśmy w zbliżonym wieku, ale ona odrodziła się jako figurantka, co dawało mi pewną przewagę.

Oczywiście, bezpośrednia konfrontacja z nią oznaczałaby konflikt z Elizabeth, a ja starałam się nie pomnażać swoich nieprzyjaciół wśród Starszych Sabatu.

Wokół nas wyłaniało się coraz więcej nocnych wędrowców. Opierali się teraz o drzewa po obu

stronach deptaka lub stali na trawie. Pospiesznie naliczyłam szesnastkę wampirów w różnym wieku; nadzwyczaj liczne grono jak na typowy komitet powitalny.

- On jest mój - powiedziałam cichym głosem i nie jestem pewna, czy wszyscy mnie dosłyszeli.

- Stajesz się pazerna, Miro. Najpierw Tristan, a teraz ten łowca - stwierdziła Gwen, robiąc znowu kilka powolnych, ostrożnych kroków w moim kierunku. - Zbyt długo cię tu nie było. Zapomniałaś, gdzie twoje miejsce. Obiecano nam, że posmakujemy tego łowcę.

- Nie podzielę się z nikim. - W moim cichym głosie czaiło się tyle wyzywającej groźby, że Gwen ponownie się zatrzymała.

- Zrobisz to, jeśli Sabat ci rozkaże - odparła z przebiegłym uśmiechem. Była w sumie dosyć atrakcyjna, ale jej usta wzbudzały we mnie przykre odczucia. Wielkie, bezkształtne, jak wielka szrama na jej obliczu. A ilekroć się odzywała, ta paskudna rana się otwierała, szpecąc ładną twarz.

- Ostrzegam cię - powiedziałam cicho, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech. -

Tknij jego albo Tristana, a porachuję się z tobą. Nie znajdziesz schronienia pod spódnicą swojej pani.

Upiorny błysk pojawił się znowu w jej piwnych oczach, a kły błysnęły na moment w blasku latarni.

- Nie ośmielisz się.

W jej minie czaiło się wahanie, niepewność, ale nie chciała dać za wygraną na oczach wszystkich.

- Czyżby?

Opuściłam ręce i otworzyłam dłonie. Z ziemi wyłoniły się dwa tuziny języków jaskrawopomarańczowego ognia. Zatańczyły wokół nas przez moment, by następnie rozprzestrzenić się po gruncie na wszystkie strony, odpędzając nocnych wędrowców. Ogniste węże nie dogoniły żadnego z nich i ugasiłam płomienie, gdy nocni wędrowcy znaleźli się w przyzwoitej odległości. Tylko Valerio nie uciekł daleko. Wskoczył na pobliską latarnię, chwytając się jedną ręką jej szczytu i oplatając nogami słup. Furia wykrzywiła mu ładną twarz, a światło latarni odbijało się w jego oczach.

- Nie wolno ci posługiwać się tutaj ogniem! - wrzasnął. Ogniste języki skupiły się powoli wokoło latarnianego słupa, czekając, aż ofiara spadnie. Wysunęłam prawą nogę tak, by tylko czubek buta dotykał podłoża. Wężowy płomień natychmiast zmienił kierunek i powrócił do mnie. Wpełzł mi po nodze i zatańczył wokół mojej talii, zanim zniknął.

- Zostaliśmy zdradzeni. Wszelkie reguły przestały się liczyć - odpowiedziałam twardym, zimnym głosem.

- Owszem, to jest zdrada - powiedział, wbijając mroczne spojrzenie w Danausa. Jego słowa mną wstrząsnęły. Wiedziałam, że wyglądało to tak, jakbym zdradziła swoją rasę dla kogoś, kto polował

na nas od stuleci. Mogłam mu wyjaśnić, że Danaus ochronił Sadirę, Tristana, a nawet Jabariego w Anglii, ale uczyniłabym to na próżno. Te stwory wierzyły tylko w czyny. Słowa stanowiły dla nich jedynie gładkie kłamstwa.

Kiedy nadejdzie taki dzień, gdy będziecie musieli opowiedzieć się po czyjejś stronie, zadajcie sobie pytanie, kto zechce was bronić - zawołałam w odpowiedzi, przyciągając znowu ponure spojrzenie Valeria. Tej nocy przyrzekłam chronić przed Sabatem nie tylko innego wampira, ale także człowieka. A zapewnianie ochrony przed Sabatem to sprawa w najlepszym razie niestała; sytuacja mogła ulec zmianie wraz z każdym kolejnym zachodem słońca.

Wprawdzie Valerio mi nie przebaczył, ale przynajmniej dałam mu do myślenia. Dobrze i to na początek.

Pozostałą drogę do siedziby Sabatu przebyliśmy bez przeszkód. Co wcale nie znaczy, że odstąpiła od nas liczna grupa mocno rozzłoszczonych nocnych wędrowców. Jednakże chwilowo zadowolili się tym, że to Starsi najpierw nade mną popracują.

Rozdział 7

Wielka Sala Sabatu znajdowała się w pobliżu przeciwległego skraju wyspy, patrząc z miejsca, gdzie przybiliśmy do brzegu, jednak wciąż dość daleko od wody, więc każdy, kto trafił na tę wyspę, musiał przejść co najmniej kilkadziesiąt metrów, zanim dotarł do głównego wejścia. Wielki, trójkondygnacyjny budynek, wzniesiony z ciemnoszarego kamienia, przypominał stary fort ze względu na podłużne, wąskie okna, w których odbijało się blade światło księżyca. Gmach ten wznosił się w głębi wysepki jak zimny, niemy strażnik, który nie mógł odejść na wieczny spoczynek. Do budowli nie wiodły żadne światła i nie było niczego, co przyciągałoby ciekawskich, jeżeli już ktoś zdecydował się niespiesznie pospacerować po wyspie.

Gdy wchodziliśmy po głównych schodach, dwóch bardzo muskularnych mężczyzn otworzyło masywne drzwi z drewna i stali. W środku wielkiego gmazyska byli i inni ludzie, służący i podwładni. A kiedy zachodziła nagła potrzeba, można się było szybko posilić ludzką krwią. Było to znacznie lepsze rozwiązanie od pospiesznej przekąski w pobliskim hotelu, gdy zbliżał się świt.

Dwóch odzwiernych ledwie rzuciło na mnie okiem, kiedy ich mijałam i przeszłam przez długi, przyciemniony hol ku następnym drzwiom. Ciężkie dudnienie rozległo się echem w tym miejscu, gdy zamknęły się frontowe odrzwia, a dźwięk ten odbijał się od ścian i uderzał jak młot o wysokie sklepienie. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, ale się nie odezwałam, tłumiąc dawne wspomnienia, które próbowały wypełznąć na powierzchnię umysłu. Zacisnąwszy pięści, zmusiłam się do zrobienia kroku przez próg, wiodący do głównej sali tronowej. Nie pozwoliłam sobie dla pokrzepienia serca zerknąć do tyłu, na Danausa, choć pragnęłam tego. Szłam naprzód, nie odrywając wzroku od tria, zasiadającego na podwyższonym podium na drugim końcu sali.

Chłodne, chropowate kamienie, z których było zbudowane wejście, ustąpiły miejsca szokującemu przepychowi głównej sali. Lśniaca czarna marmurowa posadzka błyszczała w blasku świec niczym jezioro ciekłej nocy. Bardzo wysokie sklepienie wydawało się zanikać w mroku, gdyż światło świec nie mogło przeniknąć atramentowej ciemności ponad nami. Sabat znalazł sposób na uwięzienie nocy,

lecz wciąż poszukiwał metody powstrzymania upływu czasu.

W tym pomieszczeniu nie było okien, co w razie konieczności czyniło z niego bezpieczną kryjówkę przed promieniami świtu, a główna komnata sypialna znajdowała się kilka metrów pod ziemią. Ściany obwieszane były wspaniałymi malowidłami, gobelinami i flagami - kolekcją dzieł sztuki niemal tak starą jak sama cywilizacja. Z sufitu zwisały żyrandole ze złota i kryształu, obsadzone świecami rzucającymi migotliwy blask. Miejsce to, choć piękne, było także zimne i ciche. Panowała w nim atmosfera zarówno eleganckiej sali balowej, jak i zakurzonego mauzoleum.

Na skraju sali trzy schodki prowadziły na platformę, na której stały cztery krzesła kunsztownie rzeźbione i ozdobione złotymi liśćmi. W środku zasiadali Jabari i Macaire, natomiast Elizabeth zajmowała krzesło po lewej. To z prawej strony Jabariego pozostawało puste. Niegdyś należało do Tabora.. Ów wakat wydawał się jeszcze bardziej złowieszczy teraz, kiedy wkroczyłam tu wraz z łowcą nocnych wędrowców. Choć nikt z Sabatu tego oficjalnie nie potwierdził, niektórzy uważali, że Tabor zginął z ręki Danausa, natomiast zdaniem innych zabił go któryś ze Starszych; ktoś, kto nie chciał się ujawniać, by nie ściągnąć na siebie gniewu Jabariego. Zaczęłam się zastanawiać, czy owego zabójstwa nie dokonali naturi. Czyż był lepszy sposób na wykazanie, że nie potrafimy chronić pieczęci od rozbicia triady, która tę pieczęć stworzyła? A jednak teraz, wobec obecności naturi w tej głównej sali, w moim umyśle narodziła się jeszcze bardziej mroczna hipoteza.

Za rzędem czterech krzeseł znajdowały się kolejne trzy schody i następne, mniejsze podwyższenie. Na tym podium stał tylko jeden fotel, wykonany z kutego żelaza i wyłożony czerwoną, aksamitną poduszką. Miejsce to zajmował Nasz Władca. Również ten tron stał

pusty. Wpatrywałam się w to miejsce przez kilka sekund, nim znowu przeniosłam wzrok na Starszych. Jeszcze nie miałam okazji poznać się osobiście z Naszym Władcą i, choć nie nastrajał mnie zbyt optymistycznie fakt, że obecnie go tu nie było, odczuwałam też zadowolenie, że nie spotykam się z nim po raz pierwszy w takich właśnie okolicznościach.

Doszłam do środka sali, zatrzymałam się i skłoniłam głowę przed Sabatem. Był to ukłon grzeczny, ale nie do końca wiernopoddańczy. Stąpałam, by tak rzec, po kruchym lodzie.

Jabari był na mnie poważnie rozzłoszczony, skoro wpadł na pomysł stworzenia mojego następcy, a nigdy dotąd nie siliłam się na przesadną grzeczność wobec Macaire'a i Elizabeth, więc nie mogłam oczekiwać od nich zbytnej pomocy. Mój cel sprowadzał się do ocalenia własnej głowy w trakcie pierwszych pięciu minut tego posłuchania oraz próby zachowania przy życiu osób z mojego otoczenia. Danaus mądrze zatrzymał się o krok za moim lewym ramieniem i nie poruszał się. Właściwie nie byłam nawet pewna, czy nadal oddycha. Skoro jednak nie wysforował się przede mną, nabrałam pewności, że gotów jest postępować zgodnie z moimi wskazaniem, uczestnicząc w tym ryzykownym korowodzie. Przynajmniej na razie.

Z kolei Sadira przystanęła obok mnie, po prawej stronie. Wyrażała tym samym gotowość do trwania przy mnie, jednak wybrała takie miejsce, by wziąć nogi za pas, jeśli sprawy przybiorą bardzo zły obrót.

Macaire rozparł się na krześle i wysunął lewą nogę. Spojrzał kolejno na nas wszystkich, zanim

zaczepnął powietrza, aby przemówić:

- *Benvenuto*, Sadiro. Minęło dużo czasu od twojego ostatniego pobytu w Wenecji.

Jego włoski język był płynny i bezbłędny, zupełnie jakby Macaire tu się wychował.

- *Grazie* - odparła cicho, kłaniając się trojgu na podwyższeniu. - Rzadko opuszczam mój dom, ale zawsze miło jest popatrzeć na uroki Wenecji. - Pomimo silnego niepokoju, jaki wyczuwałam, gdy bił od niej małymi falami, ton jej głosu był jak zawsze spokojny, jak gdyby nic nie mogło wytrącić jej z równowagi.

Myślałam, że udławię się ze śmiechu, ale trzymałam buzię zamkniętą na kłódkę, zachowując kamienne oblicze.

- Proszę, podejdź i usiądź koło nas. Zdaje się, że mamy sobie dużo do opowiedzenia. -

Siwowłosa Starszy wskazał jej niedbałym ruchem prawej dłoni miejsce na schodach przed sobą.

Macaire nie był przywódcą Starszych, nie był nawet najpotężniejszy z tej trójcy.

Zawsze przewodził im Jabari. Jednak Macaire uwielbiał igrać ze swoimi ofiarami. Lubił

zabawiać się ich myślami, krusząc ducha przed zniszczeniem ich ciał. Taką samą cechę prezentowała Sadira, u także wielu innych nocnych wędrowców.

- Jestem zaszczycona, ale wolałabym pozostać u boku mojej córki - powiedziała, zadzierając lekko podbródek. Zaskoczona uniosłam brew i spojrzałam na nią, zanim się opamiętałam. Macaire oferował Sadirze łatwe dla niej wyjście, niezwykle szczerze dając jej okazję do ocalenia własnej skóry. Kolejnej takiej szansy miała nie dostać.

- Tak... - zasyczał. Wzrok Macaire'a przesunął się ku mnie; spojrzał na mnie zwężonymi oczami. - Miro. Minęło dużo czasu.

- Nie tak znowu dużo od ostatniego zadania w Nepalu - powiedziałam z miłym uśmiechem. Była to drobna aluzja, przyjacielskie przypomnienie, że w przeszłości wypełniałam życzenia Sabatu. Jeden z pacholków Sabatu zlecił mi kilka lat wcześniej likwidację wampira, który powodował problemy w niewielkiej nepalskiej wiosce. Wampir ten pozostawił po sobie zbyt wiele zwłok. Wzbudzał niezdrową sensację, a środki masowego przekazu zaczęły interesować się sprawą. Zlikwidowałam tego nocnego wędrowca, a liczne przypadki zgonów w tamtej odległej okolicy uznano w końcu za skutek rzadkiej epidemii. Po wykonaniu tej roboty zatrzymałam się w Wenecji, by grzecznie złożyć raport, zanim powróciłam do domu. W owym czasie tylko Elizabeth przebywała na tej wysepce.

- Tak. Cóż, wygląda na to, że ostatnio byłaś bardzo zajęta w Anglii. - Otworzyłam usta, by mu zaprzeczyć, postąpiłam krok naprzód, ale Macaire uciszył mnie gestem dłoni. -

Jabari opowiedział nam, jak w pobliżu Londynu zaatakowała cię horda naturi. - Macaire pokręcił głową, opierając łokcie na podpórkach ozdobnego krzesła. Splótł palce na wysokości brzucha i

obserwował mnie przez chwilę, jak gdyby się namyślał. - Jesteśmy wdzięczni, że ocaliłaś życie Sadirze i naszemu Jabariemu. Ich śmierć stanowiłaby niepowetowaną stratę. -

Urwał na pół sekundy i wydało mi się, że dostrzegłam coś w jego oczach, lecz szybko podjął rozmowę. - Jednak wydaje się, że twój mały popis spowodował pewne problemy, z którymi należy się uporać.

- Jakie problemy? - Drgnęłam, czując, jak napinają mi się mięśnie na karku. W jakież to nowe koszmarne historie miałam się wpakować? Zrobiłam mały krok do przodu, żałując, że nie mogę lepiej ukryć za swoimi plecami Danausa i Sadiry, którym nie zapewniałam dostatecznej ochrony.

- Niech wyjaśni to nasz gość - powiedział Macaire zdawkowo.

Równocześnie otworzyły się drzwi na lewo od podwyższenia i weszła przez nie jakaś kobieta. Była to czarnoskóra Amerykanka, o gęstych czarnych włosach, które opadały jej na ramiona, i dużych, uroczych, piwnych oczach. Przeszła przez salę z naturalną lekkością i z uwodzicielską gracją, która z pewnością musiała silnie oddziaływać na mężczyzn. Miałam już okazję się o tym przekonać. Kobieta ta nazywała się Alexandra Brooks i była wilkołakiem.

Znałam ją od prawie pięciu lat, choć wątpiłam, czy Sabat był tego świadom. W trakcie długich wieków wilkołaki i nocni wędrowcy nauczyli się wzajemnej tolerancji. Sporadycznie obie te rasy sprzymierzały się ze sobą dla wspólnej korzyści i dla zabawy, ale takie sojusze nigdy nie trwały długo.

Pewnego razu urządziliśmy zawody. Był to pomysł Valeria. Porwaliśmy jakiegoś poetę i zmusili go do rozstrzygnięcia, która z ras jest powabniejsza: wampiry czy wilkołaki.

Biedak znalazł się między młotem a kowadłem, ale my mieliśmy niezły ubaw. Po ponad dwóch tygodniach zmysłowej uczt z garstką wampiryzm i wybranymi wilkołaczycami poczynił interesujące spostrzeżenia. Jego zdaniem wampiryzm bywają wyjątkowo seksowne, kiedy stoją bez ruchu, przybierając zastygłą pozę bladej, smukłej piękności jak Wenus z Milo.

Z kolei kobiety wilkołaki wydawały się roztaczać seksualny powab, gdy się poruszały. Ich energia rozpalala się wtedy i wypełniała pomieszczenie, przenikając przebywające tam osoby; było to niezwykle połączenie czegoś zwierzęcego i ludzkiego.

Ku mojemu zdumieniu poeta ten odzyskał wolność po wydaniu takiego wyroku. Obie strony wydawały się zadowolone z wystawionej przez niego oceny, a Valerio tymczasem zainteresował się już czymś innym. Dowiedziałam się potem, że ów poeta popełnił

samobójstwo kilka miesięcy po wydostaniu się z naszych rąk.

Za Alexandrą wkroczył teraz żywy ideał męskiej urody. Mierzył znacznie ponad metr osiemdziesiąt i wyglądał tak, jakby składał się wyłącznie z mięśni i twardego granitu. To nieznane mi dziecko słońca miało gęste blond włosy i brązową skórę. Rysy jego twarzy były miękkie; miał pełne usta i niewielki dołeczek na mocno zarysowanym podbródku. On także okazał się wilkołakiem. Poruszał

się zbyt płynnie jak na człowieka i roztaczał woń natury. Nie był to taki sam aromat jak ten wyczuwalny, gdy naturi znajdowali się w pobliżu, lecz raczej wyraźnie leśny zapach z piżmową, męską nutą.

W innych okolicznościach chętnie poświęciłabym czas na zapoznanie się z tym wilkołakiem. Niestety, napawało mnie troską głównie to, by Alexandra nie zdradziła się słowem na temat łączącej nas przyjaźni.

Uśmiechnęłam się do niej chłodno, odsłaniając nieco kły.

- Nigdy nie sądziłam, że dożyję dnia, kiedy Sabat wpuści do tej sali pozostające na wolności włochate kundle.

Alexandra stanęła jak wryta i gniewnie spojrzała na mnie, ale nie powiedziała słowa.

Ona i męski wilkołak znaleźli się we dwoje na dworze nocnych wędrowców. Jako emisariuszka oczekiwała od Starszych ochrony, ale nie oznaczało to jeszcze, że dwór nie będzie z niej kpił, by sprowokować ją do ataku. A gdyby zaatakowała, to każdy nocny wędrowiec miał pełne prawo się przed nią bronić.

Podeszłam do niej i zaczęłam zataczać wokół niej coraz ciaśniejsze kręgi. Stukot moich obcasów o marmurową posadzkę był teraz jedynym dźwiękiem w wielkiej sali.

Blondyn zeszywniał, kiedy wśliznęłam się między niego a Alexandrę, ale się nie poruszył i nie zaczął nawet szybciej oddychać.

- Powiedz mi, Alexandro, czy nadal jesteś Omegą, czy też jakiś Beta w końcu zlitował się nad tobą i uczynił z ciebie swoją sukę?

Alexandra warknęła cicho na mnie, dusząc ten odgłos w gardle, i dostrzegłam przez sekundę subtelną zmianę w wyrazie jej oczu. Jej piwne tęczęwki nabrały odcienia płynnej miedzi, gdy tkwiąca w niej wilczyca usiłowała zapanować nad falą gniewu. Na szczęście dla niej i dla mnie opanowała się w porę. Wolała nie ryzykować w tym miejscu zmiany skóry na wilczą - było to zbyt niebezpieczne z tyłoma wampirami wokół; wtedy nie przeżyłaby tej nocy. Oczywiście, wypowiadając tę uwagę, prowokowałam ją, aby skoczyła mi do gardła.

Sfory wilkołaków dzieliła się na trzy kategorie. Byli osobnicy Alfa, płci męskiej i żeńskiej -

przywódcy sfory. Większość pozostałych zaliczała się do klasy Beta. Ale nie brakło i Omeg, snujących się na obrzeżach sfory, nie tyle akceptowanych, ile ledwie tolerowanych. Wolno im było rzucać się na resztki ofiar, kiedy pozostali już się najedli, i generalnie odgrywali rolę chłopców do bicia. Kimś mniej znaczącym od Omegi był już tylko trup.

- *Arresto*, Miro - rzekł Macaire łagodnie, machając dłonią. W jego głosie nie było upomnienia, tylko nuta znudzenia, a może i cień rozbawienia. - Wygląda na to, że już się poznałaś z panną Brooks - podjął, przez wzgląd na Alexandrę przechodząc na angielski.

- Węszyła na moim terytorium parę lat temu. Przepędziłam ją wtedy -

odpowiedziałam, odwracając się od [Alexandry i](#) podchodząc znowu do Danausa i Sadiry.

- Pięknie - powiedział z fałszywym uśmiechem. - To jednak nie ma teraz znaczenia.

Ona przybyła z wieścią od wilkołaków z Anglii.

- Zdaje się, że narobiłaś niezłego bigosu, Krzesicielko Ognia - przemówiła Alexandra, uśmiechając się do mnie od ucha do ucha. Tym razem to ona mnie podeszła i miałam wrażenie, że wypadnie na tym spotkaniu dużo lepiej ode mnie. - Na całym południowym zachodzie Wielkiej Brytanii ludzie odnajdują kupki popiołu, a obok nich takie przedmioty jak noże, miecze, szczątki odzieży. Są na tyle bystrzy, by się połapać, że to prochy żywych stworzeń. Zadają bardzo krępujące pytania i z trudem udaje nam się utrzymać to wszystko pod kloszem.

- Zaangażujmy naszą prasę w tym kraju - przekonywałam, zerkając na Macaire'a. -

Zacznijmy podsuwać brukowym gazetom historie o kosmitach albo wybuchach na słońcu w nocy.

Wsunęłam palce dłoni do przednich kieszeni spodni i starałam się przybrać obojętną pozę, choć było to czyste aktorstwo. Takiego obrotu wypadków nie oczekiwałam.

Kiedy Danaus i ja użyliśmy naszych mocy do zniszczenia naturi, nie ograniczyliśmy się do tych stworzeń, które wtargnęły do Warowni Temidy. Zniszczyliśmy naturi oddalonych o kilka kilometrów we wszystkich kierunkach. Byłam rada, że udało mi się ich zlikwidować, a samej zachować życie. Nie pomyślałam o tym, na co mogą natknąć się ludzie. Tak bardzo skupiłam się na naturi i na powstrzymaniu ich przed złamaniem pieczęci, że umknęła mi uwagi sprawa chronienia naszej tajemnicy. Zresztą, do licha, jaki to miało sens? Skoro naturi wydostali się na wolność, mieliśmy większe zmartwienia od przejmowania się kilkoma osobami, które odkryły, że nocni wędrowcy naprawdę istnieją.

- Niektórzy czarownicy już przystąpili do działania i opisali te przypadki w Internecie.

Twierdzą, że spopielone szczątki należą do naturi, którzy zginęli w toczącej się obecnie wojnie z wampirami.

- I to ma nas niepokoić? Czy nie zdajecie sobie sprawy, jak niedorzecznie to brzmi? -

spytałam niedowierzająco, przeszywając ostrym wzrokiem Alexandrę. Była to prawda, ale w prawdę już nikt nie wierzył. - Większość ludzi nie wie, kim są naturi. Nigdy o nich nie słyszeli.

- Twoje nieopanowanie zakłóciło nasze plany - rzuciła z irytacją Alexandra, celując we mnie szczupłym długim palcem i energicznie postępując o parę kroków do przodu. Jednak szybko się zatrzymała, gdy uświadomiła sobie, że takie nagłe ruchy mogą zostać uznane za akt agresji. - Wielkie Przebudzenie ma nastąpić nie prędzej niż za pięćdziesiąt lat.

- A co z Rowe'em? Nie uważacie, że i on storpedował nasze wspaniałe plany? -

odparłam, raptownie przenosząc spojrzenie na Starszych. Nie miałam pojęcia, ile wilkołaki wiedzą o obecnym zagrożeniu ze strony naturi, które nasilało się z każdą kolejną nocą, ale już mnie to nie obchodziło. Nie zamierzałam tkwić samotnie w krzyżowym ogniu krytyki.

Nadszedł czas, by podbić stawkę.

- To już zostało rozważone, Miro - powiedziała Elizabeth spokojnym, spokojnym głosem. W ten sposób dawała mi do zrozumienia, że bym się przymknęła. Pojęłam tę aluzję.

- Dziękujemy za cenną informację, panno Brooks - powiedział Macaire. - Nie będzie już potrzeby wzywać panią na kolejną rozmowę.

Alexandra skłoniła się nieznacznie trzem Starszym, i potem wyszła z sali, nie patrząc na mnie. Milczący blondyn podążył tuż za nią, ale poczułam na sobie spojrzenie jego ciemnych oczu, nim zniknął w bocznych drzwiach.

Odczekałam, aż drzwi po lewej się zamkną, zanim ponownie otworzyłam usta. Pora zrzucić rękawiczki i zająć się brudnymi sprawkami. Celowo skonfrontowano mnie z kimś, kogo Sabat uważał za osobę mniej ważną, i to w kwestii niesłuchanie trywialnej w danej sytuacji, jeśli porównać to z innymi problemami oraz widmem zdrady we własnym gronie.

Miałam już tego dość.

- Czy możemy już wprowadzić następnego gościa? - zapytałam ostro, robiąc kilka kolejnych kroków do przodu, aby wzrok członków Sabatu skupił się całkowicie na mnie.

Wysunęłam ręce z kieszeni i zwiesiłam je swobodnie po bokach, ale byłam gotowa na odparcie niespodziewanego ataku.

- Następnego gościa? - powtórzył Macaire, przekrzywiając głowę. Było to ładnie odegrane, ale niezbyt przekonująco. Pozostali dwoje spośród Starszych nie poruszyli się, nawet nie mrugnęli powieką, słysząc to pytanie. W rzeczywistości Jabariemu nie drgnął żaden mięsień, odkąd weszłam do tej sali. Wciąż mieliśmy do rozstrzygnięcia inne sprawy, które znalazły się na wokandzie Sabatu.

- Chodzi mi o naturi - podsunęłam tonem, który zmroziłby wody laguny. Macaire uśmiechnął się do mnie w typowy dla siebie, protekcyjny sposób, i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz wtrąciłam ostro. - Nie obrażajcie mnie! Zeszłej nocy, niespełna godzinę przed świtem, spała tu naturi. Przywołajcie ją.

Zaskoczony Macaire mrugnął raz, a potem zerknął na Elizabeth, która patrzyła na mnie z zaciekawieniem. Starszy zwrócił swoje zimne spojrzenie w moją stronę, a wyrachowany wyraz jego oblicza zmroził mi szpik w kościach.

- *Impressionate* - powiedział powoli, przechodząc znów na włoski. Tym razem jednak dawny akcent rozbrzmiał w tym słowie, zanim Macaire zdołał się opanować. Coś z jego prawdziwej osobowości wyszło spod przybranej maski, gdy on sam pogrążył się w myślach. -

Zastanawialiśmy się, co ty i ten łowca robiliście na lagunie tuż przed świtem. Wiedzieliśmy, że on potrafi wyczuć naturi, ale nie sądziliśmy, że będzie w stanie przeniknąć przez naszą sieć zaklęć.

- On sam tego nie potrafi, ale razem umiemy to zrobić - sprostowałam. Brwi Macaire'a uniosły się nieco na te słowa i nawet Jabari na nie zareagował. Właściwie poruszył tylko kącikiem ust, ale to już było coś.

- *Molto impressionate*. Nadzwyczaj imponujące. To wyjaśnia, jak zdołaliście spopielić tych naturi, którzy znajdowali się tak daleko od miejsca waszego pobytu. Sądziłem, że potrafisz spalić tylko te istoty, które widzisz - powiedział Macaire. Palce jego prawej ręki poruszały się niespokojnie na oparciu krzesła, na którym siedział teraz trochę bardziej wyprostowany.

- Cóż, to i dla mnie coś bardzo nowego, gdy uwzględnić, że wymazano mi wspomnienia - zakpiłam. Zwinęłam dłonie w pięści i było to najlepsze, co mogłam zrobić, by nie podpalić gobelinów, wiszących wokół mnie na ścianach. - Myślałam, że Sabat będzie dobrze wiedział, na co mnie stać, skoro poświęcił prawie stulecie na eksperymentowanie ze mną. - Moje słowa ociekały sarkazmem lak zjadliwym, że bałam się, iż zaraz przeżre on marmurową posadzkę.

- To była dziedzina Jabariego - powiedział Macaire, lekceważąco machając ręką, lecz tym razem gest ten wydał nie nieco sztuczny i znów coś dziwnego błysnęło w jego oczach.

Między Macaire'em a Jabarim zawsze panowało pewne napięcie. I chociaż nigdy otwarcie się nawzajem nie zaatakowali, bez wahania wykorzystywali przeciwko sobie różnych swoich pomagierów i stronników. Gotowa byłam się założyć, że albo Macaire nie potrafił mnie kontrolować, albo też nie dano mu okazji, by tego spróbował.

I znów drzwi po lewej się otworzyły, co ucięło rozmowę. Do sali wkroczyła naturi płci żeńskiej. Miała na sobie prostą, niewyszukaną sukienkę, a jej długie włosy były zaplecione w warkocz. Istniało pięć klanów naturi - ziemi, wiatru, wody, światła oraz klan zwierzęcy. Ta naturi była zbyt szczupła i wiotka, by należeć do klanu zwierzęcego, wyróżniającego się na ogół ciemną, śniadą cerą i mocnymi mięśniami. Członek klanu wodnego nie mógł

egzystować z daleka od wody, z kolei zabarwienie przybyłej naturi różniło się znacznie od tego, jakie widywałam u przedstawicieli klanu ziemi, o skórze i włosach tak różnokolorowych jak kwiecisty ogród w lecie. Tak więc ona mogła zaliczać się tylko do klanu wiatru lub światła. W drugim z tych przypadków miałabym problemy, gdyby teraz mnie zaatakowała, gdyż mogła się posłużyć ogniem równie łatwo jak ja. Jednak nie potrafiłam sobie wyobrazić, by Sabat dopuścił między siebie członkinię klanu światła. Naturalnie, nigdy wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, że ujrzę naturi, wkraczającą swobodnie do Wielkiej Sali.

Z rękami złożonymi przed sobą niczym zakonnica idąca na modły, weszła spokojnie do pomieszczenia. Wpatrując się w Starszych, skłoniła się im, zupełnie nie zwracając przy tym uwagi na naszą trójkę.

- Co ona tu robi? - spytałam, a każde z tych słów z trudem przechodziło mi przez gardło i usta. Całe moje ciało napięło się z wściekłości. Wcześniej uważałam, że zareagowałam źle, widząc Sadirę po

raz pierwszy od pięciu wieków. Tym razem było jednak nieskończenie gorzej. Widok tej smukłej istoty o ostrych rysach twarzy natychmiast wzbudził

we mnie pragnienie rozerwania jej na strzępy gołymi rękami. Chciałam słyszeć jej krzyki i błaganie o darowania życia. A potem zmusić ją, aby błagała mnie o śmierć.

Upiorne wspomnienia mojego dwutygodniowego pobytu w niewoli przed stuleciami w Machu Picchu spadły na mnie z całą ostrością i wyrazistością. Przypomniałam sobie głód i ból, które tak opanowały moje zmysły, że nie było od nich ucieczki. Naturi pojмали mnie i torturowali, chcąc złamać mnie psychicznie. Chcieli, abym użyła swoich mocy do zniszczenia własnej rasy. A gdy teraz wpatrywałam się w tę naturi, blizny na moich plecach zdawały się płonąć na nowo.

Danaus postąpił o krok naprzód i stanął obok mnie. Prawą dłonią odruchowo sięgnął

po broń, której nie miał przy sobie. Bezsilnie opuścił rękę, zwijając dłoń w pięść.

- Chciałaś ją zobaczyć - powiedział Macaire z rozbawieniem w głosie.

- Co ona robi na tej wyspie? - Mój głos przeleciał między nimi jak pejcz, który trzasnął w powietrzu.

Macaire zeszywniał i przesunął się na skraj krzesła.

- Mamy do ubicia pewien interes - odparł szybko.

- Jedyne, co możemy z nimi zrobić, to całkowicie ich zgładzić!

Zrobiłam parę powolnych kroków w kierunku naturi, zaginając przed sobą palce na kształt szponów. Byłam nieuzbrojona, lecz chętnie zabiłabym ją gołymi rękami. Naturi zwróciła na mnie spojrzenie zatrwożonych oczu i, potykając się, cofnęła o dwa kroki, zbliżając się do podestu i do Starszych.

- Macaire! - krzyknęła cichym, drżącym głosem.

- Dostyc, Miro! - wrzasnął Macaire, zrywając się na równe nogi. - Ona znajduje się pod protekcją Sabatu.

Na te słowa stanęłam jak wryta. Moje ciało stężało, jak gdyby umysł nagle przestał

nad nim panować i jakby utraciło ono umiejętność posługiwania się kończynami.

Niesłuchanie powoli odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na Starszych.

- Co takiego? - Słowa te ledwie mi się przedarły przez ściśniętą krtani.

- Przestań - rozkazał Macaire.

Zignorowałam go i zwróciłam oczy ku twarzy Jabariemu, który siedział i wpatrywał

się we mnie.

- Ty to powiedz - warknęłam cicho, głosem surowym i szorstkim.

Jabari powstał z krzesła, trzymając głowę wysoko.

- Ona znajduje się pod ochroną Sabatu - powiedział głośno i dobitnie. Jego słowa zadudniły w mojej piersi, aż w końcu sprawiłam, że rozpadły się na milion ostrych odłamków.

Oplótnęłam ramionami, omal nie zgięłam się wpół z przerażenia.

- Jak mogliście tak nas zdradzić? - jęknęłam. - Oni zabili setki przedstawicieli naszej rasy.

- To samo można powiedzieć o człowieku, który stoi obok ciebie - odrzekł Jabari.

Zimny uśmiech zagościł na jego szerokich ustach, naciągając ciemną skórę i uwidaczniając mocne kości policzkowe. Wyciągnęłam w tył rękę, nieświadomie próbując schować łowcę za siebie, tak jakbym mogła w ten sposób skuteczniej ochronić go przed Sabatem.

- Torturowali mnie przez dwa tygodnie w nadziei użycia mnie jako broni. - Cisnęłam w niego tymi słowami, chociaż jakaś część mnie wiedziała, że nikogo z nich nie obchodzi ból, jaki zniosłam, aby ochronić własną rasę. Mordowali nocnych wędrowców na moim terytorium.

- Poszukując ciebie - wtrąciła chłodno Elizabeth.

- Zabili Thorne'a w Londynie - powiedziałam, ale mój głos utracił nieco mocy i zjadliwości. Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- Starając się dotrzeć do ciebie - powtórzyła Elizabeth. Jej urocza twarz nie wyrażała emocji, ale niebieskie oczy zdawały się iskrzyć i migotać w blasku świec. - Zaatakowali nawet naszego Jabariego oraz Sadirę, próbując cię dopaść.

- Czasy się zmieniły, Miro - skostatował Macaire, ściągając spojrzenie moich szeroko otwartych oczu na swoje sędziwe oblicze. - Wydaje się, że naturi nie mieliby nic do nocnych wędrowców, gdyby nie ty.

- Naturi się nie zmieniają. Nigdy - rzuciłam, wyprostowując się. Nie zwałą tego na mnie, pomyślałam. Ale nawet tej gorzkiej refleksji zdawało się towarzyszyć bolesne skamlenie. To nie ja byłam powodem, dla którego tak wielu nocnych wędrowców zostało zamordowanych. Nie z mojej przyczyny naturi polowali i zabijali zarówno ludzi, jak i wampiry. Ta wojna rozpoczęła się na długo, zanim się odrodziłam, i byłam pewna, że potrwa jeszcze przez długi okres po tym, jak moje kości obrócą się w proch. Nie będę kozłem ofiarnym Sabatu.

- Niestety, na razie nie możemy pozbyć się Miry - obwieścił Jabari znużonym głosem, jak gdyby niechętnie dodawał mi winy.

To przebrało miarę. Nie myślałam już jasno, odczuwając tylko straszliwą wściekłość.

Sabat chronił naszego największego wroga i groził mi śmiercią, kiedy ja uczyniłam wszystko co w mojej mocy, by ustrzec naszą rasę przed naturą.

Rozchyliwszy ramiona na boki, zaczęłam koncentrować wielką energię. Nie do końca świadomie skupiłam w sobie olbrzymie fale mocy, czerpiąc energię ze wszystkich żywych stworzeń w okolicy. Czułam, jak napływa ona ku mnie nie tylko z San Clemente, ale i z całej Wenecji. Równocześnie ponure obrazy poszarpanych szczątków Michaela i Thorne'a stłoczyły się w moim mózgu, dopadły mnie wspomnienia koszmarnych nocy w niewoli u Neriana, zagrażając przytłoczeniem mnie i zepchnięciem z obranej drogi. Należało zniszczyć Sabat. Nie liczyło się, że zasiadali w nim Starsi, ani nawet to, czy byłam w stanie do tego doprowadzić.

Ponad głową świece w żyrandolu rozbłysły jaśniej, budząc cienie, przyczajone w odległych kątach sali. Chwiały się w przód i w tył, wylaniając się spod krzeseł na podwyższeniu i pełznąć po zimnych kamiennych ścianach. Flagi i gobeliny poruszyły się i zafalowały, jakby powiew świeżego wiatru wnikał przez otwarte okno.

Nie możesz mnie zniszczyć, kwiecie pustyni. Mroczny głos Jabariego rozległ się szeptem w moim mózgu, grożąc rozproszeniem koncentracji. *Jeśli tego spróbujesz, musisz zabić ich oboje. Zniszcz Sabat, Miro. Zgładź ich oboje.*

Ta komenda brzmiała nieco głośniejsz niż słaby szept w mojej głowie, pełnej setek fragmentarycznych myśli oraz bolesnych wspomnień. Usiłowałam w owej chwili rozważyć sens tego rozkazu. Tego właśnie chciałam, lecz musiałam się zastanowić, czy rzeczywiście pragnę tego samego co Jabari, po wszystkich jego kłamstwach, zdradach i manipulacjach. Nie mogłam jednak pozwolić sobie na wahanie.

Zanim ta myśl ukształtowała się ostatecznie w mojej głowie, powstrzymała mnie ostatnia osoba na świecie, którą bym o to podejrzewała. Danaus podszedł do mnie od tyłu i objął mnie mocnymi ramionami, przytrzymując moje ręce.

- Nie! - wrzasnęłam, a mój chropawy głos odbił się echem od wysokich kamiennych ścian. Czułam już ogarniającą mnie jego moc, która usiłowała opleść mnie niczym kokon i przesaczyć się pod skórę. Odebrał mi swobodę wyboru. Jabari nie mógł już mnie do niczego przymusić. To było jak testowanie tego, do czego jestem zdolna.

- Spokojnie - szepnął Danaus i jego gorące tchnienie owiało mi ucho. Posłyszałam także to słowo, powtarzające się w moim mózgu jak natrętna myśl, kojące we mnie wściekłość, gaszące ogień. Danaus próbował wykorzystać moc naszego połączenia w odwrotny sposób. Zamiast polecić mi czerpać siły i niszczyć, posłużył się własną mocą do powściągnięcia i uspokojenia mnie.

- Nie! - krzyknęłam ponownie, lecz nawet mój głos zaczął słabnąć. Moc, którą przywołałam, sączyła się z mego ciała, ulatując w powietrze. Nie byłam pewna, czy Danaus może mnie dosłyszeć, niemniej usiłowałam precyzyjnie skierować swoje myśli do jego mózgu. *Pomóż mi, Danausie. Razem możemy ich zgnieść, tak jak pokonaliśmy naturę. Wspólnie możemy ich zniszczyć.*

Odpowiedzią na to było jednak tylko milczenie. Nadal czułam go w swoim mózgu, a jego wola

osłabiała moją moc.

- Zdradzili nas, zdradzili moją rasę - zakwiliłam zatonie, czując jak resztki duszy rozpadają się na ostre szklani odłamki.

- Jak śmiesz mówić coś podobnego, stojąc w objęciach łowcy wampirów! - wzburzył

się Jabari, tracąc spokój. Teraz już wiedziałam jednak, że to tylko gra z jego strony po tym, jak próbował nakłonić mnie do zgładzenia pozostałych członków Sabatu.

- On uratował cię w Anglii! - zawołałam, wbijając wzrok w jego wykrzywioną grymasem twarz. - Ochronił ciebie i Sadirę, kiedy zaatakowali naturi. Ocalił cię.

- I ratuje nas nawet teraz - oznajmiła Elizabeth, wdzięcznie podnosząc się z krzesła.

Na jej bladym obliczu w kształcie serca malował się wyraz szczerego zaskoczenia. -

Słuchajcie, ona próbowała nas wszystkich pozabijać, lecz on ją powstrzymał. - Jej głos brzmiał nieziemsko, przypominając na poły zapomniany sen, snujący się po mózgu.

Cała trójka Starszych stała teraz i wpatrywała się w nas, trochę zdumiona, a trochę zmieszana. Wydarzyło się coś dziwnego i każdy z osobna przemyślał, co mogło z tego wyniknąć. Oto słynny łowca wampirów, który pozabijał niezliczonych nocnych wędrowców, najwyraźniej ocalił życie członków Sabatu. Takie rzeczy nie zdarzają się co dzień.

- Odeślijcie stąd tę naturi - warknął Danaus, wciąż opasując mnie ramionami.

Macaire nie był zachwycony tym poleceniem, ale dostrzegł jego roztropność.

Najwidoczniej nie umiałam nad sobą zapanować, kiedy ta naturi była w pobliżu. Starszy kiwnął głową, a przerażona naturi wybiegła z sali, trzaskając za sobą drzwiami. Gdy wyszła, Danaus mnie puścił. Pozbawił mnie wszystkich sił, więc upadłam na posadzkę, opierając się na niej rękami i kolanami. Wściekle, bez słowa spojrzałam na członków Sabatu.

Nienawidziłam ich. Nie wolno zadawać się z naturi. Nie można z nimi rozmawiać. Nie zawiera się z nimi układów. Zabija się ich. Jabari i Elizabeth powrócili na swoje miejsca pogrążeni w myślach, lecz Macaire stał nadal, nie spuszczać przenikliwego wzroku z mojej twarzy. Mogłam niemal usłyszeć obracające się zimne, stalowe tryby jego umysłu, badającego wszelkie aspekty tego, co się wydarzyło.

- Wystarczy na dziś - obwieścił nagle, a w jego głosie dało się słyszeć znużenie. -

Możecie odejść. Porozmawiamy jeszcze jutro.

- A co z pieczęcią? I z triadą? - zawołałam, ze złością uderzając otwartą dłońią o marmurową posadzkę. Nic nie zostało omówione, a on ogłaszał koniec posiedzenia na tę noc.

- Mamy dużo do przemyślenia - powiedział Macaire, powracając na miejsce. - Jutro porozmawiamy znowu.

I ponownie o mało nie wszczęłam kłótni. Najwyraźniej straciłam rozsądek w chwili, gdy naturi weszła do tej sali. Ktoś mądry pozbiierałby się z podłogi i wyszedł, zadowolony z tego, że nadal żyje. Jednak mnie opuściło szczęście. W chwili, gdy chciałam się odezwać, usłyszałam w swojej głowie głos Macaire'a. *Porozmawiamy jeszcze później.* Zrozumiałam.

Macaire chciał spotkać się ze mną na osobności. Niechże tak się stanie. Na nowo zaczynały się intrygi.

Rozdział 8

Danaus usiłował pomóc mi się podnieść z kolan, ale wyszarpnęłam się z jego objęć i niezbyt sprawnie stanęłam na nogach. Byłam wściekła na niego i na Sabat. Czy Danaus postąpił słusznie? Czy ocalił nam życie, gdyż ja nie potrafiłam okiełznać swojego temperamentu? Czy wyprowadził mnie z sideł intrygi, którą knuł Jabari? Tak, ale mimo to wciąż byłam zła. Noc wcześniej, w łodzi, zanim zgodziłam się na połączenie naszych mocy, pozwoliłam mu się kontrolować. Ale przed kilkoma chwilami to on odebrał mi swobodny wybór i przymusił mnie do czegoś. Mało mnie teraz obchodziło, że uczynił to dla naszego dobra.

Chciałam mu skoczyć do gardła i patrzeć, jak zwija się i wykrwawia u moich stóp.

Byłam wykorzystywana i zniewalana, najpierw przez własne bractwo, a teraz przez wroga.

Czułam się zbrukana. Stałam się kimś jeszcze gorszym od figuranta wśród wampirów. Nie mogłam nawet powalczyć o swój los, musiałam tylko się słuchać.

Co gorsza nie mogłam wyładować złości na Danausie. Sabat i dworacy obserwowali nas niezwykle czujnie. Gdybym teraz napadła na Danausa, każdy z obecnych tutaj mógłby uznać to za sygnał do rozpoczęcia krwawej zabawy, a ja, zbyt osłabiona, nie byłabym w stanie się bronić. Poza tym obiecałam mu, że wydostanę go z Wenecji żywego. Tak więc na razie udawaliśmy zgraną, szczęśliwą rodzinę.

W milczeniu nasza grupka - Danaus, Sadira i ja - wyszła z głównej sali i podążyła przez wyspę na przystań. Inni nocni wędrowcy trzymali się na dystans, ale pilnie obserwowali nasz przemarsz. Nie miałam wątpliwości, że zrobił na nich wrażenie mój pokaz mocy. Byłam pewna, że odczują go stwory tej rasy w całych Włoszech. Nie sposób wywołać fal mocy bez przyciągania uwagi.

- Wyłaż z łodzi - rzuciłam do Roberta, który stał za kołem sterowym. Spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi, ale nic nie powiedział i wyszedł na przystań. Wskoczyliśmy do małej motorowej łódki i wrzuciłam wsteczny bieg. Miałam pewne sprawy do załatwienia i nie chciałam, by śledził mnie jakiś nocny wędrowiec. Sabat powinien dać mi teraz nieco wytchnienia. Dowiedziałam się frapujących rzeczy, jednak to w danej chwili nie mogło mi wiele dać. Nikt nie uwierzyłby mi, że Sabat knuje coś razem z naturi. Zabrzmiałoby to niedorzecznie, zwłaszcza w moich ustach - nocnego wędrowca podróżującego z łowcą wampirów.

- Co się dzieje? - zapytała cicho Sadira, kiedy przepłynęliśmy połowę laguny.

- Tego jeszcze nie wiem - odparłam, nie patrząc na nią. Skierowałam łódź do kanału Guidecca, wymijając o centymetry wodny autobus, który brnął wąskim kanałem, i przy okazji ochlapując niektórych pasażerów. Kierowca zaklął, przekrzykując ryk silnika łodzi. - Ale dowiem się, zanim opuścimy to miasto.

- Tam była naturi, Miro! - powiedziała Sadira, podnosząc głos niemal do pisku. Widok naturi wstrząsnął nią, pozbawiając resztek opanowania. - Jakaś naturi w Wielkiej Sali Sabatu!

- Zauważyłam.

Wyłączyłam silnik, a łódź dopłynęła siłą rozpędu do hotelowej przystani. Popatrzyłam na wielki, elegancki hotel Cipriani. Tristan przechadzał się koło okna, czekając, na nasz powrót. Nikt go nie niepokoił, lecz to nie uśmierzyło jego zdenerwowania. Odkąd wzięłam go pod swoje skrzydła, mogłam wyraźnie czytać w jego myślach, kiedy tylko zechciałam.

Dowiedziałabym się od razu, gdyby jakiś wampir go tknął. Jednakże działało to i w drugą stronę. Tristan także mógł wyczuwać moje troski i niepokoje, tyle że nie był w stanie poznać moich przemyśleń spowitych nieprzeniknionym dla niego całunem.

- Idź na górę i uspokój Tristana - poleciłam, chwytając się koła sterowego. Musiałam się jej chwilowo pozbyć. Musiałam pozbyć się towarzystwa Sadira, oddalić od Sabatu i otrząsnąć z całej tej przekłętej sytuacji, aby jasno wszystko przemyśleć. - Tylko nie krzywdź

go w żaden sposób. Wiesz przecież, że nic z tego nie jest jego winą. To coś między tobą a mną.

- Jakie masz plany co do niego? - zapytała ze swojego siedzenia, głosem twardym jak stal. Po naszej konfrontacji w hotelowym pokoju i wizycie w siedzibie Sabatu ponownie stała się wobec mnie nieufna. W ciągu ostatnich lat, jakie spędziłyśmy razem, Sadira rzucała w moim mózgu nieustanny cień, lękając się moich mocy. Ten strach wyjałowił ją uczuciowo, przyczyniając się do śmierci wielu jej pupilków.

Odwrociłam się na pięcie i zacisnęłam pięści, patrząc na nią z góry. Luźny kosmyk włosów opadł mi na policzek, łaskocząc w szyję.

- Nie mam wobec niego żadnych planów! Nie chcę go. To twój pupil i ty powinnaś była o niego zadbać. Sama wiesz, że oni dziś rozszarpaliby go tam na strzępy.

- Musi się nauczyć troszczyć sam o siebie - powiedziała tonem tak rzeczowym, że aż miałam ochotę jej przyłożyć. - Byłaś młodsza od niego, kiedy sama po raz pierwszy stanęłaś na tym dworze.

- Byłam także dziesięciokrotnie silniejsza od niego, a mimo to ledwie wtedy przeżyłam. - Zrobiłam następny krok w jej stronę, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę dłoni. - Pozostawiłabyś go samego sobie, bo jesteś zbyt tchórzliwa, żeby przeciwstawić się dworowi.

- Jak śmiesz nazywać mnie tchórzliwą po tym, jak stanęłam w twojej obronie przed Starszymi! -

powiedziała, zrywając się na równe nogi. Jej raptowny ruch sprawił, że łódka zakołysała się i zachwiała na wodzie.

- Wytrwałaś przy mnie, ponieważ byłaś przekonana, że cię ochronię. Twoje argumenty zaczynają brzmieć cienko.

Odpowiedziała mi na to uśmiechem, tym swoim typowym rozanielonym uśmieszkiem, spokojnym i wyrażającym niezachwianą pewność siebie.

- Jestem twoją matką, moja Miro. Zawsze będziesz mnie bronić.

- Wynoś się stąd - warknęłam, rozchylając usta i ukazując kły. Nie przestając się uśmiechać, wyskoczyła z łodzi i wdzięcznym krokiem ruszyła z przystani w kierunku hotelu.

Poświęciła Tristana dla ocalenia własnej skóry i wiedziała, że stanę w obronie ich obojga przed Sabatem. Miałam ochotę wrzeszczeć. Nie postępowałam niesłusznie. Należało zachować triadę nietkniętą, co oznaczało konieczność chronienia Sadiry, której pragnęłam rozszarpać gardło. Podejmowanie z nią walki było szaleństwem, ponieważ zwycięstwo oznaczałoby zabicie jej, a na to nie mogłam sobie pozwolić.

Na wstecznym biegu ponownie odbiłam od przystani. Wrzucając z trudem pierwszy bieg, skierowałam się w stronę Wielkiego Kanału. Był to krótki rejs, ale nie miałam nastroju na łapanie wodnej taksówki czy wodnego autokaru. Zawinęłam do brzegu wyspy Dorsoduro, niemalże naprzeciwko placu Świętego Marka.

Danaus zeskoczył na ląd tuż za mną, gdy cumowałam łódź. Prawie zapomniałam o jego obecności, nawykłszy; tak bardzo do ciemnych chmur burzowych nad głową.

Oczywiście, absorbowały mnie też myśli o Sabacie i specjalnym gościu tego zgromadzenia.

- Miro...

- Na razie nie odzywaj się do mnie, ciągle jestem na ciebie zła - rzuciłam, kiedy ruszyliśmy krętymi uliczkami, mijając miejscowych, zmierzających do pobliskich barów i restauracji na kilka drinków i beztroskie rozmowy.

- Nie pozostawiłaś mi wyboru. - Jego głęboki głos uplótł mnie jak para silnych ramion.

- Mogłeś pozwolić mi ich zabić.

- A byłabyś w stanie to zrobić?

Nie odpowiadałam, tylko szłam ulicą, zaciskając zęby. Tego nie wiedziałam. Być może, choć to dość wątpliwe. W ciągu ubiegłych kilku dni działy się rzeczy dziwne i nie byłam już pewna, na co tak naprawdę mnie stać. Naturalnie, oboje najprawdopodobniej mogliśmy ich pozabijać, ale przecież to on się zawahał. Zeszłej nocy, kiedy znaleźliśmy się sami w łodzi, wiedziałam, że Dananus myśli o zgładzeniu wszystkich nocnych wędrowców na tamtej wyspie. Jednak dziś, kiedy stanęliśmy przed

Sabatem, okazała ku temu sama się nadarzyła, a Danaus jej nie wykorzystał.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział Danaus ponuro.

- Nic nie rozumiesz! - wrzasnęłam, odwracając się, by stanąć z nim twarzą w twarz. -

Poświęciłam całe życie temu, żeby się uniezależnić od innych istot: ludzi i wampirów I w końcu przebudziłam się pewnej nocy, aby stwierdzić, że mam na szyi łańcuch, a mnóstwo osób może mną kierować. - Postąpiłam krok do przodu, aż Danaus oparł się plecami o ścianę jednego z budynków na skraju chodnika, i stanęłam na czubkach palców, ażeby móc spojrzeć łowcy prosto w oczy. - Najgorsze, że może to zrobić nawet mój wróg. Stałam się zagrożeniem dla wszystkich na tej planecie. Czy masz w ogóle pojęcie, co ja teraz czuję?

Przez kilka sekund w milczeniu przypatrywaliśmy się sobie. Wyraz jego twarzy był

nieprzenikniony, jednak wyczuwałam zamęt w jego głowie. Wciąż wiązało nas silnie połączenie naszych mocy, do jakiego niedawno doszło. Wyczuwałam w Danausie smutek, ale i coś jeszcze. Nie potrafiłam określić, czy to coś było współczuciem, żalem, czy może nawet politowaniem. Przez sekundę obawiałam się, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż tego chciałam. Danaus wydawał się za wiele rozumieć.

Warknęłam cicho, przepełniona dziwną mieszaniną złości i sfrustrowania, po czym odwróciłam się od niego. Nie wszystko było winą Danausa, bez względu na to, jak bardzo starałam się obarczyć go odpowiedzialnością. Danaus po prostu zawsze się wykręcał.

- Jesteś mi coś winien - mruknęłam, ruszając ulicą.

- Co?

- Jeszcze tego nie ustaliłam. Zgłoszę się po to do ciebie.

- Aż mnie mrowi z niecierpliwości - powiedział głosem tak suchym, że spodziewałam się ujrzeć chmurę pyłu wokół jego ust. Uśmiechnęłam się mimo starań, by nadal się na niego złościć. Zaczynało mnie irytować, że jemu tak łatwo przychodzi wytrącanie mnie z ponurego nastroju. Oczywiście mroczne rozważania stanowiły domenę raczej jego niż moją.

- Coś da się z tym zrobić - odrzekłam rozdrażniona, ale on mnie przejrzał. Skoro mogłam wyczuwać jego emocje, to i on wiedział, że już nie jestem na niego zła. Sfrustrowana i poirytowana, ale już niekoniecznie wkurzona.

Rozdział 9

Zatrzymaliśmy się na małym placu, otoczonym przez zaciszne restauracyjki i ciasne sklepiki. Było to dość osobliwe miejsce. Na ogół nie docierały tu tłumy zwiedzających, nawet w sezonie największego najazdu turystów. Nocą placyk migotał ognikami świec i białymi światełkami lampek. W powietrzu unosił się cierpkawy aromat przypraw i zawiesistych sosów z nutą roztopionego sera. Zapach ów nasuwał mi myśl o skosztowaniu tych potraw.

- Co tu robimy? - zapytał Danaus, gdy stanęliśmy pośrodku placu. Odwrócił się i popatrzył na fontannę na przeciwległym krańcu; wypływająca z niej woda tańczyła w nikłym żółtawym oświetleniu kamiennej obudowy.

- Spotkamy się ze znajomą - odpowiedziałam, kiedy Alexandra, czyli Alex, wyszła z jednego z małych barów. W sposób niemal hipnotyczny kołysała biodrami, zbliżając się do nas, a jej giętkie ciało tańczyło we własnym naturalnym rytmie.

Alex była wilkołakiem. Silna i niezależna, goniła za tym, czego pragnęła najbardziej.

Ceniła sobie życie wilkołaka, a wilkołacze cechy traktowała jako dar, a nie przekleństwo, w odróżnieniu od wielu swoich pobratymców. Ale nawet jeśli nie była wilkołakiem, tylko normalną istotą ludzką, to, jak sądzę, wykorzystałaby swoje wrodzone zalety. Życie dla niej było jak drink, który należało pić, sączyć i zawsze się nim cieszyć.

Wcześniej Alex pomagała mi w ucieczce od siebie i od mojej przeszłości, gdy dopadały mnie zbyt mroczne myśli. W zamian czyniłam wszystko co w mojej mocy, by utrzymać przyjazne stosunki między jej rasą a moją. A nie należało to do najłatwiejszych zadań.

Jej moce otarły się o mnie przelotnie, kiedy teraz omiatała wzrokiem okolicę.

Upewniała się, że nie jesteśmy śledzeni. Ja już to sprawdziłam. Najbliższy z nocnych wędrowców napastował jakiegoś turystę po drugiej stronie kanału przy placu Świętego Marka. Mieliśmy trochę czasu. Poza tym, odkąd wysadziliśmy Sadirę przy Guidecca, skryłam siebie i Danausa za niewidzialną zasłoną. Potrzebowaliśmy nieco prywatności.

Rozchyliłam ramiona, gotowa wylewnie powitać Alex, a ona wymierzyła mi pięścią cios w szczękę, aż głowa odskoczyła mi w bok. Jednym z atutów wilkołaka była szybkość.

Kolejna z zalet to siła fizyczna. Zatoczyłam się do tyłu i wsparłam na Danausie, który cały się sprężył. Widziałam wprawdzie, jak Alex wyprowadza cios na ułamek sekundy przed tym, zanim mnie trafiła, ale, zaskoczona, nie zrobiłam uniku.

- Suka! - rzuciła mi wściekle.

- Co ty wyprawiasz? Jesteśmy tu sami - powiedziałam, odpychając się od Danausa.

Jednak mówiąc to, dojrzałam innego wilkołaka wychodzącego z baru. Jego szerokie bary na krótko przesłoniły złociste światło wylewające się z otwartych drzwi knajpy. Był to albo członek jej sfory, albo też ktoś przydzielony jej jako wsparcie, na wypadek gdyby Alex miała jakieś problemy z moją rasą. Tak czy owak, niezbyt mnie to obchodziło. Tamten należał do jej rasy i z racji tego miał ją chronić.

- Oberwałaś za to, co wtedy powiedziałaś - wyjaśniła Alex, lekko dźgając mnie w ramię wskazującym palcem. W jej zwężonych oczach migotało słabe światło z pobliskiej knajpy, lecz zachowały brązowy odcień. - Ten tekst o Omedze był ciosem poniżej pasa i dobrze o tym wiesz.

Wzruszyłam ramionami.

- Musiałam wypaść przekonująco. Obecnie nie mam najlepszych notowań, a nie chciałam, żebyś odczuła skutki nieprzychylniej reakcji, gdyby tamci uznali, że jesteśmy przyjaciółkami.

- Tak, zawsze potrafiłaś dogadać się z ludźmi - stwierdziła Alex. Jej pełne usta przestały być wąską, zaciętą kreską i pojawił się na nich niepewny uśmieszek. - Kto to taki? -

spytała, kiwając podbródkiem w stronę cienia za mną. Obróciłam się i objęłam ramieniem jej szczupły tułów.

- Alexandro Brooks, to jest Danaus, łowca wampirów - powiedziałam, przedstawiając ich sobie. Wyrwała się z moich objęć, aby na mnie popatrzeć, a jej oczy wybałuszyły się tak, że szykowałam się do ich złapania, gdyby wypadły z orbit.

- Zwariowałaś, dziewczyno? - rzuciła. Zerknęła na Danausa, a potem znowu na mnie.

- Krążyły plotki, ale ja nie dawałam im wiary. Co jest grane?

- Wkrótce ci wyjaśnię - odparłam, nieznacznie kręcąc głową. - A ten twój złotowłosy towarzysz? Członek sfory?

Alex popatrzyła na mnie dziwnie, a jej brwi ściągnęły się ponad kształtnym nosem.

- Myślałam, że wiesz - powiedziała cicho. - On należy do Jabariego.

- Co takiego? - Aż mnie zatkało. - Nie, to niemożliwe. - Warkot wyrażający frustrację zagulgotał przez sekundę w moim gardle, zanim się poruszyłam, ale moje paznokcie nie zdążyły się wbić w wilkołaczą krtani. Danaus szybko oplótł mnie w talii mocnym ramieniem i przytrzymał blisko siebie, powstrzymując przed rozerwaniem gardzieli tamtego faceta na oczach tłumu ludzi.

- Nie tutaj - rzucił Danaus i wzmocnił uścisk tak, że omal zmiażdżył mi żebro.

- On poinformuje Jabariego, że rozmawiałam z Alex. Jabari się dowie... Dowie się, że jesteśmy przyjaciółkami - powiedziałam. Schwyciłam obiema rękami oplatające mnie w talii ramię Danausa, ale choć przestałam się szarpać, nie spuszczałam wzroku z twarzy wilkołaka.

Wpatrywał się we mnie z takim współczuciem i politowaniem, że omal uwierzyłam, iż obchodzi go moja trudna sytuacja.

- Nie rozumiem - wtrąciła Alex, przyciągając moja spojrzenie ku swej zafrasowanej twarzy. - Myślałam, że ty i Jabari... Cóż, nigdy nie robiłaś tajemnicy ze swojego...

- Jabari chce mnie zgładzić - powiedziałam pospiesznie. - Chce zatknąć moją głowę na pice, a moje serce postawić sobie na kominku. - Po wypowiedzeniu tych słów na głos poczułam się nagle bardzo wyczerpana. Moje ciało zeszywniało, jakby było z kamienia, i oparłam się plecami o Danausa, pozwalając, aby wniknęło we mnie jego ciepło, uspokajając mój umysł, Jabari był moim ukochanym

mentorem i przewodnikiem po nocach przez prawie pięć stuleci. Był mi towarzyszem, gdy trawiło mnie poczucie pustki. A teraz oskarżał mnie o zdradę, podczas gdy sam nią cuchnął. Byłam jego marionetką, jego zabawką, jego osobistą asystentką i służebnicą. Wierzyłam, że będzie chronił nocnych wędrowców i uczyni to, co dobre dla naszej rasy.

Jednak pomyliłam się co do niego; myliłam się w wielu sprawach. Niestety, przez moje zaślepienie i niewiedzę ginęli ludzie. To nie mogło trwać dłużej.

- Nie wspomnę Sabatowi nawet słowem o twoim spotkaniu z panną Brooks -

powiedział mężczyzna, a jego dudniący głos, przypominający walenie w bęben gdzieś daleko, wytrącił mnie z narastającego letargu. - Może i należę do wampira, ale zawsze pozostanę lojalny wobec swojej rasy.

- Dziękuję ci...

- Mam na imię Nico - podsunął.

- Nico? - powtórzyłam, marszcząc nos. Na pewno nie wyglądał na żadnego Nico.

Bardziej już na Johna albo Bruce'a. Może nawet na Adonisa i domyślałam się, jak apetycznie musi wyglądać nago, gdy tak stał w bawełnianych luźnych spodniach i ciemnozielonej, zapinanej na guziki koszuli z miękkiego materiału. Rękawy koszuli miał podwinięte powyżej łokci, ukazując silne, opalone przedramiona, porośnięte jasnymi włoskami. Mogłam się założyć, że bez ubrania prezentował się jeszcze lepiej.

- Nikołaj Gromienko - przedstawił się, przeciskając i imię i nazwisko przez zaciśnięte zęby.

- Chyba nie jesteś Rosjaninem? - rzuciłam, równie rozdrażniona.

- Jestem potomkiem Rosjan w czwartym pokoleniu. Nikołaj to imię tradycyjne w naszej rodzinie. Ale urodziłem się w Phoenix. Coś jeszcze mam powiedzieć? Jaki noszę rozmiar butów? Czy wolę bokserki od slipów?

- Nie denerwuj się - zamruczałam, a na moich ustach pojawił się uśmiezek. - Zawsze jest czas, żeby to sprawdzić.

Ta uwaga od razu wymazała złość z przystojnej twarzy Nikołaja, którą rozjaśnił uśmiech zaskoczenia.

Danaus nagle mnie puścił i wyrwało mu się zniesmaczone zachnięcie, natomiast Alexandra się roześmiała. Skupiłam uwagę na osobach, wśród których się znajdowałam, i puściłam oko do starej przyjaciółki. Nie potrafiłam się powstrzymać.

- Boże! Przez chwilę napędziłaś mi strachu - powiedziała Alex i mocno mnie uściskała. - Gdy tak stałaś między tym łowcą a Jabarim, to na serio pomyślałam, że ci odbiło.

- Bo to prawda - mruknął Danaus.

Mój wzrok powędrował od Danausa ku Alexie, która zauważyła, że uśmiech znika mi z twarzy.

- Musimy pogadać - powiedziałam. Zakładając za ucho niesforny kosmyk włosów, omiotłam wzrokiem okolice. Rozmowa zajęłaby trochę czasu, ale warto go było poświęcić. -

Nie zjadłabyś czego? - zapytałam, wpatrując się w restaurację o sympatycznym wyglądzie, z osobnymi stolikami, znajdującą się na skraju placu.

- Wprost umieram z głodu - powiedziała Alex z cichym westchnieniem. Przekrzywiła głowę, patrząc na Danausa, i chwyciła się rękami za biodra. - Czy on wymaga niańczenia, kiedy ty polujesz?

- Ona już jadła - wtrącił Danaus, wprost ziejąc dezaprobatą.

Alex rzuciła mi zdziwione spojrzenie, pytając bez słów: „Co on ma za problem?” Od dawna akceptowała fakt, że pijam ludzką krew, i nie miała mi za złe, że poluję.

Ujęłam ją pod łokieć i poprowadziłam do tamtej restauracji, a Danaus i Nikołaj podążyli tuż za nami. Dałam znak szefowi sali, że zajmiemy jeden ze stolików w ogródku.

Skinął głową, a potem zniknął w środku, by zawołać kogoś z obsługi.

Gdy już się wygodnie usadowiliśmy i zamówiliśmy drinki, rozsiadłam się na krześle i rozejrzałam po cichym placu. Przechodziła tam akurat para kochanków, szepcząc coś do siebie. Trójka dzieciaków ganiała gołębie, przepędzając je z piskliwym śmiechem. Z wnętrza restauracji dobiegały na plac donośne, hałaśliwe rozmowy po włosku. Było tu miło i uroczo normalnie.

- Zacznijmy od czegoś niewyszukanego - zaproponowała Alex, przeglądając menu. -

Czy to twoją obecność wyczułam wcześniej?

- Trochę mnie poniosło - powiedziałam półgłosem, spuszczać wzrok na blat stolika.

To było głupie i nieodpowiedzialne. Teraz, uspokoiwszy się już, mogłam to przyznać.

Postępowałam nieostrożnie i ryzykownie, zupełnie jak wtedy, gdy przekonałam Tristana, żeby pomógł mi zaatakować naturi w Anglii. Przeciwnicy przeważali liczebnie i byli lepiej uzbrojeni. Wiedziałam o tym, kiedy tylko ich spostrzegłam, a mimo to zdecydowałam się działać. W rezultacie ledwie uszłam z życiem, niepotrzebnie wystawiając na niebezpieczeństwo Danausa i Tristana.

A powinnam była nie podejmować głupiego ryzyka i nie narażać życia tych, których przyrzekłam chronić. Poczucie winy i wstydu paliło mnie w brzuchu. Lęk przed naturi przywodził mnie do kolejnych niewłaściwych decyzji i należało wreszcie z tym skończyć. Już straciłam Michaela. Bardzo nie chciałam stracić kogoś następnego spośród moich bliskich z powodu własnej głupoty.

Zaczerpnęłam powietrza, by się uspokoić, i przeniosłam wzrok ze szklanego blatu na Danausa, który

siedział po mojej prawej ręce z ramionami złożonymi na piersi.

- Będziesz jadł?

- Tak - odpowiedział, patrząc na mnie spode łba.

- To zamów sobie coś - powiedziałam, stukając w leżącą przed nim kartę dań palcem wskazującym prawej ręki. - Zamów coś dużego. Zapłacę za to złotą kartą kredytową Sabatu.

- To nie ma znaczenia - skarcił mnie, ale wziął do ręki menu.

- Z przykrością stwierdzam, że teraz czuję się kimś bardzo mało znaczącym -

powiedziałam z teatralnym westchnieniem, przyjmując zrelaksowaną pozę. Alex zachichotała, kręcąc głową, z kartą dań przed nosem. Ciemne włosy omiotły jej ramię, muskając policzek.

Rozmowa zamarła, kiedy Alex, Nikołaj i Danaus przeglądali ofertę restauracyjnej kuchni. Ja zadowolona się obracałam w palcach nóżki kieliszka z czerwonym winem. Po tym, co zdarzyło się z Thorne'em, nawet nie miałam zamiaru tknąć tego trunku. Trawienie czegokolwiek oprócz ludzkiej krwi ostatecznie przestało mnie pociągać. Kiedy ponownie zjawił się kelner, a pozostali złożyli zamówienia, podjęłam rozmowę.

- Jak znalazłaś się na obradach Sabatu? Naraziłaś się jakiejś dużej szyszce? - spytałam prowokująco, zerkając na Alex. Ściągnęła brwi, ale w jej oczach nie dostrzegłam prawdziwej złości.

- Zdaje się, że miałam cholernego pecha - wyznała ze wzruszeniem ramion. - W

zeszłym tygodniu byłam w Londynie w interesach. Kiedy rozeszły się wieści o dziwnych kupkach popiołu, rozdzwoniły się telefony i nadeszło mnóstwo e-maili. Zostałam wysłana do pewnego miasteczka pod Londynem, żeby to sprawdzić. Daję słowo, Miro, że w chwili, kiedy to zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie, choć nigdy nie widziałam, żebyś robiła coś podobnego. Tamte zwłoki były spopielone, ale ziemia wokół nich pozostała zupełnie nietknięta. Niektórzy mówili o czarownikach i o samospaleniach, ale w ich teoriach było zbyt wiele luk.

- Jakoś to wytłumaczą - rzekłam obojętnym tonem. - W ciągu kilku dni wymyślą jakieś bardzo proste wyjaśnienie, które pojawi się we wszystkich agencjach informacyjnych.

Wytłumaczenie to będzie niedoskonałe, ale ludzie je kupią, bo chcą tego. Muszą wszystko racjonalizować.

- Tak sądzisz? - spytała sceptycznie. Spojrzała na swoje krótkie, ale doskonale zadbane paznokcie. - Szkoda, że sama nie mam takiej pewności.

Pokręciłam głową, nie chcąc, by to wszystko tak ją poruszało. Alex emanowała pewnością siebie i siłą wśród swojej sfory, a także w samotności, gdy jednak stykała się z problemami, nad którymi nie miała kontroli, jej pewność i siła więdły jak kwiat pozbawiony wody.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziałam. - Miałaś rację, mówiąc, że to zakłóci ustalone plany. Ostatnio wydarzyło się zbyt wiele rzeczy, a nauka poczyniła takie postępy, że trudno nadal utrzymywać wszystko w ukryciu.

- Do cholery, Miro! - Alex wybuchła nagle, zrzucając maskę spokoju. - Pięćdziesiąt lat to niezła perspektywa. Liczyłam na to, że umrę i zostanę pochowana, zanim dojdzie do Wielkiego Przebudzenia. Tymczasem sprawy przybierają paskudny obrót, a ja nie chcę zostać w to wplątana.

Podparta dłońmi czoło, spinając się cała i zaciskając zęby.

- Będzie wesoło! - Zaśmiałam się, próbując ją rozweselić. - Pomyśl tylko o tych wszystkich zwolennikach, jakich zyskamy. Ludzi niesłychanie pociąga okultyzm.

- A co z Przymierzem Światła Dnia? - zapytała ostro. - I co z nim? - Wycelowwała kciuk w Danausa.

- Nie mówię, że będzie łatwo, ale nie sądzę, żeby było znów aż tak źle.

Przygotowujemy do tego ludzi od kilku stuleci. Obejdzie się bez wielkiego wstrząsu.

- Przygotowujecie? Co to takiego to Wielkie Przebudzenie, o którym mówicie? -

wtrącił się Danaus.

Mój wzrok powędrował w stronę łowcy i już miałam na końcu języka bardzo niegrzeczny komentarz, jednak powstrzymałam się przed wypowiedzeniem go. Marszcząc czoło, przeciągnęłam ręką po włosach, odgarniając je z twarzy.

- Ty nie możesz z nimi pozostać - powiedziałam cicho. Wiedziałam, że pozostali mnie dosłyszają, jednak skierowałam tę uwagę bezpośrednio pod adresem Danausa. - Ryan powinien być cię o tym poinformować już dawno temu.

Nie tylko mnie utrzymywali w niewiedzy ci, którym ufałam i którym musiałam ufać.

Temida w teorii miała być szlachetnym stowarzyszeniem, badającym różne inne rasy, jednak ugrzęzło ono w zadawnionych przekonaniach i starych mitach, oderwanych od rzeczywistości. Co gorsza, na czele tej grupy stał Ryan, potężny czarownik, który nie chciał

otworzyć oczu ludziom ze swojego stadka, nawet kosztem życia nocnych wędrowców i przedstawicieli innych ras.

Danaus nie patrzył na mnie; wpatrywał się błękitnymi oczami w fontannę na skraju placu. Nie miał nic do powiedzenia. Mogłam wyczuć, jak pod niewzruszoną maską obojętności kipi w nim frustracja. W czasie, który spędził ze mną, przekonałam się, i to nieraz, że działa pod wpływem pewnych błędnych założeń, a Ryan - człowiek, który miał mu dostarczać wiarygodnych informacji - nie kiwnął nawet palcem, aby Danaus poznał prawdę.

- Kilka wieków temu różne grupy sprzymierzyły się...

- Jakie grupy? - zapytał Danaus.

- Czarownicy, wiedźmy, nocni wędrowcy, wilkołaki i kilka innych druzyn -

podpowiedziała Alex, wyliczając poszczególne ugrupowania na palcach.

- A naturi?

- Nie! - krzyknęłyśmy równocześnie. Uniosłam dłoń, zanim Alex zdążyła zbesztać go za to co, byłam przekonana, Danaus uważał za sensowne pytanie. Po tym, czego byliśmy świadkami w siedzibie Sabatu, było to naprawdę celne pytanie, chociaż Alex jeszcze o tym nie wiedziała.

- Nie - powtórzyłam spokojnie. - Doszło do spotkania przywódców różnych grup i ustalenia, że ludzkość nie jest aż tak głupia, jak sądziliśmy. Pewnego dnia ludzie uświadomią sobie, że istnieją inne światy. A więc w próbie opanowania tego chaosu wspomniane grupy uzgodniły, że ludzkość powinna poznać tę prawdę na naszych warunkach. Sporządzono plan, z wyznaczoną datą tego, co nosi nazwę Wielkiego Przebudzenia, czyli dnia, w którym ludzie przejrzą na oczy i zrozumieją, że nie są sami na tej planecie.

- Oprócz tej daty określono kilka etapów, w trakcie których staramy się przygotować człowieka na odkrycie, że wampiry i wilkołaki naprawdę istnieją - wtrącił Nikołaj. - Chodzi o wydarzenia z ostatnich kilkuset lat i rozdmuchane przez brukowe gazety, cieszące się popularnością filmy, książki oraz, obecnie, wielką liczbę stron internetowych.

- Propaganda? - spytał Danaus i wydawał się przerażony tym, co właśnie usłyszał.

- Oczywiście. - Zaśmiałam się. Rozprostowałam nogi i skrzyżowałam je w kostkach, rozsiadając się jeszcze wygodniej. - Nocni wędrowcy są właścicielami trzech wielkich koncernów wydawniczych i sześciu mniejszych wydawnictw. Mamy także kilkanaście wytwórni filmowych na całym świecie. I nieustannie propagujemy naszą sprawę.

Danaus ściągnął brwi i poruszył się na krześle, przesuwając się na skraj siedzenia.

- Promujecie wampiryzm.

Coś takiego nie ułatwiało mu jako łowcy zadania, zwłaszcza gdyby udało nam się przeciągnąć na swoją stronę; znaczną część populacji, kiedy Wielkie Przebudzenie wreszcie nastanie.

- Nie chodzi tylko o nocnych wędrowców - powiedziała szybko Alex, ściągając na siebie jego ponure spojrzenie. - Nasze grupy zawarły porozumienie, że materiały rozpowszechniane przez którąś z naszych firm nie będą przedstawiać żadnej z ras w złym świetle. Płyniemy w tej samej łódce. Jeśli jeden z nas zginie, przepadną i pozostali.

Jednak ta szczytna idea straciła wiarygodność wraz z pojawieniem się wilkołaka i czarownicy razem z członkiem Przymierza Światła Dnia.

Nasza rozmowa urwała się w pół słowa, gdy nadszedł kelner z kilkoma talerzami potraw. Alexandra

zamówiła krewetki z cienkim spaghetti w czerwonym sosie, Danaus zdecydował się na makaron rurki, nadziewane parmezanem i zapiekane w sosie pomidorowym oraz na cielęcinę. Nikolaï wybrał zestaw owoców morza, którego nazwy nie umiałam określić. Nie to było jednak zaskakujące. Nie jadłam typowego pożywienia od ponad sześciuset lat. Po tak długiej przerwie przestawałam odróżniać jedne potrawy od innych. Czasami ich aromat działał kusząco, ale sam wygląd jedzenia zaczął mnie odstręczać.

Często przywodził mi na myśl skutki najbardziej morderczych i krwawych bitew, w jakich uczestniczyłam.

Gdy moje towarzystwo zajęło się jedzeniem, rozejrzałam się po placyku, który zaczął pustoszeć. Noc pogłębiała się i stawała coraz bardziej mroczna, lecz napływ atramentowej czerni częściowo odpierało ciepłe światło latarni stojących na całym placu. Gołębie odleciały na swoje nocne grzędy, a stłumione odgłosy rozmów i ciche, melancholijne nuty melodii, wygrywanych gdzieś w pobliżu na akustycznej gitarze, wypełniały powietrze.

- Kiedy ma nadejść ten wielki dzień? - zapytał Danaus pomiędzy kęsami.

- Ścisła data nie została wyznaczona - odparła Alex, rozdrabniając swoją potrawę na delikatne cząstki. Było to niemal zabawne. W miejscach publicznych wydawała się damą, jednak wystarczyło ją zobaczyć w trakcie łowów. Nie było nic kobiecego w ściganiu i rozrywaniu gardzieli jelenia z wielkim porożem.

- W przybliżeniu wyznaczono ją na rok 2055 - rzekłam, znowu obracając kieliszek w palcach. - Co pewien czas kilka grup zwołuje zebranie i wprowadza korekty do tego terminu.

- Od dawna nie przesiadywałam pod gołym niebem wśród tak wielu ludzi. Nieustannie rozglądałam się po okolicy, ale nadal nikt nam nie przeszkadzał. - Czasem nauka lub technika czynią w jakiejś dziedzinie nagłe postępy, szybsze od spodziewanych, i kolejne etapy naszego planu trzeba korygować. Zawsze działamy pod tym względem elastycznie, przewidując możliwość dalszych zmian, jednak niewątpliwie taki dzień kiedyś nadejdzie.

Danaus siedzący koło mnie znieruchomiał, co przyciągnęło mój wzrok; przyjrzałam się jego poważnej twarzy.

- Braliście pod uwagę Rowe'a? - spytał.

- Nie - odpowiedziałam cicho, zerkając na ciemnoczerwony trunek w moim kieliszku.

Położyłam dłoń płasko na stoliku, nagle obawiając się, że niechcący przetrączę szklaną nóżkę.

Mroczny naturi ze skórzaną przepaską na oku stanowczo dążył do uwolnienia swojej królowej i reszty swej zgrai po tamtej stronie pieczęci. Ponadto zamierzał dokonać tego z moją pomocą.

- Dlaczego przeszywa mnie taki okropny dreszcz, kiedy ktoś wypowiada to słowo? -

spytała Alex, odkładając na talerz widelec z nawiniętym spaghetti. - Rowe: co to takiego? Czy ma to coś wspólnego z ponownym pojawieniem się naturi?

Z cichym westchnieniem oderwałam wzrok od przyjaciółki i zapatrzyłam się znowu na plac, mentalnie przedzierając się przez wydarzenia kilku minionych dni, a nawet wypadki sprzed ponad pięciuset lat. I co miałam jej powiedzieć? Mówiąc za dużo, przestraszyłabym ją, ale wiedziałam też, że ukrywanie pewnych spraw na tym etapie nie uchroniłoby jej przed niczym.

Niechętnie zapaściłam się w opowieść o naturi, oszczędzając Alex możliwie najwięcej drastycznych szczegółów tej sprawy. Cofnęłam się do strzępów reminiscencji z tamtej strasznej nocy sprzed ponad pięciu stuleci i wspomniałam o tym i owym, co przydarzyło się nam w trakcie ostatnich kilku dni. Powiedziałam o ofierze w Konark i nieudanej próbie złożenia innej ofiary w Stonehenge. Wspomniałam o symbolach odkrytych na drzewach, dziele naturi próbujących złamać pieczęć, która ich krępowała. Opisałam napaść w Asuanie, męczeńską śmierć Thorne'a i to, jak trzymałam Michaela w ramionach, kiedy jego dusza wyrwała się na wolność w ostatnich sekundach jego życia.

Alex odchyliła się na krześle i zamrugła kilka razy, kiedy mówiłam o moim utraconym aniele. Zetknęła się z Michaeliem parę razy i spodobał jej się jego swobodny sposób bycia. Rozumiałam, dlaczego łzy zakręciły jej się w oczach... Sama jeszcze nie miałam okazji popłakać z żalu za tym młodzieńcem. Brakło na to czasu, gdyż naturi nas prześladowali, a ja próbowałam pokrzyżować plany, jakie Jabari i Sabat najwyraźniej snuli na zgubę naszej rasy.

Świadomie jednak pominęłam fakt, że nie jestem tak naprawdę członkinią triady, która strzegła pieczęci, tylko orężem tejże triady. Nie wspomniałam na głos i o tym, że łowca, który siedzi obok mnie, mógł posłużyć się moimi umiejętnościami niczym mieczem. Chociaż Alex i ja przyjaźniłyśmy się, ona była lojalna przede wszystkim wobec swojej sfory, a cokolwiek jej powiedziałam, mogło w końcu trafić do uszu innych wilkołaków. I tak już stąpałam po cienkim lodzie, mówiąc jej o Rowe'em i jego próbach uwolnienia naturi. Zadanie poskramiania naturi zawsze spoczywało na nocnych wędrowcach i stało się pilnie strzeżonym sekretem. Gdybyśmy jednak zawiedli pod tym względem, nie chciałam, by Alex została niemile zaskoczona.

Nikołaj milczał w trakcie całej mojej opowieści. Niezbyt odpowiadało mi to, że ów outsider dowiaduje się wszystkich tych szczegółów. Ale musiałam mu zaufać, skoro Alexandra i wilkołaki mieli poznać prawdę, zanim będzie za późno.

Pominęłam również kwestię żeńskiej naturi w sali siedziby Sabatu. Jeżeli Alex i Nikołaj nie wyczuli jej obecności, to lepiej, żeby w ogóle się o niej nie dowiedzieli. Jeszcze nie wiedziałam do końca, co jest grane, i nie miałam zamiaru wzbudzać paniki wśród innych ras. Jeśli wilkołaki uznałyby, że nocni wędrowcy sprzymierzili się z naturi i, to na całym globie wybuchłaby straszliwa wojna, nim jeszcze naturi zdołaliby uciec ze swojego więzienia.

Kiedy wreszcie skończyłam opowiadać, Alex odsunęła od siebie talerz ze zjedzonym do połowy posiłkiem.

- Straciłam apetyt - powiedziała słabym głosem. Naprawdę wyglądała tak, jakby miała zwymiotować; jej oczy się zaszklily, a woń lęku dotarła do mych nozdrzy.

- Dokończ jeść - upomniałam ją, podsuwając jej talerz. - Jak często masz okazję spróbować czegoś włoskiego? To znaczy, poza pełnią księżyca, rzecz jasna.

- To nie jest zabawne - rzuciła. Nie, Alex nie polowała na ludzi, choć nieliczni osobnicy jej rasy to czynili. Nawet w zwierzęcej postaci pozostawało w Alexandrze tyle ludzkich cech, że wstrzymywały ją one przed atakowaniem ludzi. Polowała tylko na zwierzęta i to tylko przy łych nielicznych okazjach, kiedy ulegała wrodzonemu instynktowi. -

Jak możesz stroić sobie z tego żarty? Nie zdajesz sobie sprawy, co może się stać, jeśli oni przenikną do naszego świata?

- Uwierz mi, Alexandro, rozumiem to lepiej od większości istot - odparłam cicho, patrząc zwięzonymi oczami wszędzie, byle tylko nie na swoich rozmówców. Alex nie wiedziała o moim uwięzieniu przez naturi - pominęłam to, opowiadając wcześniej o wydarzeniach w Machu Picchu - ale orientowała się, że w mojej przeszłości było coś mrocznego i okropnego; coś, co pozostawiło głębokie emocjonalne i fizyczne blizny. Teraz pojęła aluzję. - Dzieje się wiele różnych rzeczy, których nie rozumiem, ale które wkrótce rozgryzę. Wpadanie w panikę akurat teraz nic nie da.

- Robi się coraz gorzej. - Mocny zazwyczaj głos Alex ściszył się do niespodziewanego szeptu; spojrzałam znów w jej uroczą twarz. Cienie tańczyły na jej obliczu, rzucane przez świeczkę w chroniącym ognik przed wiatrem szklanym pojemniku umieszczonym na środku stolika.

Część mnie chciała ją zapytać, jak w ogóle może być jeszcze gorzej. Oto wampiry spotykały się potajemnie z naturi. Czarownice i wilkołaki zadawały się z Przymierzem Światła Dnia. Odwieczni wrogowie stawali się nagle sojusznikami, a tradycyjne sojusze z wilkołakami i wiedźmami rozpadały się na naszych oczach.

- Zaczęli nas wzywać - powiedziała.

- Kiedy? - zapytałam, z trudem zdoławszy przepchnąć to słowo przez ściśniętą krtani.

- Jakiś tydzień temu, ale zeszłej nocy dowiedziałam się, że robi się coraz gorzej.

Większość przywódców zdołała zebrać swoje sfory, jednak kilku tu i ówdzie zaginęło.

Najczęściej ci młodszy, którzy byli wilkołakami od niedawna. Wygląda na to, że im dalej na zachód, tym sytuacja jest poważniejsza - wyjaśniła.

Zerknęłam na Nikołaja, który patrzył wprost przed siebie, zaciskając pełne usta w twardą, zaciętą kreskę.

- A co z twoją sforą?

- Nie wiem. Urwał mi się z nią kontakt ponad miesiąc temu - odpowiedział sztywno, nie chcąc spojrzeć mi w oczy. Nie skomentowałam tych słów. Wilkołak nigdy na długo nie tracił kontaktu z członkami swojej sfory. Ponadto wilkołaki nigdy nie „należały” do jakiegoś wampira. Rozgrywało się coś mrocznego i, o co byłam gotowa się założyć, dość bolesnego i przerażającego dla Nikołaja.

To tłumaczyłoby, dlaczego Alex jakby wcale nie zwracała na niego uwagi. Nie patrzyła nań, nie rozmawiała z nim.

Zmarszczyłam czoło, przetrawiając w mózgu tę nową informację. W Ameryce Północnej i Ameryce Południowej znajdowały się cztery różne pradawne święte miejsca, które naturi mogli wykorzystać do następnej próby złożenia ofiar: Old Faithful w parku Yellowstone, Mesa Verde w Kolorado, Wyspa Wielkanocna oraz Machu Picchu w Peru. Czy poważą się powrócić do Machu Picchu po straszliwej klęsce, poniesionej tam przed wiekami?

Jeśli miałyby to oznaczać uwolnienie Aurory, to tak, bez wątpienia.

Znów skupiłam uwagę na Alexandrze i starałam się nie robić współczującej miny, słysząc o jej, Alex, niedolach. Nie pomogłoby jej to, jeśliby nagle stanęła przed groźbą zniewolenia przez wredną rasę, dążącą do całkowitej eksterminacji ludzkości.

Krążyło parę teorii na temat pochodzenia wilkołaków. Niektórzy sądzili, że są oni skutkiem zaklęcia lub klątwy, rzuconej przez stare indiańskie bóstwo. Z kolei inni uważali, że historia wilkołaków jest jeszcze starsza. Wedle najbardziej mrocznej hipotezy wilkołaki zostały stworzone przez naturi i miały być ich sługami i żołnierzami. A skoro wilkołak utrzymuje bliskie związki z naturą, to naturi mogli go zawezwać, przywołać z daleka i wymusić na nim posłuszeństwo. Większość utrzymywała, że tak właśnie przedstawiała się przyszłość człowieka, jeśli naturi przenikną do tego świata - ludzie albo wyginą, albo też zamienią się w wilkołaki.

- A więc będziemy mieli przeciwko sobie i naturi, i wilkołaków, jeżeli następna ofiara zostanie złożona gdzieś na Zachodzie - powiedział Danaus ponuro.

- Może nawet także grono czarowników - dodałam. Zakrawało to na wielką imprezę, na którą, jak się zdawało, zaproszono niemal wszystkich.

Ponownie popatrzyłam na jedną ze swoich nielicznych przyjaciółek. Alex zbliżała się do pięćdziesiątki, choć wyglądała na osobę dwudziestokilkuletnią. Bycie wilkołakiem zapewniało zdolność do zaleczania niemal wszystkich ran i urazów, z wyjątkiem tych spowodowanych przez srebro - zwłaszcza przez srebrne pociski i noże. W przypadku Alex jej

„przekleństwo” spowalniało również proces starzenia, wydłużając okres życia dwukrotnie lub trzykrotnie w stosunku do ludzkiego. Lubiłam ją. Miała spore poczucie humoru i wyznawała zdrową filozofię życiową. Nie chciałam, żeby czekała ją taka straszna przyszłość.

- Kiedy odlatujesz do kraju? - zapytałam, starając się, aby zmarszczki zdradzające strapienie nie ukazały się w kącikach mych ust.

- Jutro rano. - Te dwa słowa niewątpliwie podszyte były głębokim niepokojem. Alex mieszkała w Portland, w uroczym zakątku Zachodniego Wybrzeża. Groziło jej, że zostanie przywołana przez naturi, i wiedziała o tym.

- Wracaj do Londynu i zostań tam aż do nowiu - poleciłam jej, przesuwając się na skraj krzesła.

Rzuciłam okiem na Danausa, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań z zafrasowaną miną. - Czy Temida może zapewnić jej ochronę?

- Miro - powiedział cicho, głosem niskim i znużonym. - Temida to nie firma ochroniarska. Nie możemy...

- Do cholery, Danausie! - krzyknęłam, uderzając kantem dłoni w stolik, aż podskoczyły na nim częściowo opróżnione talerze. Starłam się opanować ton głosu i w końcu mi się to udało, zanim podjęłam rozmowę. - Nie proszę o to, żeby twoi ludzie strzegli bandy zacierzewionych wampirów. Alex jest wciąż istotą ludzką: należy do rasy, której tak rozpaczliwie bronicie. Skontaktuj się z Ryanem. Porozmawiaj z nim.

Alex pokręciła przecząco głową, zaciskając usta w wąską kreskę.

- To niemożliwe. Jestem potrzebna swojej sforze. Muszę wracać.

- Musisz zatroszczyć się o siebie. Jedź do Londynu, twoja sfera da sobie radę.

- Muszę wracać - powiedziała ponownie, z uśmiechem tak kruchym jak skorupka jajka. - Jestem teraz Alfą.

Na tę nowinę ściągnęłam brwi i rozsiadłam się na krześle.

- Nadal mieszkasz w Portland?

- Wydajesz się tym bardzo zaskoczona. - Wbiła widelec w jedzenie, i to z taką siłą, że zęby sztuczca zadźwięczały na ceramicznym talerzu.

- Wybacz mi - powiedziałam, skłaniając nieco głowę i przykładając prawą dłoń do serca. - Gratulacje z powodu awansu. - Było to duże osiągnięcie. Grupa z Portland była spora i liczyła, z tego co ostatnio słyszałam, około czterdziestu członków. Sfory z zachodu Stanów były liczniejsze od tych ze Wschodniego Wybrzeża. W całej Europie i Azji sfory wilkołaków miały zaledwie po dwunastu członków, lub nawet mniej, i działały na obszarach wiejskich.

Kręcąc głową, uniosłam lewą dłoń wysoko w górę i strzeliłam palcami, opuszczając prawą rękę na oparcie krzesła. Kelner zjawił się natychmiast i wsunął mi rachunek w dłoń. Na rachunku napisałam nazwę pewnego biura rozliczeniowego i oddałam papierek kelnerowi.

Była to nazwa biura Sabatu, którego operatorzy regulowali wszelkie sprawy finansowe wampirów w całej Wenecji. Rachunek miał tam trafić i bezzwłocznie zostać spłacony.

Dowiedziałam się o takiej możliwości po tym, jak zaczęłam wypełniać różne drobne zlecenia dla Sabatu wkrótce po opuszczeniu Jabariego. Jeśli ktoś zamierzał zajmować się brudną robotą dla Sabatu, to konwent gotów był w zamian regulować różne drobne należności zleceniobiorcy podczas jego pobytu w Wenecji.

- Pomimo wszystko - podjęłam, kiedy kelner odszedł - nadal uważam, że powinnaś udać się do

Londynu na kilka następnych dni.

- Przecież wiesz, że nie mogę, Miro - powiedziała, wstając równocześnie ze mną i z Danausem.

Schwyciłam ją za łokieć i ścisnęłam.

- Nie wracaj do nich, Alex - ostrzegłam, ścisząc głos, aby zabrzmiał nisko i mocno.

W ten sposób wprowadziłam wypowiedziane słowa do jej mózgu niczym rój kleszczy.

Chciałam, aby rozbrzmiewały w jej umyśle w trakcie nadchodzących miesięcy, licząc, że uchronią je przed syrenim śpiewem naturi. - Cenię sobie naszą przyjaźń, ale w razie czego się nie zawaham.

Alex spojrzała na mnie smutnym wzrokiem. Wiedziała, że gdyby stała między mną a naturi, nie wahałabym się jej zabić. A jeśli odpowie na wezwanie naturi, to znajdzie się pod ich całkowitą kontrolą.

- Obiecuj mi tylko, że zrobisz to szybko - powiedziała, a niepewny uśmiezek uniósł

kącik jej ust. - Nie chcę nawet myśleć, że znajdę się pod kontrolą tych drani.

- Rozumiem - wyszeptałam i złożyłam pocałunek na jej skroni. - Kiedy będzie po wszystkim, wpadnij do Savannah, to razem zapolujemy.

Zatrzymując się koło stolika, popatrzyłam z góry na Nikołaja, wciąż siedzącego na krześle, z kieliszkiem wina w dłoni. Mogliśmy się już nigdy nie spotkać. Jabari mógł

rozkazać mu mnie zabić, zanim opuszczę Wenecję, a Nikołaj zrobiłby to. I nie z tego powodu, że żywił jakąkolwiek nienawiść do mnie i do mojej rasy, lecz dlatego, że Jabari miał go w garści.

- Miło było cię poznać - powiedziałam z trochę ironicznym uśmiechem. Nikołaj odwzajemnił uśmiech i uniósł w moim kierunku kieliszek. Oboje wiedzieliśmy, że jednak jeszcze się spotkamy. Szkoda tylko, że mieliśmy się znaleźć po przeciwnych stronach barykady.

- Życzę ci szczęścia, Miro - wyszeptała Alex, ujmując ciepłymi rękami moją chłodną dłoń i ściskając ją mocno.

Zaśmiałam się cicho, odchodząc i wysuwając powoli dłoń z jej uścisku.

- Szczęście mi niepotrzebne - zawołałam, odwracając się i idąc tyłem, abym mogła jeszcze na nią popatrzeć. - Jestem Krzesicielką Ognia.

Szkoda tylko, że nie miałam żadnego planu działania.

Rozdział 10

Danaus i ja wędrowaliśmy w milczeniu zaciemnionymi uliczkami, powoli kierując się z powrotem

do motorówki. Dźwięk wody, chlupoczącej o kamienne brzegi kanału, nie opuszczał nas w całym tym mieście, pełnym krętych ulic. Noc wciąż była młoda, a mnie nieszczególnie spieszyło się do hotelowego apartamentu, gdzie Sadira i Tristan najprawdopodobniej tulili się do siebie. Przystanąłam na chodniku w pobliżu naszej łodzi i popatrzyłam przez kanał na światła Pałacu Dożów i placu Świętego Marka. Powietrze gęste było od myśli i emocji ludzi, radujących się ciepłą letnią nocą.

- Kiedy ostatnio byłeś w Wenecji? - zapytałam, zerkając przez ramię na Danausa. On także obserwował światła, odbijające się od falującej tafli wody.

- Jestem tu pierwszy raz - odparł. Miałam na końcu języka pytanie, jak to w ogóle możliwe. Przecież Danaus był Włochem, czy też Rzymianinem, i liczył sobie ponad tysiąc lat.

Jakim cudem mógł wcześniej nie zawitać nad te kanały? Wiedziałam jednak, że nie uzyskam na to odpowiedzi. On wciąż skąpił mi informacji na własny temat, chociaż sam wnikał w moje myśli już nieraz.

- Chodź - powiedziałam, wskakując do motorówki wypożyczonej od Roberta. - Chcę ci coś pokazać.

Z dość sceptyczną miną wszedł do łodzi i usiadł, a ja uruchomiłam silnik.

Pospieszaliśmy w kierunku laguny, oddalając się od jasnych światel i zatłoczonych kanałów.

Odpłynęliśmy od miejsc przyciągających turystów i od czarujących dzielnic. Zawiozłam Danausa przez lagunę, między wyspami Burano i Murano, na wysepkę Torcello. Zwolniłam bieg łodzi i ostrożnie manewrowałam między mieliznami, które otaczały wyspę. Nawigacja po tej *laguna morta* była najeżona pułapkami nawet za dnia, a cóż dopiero ciemną nocą, kiedy księżyc był tylko cienkim, srebrnym rogalikiem na niebie. Ja jednak znałam te wody i moczary. Torcello stanowiło moje potajemne sanktuarium w tym mrocznym sercu świata nocnych wędrowców.

Prześliznęliśmy się po głównym kanale i przybiliśmy do brzegu obok jednego z niewielu mostów, które górowały ponad tym wodnym szlakiem. Danaus wstał i przymocował

motorówkę do wolnego słupka, podczas gdy ja zgasiałam silnik. Ciszę mącił jedynie plusk fal, rozbijających się o burtę łodzi, gdy schodziliśmy na brzeg. W całej Wenecji spokojniej było może tylko na wyspie San Michele, lecz pomimo krążących mitów o wampirach, nie pociągało mnie zbyt wiele błąkanie się nocami po rozsypujących się, zmurszałych cmentarzach.

Żywi interesowali mnie bardziej od zmarłych.

- Gdzie jesteśmy? - spytał, kiedy opuściliśmy łódź i ruszyliśmy wzdłuż naruszonych *fondamenta* ciągnących się równoległe do kanału, ku jedynej w tej okolicy grupie budynków, wyłaniających się z ciemności.

- To miejsce, w którym narodziła się Wenecja - powiedziałam. Mój głos był ledwie głośniejszy od szeptu, jakby bardziej donośne słowa mogły rozproszyć czar. Światła zaczęły się pojawiać, gdy dotarliśmy na skraj *rampo*, obecnie stanowiącego raczej stos pyłu i gruzu na miejscu niegdysiejszych

kamiennych budowli. Trawa wyrastała blisko drogi, a chwasty przeciskały się przez szczeliny w zachowanym bruku. Główny plac był zarośnięty zielskiem i tylko kilka fragmentów zniszczonych kolumn i posągów zdobiło tę okolicę jak nagrobki miasta, które niegdyś tu rozkwitło.

- Ta wyspa jest prawie opustoszała, ale podobno właśnie tutaj pierwsi weneccjanie osiedlili się w czwartym czy piątym stuleciu - powiedziałam, przesuwając ręką po jednej z kamiennych kolumn. Wszystkie jej dawne ozdoby wytarły się i pozostało coś, co przypominało blady, białawy, podobny do kości słup, który odpadł od reszty szkieletu. -

Zawsze mi się tu podobało. Uwielbiam tchnienie historii na tej wyspie i panujący na niej spokój.

- Ładnie tu - stwierdził Danaus szeptem. Odszedł nieco i znalazł się przy osobliwej bryle z białego kamienia, przypominającej fotel. Miejscowi nazywali ten gład Ironem Attyli, wodza Hunów, ale tak naprawdę nikt nie wierzył, by zasiadał on kiedykolwiek na tym kamieniu. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi na pobliskich drzewach, roznosząc po nocy ich cichą pieśń. Opoдал placu lśniły złocistymi plamami światła jedynej restauracji na wyspie, lecz i one zaczynały gasnąć, pora już była późna. Nieliczni mieszkańcy tej wysepki układali się do snu, pozostawiając w samotności mnie i Danausa.

- To miasto jest prawie tak stare jak ty, Danausie. A jego historia jest niemal tak długa jak twoja - rzuciłam prowokująco.

Nikły uśmiech rozjaśnił jego twarz, gdy łowca rozglądał się po pustym placu.

- Można to samo powiedzieć o wielu miejscach w Europie - przypomniał mi. Jego głos zabrzmiał łagodnie, wyzbyty typowego dlań burkliwego tonu, podszytego złością. Jak gdyby na krótką chwilę zapomniał, że jestem nocnym wędrowcem: jego wrogiem.

- Racja. - Przytaknęłam ruchem głowy, zachowując na twarzy uśmiech, który zaczynał

zanikać. - Przypuszczam, że to jeden z minusów życia w Nowym Świecie; jest on zbyt nowy.

- Bez poczucia dziejów i odrębnej tożsamości - dodał cicho.

- Chodźmy - powiedziałam. - Mam ci do pokazania coś jeszcze.

Powiodłam go przez plac, koło zewnętrznej kolumnady ku wejściu do kościoła Santa Fosca. Ten niewielki budynek stanowił pod względem architektury mieszaninę klasycznych wpływów bizantyjskich i greckich. Zajęło mi tylko chwilę uporanie się z zamkiem i otwarcie ciemnych drewnianych drzwi. Bładosrebrzyste światło księżyca wpadało przez otwarte okna, ukazując wysokie sklepienie i drewniane belki ponad nami. Odgłos smutnego gruchania gołębi odbijał się echem od murów, gdy ptaki te szykowały się do noclegu. Na wewnątrz składały się białawe cegły i kilka białych marmurowych kolumn. Nie było posągów na ołtarzu Matki Boskiej, tylko na tylnej ścianie wisiał samotny krucyfiks. Wysokie białe świece stały na ołtarzu i w ściennych niszach. Centralne przejście między rzędami ławek było szerokie, lecz wyłożona kunsztowną mozaiką posadzka okazała się zniszczona i spękana, a warstwa kurzu skrywała jej dawne piękno. W nikłym świetle połyskiwały tylko stare drewniane klęczniki, jakby ktoś poświęcał czas na woskowanie ich

co najmniej raz w tygodniu.

- Czyż to nie piękne? - zapytałam, odwróciwszy się, by spojrzeć na swojego towarzysza. - Teraz zagładają tu tylko turyści, a kościół ten nie jest czynny już od paru stuleci, taka szkoda. Jego architektura jest tak piękna jak kościołów w San Croce albo nawet na placu Świętego Marka.

- Jak to? - spytał półszepem.

- Co: jak to?

- Jak możesz tu przebywać? Czy Bóg zapomniał o tym miejscu?

Popatrzyłam na Danausa. Był spięty i wyglądał tak, jak gdyby się spodziewał, że w każdej chwili na któreś z nas spadnie grom. W blasku księżyca lśniły na jego czole drobne kropelki potu.

- To magia uleciała z tego miejsca - odparłam. - Nie Bóg, Danausie, tylko wiara ludzi, którzy chodzą do kościoła, mnie odstręcza. Wiara to tylko forma magii. Jeśli człowiek wierzy, że Bóg go ochroni, to tym samym przywołuje zaklęcie. A kiedy ludzie przestają przychodzić na modły, magia w końcu się rozprasza.

Podeszłam powoli do kościelnej ławki po prawej stronie i wyciągnęłam rękę, niespiesznie poruszając nią w powietrzu. Byłam w stanie wyczuć nikłe pozostałości energii.

Ktoś przesiadywał tutaj za dnia i modlił się szeptem, bezgłośnie błagając o nadzieję lub wsparcie albo może dziękując za opiekę. Były i inne resztki mocy w powietrzu wokół, nikłe i słabe jak widma, zanikające z upływem czasu.

- Ja... nie rozumiem - powiedział, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa. Mogłam wyczuć w powietrzu jego lęk i przerażenie; nie było w tym jednak nic ekscytującego. Jego strach irytował mnie, a nawet nieco mdlił, jak powoli działająca trucizna. Zupełnie jak gdyby jego świat zawałił mu się na oczach, a ja stanowiłam tego przyczynę.

- W niektórych wypadkach krzyż nie działa na nocnych wędrowców. - Opuściłam rękę i zwróciłam się w stronę Danausa. - Ludzie uważają, że kształt metalowego krzyża utrzymuje moją rasę w szachu. I pokładają wiarę w symbolice krzyża, a nie w idei Boskiej Opatrzności, co okazuje się mniej skuteczne. Taki rodzaj wiary angażuje tylko umysł, a nie serce i duszę.

- Nie wierzę ci - powiedział, a jego rysy stężały. Gdyby w tej chwili był uzbrojony, pewnie dobyłby miecza, by się nim bronić przed moimi słowami. Jednak stał w miejscu, w tym mrocznym kościele, i tylko spoglądał na mnie wrogo.

- Nie proszę cię o to, żebyś mi uwierzył - odparłam z obojętnym wzruszeniem ramion.

- Po prostu opowiadam ci o tym, co wiem z doświadczenia. Zastanów się jednak; oto stoję w miejscu, które kiedyś było chrześcijańską świątynią.

Danaus milczał, kiedy podeszłam do ołtarza. Wciąż odczuwał frustrację i złość.

Zatrzymałam się przed dwoma schodkami, które wiodły do pozostałości marmurów go ołtarza. Za nim wisiał wizerunek udręczonego Jezus Chrystusa, przybitego do drewnianego krzyża. Jego oblicze i ciało były spękane i szerniały wskutek oddziaływania czasu i skapującej wody. Dobrotliwa twarz Jezu wyglądała tak, jakby ronił łzy, opłakując stan swego przybytku, a może i to, co stało się z ludźmi.

- Dlaczego to zrobiłaś, Miro? - zapytał Danaus, dziwnie łagodnym głosem.

- Co takiego zrobiłam? - odrzekłam, pozorując umiarkowane zaciekawienie. Coś ścisnęło mnie w żołądku; przeczuwałam, że rozmowa przybiera przykry dla mnie obrót.

- Dlaczego odwróciłaś się od Boga?

- Co? - Po raz pierwszy, odkąd znaleźliśmy się na Torcello, podniosłam głos ponad szept, rozpraszając ciszę, która zaczynała mnie przytłaczać. Odwróciłam się na prawej pięcie i zmieszana, spojrzałam na swojego mrocznego towarzysza. Był cały spięty, dłonie miał

zwinięte w pięści i przyciśnięte do boków ciała.

- Dlaczego odwróciłaś się od Boga? - powtórzył. - Czemu postanowiłaś zostać wampirzycą?

Opadłam ciężko na jeden ze schodków prowadzących do ołtarza, wybuchając śmiechem. Próbowałam siebie przekonać, że to zabawny punkt widzenia, ale słyszałam we własnym głosie wyraźną nutę goryczy. Danaus urodził się przed wiekami, długo wcześniej nim chrześcijaństwo siało się dominującą religią w Europie, ale najwyraźniej poznał je i wytrwał przy nim przez te długie lata życia. Z kolei ja obrałam nieco inną drogę życiową.

- Odwróciłam się od Boga? - powiedziałam, powstając. - Ja nie porzuciłam Boga; to on porzucił mnie. Przypatrz mi się dobrze, Danausie. To nie urok wampirzycy: ja tak wyglądam od urodzenia. - Ognista kula nagle zawisła w powietrzu koło mojej twarzy, gdy ruszyłam w stronę Danausa. - Rude włosy i fioletowe oczy. Urodziłam się na Krecie w małej wiosce rybackiej w XIV stuleciu. Wszyscy inni mieli tam ciemnoszatyńskie albo czarne włosy i piwne oczy. Wiesz, co powiedzieli, gdy przyszedłam na świat? Że spłodził mnie szatan... Spędziłam pierwsze szesnaście lat życia na klęczkach, błagając Boga, by przebaczył

mi, że się narodziłam. I wiesz, co On na to? A to! - Wyciągnęłam obie ręce na boki i natychmiast stanęły one w płomieniach. - Grupa mężczyzn z mojej wsi próbowała zgwałcić mnie pewnej nocy, kiedy wracałam do domu z kościoła. Ze strachu przypadkowo podpaliłam dwóch z nich. Aż do tamtej nocy nigdy nie skrzywdziłam żadnego człowieka, ale wtedy zabiłam dwóch.

- Nieumyślnie - powiedział Danaus stanowczo.

- Czyżby? Czy to mógł być przypadek, skoro taka się urodziłam? - Ugasiłam płomień i pozwoliłam, by mrok znów zalał wnętrze kościoła, gdy powracałam w stronę ołtarza. Odgłos obcasów, stukających o spękana kamienną podłogę, rozchodził się echem w głębokiej ciszy. Noc zbliżyła się ponownie, obejmując mnie chłodnymi ramionami, trzymając mnie, chroniąc przed pytaniami Danausa

oraz wspomnieniami, które rozpaczliwie usiłowałam wymazać. - Fakt, że zostałam nocnym wędrowcem, nie miał nic wspólnego z odwróceniem się od Boga - podjęłam, a nerwowa nuta w moim głosie przycichła. - Utraciłam wiarę owej nocy, kiedy tamci mężczyźni zginęli. Dzięki temu, że stałam się nocnym wędrowcem, zyskałam moc i zapanowałam nad własnym życiem.

- Zyskałaś tę moc za cenę wiecznego potępienia po śmierci. - W głosie Danausa zabrzmiało ciężkie oskarżenie. Słyszałam jego kroki na brudnej, kamienistej posadzce, gdy zbliżał się do mnie i zatrzymał kilka metrów przede mną.

- Po co obstajesz przy tych archaicznych przekonaniach? - krzyknęłam, a kilka przebudzonych gołębi pod sklepieniem zerwało się nerwowo do lotu. Ich skrzydła trzepotały w powietrzu, gdy ptaki wypadły przez otwarte okno w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca na nocleg. - Przez sześć wieków, które przeżyłam, wcale nie natknęłam się na szatana, któremu, jak twierdzisz z takim przeświadczeniem, zaprzedałam duszę. Nie spotkał go też nikt z Sabatu ani Sadira.

- Ale zabijasz.

- Nie znam takiej rasy, która tego nie czyni. Naturi, ludzie, wilkołaki, czarownice, nawet boskie anioły zabijają. Dlaczego moja rasa ma się różnić pod tym względem od pozostałych?

- Pijesz krew.

- I co z tego? Żeruję na żywych istotach. Wysysam z nich krew, ale najczęściej pozostawiam te istoty przy życiu. Większość mięsożerców nie może się czymś takim poszczycić.

- To nie w porządku! - wrzasnął na mnie. W jego głosie słyhać było drzenie, jakby coś małego i zastraszonego w nim samym rzuciło się na mnie. Nerwowy oddech Danausa rozlegał się w ciszy świątyni i bez trudu wyczuwałam gorączkowe bicie jego serca.

- A kto tak twierdzi? Twój religijni przywódcy w swoich wieżach z kości słoniowej?

Nie wiem, czy naprawdę istnieje niebo i piekło, ale wierzę, że każdy trafi tam, dokąd go zaprowadzą wybory, jakich dokonuje.

- A twoim wyborem było stanie się wampirzycą - odparł.

- Wybrałam także, na własne ryzyko, ocalenie w ciągu ubiegłych kilku dni więcej żywych istot, niż mogłabym zliczyć. - Zrobiłam kilka kroków w jego stronę, idąc przejściem wśród ławek, ledwie tłumiąc pokusę wzniesienia ognistej kuli dla obrony przed zjadliwymi docinkami Danausa. - Nie jestem niewinna, ale i nie stanowią wcielenia wszelkiego zła, jakie chciałbyś we mnie widzieć. Chcesz mnie zabić, bo sądzisz, że masz do czynienia z samym złem. Dobrze. Upewnij się tylko, że karzesz mnie za to, co robiłam, a nie za to, kim jestem.

- I dlatego to wszystko czynisz? - Jego zachowanie nagle uległo zmianie. Napięcie, które spinało mu mięśnie ramion i karku, ustąpiło i Danaus rozluźnił pięści. - Ponieważ starasz się zasłużyć na wybawienie? - zapytał tonem już pozbawionym szorstkości.

- Do chrzanu z niebem! - rzuciłam, zaciskając dłonie w pięści tak mocno, że aż rozboleły mnie knykcie. - Robię to, bo uważam, że tak trzeba. W przeciwnym razie moja rasa zginie. Gdybym zachowywała się biernie, przypadłoby wszystko co piękne na tym świecie.

Przeszłam znowu między ławkami, zatrzymując się przy schodkach i starając się uspokoić. Nie mogłam pojąć, dlaczego nadal był to dla mnie drażliwy temat. Przez ponad sześćset lat rozważałam idee Boga, nieba, piekła i diabła. I doszłam do sformułowania teorii, tłumaczących istnienie mojej rasy i naszego miejsca w porządku rzeczy. Niektóre z tych teorii okazywały się błędne i zastępowałam je nowymi. Nie znalazłam wielu odpowiedzi, ale miałam umysł otwarty na kolejne hipotezy.

Kiedy odezwałam się ponownie, zaskoczyło mnie samą ogromne zmęczenie słyszalne w moim głosie. Jakby długie stulecia skupiły się w jeden ton.

- Chodzisz po tej ziemi od ponad tysiąclecia. I nadal obstajesz przy poglądach, które dzielą wszystko na białe i czarne? - Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Wciąż stał tuż przed przejściem między ławkami, jakby bał się postąpić dalej. - Dobro i zło nie są białe i czarne. Człowiek nie jest istotą dobrą, tylko z racji tego, że jest człowiekiem, a wampir - złą, tylko dlatego, że jest wampirem. Poświęciłeś życie na tępienie osobników mojej rasy.

Zastanawiałeś się kiedyś choćby przez pół sekundy, czy naprawdę jesteśmy tacy, jakimi chcesz nas postrzegać?

- Raz. - Jego głos zabrzmiał niewiele głośniejszy od letniego wietrzyku pośród klonowych liści, cicho i kojąco.

- Kiedy? - Nie odpowiedział, ale domyśliłam się, gdy tylko zadałam to pytanie. Było to tamtej pierwszej nocy, kiedy się spotkaliśmy. Zawahał się wtedy, gdy walczyliśmy.

Uważałam wówczas, że to z powodu Neriana i naturi, ale najwyraźniej coś jeszcze przemknęło mu przez głowę. - I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Nie znalazłem odpowiedzi. Nie wiem! Z jakiejś przyczyny wszystko płaczesz.

Zmuszasz mnie do podważania tego, co uważałem za pewne - pieklił się, robiąc krok w moją stronę. Moce wyostały się z niego, uderzając mnie w klatkę piersiową z taką siłą, że aż musiałam cofnąć się nieco, aby nie upaść.

- Nie ma niczego złego w stawianiu pytań - powiedziałam z półuśmiechem. Złość i frustracja, jakie odczuwałam wcześniej, rozproszyły się; jedynym ich śladem było lekkie drżenie mięśni.

- Ale takie pytania odbierają nadzieję - stwierdził. Czułam, jak irytacja go opuszcza, a w jej miejsce pojawia się głęboka rozpacz, grożąca przytłoczeniem nas obojga. Przez tę krótką chwilę wydawał się zagubiony i to przeze mnie. Zanim się ze mną zetknął, miał w życiu cel i kierunek, miał przewodnie światło, i oto zniweczyłam to wszystko. Nie podobało mi się, że on się zajmuje zabijaniem, lecz nie chciałam też odbierać nadziei innym istotom.

- Pora na uregulowanie naszych długów - oznajmiłam, przerywając milczenie, które zaległo między nami.

- Czego chcesz?

- Powiedz mi, kim jesteś. - Odwrócił się i bez słowa skierował do wyjścia z kościoła. -

Stój, Danausie. Zastanawiam się nad tym, odkąd zobaczyłam cię pierwszy raz. Jesteś przynajmniej częściowo człowiekiem, co do tego nie ma wątpliwości, ale nie jesteś czarownikiem ani wilkołakiem. W myślach przepatrzyłam listę wszystkich stworzeń, jakie napotkałam, i nie pasujesz do żadnej kategorii. Co takiego tak rozpaczliwie ukrywasz?

- Chodźmy już - powiedział. Zatrzymał się, ale nadal zwrócony był twarzą do wyjścia.

- Nie pójdziemy, zanim mi nie odpowiesz. Co to takiego strasznego? Czy to może być gorsze niż fakt, że ja jestem monstrum wśród swojej rasy? Albo że mogę zostać wykorzystana jako broń przez swojego wroga do niszczenia zarówno natury, jak i nocnych wędrowców? Ten sekret niszczy cię oraz moją rasę. Musisz go komuś wyznać. - Czepiałam się rozpaczliwych argumentów, ale wiedziałam, że jego wypaczone poglądy na świat muszą mieć jakieś źródło. Po upływie wieków, które trudno zliczyć, Danaus zachowywał ludzką umysłowość i tożsamość, jednak tajemnica, jaką w sobie nosił, rozdzierała go wewnątrz, przyczyniając się przy tym do zgładzenia zbyt wielu wampirów. Przez to uzależnił się także od takich istot jak Ryan, które skwapliwie wykorzystywały desperację i konfuzję Danausa do realizacji własnych celów.

- Dlaczego akurat tobie? - spytał, spoglądając na mnie przez ramię.

- Bo my, odmieńcy, powinniśmy trzymać się razem - odparłam, rzucając mu przewrotny uśmiech.

Wydał dziwny odgłos, coś jak zduszony śmiech, i pokręcił głową.

- Suka - rzucił półgłosem, lecz w cichym kościele słowo to zabrzmiało tak, jakby je wykrzyczał.

- Przypuszczam, że nie wpadłeś na to dopiero teraz - powiedziałam kpiąco, ale szybko znów odezwałam się poważnie. - Jakież to brzemie tak cię przygniata?

Danaus odwrócił się, kładąc dłoń na kłamce, jak gdyby chciał się na niej oprzeć dla odzyskania równowagi. Kiedy przemówił, głos miał cichy i chrapliwy, aż zadałam sobie pytanie, ile razy wcześniej wypowiedział te słowa na głos. - Moja matka była czarownicą.

Zanim się urodziłem, zawarła pakt z demonem, aby zyskać większą moc.

- Za jaką cenę? - Szorstko, charcząco wyszeptałam te trzy słowa. Znałam już odpowiedź. Zyskanie większej mocy zawsze coś kosztowało. Przekonałam się o tym osobiście. Za swoje zdumiewające zdolności zapłaciłam koniecznością snu za dnia i całkowitym uzależnieniem od ludzkiej krwi, bym mogła przeżyć.

- Ja nią byłem.

Ugięły się przede mną nogi i przysiadłam na skraju jednego z marmurowych schodków, wiodących do ołtarza. Paniczny lęk przeszywał mój mózg, do którego z trudem docierały słowa, które właśnie wypowiedział. Gorączkowe drżenie objęło moje ręce, a ostry, lodowaty dreszcz przebiegł całe ciało. Nie było czegoś takiego jak demony - tak jak je pojmowali ludzie - lecz dawno, na początku, gdy świat był jeszcze młody, istniały dwie rasy strażników: naturi, czuwający nad ziemią, oraz bori, strzegący wszystkich dusz.

Bori stanowili niezwykle potężną rasę, którą z czasem w ludzkiej mitologii zaczęły reprezentować i anioły, i demony. O ile naturi mieli zdolność podporządkowywania sobie wszystkich wilkołaków, o tyle bori potrafili łatwo zmusić do posłuszeństwa całe plemię nocnych wędrowców. Naturi chcieli nas zniszczyć, natomiast bori pragnęli nami rządzić. Oto dlaczego obie te rasy zostały wygnane z tego świata. A jednak - moim zdaniem - w tym, co powiedział Danaus, nie wszystko się zgadzało. Wiedzieliśmy, że kilkoro naturi pozostało na ziemi po założeniu pieczęci, ale oficjalnie nie uchronił się tu żaden bori. Wszystkie bori znajdowały się od wieków pod kluczem. Czy więc matka Danausa odkryła sposób na sprowadzenie jakiegoś bori z powrotem na ziemię?

Nie byłam w stanie na niego spojrzeć, wiedząc, że na mojej twarzy maluje się teraz przerażenie. Mój świat rozpadał się wokół mnie w zastraszającym tempie. Jabari potrafił mną sterować, Rowe chciał mnie wykorzystać do uwolnienia na zawsze Aurory, a Danaus, powiązany z bori, mógł użyć mnie do zniszczenia zarówno naturi, jak i nocnych wędrowców.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech, spychając w dół ciała wzrastającą falę paniki, która wypełniała klatkę piersiową. Musiałam myśleć jasno.

- Jesteś demonem? - zapytałam wreszcie, unosząc powieki, by popatrzeć na ową stojącą na końcu długiego przejścia między ławkami istotę, która ocaliła mnie już niejedyn raz.

Piękne oczy Danausa zwęziły się, gdy bacznie wpatrywał się we mnie, obserwując moją reakcję na te nowiny.

- W połowie. Jak sama stwierdziłaś, część mnie nadal jest człowiekiem.

Ale to nie było takie proste. Bori to nie demony, a nigdy dotąd nie słyszałam o kimś, kto jest połowicznym bori. Nie istniały krzyżówki ludzi z innymi rasami. Kimś najbliższym potencjalnej mieszance człowieka z bori był nocny wędrowiec, a przecież wiedziałam niewątpliwie, że Danaus nie jest jednym z nas.

Wyglądało na to, że bori, który zawarł wspomniany układ, pasożytował na duszy Danausa, oferując mu moce, którymi w swoim czasie bori dysponowali. Ale podczas gdy naturi starali się czerpać z dwunastu źródeł mocy na ziemi, Danaus mógł stać się czymś w rodzaju wrót dla wszystkich bori. Musieli oni tylko znaleźć sposób ich otwarcia.

A jednak Danaus nigdy dotąd nie użył nazwy „bori”. Nie znał i nie rozumiał długich dziejów tej rasy. Obstawał przy starym określeniu, jakim był demon, i na tej podstawie podejmował decyzje. Nie miał pojęcia, kim naprawdę jest.

- A więc starasz się ocalić swoją ludzką połowę przez oczyszczenie świata ze zła, to znaczy z wampirów - powiedziałam, usiłując zdusić znów narastającą we mnie panikę, zanim on ją wyczuje. Cóż mogłam mu powiedzieć? Że to nie demon, tylko istota gorsza i bardziej złożona zawładnęła częścią jego duszy? Zabrakło mi odpowiednich słów. A to, co mogłam mu powiedzieć, tylko pogorszyłoby całą sprawę. Potrzebowałam czasu i pełniejszej informacji przed podjęciem tego tematu.

- Nie chcę spędzić wieczności w piekle z tego powodu, że moja matka pragnęła się zemścić - powiedział chłodno, robiąc kilka kroków w moim kierunku.

Przeciągnęłam drżącą ręką po włosach, odgarniając je z oczu.

- Skąd wiesz, że to twoje przeznaczenie?

- To los wszystkich demonów - odparł krótko. Zatrzymał się o metr ode mnie, wbijając wzrok w posadzkę.

- Może tak. A może nie. Nie znam, jak dotąd, żadnego dowodu, potwierdzającego jedno albo drugie.

- Znasz jakieś demony?

Na to mogłam się tylko lekko uśmiechnąć. Nie miałam mu niczego do powiedzenia.

Nigdy dotąd nie zetknęłam się osobiście z żadnym bori. Moje doświadczenia z tego życia sprowadzały się do walk z naturi, a starcia te aż nadto mi wystarczały.

- Oni są złem - podjął, kiedy milczałam.

- Większość pewnie tak - odrzekłam, ocierając dłonie jedna o drugą, by usunąć z nich nieco brudu. - Ale każde stworzenie, które stąpa po ziemi, ma jakiś wybór. Ty nie wybrałaś zła. Poza tym jesteś częściowo człowiekiem. A to przemawia poniekąd na twoją korzyść.

Danaus powoli uniósł wzrok, wpatrując się głęboko w moje fiołkowe oczy, doszukując się w nich czegoś. Pragnął mi wierzyć. Chciał uchwycić się ratunkowej liny, którą mu rzuciłam, kiedy miotał się w mrocznej otchłani, ale jednocześnie pozostawał pod przemożnym wpływem prastarych teorii religijnych. Nie miał zamiaru tak łatwo odrzucić tego, w co wierzył, gdyż wiara ta wspomagała jego umysł i sumienie.

- Nie proszę cię, żebyś uwierzył we wszystko, co właśnie powiedziałam. Przemyśl to tylko. Idee, jakie wyznajesz, zostały wymyślone przez ludzi. Są niedoskonałe. Wcześniej tej nocy rozmawialiśmy o Wielkim Przebudzeniu. Przyjęta przez ludzkość idea Boga i odkupienia nie uwzględnia wcale naszej rasy - powiedziałam, wsuwając za lewe ucho luźny kosmyk włosów. - Jeśli przeżyjesz ten koszmar, porozmawiaj z Ryanem. Mam wrażenie, że bardziej wolisz wierzyć jemu niż mnie.

- Ty żyjesz dłużej. Dlaczego niby on ma wiedzieć więcej? - odparł.

Nie ufałam Ryanowi, ale ten siwowłosy czarownik był potencjalnym źródłem informacji. Dla

Danausa stanowił punkt wyjścia. A gdybym i ja miała wykaraskać się z tego bagna, liczyłam na to, że sama trochę lepiej się w tym wszystkim rozeznam.

- Ryan poświęcił życie studiom nad innymi rasami i religiami. Ja wiem tyle, ile dowiedziałam się niejako przy okazji. Dużo z tego to mity i plotki. Trzeba je przesiewać i zachować otwarty umysł.

- I co dalej?

- Nic - powiedziałam, wzruszając ramionami. Wstałam, z właściwą mi kocią zwinnością. - Trzeba iść dalej. Chodźmy.

Obeszłam go i ruszyłam przejściem między ławkami lekkim, spokojnym krokiem, ale mój umysł intensywnie pracował. A zatem on jest bori. Cóż, połowicznym bori. Nie tego się spodziewałam. Przypuszczałam wcześniej, że Danaus to dziwna krzyżówka czarownika i wilkołaka, który nie potrafi zmieniać skóry. Nie. W rzeczywistości Danaus okazał się w połowie bori, który potrafił nade mną zapanować. To wystarczało, by dreszcze przebiegały mi po plecach, ale musiałam skryć przerażenie głęboko w piersi. Oczywiście, gdyby nerwy mi puściły na oczach mojego mrocznego towarzysza, Danausa już nie byłoby go ze mną.

- Miro... - zawołał niespiesznie, z wahaniem.

- Tak, wiem. To głęboko skrywana, mroczna tajemnica Danausa - powiedziałam, odwracając się, by na niego spojrzeć; kiedy ruszył przejściem za mną.

- A więc potrafisz już czytać w moich myślach?

- Niezupełnie. Chociaż bym sobie życzyła. Poza tym nie chcę, abyś przechwalał się wśród członków swojej małej sekty nową marionetką o imieniu Mira.

- Zdaje się, że współdziałamy na równych zasadach - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

- Zawsze tak było - odparłam, podając mu dłoń. Zaskoczyło mnie, że nie zawahałam się ująć jego mocnej ręki, mimo że dobrze pamiętałam, co się stało, gdy trzy razy uprzednio się dotknęliśmy. Tym razem fala mocy nie przeniknęła do mojego ciała, nie opanowały mnie cudze myśli. Moją skórę oblało jego ciepło, wsączające się we mnie i grzejące jak promienie słońca. Pomimo tego, kim był, mimo pochodzenia, którym się zadręczał, Danaus nadal miał

wyбір i wciąż zachowywał honor.

Gdy tak stałam w cichym kościele i trzymałam Danausa za rękę, ponura myśl pojawiła się w moim mózgu, zanim zdołałam ją powstrzymać. Czy aby nie obiecałam ochraniać istoty groźniejszej dla mojej rasy od całej hordy naturi? Czy śmierć nie była lepsza od wieczystego zniewolenia? Z powodu, jakiego jeszcze nie rozumiałam, Sabat zawarł układ z naturi, zapewniając im jakiś rodzaj protekcji. Sprowadziłam Danausa, istotę będącą częściowo bori, a zarazem łowcę wampirów, do ośrodka naszej cywilizacji. Czy, pomimo najlepszych intencji, przypadkiem nie zdradziłam własnej rasy?

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że ta rozmowa nie powstrzyma mnie od polowań na wampiry? - powiedział chłodno, puszczając moją dłoń.

Zmusiłam się do śmiechu i odwróciłam się, żeby wyjść z kościoła.

- Nie śniłabym nawet o powstrzymaniu cię przed tym - odrzekłam, otwierając ciężkie drewniane drzwi. Chcę tylko, żebyś się zastanowił, dlaczego tak jest.

Żadna siła nie skłoniłaby Danausa do zrobienia czegokolwiek, w co nie wierzył. A jednak uważałam, że z czasem, gdy dowie się dostatecznie dużo, zaprzestanie łowów na nocnych wędrowców.

Swobodnie przeszliśmy znowu przez zarośnięte chwastami główne *campo*. Zerkając na lagunę, ku połwici nad Murano i Burano, mogłam wyczuć obecność innych nocnych wędrowców, przystępujących do swoich nocnych zajęć. Polowali, posilali się, zaśmiewali.

Choć ich ciała były martwe, oni byli równie żywi jak ludzie wokół nich. Nie mogłam uwierzyć, że stanowimy wcielenie zła. Czy raczej, mówiąc ściśle, że to ja jestem złem wcielonym. Czyż wciąż opłakiwałabym utratę swojego anioła stróża, gdyby tak było? Czy nadal hołubiłabym w myślach słodką Callę oraz życie, które niegdyś wiodłam? W

gęstniejącym mroku, z Danausem przy boku, pytania te były wszystkim, co mogło stanowić dla mnie podporę.

Rozdział 11

Ciche syknięcie wyrwało mi się przez zaciśnięte zęby, kiedy przystanęłam na skraju trawiastego dziedzińca.

Jabari prowadził jakąś grę. Najpierw zażądał, abym przybyła do Wenecji, gdzie było niemal pewne, że odkryję spiskowanie Sabatu z naturi, a teraz jeszcze to. Nie byliśmy tu już sami. Tak bardzo skupiłam się na osobie Danausa i na naszej rozmowie, że nie zauważyłam Nikołaja, który obserwował nas z okna na piętrze opustoszałego budynku.

Zjawił się wcześniej. Nie oczekiwałam, że Jabari naśle pracującego dla niego zabójcę przynajmniej do czasu złożenia następnej ofiary. Naturalnie, oznaczało to, że Starszy nie dotrzymał obietnicy nie wysyłania za mną któregoś ze swoich pacholków, który miał

doprowadzić do mojej śmierci. Wiedziałam jednak, że celem Jabariego nie było zabicie mnie w tym miejscu. Byłam zbyt stara i doświadczona, żeby dać się podejść wilkołakowi. Jabari chciał czegoś innego. Nikołaj to tylko pionek, wprowadzony do gry. Niestety, nie ja byłam przeciwnikiem Jabariego w tej grze. Byłam tylko jedną z użytych w niej figur. Co takiego miałam wykazać, walcząc z Nikołajem? Czy Jabari spodziewał się, że zabiję tego wilkołaka?

A może Nikołaj był ważniejszy, niż przypuszczałam? Chciałam krzyknąć i wyć.

Krytykowanie własnych poczynań ponieważ i próba przewidzenia następnego posunięcia Jabariego mogły doprowadzić mnie do zguby.

Stojąc w głębokim cieniu, rzucanym przez budynek, w którym znajdował się wilkołak, wsunęłam dłoń do kieszeni i wyciągnęłam srebrne kółko z kluczykami od silnika motorówki.

Metal cicho zadzwieczał, zanim zacisnęłam na nim palce.

- Odpłyn łodzią z powrotem do hotelu - powiedziałam cicho, nie patrząc na Danausa, który podszedł do mnie blisko.

- A ty jak wrócisz? - zapytał, nie sięgając po klucz.

- Przeplynę. - Wyciągnęłam lewą rękę i odwróciłam dłoń grzbietem do góry, czekając, aż on otworzy swoją dłoń i schwyci kluczyk, lecz łowca się nie poruszył.

- Co się dzieje? - Napięcie zwarło jego słowa w twarde, urywane sylaby, które ledwie zdołał wydusić przez zaciśnięte zęby. Zanim zdążyłam wymamrotać, że „nic”, fala mocy wypłynęła z jego ciała i zalała całą wysepkę. Nie wiedziałam, czy potrafi wyczuwać wilkołaki równie łatwo jak nocnych wędrowców, ale miałam się o tym przekonać w następnych kilku sekundach. Na wyspie przebywało zaledwie kilkadziesiąt osób, sami starsi ludzie. Pewnie urodzili się tutaj i tu chcieli umrzeć, podobnie jak wielu ich przodków.

- Nie twoja sprawa, łowco - powiedziałam ostro. - Zjeżdżaj stąd.

- Czego chce ten wilkołak? - zapytał, gdy moce wniknęły z powrotem do jego ciała.

Ich nagły brak przyprawił mnie o zimny dreszcz, jak gdyby wilgotny chłód przeniknął mi do kości.

- Jej serca.

Te słowa spłynęły z ciemnego okna, a towarzyszyło im ciche echo, gdyż odbiły się od ścian pustego budynku, nim uleciały w nocne powietrze. W tonie tego głosu nie było groźby; zabrzmiał on jak delikatna pieszczota troskliwego kochanka, zastanawiającego się, dlaczego jego oblubienica spaceruje w bladym świetle księżyca z innym mężczyzną.

Danaus wyłonił się zza moich pleców i popatrzył na budynek, a prawą ręką sięgnął

mimowolnie po nóż przy biodrze, by stwierdzić, że nie wziął ze sobą broni. Po audiencji w siedzibie Sabatu nie wróciliśmy do hotelu po oręż. Byłam zbyt poruszona tym, co zdarzyło się na San Clemente, by myśleć o takich drobiazgach jak broń. Łowca, zirytowany zaciął usta w twardą, wąską kreskę i opuścił ręce wzdłuż boków, rozprostowując palce.

- Co się dzieje? - spytał znowu.

- Pan Gromienko został tu przysłany, żeby mnie zabić - odparłam spokojnie, także opuszczając rękę. Kluczyk nadal ścisnęłam w palcach. Zaczynałam wyczuwać, że Danaus nie ma zamiaru stąd odpłynąć. Nie chciałam, żeby kręcił się w pobliżu, kiedy Nikołaj zaatakuje.

Nie wierzyłam, że Danaus nie będzie się wtrącał w moje sprawy. Bogowie mi świadkami, że nie

potrafiłam w to uwierzyć.

Danaus zerknął w tył na moją twarz, a jego piękne błękitne oczy rozszerzyły się z zaskoczenia i ze zmieszania. Wiedziałam, co myśli. Zaledwie godzinę temu byliśmy na kolacji razem z tym osobnikiem. Uśmiechaliśmy się, dowcipkowaliśmy i wspólnie rozprawialiśmy z niepokojem o mrocznych dniach, jakie nadchodziły. A teraz Nikolaaj przybył

po moje serce.

- Jabari pragnie mojej śmierci - powiedziałam, wzruszając ramionami, jakby te słowa miały wszystko wyjaśnić. I w moim świecie wszystko rzeczywiście było jasne. Jeśli któryś ze Starszych czegoś chciał, tak się stawało, bez względu na to, co ktoś musiał zrobić, by do tego doszło.

Danaus otworzył usta, żeby coś powiedzieć, może nawet mając w zanadrzu jakiś bardzo logiczny argument, ale zanim się odezwał, Nikolaaj zeskoczył z parapetu i lekko wylądował o parę metrów od nas. Danaus sprężył się i zrobił krok w jego stronę, usiłując wejść między mnie a wilkołaka, ale powstrzymałam go, kładąc dłoń na ramieniu. Chłodnymi palcami poczułam, jak jego mięśnie napięły się pod wpływem mojego dotyku, a jego energia przepłynęła przeze mnie, szukając nowej przystani. Danaus był spięty i niezbyt starał się utrzymać swoje moce w twardych ryzach.

- Danausie! - rzuciłam. Wbiłam lekko paznokcie w jego ciepłe ciało, a jednocześnie jakaś część mnie starała się powstrzymać jego moce od pozostania we mnie. - To nie twój interes. Nie potrzebuję twojej ochrony.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Danaus miał twardy, nieustępliwy wyraz twarzy, a mięśnie jego szczęki napinały się, kiedy zaciskał zęby. Z kolei twarz Nikolaaja nie wyrażała żadnych uczuć, jakby jakaś zasłona odgrodziła jego umysł od emocji. Nie wiedziałam, o czym teraz myśli, ale było kilka sposobów rozpoczęcia walki skuteczniejszych od przenikania myśli przeciwnika, mogącego to wyczuć. Większość ludzi tego nie umiała, ale stworzenia magiczne umiały, tak jak wilk, który wyczuwa nadciągającą burzę.

- Czy on może cię zabić? - zapytał Danaus, wciąż nie chcąc się wycofać.

- Może próbować - odrzekłam, nie zwracając uwagi na wilkołaka.

- A ty? Czy go zabijesz?

- Nie, jeśli nie będę musiała - przyznałam. Nie miałam ochoty zabijać Nikolaaja.

Wyglądał na sympatycznego faceta i naprawdę nie miałam nic przeciwko niemu. Za to polowanie na mnie należało winić Jabariego, a nie Nikolaaja. Oczywiście, jeżeli zabicie go okaże się jedynym wyjściem, bym ocalała, nie zawaham się.

Danaus jeszcze bardziej zmarszczył czoło, zadając w ten sposób nieme pytanie; nie spuszczał wzroku z Nikolaaja. Zacisnęłam zęby i odepchnęłam Danausa w tył o krok.

- Nie jestem bezduszną machiną do zabijania - rzuciłam.

Łowca zachnął się, dając do zrozumienia, że ma za nic taki argument.

- Tak czy owak, nie mogę tak po prostu odejść. Naturi usiłują się wydostać na ten świat. Nie możemy pozwolić na niepotrzebne wystawianie twojego życia na szwank.

- Twoja troskliwość rozgrzewa moją zimną krew.

Bezmyślnie wsunęłam kluczyk od silnika motorówki z powrotem do lewej kieszeni, zbyt poirytowana, by myśleć racjonalnie.

- Miro...

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Złapałam go za koszulę i szarpnęłam nim tak, że uderzył plecami o pobliski budynek i aż stęknął.

- Nie dlatego przetrwałam ponad sześć stuleci, żeby strzegł mnie jakiś człowiek z wszczepionym układem scalonym. Poradzę sobie bez twojej pomocy.

- Nie odejdę stąd. Obiecaliśmy sobie, że opuścimy Wenecję razem - powiedział cicho.

I wtedy mnie olśniło. Czasami aż mnie zdumiewa, jak wolno docierają do mnie pewne sprawy. Gdy lecieliśmy do Wenecji, przyrzekliśmy sobie, że oboje wydostaniemy się z tego miasta żywi. Uznałam to jednak za deklarację z mojej strony, że utrzymam jego, Danausa, przy życiu. Nawet nie przyszło mi do głowy, że i on będzie starał się ocalić mnie przed śmiercią.

Puściłam go i, zaskoczona, odstałam o pół kroku. Myśli o Nikołaju, o naturi, o Sabacie - wszystkie odpłynęły na parę sekund. W powietrzu zawisło ciężkie milczenie, zmącone jedynie odgłosem bicia serca Danausa. Biło ono szybciej niż zazwyczaj; szybciej niż podczas naszych potyczek i naszych sprzeczek. To bicie było hipnotyzujące, jak gdyby usiłowało zdradzić mi kolejny z jego wielkich sekretów, ale nie rozumiałam tego podszeptu.

- Dobrze - powiedział wilkołak nonszalancko, wytrącając mnie z rozmyślań. - Możesz zostać.

Ten adonis o blond włosach, prężący mięśnie, sięgnął ręką poza mnie i schwycił

Danausa za czarne loki. Przyciągnąwszy ku sobie jego głowę, huknął czaszką Danausa o ceglana ścianę, nim któreś z nas zdołało zareagować. Łowca, bez głosu, bezwładnie osunął

się na ziemię, wysuwając się z moich rąk.

Spojrzałam na Nikołaja, a na moich ustach pojawił się uśmiech.

- Licz na to, że cię zabiję, bo on będzie poważnie wkurzony, jak oprzytomnieje.

- W takim razie lepiej będzie, jak załatwimy to szybko - odparł, odstępując od zamroczonego Danausa. Piwnymi oczami omiół okolice, wypatrując czegoś. Napiął, muskularny tułów, czekając na mój atak. Zareagowałby, zanim zdołałabym drgnąć. Jednak wcale nie zamierzałam zaczynać tej

walki.

- Tam - powiedział, wskazując głową. - Na *campo*.

Mój wzrok podążył za jego spojrzeniem na zarośnięty plac z pokruszonymi kolumnami i zniszczonym chodnikiem. Było to miejsce za kościołem, w którym wcześniej przebywałam wraz z Danausem. Plac z trzech stron był otoczony małymi opustoszałymi budynkami, od czwartej strony wychodził na lagunę.

Ruszyłam w tamtym kierunku i zatrzymałam się na skraju placu, obok wysokiej kolumny; dłonie oparłam na biodrach i oglądałam wskazane przez Nikołaja pole walki.

Jedynym ostrzeżeniem był lekki ruch powietrza, nim nabrałam oddechu. Nikołaj rzucił się na mnie. Jęk wyrwał mi się z gardła, gdy wilkołak przycisnął mnie do kolumny. Chłodna, szorstka kamienna powierzchnia szorowała moje odkryte ramiona jak gruby papier ścierny, grożąc zderciem skóry. Warcząc, odepchnęłam go od siebie, zanim znowu stanął mocno na nogach po tym, jak pośliznął się na odłamkach gruzu, którymi zasypane było to miejsce.

Podpierając się jedną ręką i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wilkołak szykował się do ponownego skoku na mnie. Jego oczy lśniły mocą, dziwnym miedzianym blaskiem, a cichy warkot dudnił mu w piersi. Wolał nie ryzykować zmiany skóry. Zajęłoby mu to za dużo czasu i byłby wtedy narażony na mój atak.

Zawiała bryza, przesuwając ciężką ścianę letniego upału i lepkiej wilgoci. Aromat laguny drażnił moje nozdrza tak jak piżmowa woń Nikołaja. Otaczał go zapach strachu i sfrustrowania.

Raptownie zaczerpnął powietrza i rzucił się na mnie przez plac. Przypominał teraz, gdy się poruszał, ciemną smugę, bardziej wiatr niż żywą istotę. Uskoczyłam w prawo, próbując zrobić unik, ale nie doceniłam jego szybkości. Ból przeszył moje lewe ramię; spojrzałam na nie i ujrzałam trzy długie, chropowate szramy na bladej skórze. Krew sączyła się po ramieniu i skapywała na ziemię. Mój wzrok znów powędrował w kierunku Nikołaja i zobaczyłam, że palce wilkołaka się wydłużyły, a na ich czubkach wyrosły długie czarne pazury.

Zmarszczyłam czoło, zdusiłam przekleństwo i powoli odstałam o parę kroków, okrążając przeciwnika. Nikołaj mógł się przeobrazić częściowo. Oznaczało to, że był albo o wiele starszy, niż początkowo sądziłam, albo też znacznie potężniejszy. Przeobrażanie poszczególnych części ciała było bardzo trudne i wymagało wielkiej energii i samokontroli.

Byłam raz świadkiem, jak dokonała tego Alex, po czym cała trzęsła się, obłana potem.

Wiedziałam teraz, że mogłam przeciągnąć to starcie, by próbować go wyczerpać, ale sądzę, że oboje woleliśmy stoczyć walkę, zanim Danaus otrząśnie się z zamroczenia.

Nikołaj natarł na mnie znowu, lecz tym razem nie uskoczyłam przed nim; rozstawiłam stopy i lekko ugięłam nogi. Uchylając się przed masywnymi ramionami, w które usiłował

mnie złapać, zadałam mu mocny cios w bok, pod zebra. Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc,

czemu towarzyszyło chrapliwe stęknięcie. Jego prawa stopa zaszurała o podłoże, kiedy starał się odzyskać równowagę po tym niespodziewanym uderzeniu. Zanim zdążył

zaczepnąć powietrza, trafiłam go lewą pięścią w szczękę i aż skrzywiłam się, czując siłę tego uderzenia. Nie chciałam skrzywdzić Nikołaja, ale musiałam go znokautować, żeby zakończyć pojedynek.

Na skutek ciosu upadł na tyłek. Natychmiast cofnęłam się o kilka kroków, gdy wstawał, biorąc kilka chrapliwych wdechów.

- Co ci rozkazano? - zapytałam. Krążyliśmy oboje, oddzieleni od siebie metrem wolnej przestrzeni.

- Zabić cię - odrzekł Nikołaj bez emocji. Po chwili wilkołak rzucił się na mnie, celując prawą pięścią w brzuch. Uskoczyłam, uchylając się przed ciosem i balansując na czubkach palców stóp. Zanurkował znów, zanim całymi stopami dotknęłam podłoża, i wykonał

obrotowy wymach nogą. Zahaczył stopą i kostką o palce moich nóg, co odrzuciło mnie w tył.

Jednak nie przewróciłam się na plecy, tylko utrzymywałam równowagę na czubkach palców. Nie wyglądało to wprawdzie zgrabnie, niemniej wylądowałam na ziemi, przyklękając na jednej nodze, gotowa, by rzucić się na niego.

Nikołaj cofnął się o parę kroków, gdy zorientował się, że nie udało mu się przewrócić mnie na plecy. Z uniesionymi pięściami czekał, aż znowu wstanę.

- Zabić tylko mnie? - podjęłam. - A co z Danausem? I z Tristanem?

Musiałam przejrzeć grę, którą prowadził Jabari. Wiedziałam, że ten Starszy wypuści na mnie Nikołaja, ale co powodowało Jabarim? Czy chciał pozbyć się tego pacholka moimi rękami? A może Nikołaj stanowił większe zagrożenie, niż go o to podejrzewałam? Gdybym teraz i tutaj zginęła, Tristan i Danaus znaleźliby się w wielkim niebezpieczeństwie. A po pojawieniu się naturi w rezydencji Sabatu zaczęłam się na serio zastanawiać, czy Jabari naprawdę nadal potrzebuje mnie żywej. Wiedziałam, że moje noce są policzone, ale w tej chwili poczułam, że może pozostało mi ich mniej, niż wcześniej uważałam.

- Wspomniał tylko o tobie - stwierdził Nikołaj. Jego ciężki oddech i szybkie bicie serca były jedynymi odgłosami na pustym *campo*. Poruszał się bezgłośnie, gdy znów zaczęliśmy wokół siebie krążyć.

- A Alex? - Zamachnęłam się na niego, lecz zrobił unik. Niestety, przeliczyłam się, pewna, że cios dosięgnie celu. Wytrącona z równowagi i zbyt powolna, powstrzymałam się od wypowiedzenia przekleństwa, i wtedy poczułam, jak wielkie łapska Nikołaja opasują moje ramiona. Jasny błysk eksplodował mi przed oczami, gdy wilkołak grzmotnął czołem w moją czaszkę. Po tej fali bólu napłynęła następna, bo zdzielił mnie pięścią w podbródek, aż odskoczyła mi głowa.

Jakoś utrzymałam się na nogach, choć jeszcze nie otwierałam oczu. Nie musiałam na niego patrzeć.

Słyszałam go. Czułam jego zapach. Czułam żar, bijący od jego masywnej postaci. Zgrzytając zębami, przywaliałam mu prawą pięścią w bok. Odgłosu co najmniej dwóch pękających żeber nie można było pomylić z żadnym innym dźwiękiem.

- Mówił tylko o tobie - jęknął.

Robiąc kilka chwiejnych kroków w tył, zamrugałam dwukrotnie, by wyraźniej przejrzeć na oczy. Do licha, miał naprawdę cholernie twardy łeb! Nikołaj stał o metr ode mnie, wciąż wyprostowany; jedną dłoń przyciskał teraz do pogruchotanej klatki piersiowej.

Zachnęłam się.

- Szczęściara ze mnie.

- Przykro mi. - Słowa te wypowiedział niemal bezgłośnym szeptem, na co zmarszczyłam czoło tak mocno, aż poruszyły mi się kąciki ust. Wszyscy znaleźliśmy się na tych wysepkach w takiej lub innej pułapce.

Nikołaj natarł znowu, chcąc szponiastymi pazurami przeorać głęboko moje ciało. Tym razem nie próbowałam uniku. Schwyciłam go za przedramię i wykorzystując jego rozpęd, odrzuciłam go od siebie. Niestety, wilkołak okazał się dość bystry, by złapać mnie długimi palcami za nadgarstek i pociągnąć za sobą na ziemię.

Upadliśmy oboje, przy czym ja zwałam się na niego. Stęknęliśmy, uderzając o twarde, kamienisty grunt. Przetaczaliśmy się ze splecionymi nogami, zmagając się które z nas weźmie górę. Kiedy w końcu zatrzymaliśmy się, Nikołaj znalazł się na mnie, z kolanami po obu stronach moich bioder, i starał się przywoździć moje ręce do ziemi po obu stronach głowy.

Dostrzegłam złocisty błysk i powędrowałam wzrokiem ku złotemu krzyżykowi, zwisającemu z jego szyi na grubym złotym łańcuszku. W tym drobnym metalowym przedmiocie odbijało się srebrzyste światło księżyca; wydawało się, że krzyżyk do mnie mruga. Nie promieniał własnym światłem ani żarem, jak to często ukazują na filmach. A jednak czułam, jak pulsował mocą, uderzającą we mnie, gdy starałam się zrzucić z siebie wilkołaka. Nikołaj żywił mocną wiarę. Choć nie wspomniał o tym ani słowem, wiedziałam, że głęboko wierzy w Boga i w to, że ów niebiański gospodarz obroni go przede mną.

Zasyczałam przez zaciśnięte zęby i przywarłam plecami do chłodnego, pokruszonego kamienia, próbując odsunąć twarz od krzyżyka. Gdyby się zetknął z moim ciałem oparzyłby mnie, a ponieważ wiązało się z tym zakłęcie, oparzenie nigdy by się nie zagoiło. Wolałam nie mieć blizny w kształcie krzyża na twarzy.

- Pomyślałeś o wszystkim, co? - wyszeptałam chrapliwie, gdyż nie mogłam rozewrzeć szczęk. Nikołaj milczał, starając się przydusić mnie, ale niewiele mu to dało. Był silny, ale ja byłam silniejsza. Zdołałam unieść ręce o kilka centymetrów nad podłogę i zaczęłam spychać go z siebie. Sieknąwszy jeszcze raz, osłabił nacisk na mnie, na krócej niż wzięcie jednego oddechu, a potem znów przydusił moje ręce do ziemi. Rozległ się odgłos pękających kości.

Wrzasnęłam, unosząc nad podłogę wygięty w łuk tułów. Nikolaś uderzył moim prawym przedramieniem o skalę, łamiąc w nim kości na pół. Na parę sekund ból rozmył mi wszystko przed oczami. Myśl o tym, by pokonać Nikołaja, nie zabijając go przy tym, ulotniła się. Instynktownie uderzyłam kolanami w miejsce między jego nogami. Zaskoczenie i ból, jakiego doznał, wystarczyły, bym wreszcie zepchnęła go z siebie.

Zanim upadł na ziemię, wyrósł wokół niego ognisty krąg, strzelający na dwa metry w powietrze. Z trudem powstawszy, przyłożyłam złamaną rękę do piersi, uskakując w najciemniejszy zaułek *campo*. Na jednym z przeciwległych rogów placu stała dwuosobowa altana, gęsto obrosnięta pnączem. Mrok był tam głęboki i mogłam się w niej skryć.

Miro!

Drgnęłam, czując w głowie nagłą obecność Danausa. Ten głos był niepewny i odległy, pomyślałam więc, że Danaus wciąż tkwi pod murem, pod którym go zostawiłam.

Uciekaj! - poleciłam mu mentalnie. *Usiłuję nie dać się zabić.*

Jesteś ranna.

Uciekaj! Nie zdziwiło mnie, że wiedział, iż zostałam ranna, gdyż ból przepełniał całe moje ciało. A jednak zeszywniałam, czując nagle delikatną falę mocy przepływającą przeze mnie. Danaus i jego ciepły dotyk powoli przemieszczały się po moim ciele, szukając kontuzjowanego miejsca. *Prawa ręka. Złamana.* Ta myśl rozbrzmiała w mojej głowie drżąc i lękliwie. Nocni wędrowcy tego nie potrafili. Umieliśmy odczytywać myśli i odczucia innych, ale nie byliśmy w stanie dotykać się nawzajem z oddalenia.

Już do ciebie idę. Ta myśl z kolei zabrzmiała mocno i stanowczo. Czułam, jak Danaus się zbliża.

Nie, złamanie już się goi. Zostań tam, gdzie jesteś. Ja...

Szybko urwałam tę myśl, widząc, jak Nikolaś przeskakuje przez ogień, uniesionymi rękami chroniąc twarz. Nocny wędrowiec nigdy nie podjąłby takiego ryzyka. Zbyt łatwo stawali się w płomieniach. Kiedy wilkołak znalazł się na ziemi, natychmiast ugasiłam ogień; plac ponownie pogrążył się w całkowitej ciemności. Wiedziałam, że ogień odbierał

wilkołakom zdolność widzenia w nocy, lecz miałam zaledwie parę sekund, zanim on znowu będzie mógł przeniknąć wzrokiem mrok.

Chwytnąjąc kamień wielkości pięści, bezgłośnie przemknęłam przez plac w stronę wilkołaka. Zamierzałam uderzyć go w tył głowy. Skoro w ten sposób udało mu się oszołomić Danausa, to może był to słaby punkt również Nikołaja. Jednak wilkołak wyczuł mnie w ostatniej chwili - nie wiedziałam, czy za sprawą ruchu powietrza, czy też szelestu mojego ubrania, gdy się poruszałam. Zwrócił twarz w moją stronę i trafiłam go w skroń. Osunął się koło moich stóp.

Szuranie o twarde podłogę skierowało moje spojrzenie na skraj placu; uniosłam lewą rękę trzymającą kamień, gotowa cisnąć nim w intruza. W mroku stał Danaus, z uniesionymi ramionami na

znak kapitulacji i uśmieżkiem na ustach.

- Kiepsko wyglądasz - odezwał się, na co obrzuciłam go nieprzychylnym spojrzeniem.

- A ty uciałeś sobie miłą drzemkę? - zadrwiłam, odrzucając kamień.

Uśmiech zniknął z jego warg i Danaus popatrzył na mnie równie nieprzychylnie.

Trochę przesadziłam, wymieniając z łowcą złośliwe uwagi. Były ważniejsze sprawy, a noc upływała.

Uklękałam blisko Nikołaja, ale nie dotykałam go. Jego pierś unosiła się w rytm głębokich, równych oddechów i mogłam dosłyszeć mocne, miarowe bicie jego serca.

Powinien dojść do siebie. Krew spływała z jego skroni, ale byłam pewna, że krwotok wkrótce ustanie. Kiedy wstałam, Danaus znalazł się już przy nieprzytomnym wilkołaku.

- Sprawdź, czy on nadal ma na szyi krzyżyk - powiedziałam.

Danaus spojrział na mnie spod ściągniętych brwi, ale ukląkł bez słowa i jednym palcem rozchylił kołnierzyk koszuli wilkołaka, aż na opalonej skórze ukazał się złoty łańcuszek z krzyżykiem.

- Nie chcę, żeby ktoś poczuł zapach jego krwi i spałaszował go jako przekąskę -

rzuciłam cicho, odwróciłam się i odeszłam. Znowu przycisnęłam ramię do brzucha, lecz ból zaczynał się uśmierzać. Kość się zrastała, choć proces ten przebiegał wolniej od gojenia się ran.

- Dlaczego Jabari go nasłał? - spytał Danaus, idąc za inną.

- Nie wiem.

- Ale naturi...

- Nie wiem, Danausie. Nie wiem, co oni knują, ale zaczynam się zastanawiać, czy Jabari nie szykuje mi czegoś jeszcze - przyznałam cicho. Skoro byłam potrzebna do sporządzenia i chronienia pieczęci, która strzegła naturi, to tym samym Sabat nie mógł mnie zgładzić. Jednak ta napaść Nikołaja oznaczała, że albo Jabari w końcu znalazł kogoś na moje miejsce, albo Sabat nie chciał już dłużej chronić owej pieczęci. Lub też Jabari miał wobec mnie jakieś plany, które nie uwzględniały ani Sabatu, ani naturi.

Stojąc na deptaku koło motorówki, spojrzałam ponad laguną na jasne światła placu Świętego Marka. Witaj ponownie w Wenecji, Miro. W tym ginącym mieście ból i przerażenie czały się w każdym cieniu i za każdym rogiem, a wszystko to pod maską elegancji, uroku Starego Świata i cywilizacji.

Danaus stanął za mną i nieoczekiwanie położył mi rękę na prawym ramieniu.

Odwróciłam raptownie głowę, by spojrzeć na jego dużą dłoń, gdy jego ciepło przepłynęło przez

moje chłodne ciało. Równocześnie wsunął dwa palce drugiej dłoni do mojej przedniej, lewej kieszeni. Zaskoczona próbowałam gwałtownie odsunąć się od niego, ale znalazłam się w potrzasku między jego masywnym ciałem a wodami kanału. Zwężonymi oczami spojrzałam mu w twarz. Danaus uśmiechnął się znowu i pomachał mi kluczykiem przed nosem.

- Nie jesteś w formie, żeby sterować łodzią - powiedział, a potem zszedł do motorówki. Zmarszczyłam czoło i nie odpowiedziałam, wskakując do małej motorowej łodzi i zajmując jedno z siedzeń. Moje ramię już się prawie zrosło, ale miałam to gdzieś. Czułam się poturbowana i wyczerpana starciem.

Silnik zawył, gdy Danaus odbił od brzegu wyspy i wypłynął na wody laguny, kierując się w stronę kanału Guidecca i naszego hotelu. Szum wiatru i fal oddziaływał kojąco; czułam, że mięśnie karku się rozluźniają. Pomyślałam przez moment o Nikołaju, zastanawiając się, czym mu groził Jabari.

Pokręciłam głową, nie zważając na to, że nikt tego nie widzi, zatopiona we własnych myślach. Jabari prowadził jakąś grę. Nie pojmowałam tylko, do czego zmierza. Mój cel był

jasny. Miałam dbać o zachowanie pokoju. A jedyną drogą prowadzącą do tego było zniweczenie układów Sabatu z naturi. Musiałam wpaść na pomysł, jak do tego doprowadzić.

Rozdział 12

Wszelkie myśli o tym, że zasłużyłam na odrobinę wytchnienia po nocach wypełnionych ucieczkami i potyczkami, zostały skutecznie rozwiane. Teraz pragnęłam tylko kilku minut spokoju, aby pokusić się o próbę przewidzenia następnego ruchu Jabariego.

Zdusiłam westchnienie, zaciskając zęby i tłumiąc w sobie chęć ucieczki, gdy wraz z Danausem wchodziłam do naszego apartamentu w hotelu Cipriani. Nie zastaliśmy tam jedyni rozkosznie wtulonych w siebie Sadiry i Tristana. Pokoje były puste. Wprawdzie nie wydałam im obojgu polecenia pozostania na miejscu, ale i nie wyczułam, przeczesując okolice hotelu przed opuszczeniem Torcello, aby wybrali się na uliczne łowy.

Przytłaczające napięcie, rozdęte i paskudne, wisiało w powietrzu, dławiąc oddech w piersi. Stojąc pośrodku czarno-szarego saloniku, zmagalam się z chęcią zaciśnięcia pięści. Do tego pięknego pokoju z eleganckimi meblami i lśniąca marmurową posadzką nikt obcy nie wtargnął, a więc Sadira i Tristan wyszli stąd sami.

Zaczęłam szukać powoli, z wahaniem. Moje moce rozchodziły się kręgami, sięgając coraz dalej, w końcu docierając na główne wyspy Wenecji. Nie było na nich ani Tristana, ani Sadiry. Niepewnie skierowałam je przez lagunę na San Clemente, gdzie wreszcie odnalazłam Sadirę w Wielkiej Sali Sabatu. Nie była tam sama.

Jej emocje okazały się czytelne. Była spokojna, lecz smutna. Nadal nie mogłam wyczuć obecności Tristana, ale wiedziałam, że i on tam się znalazł. Ktoś blokował moją zdolność do wyczuwania go, a mogła to uczynić tylko jedna osoba: ukochana stwórczyni Tristana, Sadira. Nocny wędrowiec potrafił chronić siebie i swoje dzieci przed namierzaniem przez inne wampiry - był to rodzaj mechanizmu

obronnego. I tylko najstarsi, tacy jak Jabari, mogli taki stan utrzymywać prawie w nieskończoność. Sadira w najlepszym razie potrafiła utrzymać taką zaporę przez parę nocy, ale wcale nie musiała ukrywać Tristana tak długo.

Pragnęła tylko zyskać czas, z myślą o sobie i o kimś innym. Być może tym samym kierował

się Nikołaj. Jabari zapewne nie wierzył tak do końca, że ten wilkołak zdoła mnie zabić, lecz wiedział, że Nikołaj zajmie mnie sobą na jakiś czas.

- Czy jesteś w stanie wejść do kościoła? Do nadal funkcjonującego kościoła? -

zapytałam Danausa. Mój cichy głos zakłócił pełną napięcia ciszę, która wypełniała apartament. Stając koło sofy, pochyliłam się, by prawą dłonią mocno uchwycić jeden z rogów pograżonego w mroku stolika, aż zabolalo mnie dopiero co zagojone przedramię. Danaus zatrzymał się za mną po lewej stronie, w pobliżu podwójnych drzwi apartamentu. Nie próbowałam nawet ukrywać frustracji i złości. Po co zresztą? I tak Danaus mógł przejrzeć moje emocje, jeśli tylko zechciał.

- Tak - odpowiedział. - A co się dzieje?

Ciężkim krokiem przeszedł przez pokój, zatrzymując się przed workiem z bronią, leżącym koło sofy. Położył tę znoszoną torbę na stoliku do kawy, otworzył ją, nie patrząc na mnie, i zaczął w niej grzebać w poszukiwaniu jakiejś odpowiedniej broni, za pomocą której mógł niszczyć wrogów.

Otworzyłam usta, ale nie zdołałam wydobyć głosu ze ściśniętej krtani. Zwilżyłam językiem wargi i spróbowałam ponownie, zmuszając palce do rozluźnienia silnego chwytu, ponieważ zaczynały mnie boleć i nie chciałam zmiążdżyć drewnianego blatu.

- Jest coś, czym powinnam się zająć. - Słowa te zabrzmiały głucho i beznamiętnie pomimo zamętu, jaki mnie ogarnął. Musiałam wrócić na San Clemente.

Zerknąwszy przez ramię na swojego towarzysza, ujrzałam, że nie odrywa wzroku od błyszczącej stali i skóry, grzebiąc w worku z bronią.

- Gdzie Sadira i Tristan? - spytał.

Zignorowałam to pytanie, wyprostowałam się i zdołałam wreszcie oderwać palce od stolika. W milczeniu zdjęłam naszyjnik i kolczyki, które miałam na sobie, i wsunęłam je do przednich kieszeni. Teraz by mi zawadzały.

- Kilka przecznic na południe stąd jest pewien kościółek. Idź tam i pozostań w nim aż do świtu - poleciłam, nie patrząc na niego, tylko prosto przed siebie.

- Pójdę z tobą.

Odwróciłam się w stronę Danausa; dzieliła nas odległość około metra. Ściągnął czarne brwi ponad nasadą nosa i napiął mięśnie szczęki, zaciskając zęby. Palcami zręcznie zaczepił u pasa skórzaną pochwę noża, szykując się do zbliżającego się starcia. Postanowił już towarzyszyć mi w walce, która

mnie czekała. Moje czoło nieco się wypogodziło i trochę mi było lżej oddychać. Wściekłość i strach, przytłaczające mnie w trakcie minionych kilku nocy, zeszyły na dalszy plan. Danaus nie miał pojęcia, co nas czeka i jak niewielką mamy szansę przeżycia, jednak gotów był podążyć moim śladem.

Niestety, nie tym razem.

- To nie wchodzi w rachubę - powiedziałam, kręcąc głową. - Nasze zadanie to pozbycie się naturi. - Mój głos stał się zimny i surowy jak rosyjska tundra. Dla dobra Ta staną i swojego własnego nie mogłam pozwolić, aby Danaus mi towarzyszył. - To sprawa między nocnymi wędrowcami. Pójdę tam sama. Ty idź do kościoła. Nie chcę się martwić, że ktoś cię napadnie podczas mojej nieobecności. Niezrażony moim tonem mocno schwycił mnie za nadgarstek, kiedy chciałam odejść.

- Co się dzieje, Miro? Najpierw Nikołaj, a teraz to. Gdzie są Tristan i Sadira?

Popatrzyłam w jego zwężone niebieskie oczy i przez chwilę pragnęłam zatopić się w ich chłodnej głębi. Chciałam zapomnieć o tym wszystkim i znów pobawić się z nim w kotka i myszkę w zabytkowej dzielnicy Savannah. Wic działałam, że Danaus bez wahania podążyłby za mną do rezydencji Sabatu i bronił mnie do ostatniego tchu.

Oczywiście, postępując tak, chciał chronić nie tyle mnie samą, ile raczej całą ludzkość. Stanowiłam klucz broń do zniszczenia naturi. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy przez to nienawidzi mnie jeszcze bardziej. Byłam stworzeniem, w którym widział

wcielenie zła, a teraz również wybawienie dla ludzkości. I on, łowca wampirów, musiał chronić swój cenny łup.

- Sadira zabrała Tristana do siedziby Sabatu - powiedziałam szeptem.

- Po co? - Jego niski głos także przycichł, jak byśmy się sobie zwierzali z sekretów. To już jednak uczyniliśmy wcześniej tej nocy, w dodatku wyrzaskując je i to tak głośno, że słyszano nas w niebiosach.

- Za karę - rzuciłam cicho, wyduszając te słowa ze ściśniętego gardła. - Zabrałam jej Tristana, więc musiała się na mnie odegrać. - Skierowałam wzrok ku oknom, z których rozciągał się widok na plac Świętego Marka. Plac ten lśnił ciepłym, żółtym światłem, przyciągając nocnych hulaków.

- Czy oni go zabijają?

- Tak, ale nie wcześniej, nim się tam zjawię. - Głos mi stężał i zwinęłam dłonie w pięści, gdy bezmyślnie wyglądałam przez rząd okien. - Ona zechce, żebym na to patrzyła; abym się przekonała, że nie zdołałam go ochronić.

Danaus potarł lekko kciukiem przegub mojej dłoni w delikatnej pieszczocie, przyciągając mój wzrok z powrotem ku swojej twarzy.

- A czy będą próbowali zabić ciebie?

Półuśmiech wykrzywił mi prawy kącik ust, maskując zatroskanie, które niewątpliwie malowało się na mojej twarzy.

- Może i spróbują, ale wątpię w to. Sabat zechce raczej przywołać mnie do porządku.

Postarają się złamać mnie i przypomnieć, że mam im służyć.

- A więc nie mogę się tam udać - wyszeptał Danaus, puszczał mój nadgarstek.

Bezwładnie opuścił rękę. Zrozumiał wreszcie, że muszę dać dowód własnej siły. To był test.

Gdyby znalazł się tam wraz ze mną i chronił mnie, zostałoby to uznane za przejaw mojej słabości. Wszelka pomoc, jakiej by mi udzielił, przyniosłaby więcej złego niż dobrego.

- Nie.

Podeszłam do drzwi, nie chcąc patrzeć na swojego współnika. Chcieli mnie udreńczyć.

Chcieli sprawić, bym zapragnęła śmierci, ale nie zabiją mnie. Tej nocy szykowała się zabawa.

Gdybym jakoś zdołała przeżyć kilka następnych nocy i udaremnić plan Rowe'a, który zmierzał do uwolnienia natury, miał się zacząć sezon nieskrępowanych polowań na mnie.

Z ręką na uchylonych drzwiach zerknęłam przez ramię na pokój, nagle nienawidząc jego wystawności. Nadal nie patrzyłam na twarz Danausa.

- To się skończy przed świtem.

Nie byłam do końca przekonana, czym miało się okazać wspomniane „to”, ale nie wątpiłam, że zanim nadejdzie brzask, ktoś zginie. Wiedziałam, że Sadira weźmie im mnie odwet. Było to w jej stylu, w stylu wszystkich nocnych wędrowców. Przywłaszczyłam sobie kogoś, kto do niej należał, i to na oczach członka dworu. Z podobnym skutkiem mogłam podejść do niej i napluć jej w twarz. Naturalnie wieść o moim postępku rozeszła się z szybkością błyskawicy wśród legionu wampirów.

A ja naiwnie sądziłam, że mam nieco więcej czasu Sadira była wyjątkowo cierpliwym stworzeniem. Igrała ze swoimi ofiarami, jeśli miała na to czas, pozwalając im czepiać się cienkiej linki nadziei, zanim ostatecznie je unicestwiała. Sądziłam, że zaczeka, aż uda nam się pokonać Rowe'a. Najwyraźniej jednak uznała, że nie zyska lepszej okazji do odegrania się na mnie, więc przyspieszyła całą sprawę. Albo też to ktoś inny pociągał za sznurki.

Przemknęłam przez lagunę w rekordowym tempie. Znałam te wody. Może nie tak dobrze jak ulice mojego ukochanego Savannah, ale wystarczająco, by popędzić motorówką z maksymalną szybkością ku wyspie. Opływając małą, uroczą kamienną przystań w pobliżu siedziby Sabatu, zawinęłam łódką do mola. Było tam tłoczno od lodzi różnych kształtów i rozmiarów, jedno miejsce pozostawało jednak puste. Czekali tu na mnie.

Jeszcze w motorówce, zanim wyszłam na kamienne nabrzeże, po raz ostatni omiotłam wysepkę

mocami. Wszyscy zebrali się w Wielkiej Sali Sabatu. Namierzyłam Elizabeth w jednej z podziemnych komnat, służących jako miejsce dziennego spoczynku. Był tam także Macaire, ale on zmierzał właśnie, ku pomieszczeniu na którejś z wyższych kondygnacji Jabariego, rzecz jasna, nie potrafiłam odnaleźć. Minęło sporo lat, odkąd po raz ostatni zdołałam to uczynić. Obecnie bez przerwy pozostawał spowity ochronnym całunem, skrywając się przed czymś.

Gdy cumowałam łódź na przystani, bolesny krzyk rozdarł mój mózg, rzucając mnie na kolana. Rozdzierający ból przeszył moje ciało, jak gdyby tysiąc kotów ostrzyło sobie na mnie pazury. Mięśnie drżały, a żołądek kurczył się i rozkurczał w spazmach bóleści nie mającej przyczyny. Mocno uchwyciłam się koła sterowego, usiłując odzyskać równowagę, gdy przeszła mnie ostatnia fala bólu i przerażenia. Odnalazłam Tristana.

Węzeł lęku zacisnął się w mojej klatce piersiowej, topniał jednak w żarze wściekłości, która kipiała mi w żyłach. Sadira zarzuciła znowu całun, odseparowujący Tristana od moich zmysłów. Oni go torturowali, oczekując mojego rychłego przybycia. Mogłam odczuć ból, tętniący w jego szczupłym ciele, i skrajne wyczerpanie, gdy ciało Tristana próbowało zagoić zadawane mu rany. Wskoczyłam z łodzi i pospieszyłam do rezydencji Sabatu. Jednak pośpiech okazał się zbyteczny. Zebrane wampiry przestały się zabawiać, czekając na mnie.

Ci sami dwaj ludzie, którzy byli tu wcześniej tego wieczoru, otworzyli masywne odrzwia, a ich mięśnie napięły się z wysiłku, jakiego wymagało pchanie potężnych wrót z żelaza i drewna. Przelotnie obrzucili mnie nerwowym spojrzeniem ciemnych oczu, po czym znów wbili wzrok w ziemię. Wiedzieli, że tam, w środku, coś się dzieje, coś koszmarnego.

Słyszeli wrzaski Tristana nawet przez grube drzwi i byli wdzięczni losowi, że to nie im zadawane są te okropne męki. Wciąż pozostawało kilka godzin do odejścia nocy, było więc dużo czasu do wykorzystania.

Żyrandole zwisające z sufitu wygaszono, a długi hol słabo oświetlały pojedyncze żelazne kandelabry z grubymi żółtymi świecami. Mimo że nastał wiek elektroniki, pewne nowinki tu nie dotarły i nie wprowadzono ich zwłaszcza w Wielkiej Sali. Drobne płomyki tańczyły na chwiejnych podstawkach, rzucając długie cienie, które zbierały się w mrocznych kątach, zupełnie jakby knury własne potajemne spiski.

Przedemną drzwi do głównej komnaty audiencyjnej otwarły się bezgłośnie, jakby wciągając mnie do środka. Nie zauważyłam, kto je otworzył, ale to nie miało znaczenia. Nie odrywałam wzroku od Tristana, który klęczał na środku sali. Nagi i okrwawiony, miał na szyi zaciśniętą wielką obręcz, połączoną ciężkim łańcuchem z masywnym żelaznym pierścieniem na podłodze. Nie skuto mu kajdankami rąk i nóg, mógłby się więc bronić, ale łańcuch był tak krótki, że nie pozwalał Tristanowi się podnieść.

Tristan uniósł głowę, kiedy posłyszał odgłos moich kroków, odbijający się ciężkim echem od marmurowej posadzki, i skurczył się cały, bo wywołane przez to drgania wzmogły jeszcze jego ból. Jego piękna twarz była zalana krwią, miał złamany nos. Widziałam ślady ukąszeń na jego karku i po wewnętrznej stronie jednego z ramion. Pozbawili go sił, zanim go skatowali, ażeby jego ciało nie mogło zagoić ran.

Jednak dopiero na widok jego oczu wściekle zasyczałam. Wyraz tych niebieskich oczu nie przestanie mnie prześladować do końca życia. Tristan nie błagał o ratunek, tylko o to, bym skróciła jego męki. Ból fizyczny był czymś nieporównywalnie mniejszym od tego, co oni prawdopodobnie wyczyniali z jego umysłem. Miałam wrażenie, że Macaire zabawiał się z Tristanem, zanim przekazał młodego nocnego wędrowca pozostałym członkom dworu.

Poruszenie w sali skłoniło mnie do oderwania wzroku od Tristana. Spojrzałam na Sadirę. Siedziała na schodach przed krzesłem, na którym wcześniej tego wieczoru zasiadał

Macaire. Jej twarz była pozbawiona wyrazu i spokojna, jakby wykuta z białego marmuru.

Zgrzytając zębami, oderwałam spojrzenie od jej szczupłej postaci i rozejrzałam się po sali.

Zebrał się tu prawie tuzin innych nocnych wędrowców. Pod ścianami stały teraz wysokie krzesła i wygodne kanapy, zapewniając odrobinę komfortu obserwującym cały spektakl.

Tristan miał stanowić jedynie rozgrzewkę, a właśnie ja - główną atrakcję. Skupiając uwagę ponownie na Tristanie, stanęłam przed nim i zdusiłam w sobie rozpierający mnie gniew. Poradzę sobie z nimi, pomyślałam. Nauczę ich się mnie bać. Dni, w których stawałam przed tym dworem, walcząc o przetrwanie, minęły wieki temu, a wtedy byłam jeszcze z Sadirą. Większość obecnych tutaj wampirów wówczas jeszcze się nie odrodziła. Dla nich stanowiłam mityczną postać, baśniową i dość nierzeczywistą. Zamierzałam ich przekonać, że mogę stać się dla nich prawdziwym koszmarem.

Swobodnie wsparłam dłonie na biodrach i popatrzyłam na Tristana. Zimna, marmurowa posadzka wokół niego była wymazana krwią. Opanowałam wściekłość i obrzydzenie, starając się, by w moim głosie zabrzmiało poirytowane znużenie.

- Co ty tu wyprawiasz?

- Kazano mi tutaj przybyć - zacharczał. Ochrypł od krzyku.

- Kto ci kazał?

- Sadira.

- Ja jestem teraz twoją panią - powiedziałam, zdumiona opanowanym tonem własnego głosu. Mój spokój był pozorny. Mięśnie we mnie drżały, gardło miałam ściśnięte. Byłam od niego dwa razy młodsza, gdy po raz pierwszy wystąpiłam tu, dostarczając wieczornej rozrywki, i wyniesiono mnie stąd wtedy nieprzytomną. Przespałam potem ponad siedem nocy z rzędu, kiedy moje ciało zdrowiało. Nigdy nie przebaczyłam Sadirze tamtej nocy w rezydencji Sabatu. Wielu uważało, że takie dostarczanie rozrywki dworowi było czymś w rodzaju inicjacyjnego rytuału. Nie tylko miało wzmacniać nocnego wędrowca, ale także uczyć go posłuszeństwa. Mnie nauczyło nienawiści.

Patrząc na Tristana, zdawałam sobie sprawę, że to tylko figurant. Nie miał żyć długo ani urosnąć w siłę. Sadira uczyniła go słabym i utrzymywała w słabości, przywiązując go do siebie. Zabijałam mocniejszych od niego, bo stawali się beztroscy i nie potrafili o siebie zadbać. Bez nadzoru Sadiry

stałby się jednym z takich nocnych wędrowców i to być może ja dopadłabym go pewnej nocy jak mroczny anioł śmierci. Ale nie mogłam do tego dopuścić.

Teraz Tristan należał do mnie.

Może coś w jego oczach przywodziło mi na myśl Michaela. A może raczej chodziło o to, że dwie noce wcześniej nie ochroniłam Thorne'a i Michaela. Albo też dostrzegłam zbyt wiele z siebie w tych przepelnionych bólem oczach. Znałam męki, jakie przeszedł, i cierpienia, które jeszcze go czekały. Powody nie były teraz takie istotne.

Chociaż raz chciałam kogoś ocalić, a nie zniszczyć. Nie miałam zamiaru pozostawić Tristana na pastwę tych monstrów. Jednakże, niestety, wszyscy mieliśmy do odegrania jakieś role, jakąś grę pozorów, zanim się rozejdziemy. I musiałam zyskać pewność, że Tristan jest mi bezwzględnie posłuszny.

- Mówiłam ci, żebyś tu nie przychodził - powiedziałam. Zwiesiłam luźno rękę, mimo że napięcie iskrzyło we mnie jak prąd elektryczny przepuszczony przez naprężone ciało. -

Powinnam pozostawić cię tutaj za karę za twoje nieposłuszeństwo.

- Proszę, nie! Miro, proszę! Ona mnie stworzyła. Musiałem jej usłuchać - błagał. Jego cichy głos ledwie wznosił się ponad szept. Rzucił się naprzód, złapał mnie za nogi, a krzyk wydobył się z jego otwartych ust. Kiedy się pochylił, dostrzegłam, że jego plecy są jedną krwawą miazgą. Obdzierali go ze skóry.

Nachyliłam się i delikatnie ujęłam jego podbródek, zmuszając Tristana, by na mnie spojrzał.

- Od dzisiejszej nocy ona jest dla ciebie nikim. Odtąd to ja stanowią cały twój świat -

powiedziałam chłodno.

- Tak, pani - wydusił z bólem.

Obejmując jego twarz obiema dłońmi, otarłam kciukami krwawe łzy, ściekające mu po policzkach.

- A teraz powiedz mi, kto cię tknął.

Powoli uniosłam wzrok, by ogarnąć nim zebranych; Tristan milczał. Żadne imiona nie padły z popękanych, drżących ust, ale i nie oczekiwałam, że wskaże mi swoich oprawców.

Wszyscy wiedzieliśmy, że w każdej chwili mogę wyłowić ich twarze z jego wspomnień. Ale nawet tego nie musiałam robić.

Nie zadałam sobie trudu, żeby spojrzeć na Sadirę. Ona go nie tknęła. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyby nawet to uczyniła. Dość, że dostarczyła go na ten dwór dla rozrywki. Omiatając wzrokiem twarze zebranych, zauważyłam, że Valerio skurczył się na jednym z krzeseł z wysokim oparciem, przebierając długimi, bladymi palcami na wysokości brzucha. Uniósł w uśmiešku kąt kształtnych ust,

rzucając mi wyzwanie, ale ubranie miał

nieskazitelnie czyste, w odróżnieniu od niektórych swoich kamratów. Obserwował tylko to przedstawienie. Zajął neutralną, bierną postawę, ale nie opowiedział się także po mojej stronie. W tej chwili nie mogłam liczyć na więcej.

- Uważam, że byt całkiem słodki - oznajmiła Gwen, wstając z wdziękiem z krzesła po mojej lewej stronie, w pobliżu podwyższenia na skraju sali. Jej jasnoniebieska bluzka i białe szorty były splamione krwią Tristana.

Gdyby nie te plamy krwi i błysk w jej zwężonych oczach, wyglądałaby na turystkę na wakacjach.

- Liczyłam, że usłyszę to od ciebie - powiedziałam, a słowem tym wtórował mój ponury śmiech. Obeszłam Tristana i znalazłam się między nim a Gwen. - Zdaje się, że mówiłam, iż nikomu nie wolno go tknąć.

- Starsi obiecali go nam - odpowiedziała. Jej umazaną krwią twarz rozjaśnił triumfujący uśmiech.

- Ostrzegałam cię. - Starannie powiedziałam to po włosku. Na język ten przeszłam bezwiednie, gdy moje myśli zeszły na z pozoru dawne wspomnienie walk, toczonych na oczach Starszych - kiedy to przemoc, okrucieństwo, dzika żądza rozrywania i rozszarpywania narastały w powietrzu, aż stawały się żywą, dyszącą istotą.

Gdy powiedziałam te słowa, świece wokół jakby ożyły. Małe ogniki w kształcie kropli zajaśniały, przepędzając cienie do odległych kątów.

- Słowo Sabatu jest prawem! - krzyknęła Gwen, odrywając ode mnie wzrok, kiedy zauważyła jaśniejsze światło. Zdradzające napięcie bruzdy ukazały się w kącikach jej ust, gdy powstrzymywała się przed ściągnięciem brwi. - Nie stoisz ponad Sabatem, Krzesicielko Ognia.

- Zwierzchniczka wampira ma prawo nie wydać swojego podopiecznego, jeśli tak zechce - rzekłam, cytując pradawną zasadę.

- Przekazała go nam jego stwórczyni - argumentowała Gwen, wskazując na Sadirę. Jej uśmiech nieco przygasł i widziałam wyraźnie drżenie jej wyciągniętego palca wskazującego.

Nikt nigdy nie poważył się nie wydać jakiegoś podopiecznego, jeśli ktoś ze Starszych zażyczył sobie rozrywki kosztem takiego biedaka. A jeżeli zwierzchnik nawet się na to poważył, to narażał się na ataki wszystkich pobratymców. W trakcie swojego życia tylko raz słyszałam o podobnym zdarzeniu. Oto Jabari nie zgodził się wydać mnie Macaire'owi, co dodatkowo nasiliło konflikt między nimi. Co gorsza, w owym czasie nie miałam statusu towarzyszki Jabariego, a on formalnie nie był moim zwierzchnikiem.

- Ja jestem jego panią. Ostrzegałam cię - powtórzyłam. Moje słowa brzmiały cicho i niewzruszenie, zwodniczo spokojnie, ale Gwen nie dała się zwieść.

- Jesteś nikim! - zawołała, zaciskając w pięści dłonie po bokach ciała.

Zaśmiałam się, a odgłos ten nabrał dudniącej, złowieszczej głębi. Pobrzmiwał

dziwnie długo w całej komnacie, odbijając się echem od ścian, gdy rzuciłam się na nią. Moja pięść trafiła ją w szczękę, nim jeszcze znalazłam się przy niej. Gwen usiłowała się uchylić, ale jej refleks okazał się odrobinę spowolniony. Poczułam, jak pęka kość pod wpływem ciosu, gdy głowa Gwen odskoczyła w tył, a impet uderzenia rzucił ją całą na ścianę.

Gwen próbowała szybko stanąć na nogi, choć krew spływała jej z kącika ust, lecz już byłam przy niej. Złapałam ją za gardło i uniosłam nad posadzkę. Uczyniłam to z łatwością, gdyż przewyższałam wzrostem Gwen o kilkanaście centymetrów. Wbiła mi w dłoń i w ramię długie paznokcie, usiłując się wyswobodzić. Strumyczki krwi wyciekały z ran i szybko spłynęły po mojej bladej skórze. Uśmiechnęłam się do wampirzycy, odchylając wargi na tyle, by odsłonić kły, zanim cisnęłam nią przez wielką salę. Z hukiem, któremu towarzyszył odgłos gruchotanych kości, upadła w pobliżu środka komnaty, u podnóża podestu. Trzask pękającego obojczyka rozległ się w powietrzu, po czym dał się słyszeć cichy pisk skóry, ślizgającej się po lśniącej marmurowej posadzce.

Przystanąłam i popatrzyłam na wampiry. Stojąc, wszyscy obserwowali pojedynek.

Zerwali się z krzeseł i wpatrywali się we mnie intensywnie, próbując wyczuć, czy zaraz rzucę się i na nich, czy też najpierw skończę z rywalką. Warknęłam cicho i gardłowo, ostrzegając ich, by się nie wtrącali. Kilku zasyczało, ale cofnęli się o kilku kroków, robiąc mi miejsce.

Valerio, nadal siedząc, wbił we mnie pytające spojrzenie.

- Elizabeth cię zniszczy! - wrzasnęła Gwen histerycznie. Rana na jej szczęce zasklepiła się już wystarczająco, by Gwen mogła mnie przeklinać.

- A gdzie ona jest, Gwen? - zainteresowałam się, podchodząc do niej, gdy próbowała usiąść. Ból w lewym barku, którym grzmotnęła o podłogę, spowalniał jej ruchy. Nocni wędrowcy leczyli się z ran w zdumiewającym tempie, ale nie oznaczało to wcale, że nie odczuwali rozdzierającego bólu, tak jak inne stworzenia. - Pewnie już wie, że zwijas się z bólu. Zaczekam, aż ją wezwiesz.

Stałam nad nią i udawałam, że przypatruję się swoim paznokciom. Z wyciem, wyrażającym furję, odepchnęła się prawą ręką od podłogi i rzuciła się na mnie. Poruszała się szybciej, niż tego oczekiwałam, przewróciła mnie na posadzkę i usiadła na mnie. Jej długie paznokcie przeorały moją twarz i wyrwały spory kawałek mięsa z gardła. Uderzyłam ją na odlew prawą pięścią i zrzuciłam z siebie, by móc przetoczyć się na kolana.

- Zostawiła cię na pastwę losu - rzuciłam prowokująco i podniosłam się bez trudu, podczas gdy jej przyszło to z wysiłkiem. Wcześniej pożywiła się wprawdzie łowią Tristana, ale jego krew nie miała takiej mocy, by zapewnić jej ozdrowienie. Powinna była przed starciem ze mną posilić się krwią człowieka, jednego lub nawet dwóch, zamiast marnować noc na Tristana. Połamane kości spowalniały jej ruchy, a poza tym wybiłam jej szczękę, kiedy przywaliłam jej przed chwilą.

Z lewą ręką przyciśniętą do szyi podeszłam i znalazłam się przy Gwen. Krew sączyła się spod moich palców i spływała na piersi, wsiąkając w koszulę.

- Ostrzegałam cię.

Bez wahania przyklęłam przed nią i zadałam cios w klatkę piersiową. Moja dłoń przebiła skórę i mięśnie, krusząc mostek. Wystarczyła mi tylko sekunda na otwarcie dłoni białej w jej ciało i zaciśnięcie palców wokół znieruchomiałego serca. Gwen zdążyła tylko ułożyć usta do słowa „nie”, zanim wyrwałam serce z jej piersi. Osunęła się bez życia na posadzkę, a resztki jej duszy otarły się o mnie, ulatując w eter.

Ścisnęłam mocno serce w prawej ręce, a krew spływała mi po ramieniu i skapywała z łokcia. Miażdżyłam w pięści ten ciepławy narząd, którego tkanki przeciskały mi się między palcami. Szeroki uśmiech rozjaśnił moją bladą twarz, gdy położyłam to serce na krześle Elizabeth, jako swój dar dla Sabatu.

Rozdział 13

Monstrum ryczało w mojej piersi, a od tego ryku dusza dygotała w kruchej cielesnej powłoce. To samo uczucie, które ogarnęło mnie wcześniej w londyńskim zaułku, napinało mięśnie mojego szczupłego ciała, głośno domagając się oswobodzenia. Nie czułam głodu, choć powietrze było aż gęste od zapachu krwi. Miałam nią opryskane ręce i nogi, a jedynym odgłosem w tej wielkiej sali było teraz ciche skapywanie krwi z moich palców na lśniąca czarna marmurową posadzkę.

To jednak nie wszystko. Zabicie Gwen przebudziło coś we mnie, a to coś wciąż pozostawało nienasycone. Niespodziewane ciepło przemknęło przeze mnie, jak gdybym wciąż wiodła ludzkie życie i wygrzewała się nago w letnim słońcu. Kły mnie ćmiły -

pragnęłam zatopić je w miękkim, delikatnym mięsie.

Odchyliłam w tył głowę, a w piersi zabulgotał śmiech. Kiedy rozległ się w sali, wydał

się skuty lodem; w tym śmiechu nie było rozbawienia. Świat zdawał się odpływać, czas spowolnił bieg. W tej sali pozostali tylko nocni wędrowcy oraz ja. Leniwie omiotłam wzrokiem grupę na lewo ode mnie. Kilka par lśniących oczu napotkało moje spojrzenie i dostrzegłam w nich radość. Widniała w tych oczach owa pierwotna żądza krwi i przemocy.

Sama uległam jej z ogromną ochotą. Tej nocy monstrum we mnie zostało spuszczone ze smyczy.

Poderwaliśmy się równocześnie. Trójka nocnych wędrowców wyskoczyła spod odległej ściany, kiedy zrobiłam pierwszy krok w ich kierunku. Prawie nie zauważyłam pozostałych, przemykających w stronę wyjścia. Fala mocy obmyła tych młodszych wampirów i teraz roztropnie postanowili się wycofać, woląc przemocą czerpać krew z bezpieczniejszego, mniej groźnego ode mnie źródła.

Tańczyliśmy wokół siebie, wykonując płynne ruchy, lecz człowiek, który oglądałby nas teraz, niczego by z tego nie rozumiał. Myśli już w tym nie było. Tylko pragnienie zabijania. Pragnienie śmierci.

Pierwszy z wampirów, którzy stanęli do walki ze mną, był dość młody, ukończył zaledwie sto lat. Jego duże zielone oczy zalśniły jak skrzzące się szmaragdy, zanim wyrwałam mu serce z piersi. Drugiego uśmierciłam w podobny sposób, choć zdążył

wyryć pazurami kilka bruzd na moim brzuchu.

Obróciłam się, by zlokalizować ostatniego, trzeciego, i nagle zderzyłam się z twardą posadzką. Gwiazdy pokazały mi się przed oczami. Krzywiąc się i zaciskając zęby z bólu, który o mało nie pozbawił mnie przytomności, przetoczyłam się na prawy bok. Pół oddechu później ciężkie dębowe krzesło roztrzaskało się dokładnie w miejscu, z którego się odsunęłam i rozbiło marmurową posadzkę. Rozpadło się w drzazgi, a te poszybowały w powietrzu pod wpływem impetu zderzenia. Instynktownie osłoniłam serce przed nimi, choć żaden z odłamków drewna nie groził przebicciem kości mostka.

Obróciłam się na plecy, żeby się przekonać, kto mnie zaatakował. Wampirzyca, mająca nieco ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, o jasnoblond włosach i lśniących niebieskich oczach, trzymała w ręku jedną z nóg roztraskanego krzesła. Uśmiechnęłam się do niej, a ów fragment mebla stanął w płomieniach. W jednej chwili tańczące ognie objęły wszelkie drewniane odłamki krzesła, rozrzucone na posadzce, Wampirzyca zawyła zdumiona, upuszczając nogę krzesła i chwiejnym krokiem wycofując się nieco.

Ogień i ból oczyściły mnie, zmywając pragnienie krwi i żądzę zabijania. Bestia we mnie ucichła, ukontentowana złożoną jej ofiarą. Widziałam nieostro, plecy protestowały przeciwko wykonaniu jakiegokolwiek ruchu w niemym błaganiu, abym leżała, ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Pozostała mi jedna przeciwniczka. Odepchnęłam się od posadzki lewą ręką i z gracją wstałam. Wampirzyca zatrzymała się, obserwując mnie i czekając na mój kolejny ruch.

Powoli pomachałam prawą ręką, tłumiąc skowyczący ból, który przeszył moje plecy.

Sięgające na wysokość piersi płomienie wystrzeliły wokół wampirzycy, całkowicie ją otaczając. Jej błękitne oczy się rozszerzyły, tracąc swój nienaturalny blask. Zmarszczyłam czoło, bez trudu przeszłam przez płomienie i chwyciłam ją za szyję, lecz ona zdawała się mnie nie dostrzegać, mimo że wbiłam długie paznokcie w jej ciało. Wpatrywała się w ogień, który tańczył ćwierć metra od niej. Potrząsnęłam nią brutalnie i wtedy spojrzała mi w oczy.

- Kim jestem? - warknęłam, zaciskając palce na jej ramieniu. Wpatrywała się we mnie zmieszana i przerażona. Na jej drobnej twarzy była krew. Ona także posiliła się krwią Tristana. Zasłużyła na śmierć, trawiona przed otaczające ją płomienie, i wiedziała o tym.

- Jesteś Krzesicielką Ognia - zaskomliła zdławionym głosem.

Mars na mojej twarzy ustąpił miejsca zimnemu uśmiechowi.

- Powiedz im, co uczyniłam - rozkazałam cichym, rozdrażnionym szeptem. - Powiedz im, że jeśli tkną to, co moje, będę ich ścigała i wystawię ich serca na pokaz na moim terytorium. Przypomnij im, z kim mają do czynienia.

Nadal się uśmiechając, odepchnęłam ją od siebie ku odległym drzwiom po lewej stronie sali. Wydała pełen trwogi wrzask. Uniosła ręce, aby osłonić twarz, spodziewając się, że obejmą ją płomienie. Kiedy jednak znalazła się w ognistym kręgu, ugasiłam go, żeby mogła przezeń przejść. Potknęła się i upadła. Szybko się zorientowała, że udało jej się uniknąć spalenia, zerwała na równe nogi i znikła w bocznych drzwiach.

Spojrzeniem powoli okrążyłam salę, a moje oczy przystosowywały się do mniej intensywnego światła. W myślach zajęłam się pogruchotanymi ciałami i powiększającymi się kałużami krwi, które rozlewały się na posadzce jak małe czarne jeziora. Po upływie minuty mój wzrok powędrował ku podwyższeniu. Sadira siedziała tam na schodkach przed fotelem Macaire'a, nie poruszywszy się z zajmowanego przez siebie miejsca odkąd weszłam do tej sali.

Moja twarz nie wyrażała żadnych emocji, a mój umysł przypominał czystą tablicę.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że zbliżam się do niej, aż dobiegł mnie krzyk Tristana.

- Nie, pani! - zawołał. Skręcając się z bólu, obrócił się, aby móc mnie widzieć. Nadal miał obręcz na szyi. Przestał już prawie krwawić, lecz wciąż był osłabiony. - To nasza matka.

- Moja matka nie żyje od wieków. A ona, Sadira, nic dla mnie nie znaczy! -

wrzasnęłam. Wściekłość nagle wybuchła mi w piersi i popłynęła żyłami jak magma, szukająca ujścia. Podeszłam do Sadiry, ponownie stając przed nią, skąpana we krwi innych istot.

- Nie możesz mnie tknąć - oznajmiła Sadira, z pewnością siebie. - Wchodzę w skład triady.

Zwilżyłam językiem usta, a ponury uśmiech rozjaśnił moje oblicze. Podeszłam jeszcze bliżej.

- Jeżeli dowiedziałam się czegoś w trakcie ostatnich nocy, to tego, że nie jesteś niezastąpiona. Znajdę kogoś na twoje miejsce.

Triada składała się z tych, którzy stworzyli pieczęć, wiążącą naturę. A skoro naturę zagrażali wydobyciem się na wolność, należało zreformować triadę, zwłaszcza że Tabor zginął niemal pięćdziesiąt lat temu. I choć najwyraźniej nikomu to zbytnio nie odpowiadało, na następcę Tabora został wyznaczony Danaus. Nie miałam wątpliwości, że w razie konieczności wyszukam również kogoś na miejsce Sadiry, nie zważając, że jest ona moją stwórczynią.

- Nie ma na to czasu. - W jej głosie nadal brzmiała pewność, ale Sadira powstała. - Za cztery noce będzie nów i święto plonów, a oni postarają się wtedy złamać pieczęć. Nie możesz mnie zniszczyć, jeśli liczysz na powstrzymanie natury.

- Proszę cię, pani! - błagał Tristan. - To moja wina. Nie powinienem był opuszczać tamtego pokoju. Ukarz mnie.

Przystanąłam, zaciskając zęby z bezsilnej wściekłości. Miała rację, że brakowało czasu na szukanie jej następcy. A znając swój pech, domyślałam się, że skończyłoby się to kolejnym fiaskiem, podobnie jak sprawa Thorne'a. Nie mogłam ryzykować, mimo że byłam tym poruszona do żywego.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Trzy zduszone słowa wydobyłam z głębi gardła.

- On jest słaby. Trzeba go nauczyć, co to znaczy być nocnym wędrowcem. -

Wyprężyła się, mówiąc to, przekonana o słuszności powodów, dla których poddała torturom jedno z drogich jej sercu dzieci.

- Czy tak właśnie ma wyglądać los nocnego wędrowca? - zapytałam, wyciągając w jej stronę zakrwawione ręce.

- Tak. - Syknęła, tracąc opanowanie. Zaciśnęła na brzuchu w pięści chude, kościste dłonie. Niezdrowy blask pojawił się w jej dużych piwnych oczach. - Chodzi o władzę nad innymi i o to, żeby nie ulegać słabszym. Kocham Tristana, ale musiał odebrać tę nauczkę.

Żachnęłam się, a palce mi zadrżały; skapywały z nich krople krwi na czarną marmurową posadzkę.

- Jeśli myślisz, że do tego się sprowadzał ten dzisiejszy spektakl, to jesteś głupia. On miał być tylko przystawką, a doszło do tego wszystkiego przez ciebie. Tristan szukał u ciebie ochrony, a ty go zdradziłaś. Dziś chodziło o odwet. Chciałaś się na mnie odegrać, bo jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby przeciwstawić się dworowi.

- Oni zabiliby mnie - przekonywała roztrzęsionym głosem.

- Jeszcze nie teraz. Sama stwierdziłaś, że wchodzisz w skład triady. Może i zabawiliby się z tobą, ale przeżyłabyś to. Niestety, Tristan nie był tego dla ciebie wart. Łatwiej ci było wydać go w ich ręce.

Obróciwszy się raptownie na pięcie, podeszłam znów do Tristana, który w milczeniu przyglądał się tej konfrontacji matki i córki. Chciałam skrycie, aby Sadira zaatakowała mnie od tyłu. Pragnęłam z tej jeszcze jednej przyczyny rzucić się na nią, by moje sumienie miało usprawiedliwiającą wymówkę urwania jej głowy. Jednak Sadira nawet się nie poruszyła.

- Nie wracaj do hotelowego apartamentu - zawołałam, nie odwracając się do niej. - A jeśli kiedykolwiek cię spotkam, gdy Rowe zostanie pokonany, zabiję cię. I, wierz mi, nie będę się mogła doczekać tego dnia.

- Nie uwolnisz się ode mnie, moja Miro - powiedziała Sadira, a jej słodki, śpiewny głos przeniknął mi pod skórę: *Należysz do mnie. Tristan do mnie należy. Jestem waszą stwórczynią.* Słowa te w sposób niemal hipnotyczny wnikały w mój mózg. Nie było obronnych murów, które mogłam wystawić przeciwko jej wtargnięciu w mój umysł. Sadira była moją stwórczynią; miała dostęp do moich myśli, dopóki żyłam.

Odwrociłam się, aby na nią warknąć, ale w owej chwili Wielka Sala Sabatu znikła mi z oczu. Na miejscu masywnych kamiennych ścian i czarnej posadzki z marmuru ukazała się zniszczona drewniana podłoga i szorstkie kamienne mury. Sadira dokonała identycznej sztuczki wcześniej, kiedy byłam poważnie ranna. Mentalnie przeniosła mnie do lochu, w którym się odrodziłam. Tym razem jednak nie był to loch. Znalazłam się w wiejskiej chatce, w której mieszkałam niegdyś krótko w Grecji, zanim Sadira mnie uprowadziła.

Cichy jęk wyrwał mi się z ust, gdy rozejrzałam się po prymitywnej chatynce, gdzie zaznałam tyle radości w tak krótkim czasie. Przez kilka lat zamieszkiwałam w tym domku, kochana przez męża i uwielbiana przez słodką córeczkę, Callę.

- Przestań, Sadiro - poleciłam najmocniejszym głosem, na jaki było mnie stać.

Starałam się przywołać furję i agresję, które powodowały mną podczas stoczonych wcześniej walki.

- W tym miejscu wszystko się zaczęło, moja córko - odpowiedziała cierpliwie. Stała przede mną w otwartych drzwiach, chociaż nie byłam pewna, czy to naprawdę ona, czy też tylko złudzenie. Za nią rozciągała się ciemna noc.

- To miejsce było tylko snem. Ukrywałaś się tam. A ja cię uwolniłam.

- Porwałaś mnie! - krzyknęłam. - Nie miałam wyboru. - Postąpiłam o krok naprzód i mogłabym przysiąc, że podłoga zaskrzypiała pod moimi stopami.

- Mamo - rozległ się cichy, senny głos.

- Nie - jęknęłam, robiąc kolejny krok w stronę Sadiiry i przyciskając splecione ramiona do brzucha. Odsunęłam się na odgłos tupotu małych nóżek w sąsiedniej izbie. - Nie rób tego, Sadiro. Jej nie ma. Ona nie żyje. Nie żyje od wieków.

- Wiem o tym, Miro, ale nie chciałaś się z nią rozstać - powiedziała łagodnym tonem Sadira. Głos miała delikatny jak pieszczota, jak lekkie muśnięcie policzka. - Oto masz szansę się pożegnać, a potem rozpocząć nowe życie ze mną i Tristanem. Staniemy się twoją rodziną.

Pozbędziesz się straszego brzemienia, które ci ciąży.

Usiłowałam zamknąć oczy, ale to wszystko działo się w mojej głowie. Nie mogłam uciec od obrazów, które ona przywołała.

- To nierealne. To nierealne. To nie... - Słowa uwięzły mi w krtani, kiedy może trzyletnia dziewczynka weszła do izby. Miała na sobie długą białą koszulkę, która sięgała jej drobnych, bosych stopiek. Gęste, zmierzwiłone od snu czarne włosy opadały jej na plecy.

Popatrzyła na mnie piwnymi oczami swojego ojca. Odziedziczyła urodę po ojcu, za co byłam wdzięczna losowi. Nie chciałam, by moja córka była przeklęta jak ja; chciałam, aby była normalna, jak jej ojciec.

- Mamo - powtórzyła, wyciągając w górę rączki, a jej oczy błagały mnie, bym ją podniosła i przytuliła do siebie. Ramiona rozboleły mnie od trzymania jej. Próżnia, dręcząca mnie od stuleci, wypełniła się. Chciałam czuć jej ciepło przy swoim ciele i wdychać jej zapach, aby zachować go w sobie na zawsze. Pragnęłam potrzymać na rękach swoją córeczkę ostatni raz.

Z bólem zrobiłam następny krok w tył, próbując odnaleźć punkt styczny pomiędzy wizją, wywołaną

przez Sadirę, a obrazem Calli. Chciałam schwycić córeczkę, otulić ją mocno ramionami i uciec z tego miejsca. Umknąć od Sadiry, od Sabatu i od wszystkich nocnych wędrowców. Pragnęłam powrócić do słonecznego życia, które prowadziłam przed wiekami.

Lecz okazja taka przepadła na zawsze. Świadomość tego rozdzierała mnie od środka, wywołując dreszcze. Nogi mi się trzęsły, kolana ugiwały pode mną. Nie zamierzałam ulegać Sadirze. Nie mogłam jej pozwolić znów sobą zawładnąć.

- Nie pójdę z tobą - warknęłam, napinając mięśnie nóg i zaciskając zęby. - Calla nie żyje. Tamto życie, jakie wiodłam, przepadło przez ciebie. Przez ciebie i przez Jabariego. Nie wrócę do ciebie.

- Zrobisz to albo zaraz zabiję Tristana - powiedziała spokojnie, zmieniając taktykę, kiedy obraz Calli na mnie nie podziałał.

- Bzdura. Nie zrobisz tego.

Sadira zaśmiała się beztrosko, a dźwięk ten przypominał nieco ptasi trel.

- Oczywiście, że zrobię. Ty jesteś dla mnie o wiele cenniejsza, niż on kiedykolwiek mógłby być.

- Miro? - Ten głos, cichy i kruchy, dotarł do mnie spoza koszmaru, w jaki wpadłam.

Był głosem Tristana. Zapomniałam o nim. Znajdowaliśmy się w Wielkiej Sali, a jak dotąd Tristan jeszcze żył i wciąż był mój.

Nagle oświeciło mnie, bym otworzyła swój umysł, zamiast zamykać się na wszystko, próbując zablokować podszepty Sadiry. Natychmiast spłynęły na mnie ból i strach Tristana.

Tego Sadira nie mogła skutecznie zatamować. Wizja mego domu w Grecji rozpadła się. Z

obrazu Calli pozostało tylko widmowe wspomnienie.

Uklękałam na posadzce obok Tristana, nadal skępowanego łańcuchem. Sięgnęłam po jego rękę, uchwyciłam ją i delikatnie uściśnęłam, powoli rozluźniając nasze mentalne połączenie. Jego ból wpływał ze mnie, a ja musiałam zmierzyć się z Sadirą.

Wściekłość, odczuwana podczas stoczonej wcześniej walki, rozpałała się w moich żyłach ponownie i wypełniła mnie nowa fala furii. Spakowałam swoją przeszłość i pozostawiłam ją, by zbierał się na niej kurz w zaułku umysłu, jednak Sadira wywlekała ją znów, aby mnie za jej pomocą kontrolować. Sprofanowała pamięć o mojej córeczce; zatrąła te bezcenne chwile mojego życia, kiedy czułam się jak człowiek, spełniona i szczęśliwa. Nie była mi potrzebna żyjąca we mnie bestia do rozbudzenia żądzy przemocy. Sadira już to uczyniła.

- Jestem teraz wolna - powiedziałam, podnosząc się. - A Tristan należy do mnie.

On nie może być twój, warknęła w moich myślach. Poczułam, jak zarzuca nowy całun na mój umysł, więc znowu otwierałam się mentalnie na Tristana. Schwytana w potrzask rozdwojonej rzeczywistości

straciłam poczucie równowagi. Nie miałam pojęcia, gdzie jest Sadira. Rozpaczliwie otoczyłam Tristana i siebie ognistym kręgiem.

Wrzaski Sadiry rozbrzmiały w sali. Zbliżyła się ku nam i znalazła się w ognistej pułapce. Wyrzuciwszy ją z myśli, ugasilałam płomienie, ale powierzchnia jej ciała zdążyła już szernieć.

Z pewnym wysiłkiem zerwałam kłódkę na obręczy na szyi Tristana i odrzuciłam ją; upadła z głośnym brzękiem. Tristan wspierał się ciężko na mnie, gdy odchodziliśmy. Ścisnął

palcami moje przedramię i ledwie trzymał się na nogach.

Swąd spalonego ciała wypełnił komnatę, przytłaczając woń laguny i bujnych ogrodów, wpływającą przez otwarte frontowe odrzwia. Tristan kulał, przytrzymując się mnie, i próbował obejrzeć się na osobę, która stworzyła nas oboje, lecz nie pozwoliłam mu się zatrzymać.

Sadira nie zmarła tej nocy, ale każdy nocny wędrowiec w Wenecji mógł odczuć jej ból. O świcie zapadła w głęboki sen, złożona boleścią, a nazajutrz, po przebudzeniu, nadal miała cierpieć. Nawet jeśli napije się krwi, to i tak co najmniej kilka nocy potrwa gojenie tych oparzeń. Musiałam zachować ją przy życiu do czasu pokonania Rowe'a. Nikt nie wspominał o tym, w jakiej miała być formie.

Tristan i ja zatrzymaliśmy się przy drzwiach frontowych na tyle długo, aby mógł się pożywić krwią odźwiernych. Wiedziałam, że się przydadzą, prędzej czy później.

Pożyczywszy parę spodni od jednego z tych nieprzytomnych mężczyzn, powoli podążyliśmy w kierunku łodzi. Bolały mnie plecy i pulsowała głowa od uderzenia krzesłem. A ponieważ co chwila mętniało mi w oczach, podejrzewałam, że miałam wskutek tego ciosu rozbitą czaszkę.

Musiałam się pożywić i odespać parę dni, choć powątpiewałam, czy mogę sobie pozwolić na taki luksus.

Tristanowi poruszanie się przychodziło już łatwiej, gdyż jego ciało zdrowiało dzięki świeżej porcji krwi, której się napił, mimo to posuwaliśmy się naprzód dość powoli. Kiedy znaleźliśmy się kilka metrów od przystani, dostrzegłam Nikołaja krocącego ku nam ścieżką.

Dałam znak Tristanowi, by się zatrzymał i cała się spięłam. Gdyby ten wilkołak zaatakował

nas teraz, zabiłabym go. Moje ciało przepelniała jeszcze tłumiona energia, rozbudzona stoczoną walką. Choćby niechcący, mogłam Nikołaja zabić.

- Odejdź, Nikołaju - zawołałam. Nie była to najlepsza pora do podejmowania na nowo pojedynku. Jabari rozkazał mu mnie zabić i mogłam się domyślać, że Nikołaj będzie dążył do wypełnienia tego zadania i albo je wykona, albo sam zginie. Złotowłosy wilkołak przystanął

na środku ścieżki w odległości około siedmiu metrów od nas. Obserwował mnie. - Zrób zwrot w tył, wsiadaj do łodzi i odpłyn.

- Dlaczego mnie nie zabiłaś? - Ciche pytanie doleciało do mnie unoszone podmuchem wiatru wiejącego ponad wyspą.

- Nie z tobą wojuję - powiedziałam. Tristan zacisnął mocniej palce na moim ramieniu.

Nie po to, by się lepiej na mnie oprzeć. To było nieme pytanie, prośba o potwierdzenie, że go ochronię. Położyłam prawą rękę na jego dłoni i lekko ją uściśniłam. Przeszedł wystarczająco dużo jak na jedną noc.

Nikołaj dostrzegł to i zmarszczył czoło.

- To z jego powodu kazano mi cię zabić - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Dla zmylenia?

- Możliwe.

Nikołaj oderwał od nas wzrok, a z jego ust wylał się potok rosyjskich przekleństw.

Zaciskał w pięści trzęsące się dłonie. Wykorzystano go, by w tym czasie poddać torturom kogoś innego i dopiero teraz sobie to uświadomił.

- Proszę cię, Nico - podjęłam, licząc, że zdrobnienie jego imienia skłoni go do spełnienia mojej prośby. - Odejdź. Muszę zabrać Tristana tam, gdzie będzie mógł odpocząć i dojść do siebie.

Marszcząc czoło, Nikołaj zbliżał się do nas. Postąpiłam krok naprzód, stając między wilkołakiem a Tristanem. Twarz Nikołaja złagodniała, kiedy zobaczył, że przybieram bojową postawę i zatrzymał się parę metrów od nas.

- Chcę tylko pomóc wam wsiąść do łodzi - powiedział, unosząc ręce w geście kapitulacji.

Skinęłam głową, odwróciłam się i zarzuciłam rękę Tristana na swój lewy bark. Nikołaj podtrzymał Tristana z drugiej strony i również zarzucił jego rękę na swoje ramię. Wilkołak zerknął na plecy Tristana i zaklął cicho. Szczęki zacisnęły mu się od kipiącej w nim wściekłości.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziałam półgłosem chwilę później, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Co wcale nie polepsza sytuacji. Powstrzymałem cię, kiedy już mogłaś przybyć mu na pomoc - wymamrotał.

Nie odpowiedziałam nic. Wiedziałam, że to prawda. Nikołaj nie miał pojęcia, jak bardzo został wykorzystany. Nie wiedział, że przyczynił się do zadawania udręki innej istocie.

Ciekawiło mnie, czy wykonałby rozkazy, gdyby przejrzał cały ten plan. Jednak bolesna złość w jego miedzianobrazowych oczach kazała mi w to powątpiewać.

Nie odzywaliśmy się już, póki nie znaleźliśmy się w niewielkiej motorówce. Nikołaj pomógł mi usadowić w niej Tristana. Nocny wędrowiec westchnął głęboko, kładąc się na brzuchu na ławeczce.

- Mogłem cię zabić - powiedział nagle Nikolaï. Moje spojrzenie powędrowało znów ku jego ładnej twarzy. Stał na przystani, z dłońmi wsuniętymi w kieszenie przybrudzonych spodni. Na lewym policzku widniała smuga brudu, a jasna szczecina porastała mocną szczękę. Smużka krwi zakrzepła na jego skroni, tam gdzie przyłożyłam mu kamieniem, ale nie pojawił się tam guz ani siniak. Wpatrywał się we mnie intensywnie. Przez chwilę zachowywałam milczenie, nie mogąc odgadnąć uczuć, które przede mną skrywał.

- Jesteś zdolny - przyznałam, a uśmiech zaigrał na moich ustach. - Ale tej nocy nie mogłeś mnie zabić. Nie masz ku temu dostatecznego powodu, a bez powodu nic zabijasz.

Było to przypuszczenie, lecz niewątpliwie bardzo bliskie prawdy.

Nikolaï zachnął się i otworzył usta, aby zaprzeczyć, ale uniosłam rękę i podjęłam wywód, zanim się odezwał.

- Nie powracaj do tej rezydencji aż do świtu. Nie pozostawiłam jej mieszkańców w zbyt dobrych nastrojach.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział z półuśmiechem.

Kiwnęłam głową, uruchomiłam silnik i odbiłam od kamiennej przystani, gdyż pilno mi było zapewnić Tristanowi względne bezpieczeństwo w naszym hotelowym apartamencie.

Gdy wypłynęliśmy na wody laguny, najgorsze z jego ran już się zagoiły, a Tristan zaczynał się uspokajać.

Mięśnie miałam osłabłe, a wiatr ostudzał krew, którą byłam zalana. Przepłynęliśmy te pogrążone w mroku wody w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Jeszcze teraz rozbrzmiewały mi w uszach wrzaski Sadiiry i czułam ciepłe serce Gwen, przeciskające się przez moje palce. Delikatny podmuch każdej z dusz, które uleciały z ciał nocnych wędrowców zabitych przeze mnie tej nocy, owionął mój umysł. Uśmiechnęłam się do siebie.

Każde kolejne istnienie, jakie unicestwiałam, sprawiało, że czułam się coraz bardziej żywa, i uwielbiałam to uczucie.

Być może nie powiedziałam prawdy Danausowi. Może byłam wcieleniem zła.

Mogłam dowodzić, że pozabijałam tamtych nocnych wędrowców na dworze Sabatu, aby nie krzywdzili innego wampira. Mogłam twierdzić, że robiłam to, aby chronić Tristana. Jednak to byłoby kłamstwem. Uczyniłam to, by udowodnić, że jestem od tamtych wampirów potężniejsza. Zabiłam ich po prostu dlatego, że mogłam zabić.

Rozdział 14

Noc otaczała mnie, ciepła i wilgotna niczym usta kochanka na mojej szyi. Chciałam jednak pozbyć się tego odczucia. Nie pragnęłam niczyjego dotyku. Nie chciałam słyszeć bicia cudzego serca ani też czuć ciepła promieniującego z ludzkiego ciała. Nie chciałam podnosić oczu i napotykać wzroku

Tristana, w którym czały się pytania, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Po raz pierwszy od bardzo dawna byłam sama. Gabriel, mój anioł stróż, znajdował się o setki kilometrów stąd, a Danaus pozostał w bezpiecznej kryjówce w kościele, chroniony przede mną i przed moimi pobratymcami. Tristan leżał zwinięty w kłębek na łóżku. Po wzięciu prysznic, aby zmyć świeże warstwy krwi, wymknęłam się na przystań.

Gdy przepływałam przez lagunę, z silnika małej motorówki dobywał się ryk, który wibrował mi w kościach. Fale uderzały o burty łodzi, a wiatr rozwiewał i mierzwił moje włosy. Ciemność narastała, kiedy oddalałam się od świateł i hałasów centrum Wenecji.

Musiałam oddalić się od tętniącego życiem ludzi miejsca, aby przemyśleć pewne sprawy. A jednak coś we mnie lękało się zbytniego zagłębiania się w moje mroczne uczucia.

Nie żałowałam, że uczyniłam jatkę w rezydencji Sabatu. Nie żałowałam życia, które przerwałam, ani tego, że dało mi to radość. Nie czyny mnie zdręczały - tylko absolutny brak wyrzutów sumienia. Nie wiedziałam, czy odezwały się we mnie resztki mego człowieczeństwa, czy też naprawdę w to wierzyłam, ale coś w moim wnętrzu domagało się krzykiem, abym była przerażona krwawą łaźnią, którą wywołałam. A nie byłam.

Spoza tego krzyku dobiegał mnie inny głos, zjadliwy i kpiący. Prawie dwa wieki temu Valerio ostrzegał mnie, że nie ma ucieczki od tego, kim jesteśmy - istotami bez serca, okrutnymi i gwałtownymi. Opuściłam Europę, obiecując sobie, że mogę być inna, że zdołam uwolnić się od tego, co, jak on uważał, jest nam pisane. Wystarczyło jednak spędzić znowu niespełna dwadzieścia cztery godziny w Wenecji, a już splotyłam krwią współbraci, napawając się ich przerażeniem i śmiejąc się jak wariatka do księżycyca.

Gdy zbliżyłam się do ciemnej wyspy, zgasiał silnik i bezgłośnie dobiłam łódką do przystani. Była to jedna z wysp, gdzie, jak wiedziałam, odnajdę samotność. Nie mieszkał tu na stałe żaden człowiek, a i żaden wampir nie odważyłby się szukać tutaj spokoju, gdyż panował tu za dnia nieustanny tłok. Przybyłam na San Michele - cmentarną wyspę.

Otoczał ją wielki, wysoki mur z czerwonej cegły, a parę uroczych białych schodków i wrót wiodło do tego sanktuarium. Na owej wysepce niezliczone cyprysy, wyrastające ponad mury, pogłębiały jeszcze panujący tu cień. Większą część wyspy zajmowały ciasne rzędy grobów, oznaczonych nagrobkami różnej wielkości i o rozmaitych kształtach, od tradycyjnych białych krzyży po wyszukane rodzinne krypty. Ścieżki między nimi wysypano drobnym tłuczniem, ale ze względu na brak miejsca były one tak wąskie, że osoby odwiedzające musiały chodzić gęsiego.

Ze spuszczoną głową podążyłam w kierunku wschodnim. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni się tu zjawiałam, jednak zapamiętałam niewielki zakątek, pozostawiony jako park. Woń jaśminu i róż napłynęła mi w nozdrza. Powietrze było gęste i lepkie, przedzierałam się przez nie jak przez wilgotne zwoje bawełny. Biorąc ostatni zakręt, cicho westchnęłam, gdy mój wzrok powędrował ku małemu placykowi, którego jeszcze nie wykorzystano na groby.

Park kurczył się coraz bardziej, ale nadal pozostawał wystarczająco duży, bym posiedziała w nim w

ciszy, w otoczeniu cyprysów oraz kilku innych drzew, które wyglądały na zdziczałe topole.

A jednak coś było nie tak. Czułam, że nie jestem tutaj sama, choć wiedziałam, że nikt mi nie towarzyszy. Żaden człowiek tu nie zamieszkiwał, a nocni wędrowcy nie mieli powodu, by odwiedzać to miejsce. Choć było to logiczne rozumowanie, omiotłam całą wyspę mocami, ale wciąż nikogo nie wyczuwałam. Przeczesując palcami włosy, pokręciłam głową i zmusiłam się do tego, by przejść na pobliską polankę. Byłam wykończona tą długą nocą i bitwami z naturi.

Usiadłam na ziemi i przeciągnęłam palcami po chłodnej trawie, pragnąc, by cisza panująca na tej wyspie wniknęła w moją duszę i wymazała ból, wywołany wspomnieniem słodkiej Calli. Zza wysokich murów nie dobiegał szum fal laguny; słyszało się tylko ciche odgłosy dzwonek boj. Byliśmy tu tylko ja, wiatr i zmarli.

- Jestem tobą coraz bardziej znużony, mała księżniczko - rozległ się głos gdzieś nade mną.

Przetoczyłam się, opierając się na palcach dłoni i stóp, i spojrzałam na topolę za plecami. Nie musiałam jednak nikogo wypatrywać. Łzy bezsilnej wściekłości nabiegły mi do oczu na dźwięk kusicielskiego głosu Rowe'a. Byłam zbyt zmęczona, fizycznie i psychicznie, by podejmować teraz walkę z tym naturi.

- Zostaw mnie - warknęłam, a mięśnie łydek zaczęły mi drżeć, bo pozycja, jaką przyjąłam była bardzo niewygodna. - Nie przyplłynęłam tutaj, żeby ciebie szukać.

Prychnął na to i swobodnie stanął na gałęzi, na której siedział. Jego wielkie czarne skrzydła ocierały się o liście i gałązki, gdy je rozłożył.

- To ty stąd odejdz. Ja zjawiłem się tu pierwszy.

Czy to takie proste? Nie zaskoczyło mnie spotkanie z nim w Wenecji, po tym jak zobaczyłam tamtą żeńską naturi w Wielkiej Sali Sabatu. Do licha, byłam pewna, że kilku innych naturi błąka się po mieście albo nawet pływa w wodach laguny. Jednak, szczerze mówiąc, nie wydawało się, że on tu na mnie czekał, gdyż jego najlepszą broń stanowił

element zaskoczenia.

Ugięłam nogi, aby uklęknąć na trawie i szybko spojrzałam przez ramię w kierunku, w którym zwrócony był Rowe. Odgadłam, że patrzy w stronę San Clemente i Wielkiej Sali Sabatu.

Musiałam wydostać się z tej wysepki i w jakiś sposób zaalarmować Jabariego lub Macaire'a. Powstrzymanie naturi oznaczało powstrzymanie Rowe'a, ale nie mogłam tego uczynić w pojedynkę. Nie miałam pojęcia, do czego zdolny jest klan wiatru, ale byłam gotowa się założyć, że do czegoś więcej niż do trzepotania pięknymi skrzydłami. Niestety, zdołałam poważnie zdenerwować wszystkich z Sabatu, a także rozwścieczyć i bardzo nastraszyć ich pachołków. Nie mogłam dotrzeć do Jabariego, Elizabeth wolałaby raczej, bym zginęła z rąk Rowe'a po tym, co zrobiłam z Gwen, a Macaire... Cóż, z Macaire'em udałoby mi się skontaktować tylko za pośrednictwem jego pomagierów, a to było mało prawdopodobne.

Jako mój jedyny kontakt z siedzibą Sabatu pozostała Sadira. Zachciało mi się wyć. Bez względu na to, co czyniłam, pogrążałam się coraz bardziej w bagnie, z którego nie było ucieczki.

Wzruszyłam ramionami, otrzepałam demonstracyjnie ręce z kurzu i wstałam. Byłam zdana na siebie.

- Dobra. Niech będzie, że ta wyspa jest twoja. Jestem pewna, że tylko tak możesz znieść obecność ludzi.

- Muszę wiedzieć, Miro - zaczął Rowe, zatrzymując mnie, zanim zrobiłam pierwszy krok. - Czy żałujesz swojej decyzji?

- Nie - odpowiedziałam, stanowczo za prędko, by zabrzmiało to przekonująco.

Rowe zachichotał i pokręcił głową.

Nie miałam wątpliwości, o co mu chodziło. Wcześniej dał mi szansę przejścia na jego stronę, aby pomagać naturi w zamian za ich protekcję. Bez wahania wybrałam wtedy swoich, lecz niemal od razu zaczęłam pytać siebie, czy naprawdę postąpiłam mądrze. W każdym razie uświadomiłam sobie, że powinnam szukać trzeciej opcji, zamiast starać się o wybór mniejszego zła.

- Nie? Niby jesteś zadowolona, a jednak uciekasz do jedyne miejsce w tym przeklętym mieście, gdzie nie można znaleźć żadnego wampira - powiedział Rowe. Odgarnął

za ucho luźny kosmyk włosów, żeby nie przesłaniał mu zdrowego oka. Z długimi ciemnymi włosami i skórzaną przepaską na oku wciąż przypominał mi pirata z jakiejś romantycznej powieści.

Kwaśny uśmiezek pojawił się na moich ustach, gdy spojrzałam w górę na drzewo, na którym stał wróg.

- Lubię widok miasta z tego miejsca.

Uniósł głowę, by się rozejrzeć. Z drzewa znowu dobiegł mnie cichy śmiech. Jediną rzeczą, jaką mogłam dostrzec z ziemi, był masywny ceglany mur, opasujący tę wysepkę niczym metalowa obręcz. Chciałam, by Rowe nie przestawał się śmiać. Oznaczało to bowiem, że nie zamierza mnie zabić. Śmiech Rowe'a brzmiał lepiej od rechotu Neriana.

Chichot tamtego mojego dawnego oprawcy wciąż mnie prześladował, wymykając się ze wspomnień, zapieczętowanych pod płytami ze stali i betonu. W śmiechu Neriana było szaleństwo i ból.

- Popełniłem błąd wobec ciebie - obwieścił nieoczekiwanie Rowe, znów powstrzymując mnie przed odejściem w stronę bramy, przez którą wcześniej weszłam na ten cmentarz.

- Co? Gdy pomagałeś Nerianowi mnie dręczyć? A może gdy usiłowałaś porwać mnie w Egipcie? - Mój głos stopniowo tracił obojętny, beztroski ton. - Nie, zaczekaj! Pewnie mówisz o tym, jak groziłeś mi otruciem w Londynie?

- Nie, nic z tego nie było błędem - powiedział, machając ręką. - Mam na myśli nasze pierwsze

spotkanie.

- W Machu Picchu - podsunęłam. Szczerze mówiąc, nie pamiętałam, żeby tam wtedy był, ale on stwierdził już nieraz, że był. I może nie kłamał. Wiele rzeczy, związanych z dwutygodniowym uwięzieniem mnie na tamtej górze, zamazało się w mojej pamięci. Być może wypierałam go ze wspomnień.

Rowe zeskoczył z gałęzi, na której stał i wylądował zaledwie parę metrów od miejsca, gdzie ja stałam. Natychmiast odskoczyłam w tył, zachowując siedmiometrowy odstęp między nami, który i tak wydawał mi się za mały. O dziwo, Rowe uniósł obie ręce, ukazując wnętrza dłoni, co w międzynarodowym kodzie migowym oznaczało „pokojoye zamiary”. Liczyłam na to, że gest ten miał taki sam sens u naturi.

- Ty naprawdę mnie nie pamiętasz - powiedział cicho, wpatrując się we mnie z osobliwą intensywnością. Złożył teraz wielkie czarne skrzydła i przypominał mi muskularnego elfa - bez spiczastych uszu, rzecz jasna.

- Nie, nie pamiętam - rzuciłam, przestępując z nogi na nogę. Grunt pod stopami był spadzisty i ślizgałam się na trawie. Nie najlepsze miejsce na walkę. - Wielu rzeczy z Machu Picchu wolę nie pamiętać.

- Spotkaliśmy się w Hiszpanii - sprostował Rowe.

Stałam jak wryta, otwierając szeroko usta. A to niespodziewana nowina. Czy był jednym z tych, którzy uprowadzili mnie z Hiszpanii i przewieźli do Peru?

- Minęło już ponad sześć wieków - ciągnął. - Wyglądałem wtedy trochę inaczej, ale ty nie zmieniłaś się wiele. Zdaje się, że miałaś dłuższe włosy i byłaś człowiekiem. Kimś w rodzaju człowieka.

- Kłamiesz - wyszeptałam, wstrząśnięta do głębi. On mnie znał, kiedy byłam jeszcze istotą ludzką. To nie wydawało się możliwe. Czy przyciągałam jak magnes te pokrecone istoty? Sadira odnalazła mnie w małym gospodarstwie w Grecji, skąd do najbliższej wioski szło się prawie cały dzień. A teraz Rowe twierdził, że poznał mnie w trakcie mego krótkiego ludzkiego życia.

Upłynęły cztery godziny od świtu i siedziałaś na brzegu jeziora - powiedział Rowe.

Jego głos stawał się twardszy i chłodniejszy wraz z każdym kolejnym przytaczanym szczegółem. Opuścił bezwładnie ręce. - Siedziałaś w słońcu, w zielonej sukience. We włosy miałaś wpleciony sznur czarnych pereł.

Chociaż moje wspomnienia tamtego dnia zatarły się z upływem wielu lat, on sam pamiętał wszystko wyraźnie. Ale nie było żadnych wątpliwości, że przywoływał z pamięci prawdziwe zdarzenie. Tamtą sukienkę miałam na sobie tylko raz, a potem ją spaliłam, niszcząc ostatnią pamiątkę po ludzkim życiu. Rowe napotkał mnie ostatniego dnia, w którym byłam człowiekiem.

Lekkie drżenie objęło moje palce, a żołądek zwinął się w ciasny węzeł. Zaczęłam kręcić głową, zaprzeczając wszystkiemu, co Rowe mówił, ale mgła spowijająca moje wspomnienia zaczęła się rozpraszać. Oto jakiś mężczyzna wyszedł z pobliskiego lasu. Był

wysoki i szczupły, o jasnozielonych oczach w odcieniu mokrej trawy po letniej burzy. Włosy sięgające mu do ramion były niemal tak jasne, jak mleczne promienie słońca.

- Uprzedziłam cię... że nasz pan...

- ... nie lubi intruzów - dokończył Rowe. Oparł się o drzewo, na którym siedział

zaledwie kilka chwil wcześniej. Wyrwał mu się cichy śmiech, gdy odchylił głowę, patrząc w górę na koronę drzewa. - Nigdy nie odgadłbym, że mówisz o sforcie wampirów.

- Próbowałam tylko uchronić cię przed tym, by uczyniono z ciebie kolację - odparłam.

Nie potrafiłam podnieść głosu ponad szept, gdy mój umysł starał się przetrwać tę informację.

- I wymknęłaś mi się z rąk - mruknął, patrząc na mnie znowu. - Wyszedłem z tamtego lasu, bo cię wyczułem. Ktoś dziwny siedział na skraju jeziora. Nie naturi. I niezupełnie istota ludzka. Mały kłębek energii, ciepły i słodki jak zefir.

- Człowiek - powiedziałam stanowczo. - Byłam wtedy człowiekiem.

Rowe skwitował tę uwagę wzruszeniem szerokich ramion.

- Może. - Wbił we mnie spojrzenie i wykrzywił usta. - Udało ci się wtedy mnie oszukać: „Chciałam tylko ostatni raz ujrzeć słońce”. - Przedrzeźniał mnie piskliwym falsetem, który wcale nie przypominał mojego głosu.

- I wtedy rzeczywiście ostatni raz zobaczyłam słońce - potwierdziłam.

- Myślałem, że umierasz - warknął, odpychając się od drzewa, ale się nie zbliżając.

Wpatrywał się we mnie, zaciskając pięści. - Ludzie padali jak muchy w całym kraju.

Sądziłem, że i ty konasz.

Był to jeden z powodów, dla których Sadira zaoferowała mi przemianę w wampira.

Dżuma, zwana czarną śmiercią, szalała w Europie od kilku lat, a Sadira zaczęła się obawiać, że nie uchronię się przed tą epidemią. Gdybym zachorowała, nie mogłaby mnie uleczyć i musiałaby patrzeć, jak umieram. A więc zaproponowała, że uczyni ze mnie nocnego wędrowca. Dopiero ostatnio przekonałam się, że chodziło, rzecz jasna, nie tylko o to, ale pozostałe kwestie umknęły mi z pamięci, więc uznałam, że stworzyła mnie wyłącznie Sadira.

- Miałam na myśli inny rodzaj śmierci - powiedziałam półgłosem.

- Ach! - zawołał Rowe, ze złością wyrzucając ręce w górę, gdy zrobił krok w moim kierunku, by następnie cofnąć się w stronę drzewa. - Gdybym tamtego dnia coś zrobił...

cokolwiek... tyle spraw przedstawiałoby się teraz inaczej. Gdybym cię wtedy po prostu zabił albo uprowadził cię od tych wampirów, cały świat wyglądałby odmiennie - utyskiwał.

Był to interesujący punkt widzenia, którego wcześniej nie rozważałam. Jeślibym nie trafiła do Machu Picchu, naturi najprawdopodobniej wyłamaliby wrota i powrócili na ziemię.

Wszystko przedstawiałoby się zupełnie inaczej, gdybym nie przeżyła. Po przeanalizowaniu z takiej perspektywy wielu swoich pozornie niegroźnych decyzji, które przyniosły wprost fatalne skutki w kilku ostatnich dniach, pokrzepiające okazało się zetknięcie z kimś, kto również uważał, że działy się rzeczy straszne. Gdyby sześćset lat temu Rowe mnie zabił, tę trochę dziwną istotę ludzką, jego małżonka i zarazem królowa naturi przechadzałyby się po ziemi u jego boku, w otoczeniu reszty hordy naturi. Nie czekałaby ich bitwa, która się teraz zbliżała. Szeroki uśmiech wypłynął na moje usta i rozjaśnił mi oczy. Nie ja jedna zostałam paskudnie wystawiona do wiatru, nie zdając sobie sprawy, że już o wiele za późno na naprawienie wszystkiego.

- Bylibyśmy wolni - powiedział cichym głosem, przepojonym tęsknym pragnieniem.

Przestałam się uśmiechać.

- A ja byłabym martwa. Nie żyłyby niezliczone rzesze ludzi, nocnych wędrowców i wilkołaków. Bori odzyskałyby wolność. Dawna wojna rozpętałaby się na nowo - stwierdziłam głosem nabierającym mocy po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w towarzystwie Rowe'a.

- Sądysz, że bori byliby wolni, gdyby naturi powrócili? - odparł, znów opierając się o drzewo. Wydawało się, że otrząsnął się z chwilowej frustracji, ale z drugiej strony rozważał tę prawdę już od ponad pięciuset lat.

- Oczywiście. To jedyna możliwość ocalenia innych istot przed naturi. - Zrobiłam kilka kroków w jego kierunku, wsuwając palce w przednie kieszenie skórzanych spodni. -

Kiedy nocni wędrowcy stwierdzą, że nie możemy was pokonać, wypuścimy na wolność bori, jedynych, którzy dorównują wam potęgą.

- Odmalowujesz smutną wizję przyszłości - powiedział Rowe, kręcąc głową.

- Nie musi tak się stać - rzekłam, uśmiechając się ponownie. - Możecie teraz odejść.

Porzućcie na zawsze plany złamania pieczęci, a naturi niech odejdą w zapomnienie.

Ku mojemu zaskoczeniu Rowe znów się zachnął i skrzyżował ręce na piersi.

- I strzegłabyś mnie przed moją rasą?

Odpowiedziałam na to uśmiechem. Analogiczną propozycję złożył mi on sam, parę nocy wcześniej. Ofertę przejścia na drugą stronę. Zdradzenia swoich pobratymców.

- Naturalnie.

- Ja proponowałem ci to na serio, Miro. Nie pasujesz do nich.

- Jestem nocnym wędrowcem, Rowe. I tylko do nich należę.

Westchnął, a potem popatrzył na mnie spod ściągniętych brwi, jak gdybym sprawiła mu zawód.

- Tak czy owak, pozbycie się mnie nie rozwiąże twoich problemów.

Zauważyłam, że gdy to mówił, jego wzrok powędrował znowu w stronę muru za moimi plecami. W kierunku rezydencji Sabatu oraz żeńskiej naturi w Wielkiej Sali.

- Zapewne nie, ale dobre i to na początek - stwierdziłam. - Oczywiście, wydaje mi się, że powinnam zacząć od tamtej naturi na wyspie, w którą nieustannie się wpatrujesz. Czy to twoja przyjaciółka? A może umiała ci noce, a teraz przeszła do przeciwnego obozu?

Z głębi gardła Rowe'a wyrwał się warkot. Swobodna wymiana zdań, jaka trwała do tej pory, dobiegła końca, i nadeszła pora, by przystąpić do rzeczy. Miałam nadzieję, że przetrwam kilka następnych minut. O ile mogłam śmiało założyć, że zabicie go powstrzymałoby naturi przed próbami złamania pieczęci, o tyle moja śmierć sprawiłaby, że nocni wędrowcy nie mieliby szansy na odtworzenie tej pieczęci czy też ponowne zamknięcie wrót, które naturi zdołaliby otworzyć.

- Wiesz o niej? - zapytał ostro, na co uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Rowe wykonał

parę kroków w moim kierunku, a ja równocześnie postąpiłam tyleż kroków w tył. Powietrze zdawało się nabrzmiwać energią. Zerwał się wiatr, gwałtownie chwiejąc drzewami.

Rzuciłam okiem na nocne niebo i ujrzałam, że chmury kłębią się i pęcznieją jak opary nad kotłem czarownicy. Przesłoniły gwiazdy, a w oddali rozległ się stłumiony grzmot.

- Potrafię wyczuć jej obecność na tamtej wyspie, jednak nie mogę do niej dotrzeć -

przyznał i dodało mi otuchy odkrycie, że przynajmniej ten naturi nie jest w stanie przedrzeć się przez nasze ochronne zapory. - Nocni wędrowcy kontrolują tę wyspę.

- Wenecja należy do nas - powiedziałam. - Należy do nas od czterech stuleci i pozostanie nasza. Dziwi cię, że są na tym świecie takie miejsca, do których nie możesz przeniknąć? - Igrałam z ogniem, drażniąc się z Rowe'em, ale było to najlepsze, co mogłam w danej chwili uczynić.

- Kogo trzymacie na tej wysepce? - zapytał, ignorując moje złośliwe uwagi. - Ona jest tam więziona.

Coś w jego głosie kazało mi się zastanowić. Lekkie zawahanie czy też krótkie wstrzymanie oddechu, które łatwo było przeoczyć. Chciał, by jego słowa zabrzmiały jak stanowcze stwierdzenie, ale wcale

tak nie zabrzmiały. On nie tylko nie był pewien, kto znajduje się na wyspie, ale i nie miał pewności, że owa naturi przebywa tam jako zakładniczka.

- Bardzo interesujące pytanie - powiedziała powoli. - Niestety, jesteś jedynym żywym naturi, jakiego znam. Pozostali na ogół giną szybko, kiedy mnie napotkają.

Grzmot rozbrzmiał znowu, tym razem głośniejszy; burza nadciągała. Rowe zawarczał, podnosząc rękę w górę. Po niespełna sekundzie błyskawica uderzyła w ziemię, nie dalej jak metr od miejsca, w którym stałam. Odskokczyłam i upadłam, ale szybko podniosłam się na nogi. Powietrze nadal iskrzyło od elektryczności wiszącej w atmosferze, wokół unosiła się woń spalonego ozonu.

Rowe potrząsnął lekko ręką, zanim opuścił ją znowu. Nie można było nie dostrzec skupienia na jego twarzy, gdy na mnie patrzył. Mogłam się teraz przekonać o potędze naturi wiatru. Potrafili nie tylko latać, ale i najwyraźniej mieli też wpływ na pogodę. Nie przeżyłabym trafiona przez błyskawicę i wiedziałam, że Rowe może mnie zabić, zanim zdołam go spalić.

- Hm - mruknęłam drwiąco, rozpaczliwie usiłując ukryć pod sarkazmem narastający we mnie strach.
- Zabicie mnie mogłoby rozwiązać niektóre z twoich problemów, ale nie pomoże ci w ustaleniu tożsamości tamtej małej naturi, ukrywającej się na wyspie.

- Ukrywającej się? Co rozumiesz pod „ukrywaniem się”?

Zaśmiałam się, lecz stłumiłam śmiech, kiedy Rowe znów zaczął unosić rękę.

Błyskawica śmignęła między skłębionymi chmurami, na czas krótszy od mrugnięcia okiem, oświetlając każdą z tych ciemnych mas wilgotnego powietrza, nim wszystko ponownie pograżyło się w ciemności. Zgrzytając zębami, podjęłam desperackie ryzyko. Puściłam się biegiem wprost na Rowe'a. Powietrze zaiskrzyło, a grunt się zatrzęsł, gdy następna błyskawica uderzyła w ziemię tuż za mną.

Ciskając Rowe'em o drzewo, schwyciłam w dłonie materiał jego czerwonej koszuli i napałam na niego tak, że niemal dotknęłam nosem jego nosa.

- Może i panujesz nad błyskawicami, ale jestem gotowa się założyć, że sam nie przeżyłbyś rażenia piorunem. A więc pojawia się pytanie: jak bardzo chcesz mnie uśmiercić?

- To interesująca kwestia - odparł. Utkwił we mnie spojrzenie zielonych oczu i wykrzywił usta w uśmiešku.

Odczułam przyływ energii, trzeszczącej i szeleszczącej wokół nas. Rowe czerpał

energię z ziemi, a ja mogłam to poczuć - co było niezwykle. Nocni wędrowcy tracili po odrodzeniu wszelkie związki z ziemią.

Wrażenie narastania mocy było zarówno zdumiewające, jak i bolesne; kęsało moje tkanki, wgrzyzało w kości. Energia ta próbowała przeniknąć w moje ciało; to była zastanawiająca sprawa, bo przecież byłam wampirem. Nocni wędrowcy to istoty stosujące magię krwi. Nie władamy magią powiązaną z

ziemią. W każdym razie zawsze mnie o tym przekonywano.

- Oczywiście oboje wiemy, że zabicie mnie nie przyczyni się w żadnym stopniu do uzyskania informacji o twojej zaginionej towarzysze - powiedziałam, usiłując zyskać choćby kilka sekund. - A oboje się już przekonaliśmy, czym się kończy próba porwania mnie.

- Jestem pewien, że uda mi się znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

- Skoro już o tym wspominasz, to dlaczego nie zastanowisz się nad przyczynami, dla których jakaś naturi zagnieździła się na wysepce pełnej nocnych wędrowców i nic złego jej się nie stało. - Odsunęłam głowę od jego twarzy, by spojrzeć mu w oczy, nie robiąc przy tym zeza. Cień gniewu przemknął po niej, kiedy w zamyśleniu popatrzył na mnie. Stojąc tak blisko niego, mogłam dostrzec szramy, które znaczyły prawą część jego twarzy, przesłonięte częściowo przepaską na oko. Przypomniałam sobie, że kiedy zetknęliśmy się przed laty, na jego szyi było tylko kilka nikłych blizn. Dawniej miał jasną cerę i blond włosy, a teraz stał

przede mną mroczny i poharatany. Przez co przeszedł i co mogło tak pokieroszować tego naturi?

- Myślę, że masz poważniejsze problemy ode mnie - powiedziałam, powoli rozluźniając palce, zaciśnięte na jego koszuli. Wiedziałam, że naturi na San Clemente to nie zakładniczka, tylko element jakichś rozgrywek Sabatu. Z kolei Rowe wiedział, że na tamtej wyspie znajduje się jakaś naturi, jednak nie miał pojęcia, kto to taki i co tam robiła, co wskazywało na to, że jej tam nie posłał.

Tamta naturi prowadziła konszachty z Sabatem bez wiedzy Rowe'a. A zatem nie ja jedna padłam w Wenecji ofiarą zdrady.

Spojrzałam z ukosa na niego po raz ostatni, cofając się, w nadziei, że w końcu dałam mu tyle do myślenia, iż uda mi się zbiec do jakiejś bardziej zaludnionej okolicy.

- Jeszcze jedna mała rada - dodałam. - Na twoim miejscu zachowałabym ostrożność w ciągu następnych czterech nocy.

Zanim zdołałam się wymknąć, Rowe gwałtownie chwycił mnie za ramiona i przytrzymał zaledwie o kilkanaście centymetrów od siebie. Złośliwy uśmiech rozchylił mu usta, a rozbawienie zatańczyło w zdrowym oku.

- Mówisz, że nie pamiętasz mnie z Machu Picchu - odezwał się cicho. - Sprawdźmy, czy uda mi się odświeżyć ci pamięć.

Ku memu całkowitemu zaskoczeniu raptownie przyciągnął mnie ku sobie i przywarł

ustami do moich warg. Stałam jak skamieniała, a w głowie zawirowała mieszanka niedowierzania i odrazy. I stało się coś jeszcze gorszego. Uzmysłowiłam sobie, że jego dotyk, woń i smak są mi aż za dobrze znane. Odepchnęłam go od siebie i wyrwałam z jego objęć.

Cofałam się, potykając przy wtórze jego ironicznego śmiechu, lecz prawie nic z tego do mnie nie docierało. Myślami powróciłam do wydarzeń w Machu Picchu.

- Byłeś w tamtej jaskini - wydusiłam przez ściśnięte gardło.

- A ty nadal sądziłaś, że jestem człowiekiem - zadrwił Rowe.

Byłam wtedy wyczerpana, wykończona z bólu i głodu po torturach, które ciągnęły się przez ponad tydzień. Na godzinę przed świtem odnieśli mnie znowu do pieczar, składających się na świątynię księżycy. Tyle że tym razem znajdował się tam pewien człowiek, blady blondyn. Nie pomyślałam o tym, jak i po co tam trafił. Przez mgłę bólu dostrzegałam tylko człowieka, którego spotkałam wcześniej nad jeziorem.

- Mówiłeś, że oni cię zabiją - zaskomlałam, na co Rowe ponuro się zaśmiał. Wtedy, w jaskini, powiedział mi, że oni go zabiją, jeśli nie zrobię tego, co naturi mi każą. Błagał mnie, abym ocaliła mu życie, ale nie mogłam zdradzić swoich pobratymców, żeby uratować jednego człowieka. Kiedy przyszedli po niego, szarpnęłam łańcuchy, którymi miałam skrupowane ręce za plecami. Usiłowałam wywołać pożar, ale okazałam się zbyt słaba.

Mogłam tylko krzyczeć i kopać, gdy naturi się zbliżali, a łzy spływały mi po umorusanej twarzy.

Kiedy pochwycili mego jasnowłosego towarzysza, ten nachylił się i pocałował mnie.

Zapamiętałam miękkość jego warg, smak słodczy, niczym dojrzałych jagód, w jego ustach.

Mogłam poczuć jego zapach, pomieszaną woń ziemi i rozpachy. Prosił błagalnie po raz ostatni, abym go ocaliła, lecz mogłam jedynie zapłakać po nim, kiedy go wywlekli, a słowa uwięzły mi w ściśniętym gardle.

Teraz patrzyłam na Rowe'a zatrwożona, a tamte chwile powróciły z przerażającą wyrazistością. Wypłakałam wówczas za nim oczy, a poczucie winy trawiło mnie niczym kwas. Zmusiłam się, by o nim zapomnieć, gdyż myśli o nim niemal mnie zniszczyły.

Sądziłam, że poświęciłam niewinnego człowieka, by ocalić własną rasę przed eksterminacją.

- Może ty zapomniałaś o mnie, ale ja nigdy nie zapomniałem smaku łez, jakie za mną wypłakałaś - powiedział cicho.

Oplotłam tułów ramionami, zginając się wpół z bólu. O mało nie zniszczyli mnie wtedy za pomocą takiego podstępu, prawie mnie wówczas złamali. Nawet teraz, po wielu stuleciach, ból, jaki odczuwałam z tego powodu, był taki dotkliwy.

Rowe uśmiechnął się do mnie, nie próbując mnie zatrzymać, gdy odstępowałam od niego.

- Z woli losu przetrwałaś nasze pierwsze spotkanie sprzed wielu lat. Pewnego dnia twoje życie jeszcze mi się przyda.

Pokręciłam przecząco głową i nic nie mogłam na to odpowiedzieć. Mrugając, powstrzymywałam łzy upokorzenia, powoli odchodząc w stronę wyjścia. Tamta noc w Machu Picchu stawała mi przed oczami, z każdym krokiem coraz wyraźniej, wzmagając moją nieskończoną nienawiść do całej rasy

naturi.

Pomruki burzy towarzyszyły mi w drodze powrotnej do motorówki, lecz błyskawica pozostała uwięziona w chmurach. Rowe wciąż się ze mnie naśmiewał.

Rozdział 15

Słońce znowu chowało się za horyzontem, a jego długie promienie czepiały się nieba w rozpaczliwej próbie uchwycenia się czegoś jeszcze w ostatniej chwili. Świat westchnął i zadygotał, otrząsając się z mocnych objęć dnia, jak gdyby zrzucał skórę, z której wyrósł. Nie widziałam miarowego zstępowania słońca w ciemność, ale poczułam narodziny nowej nocy.

Lekkie poruszenie nocnego świata, który ziewnął i przeciągnął się, gotowy na łowy, przepłynęło przeze mnie.

Tristan przeleżał w milczeniu zeszlą noc po powrocie z siedziby Sabatu, przybity z powodu zdrady Sadiry oraz tego, że nie zdołałam go ustrzec. Byłam pewna, że w jego myślach odgrywało się wszystko, wraz z makabrycznymi szczegółami, co przeżył na tamtym dworze. Otarł się o śmierć w owym miejscu nieustającej nocy i nieustających okropieństw.

Nie powinnam była pozostawiać go samego z Sadirą, całkowicie lekceważąc jej chęć odegrania się na mnie. Dwór mógł z łatwością go zniszczyć, a Sadira już wcześniej twierdziła, że mogłaby obejść się bez Tristana, gdyby to oznaczało złamanie mnie. Chronienie Tristana okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam, a on zapłacił słono za moją głupotę i mój egoizm. Wina za jego znalezienie się w Wielkiej Sali Sabatu spadała na mnie. Oboje wiedzieliśmy, że żadne z nas nie odzyska pełnej wolności, dopóki Sadira nie zginie. Na razie jednak Tristan spał głębokim snem obok mnie na łóżku, skulony w pozycji embrionalnej, pod kocami okrywającymi nagie ciało.

Z wahaniem wyciągnęłam rękę i odgarnęłam kilka loków z jego twarzy. Pełny mrok miał zapaść dopiero za ponad godzinę, a Tristan pogrążony był w głębokim, uzdrawiającym śnie naszej rasy. Rozkoszna ciemność spowijała jego umysł, a wspomnienie o zdradzie Sadiry i moim fiasku zaczęło się już niewątpliwie ulatniać. Miało zostać przywołane znowu, i to szybko, ale na razie Tristan przebywał w nicości.

Popatrzyłam na jego piękne ciało, chłodne i okaleczone. Ścisnęło mnie w gardle i powstrzymałam napływające do oczu łzy, które rozmywały ostrość widzenia. Mój słodki, uroczy Tristan, z tym swoim delikatnym, radosnym uśmiechem. Traktowałam go jak dziecko i jak brata. Sprowadzeni do świata mroku przez tę samą wampirzycę byliśmy krewniakami.

Ale on był ode mnie dużo młodszy i słabszy. Sama jego egzystencja wydawała się taka krucha.

Jabari ocalił mnie przed pięciuset laty przed Sadirą, wyciągając z mroków bólu i rozpacz. Czy uratowanie Tristana stanowiło teraz moje zadanie? Jak mogłam to uczynić, skoro z ledwością byłam w stanie sama się chronić? Michael i Thorne zginęli na moich oczach. Czy Tristana czeka taki sam los, pomimo moich usilnych starań o ocalenie go?

Dotknęłam znów jego włosów i zapragnęłam, by nikt nie zmaćcił jego spokoju.

Chciałam, aby jego rany się zagoiły, nie tylko te fizyczne, ale i psychiczne, ale obawiałam się, że są to próżne życzenia. Ledwie kilka nocy temu powiedziałam Jamesowi, że nocni wędrowcy to nie tylko monstra, że odczuwamy radość i kochamy. A jednak czy krwawa miazga, w jaką wampiry zmieniły plecy Tristana, kiedy obdzierały go ze skóry, nie świadczyła o tym, że się myliłam? Czy nie dowodził tego fakt, że rozkoszowałam się krwawą jatką, jaką sama zgotowałam? Jak jednemu potworowi mogło się udać chronienie innego monstrum?

Spojrzałam na plecy Tristana i przekonałam się, że uleczyły się z ran zadanych mu ubiegłej nocy, po czym wstałam z łóżka. Nigdy dotąd w trakcie mojego długiego żywota nie budziłam się tak wcześnie. Ale tym razem mnie wzywano. Poczułam Valeria w swojej głowie w tej samej sekundzie, kiedy oprzytomniałam, a potem Valerio jakby się wycofał; na moich ustach pozostało wrażenie czegoś delikatnego, jak gdyby mnie pocałował. Stojąc w cichym pokoju, odetchnęłam głęboko, spodziewając się, że wychwycę dyskretną nutę jego zapachu, a mózg podpowiedział mi, że tę woń naprawdę wyczuwam, choć wiedziałam, iż Valeria nigdy nie było w tym pomieszczeniu. Jego obecność w moich myślach zaznaczyła się tak mocno, że pozostawiła ślad także w zmysłach.

Ale taki już był ten Valerio - milczący jak cień i wszechobecny jak wiatr. Był widmem z mojej przeszłości, z której nie mogłam się do końca otrząsnąć. Rzecz jednak w tym, czy naprawdę chciałam zareagować na jego dotyk z oddali. Odgłos zamykanych drzwi pokoju hotelowego wytrącił mnie z zamyślenia. Pochwyciłam długi jedwabny szlafrok, przewieszony na krześle, i szybko zarzuciłam go na siebie. Przepasywałam go jeszcze, wchodząc do głównego salonu. Danaus pchał przed sobą wózek nakryty białym obrusem, pełen dań pod srebrnymi przykrywkami. Aromat zawiesistych sosów, gotowanego mięsa i gorącej kawy nagle wypełnił powietrze. Nadszedł czas kolacji - lub śniadania. Sądząc po zapachu, łowca zafundował sobie równocześnie i jedno, i drugie.

Danaus nagle się zatrzymał, przenosząc spojrzenie ze mnie na rząd okien, za którymi widniał daleki zachód słońca. Na niebie malowały się głębokie odcienie czerwieni, pomarańczy i ciemnej purpury. Upłynęły wieki, odkąd ostatnim razem widziałam takie barwy nieba.

- Miałaś jakieś problemy zeszłej nocy? - zapytałam sztywno. Ze złożonymi na brzuchu rękami podeszłam do okien, nie zwracając uwagi na nieme pytanie w jego zwężonych oczach.

Dogasające światło słońca sprawiało, że moje oczy płonęły; powstrzymywałam krwawe łzy, ale się nie poruszyłam. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek ujrzę jeszcze zachód słońca i pragnęłam napawać się tą grą barw, póki mogłam.

- Nie. A ty?

- Nic takiego. - Starłam się zbyć nonszalancją i obojętnością wypadki ubiegłej nocy, lecz bez powodzenia. Słowa pobrzmiwały zmęczeniem, wypowiadałam je nieskładnie.

Spotkanie z Rowe'em i rzeź w Wielkiej Sali rozdarły mnie na pół.

- Miro?

Nie dosłyszałam, jak się zbliża, ale jego głos dobiegł teraz z bliska. Danaus stał w odległości paru metrów, dokładnie za mną. Biła od niego mocna woń, kojący aromat mydła i słońca, z korzenną nutą wody kolońskiej lub płynu po goleniu. Chęć mnie chciała przylgnąć do niego i dotknąć ramionami jego mocnej piersi, gdy tak wpatrywaliśmy się w zachód słońca. Zapadła przyjemna cisza.

- Wszystko w porządku - powiedziałam, odpędzając od siebie tę niemądrą pokusę.

- Łatwiej byłoby chronić się wzajemnie, gdybym wiedział, co się dzieje - odrzekł

stanowczo. - Kto zabrał Sadirę i Tristana?

Otworzyłam usta, żeby oznajmić, że to nie jego sprawa i że wszystko znajduje się pod kontrolą, ale zamiast tego wypowiedziałam zupełnie inne słowa.

- Sadira zabrała Tristana na dwór Sabatu, żeby mnie ukarać. Torturowano go do chwili mojego zjawienia się tam.

- Zniszczyłaś Sadirę? - Pytanie to wymknęło mu się z gardła, ale nie pobrzmiwały w nim żadne emocje. Nie potrafiłam stwierdzić, czy Danaus potępi mnie, czy też pochwali za to, co zrobiłam.

- Ona nadal żyje, choć jestem pewna, że wolałaby nie żyć - odpowiedziałam w końcu.

- A Sabat?

- Kto wie, co oni sądzą? Nie było ich tam w tym czasie. Przystąpią do działania dopiero wtedy, gdy przyniesie im to korzyść. - Zdusiłam westchnienie i odwróciłam się w stronę Danausa. Musiałam się zbierać. Valerio przebudził mnie nie bez powodu. Chciał

czegoś, a ja z kolei wolałam, żeby się tu nie pokazywał. - Mam dzisiejszej nocy kolejne spotkanie.

- Udasz się na nie sama?

- Naturalnie - odparłam z uśmiechem, który znikł tak prędko, jak się pojawił.

- A co z Sabatem i ich porozumieniem z naturi? - dopytywał się Danaus.

- Nie zapomniałam o tym. Musimy to powstrzymać albo dojdzie do wojny między wszystkimi rasami, oprócz wojowania z naturi. Nikt by jej nie przeżył.

- Nie uważasz za dziwne, że Jabari zażądał, abyśmy tutaj przybyli, ryzykując, że odkryjemy ich wielki spisek?

Uśmiech rozjaśnił mi oblicze, odsłaniając na krótko kły.

- Owszem - odrzekłam, prawie chichocząc. - Zaczynam myśleć, że wszyscy są tego samego zdania o Sabacie.

- I że naszym zadaniem jest zniweczenie tych układów - dokończył Danaus, kiwając głową.

- Zniszczenie naturi, którzy usiłują złamać pieczęć. Pokrzyżowanie układów Sabatu z naturi.

- To idzie nam najlepiej - stwierdził. Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Racja, ale możemy potrzebować pomocy i stąd to spotkanie. - Po raz ostatni zerknęłam przez ramię na kolory ciemniejącego nieba. - Nie odchódź daleko od Tristana, kiedy mnie tu nie będzie. Nie spuszczaaj go z oczu - poleciłam, nie bacząc na to, jak łowca zareaguje na rozkazy, wydawane mu przez stworzenie trzykrotnie od niego młodsze.

- Uważasz, że oni znowu mogą po niego przybyć?

Przechyliłam głowę na bok, a w mózgu zaświtała mi osobliwa myśl.

- Broniłbyś go, gdyby tak się stało? - spytałam cicho, omiatając wzrokiem jego twarde rysy. Rozejrzał się po pokoju, a zmarszczki na jego czole się pogłębiły, gdy odstępował ode mnie o kilka kroków. Wątpię, czy któreś z nas znało odpowiedź na to pytanie. Otworzyłam usta, by mówić dalej, ale wtedy Danaus niespodziewanie się odezwał, a jego głos zabrzmiał w cichym pokoju jak odległy grzmot.

- Broniłbym go przed istotami, które skrzywdziły go ubiegłej nocy.

Nie wdawałam się w szczegóły tego, co przydarzyło się zeszłej nocy młodemu nocnemu wędrowcy. To była decyzja Tristana. Jednak nie wątpiłam, że Danaus wyczuł mój ból i moją wściekłość. Nie próbowałam skrywać ich przed nim.

Zaczęłam się uśmiechać, a oczy załśniły mi kolorem ciemnej lawendy na wspomnienie krwawej rozprawy.

- Te istoty już nie żyją - zamruczałam.

Danaus skinął głową, a jego zasepione oblicze się rozjaśniło. Zaskoczyło mnie to. W

jego oczach nie było ani niesmaku, ani rozczarowania, kiedy na mnie popatrzył. Bił od niego spokój.

Zamrugałam powiekami, blask zniknął z moich oczu, a fala mocy spłynęła ze mnie, jak uniesiona lekkim wiatrem.

- Nie, nie dlatego chcę, żebyś pozostał z Tristanem. Boję się, że potem dwór może zacząć ścigać ciebie.

- I spodziewasz się, że on mnie ochroni? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

- Nie - powiedziałam, a uśmiech zadrżał mi na ustach. - Tristan i ja jesteśmy ze sobą związani. Potrafię wyczuwać jego emocje i widzieć jego oczami. Dowiem się, jeśli znajdzie się w kłopotach.

- Nasze powiązanie wygląda inaczej? - spytał i uniósł brew, patrząc na mnie.

- Nasz związek ulega osłabieniu pod wpływem czasu i odległości - odparłam ostro. -

Poza tym nie chciałam go utrzymywać i wolałam, żeby rozpadł się całkowicie. - Wciąż byłam wytracona z równowagi tym, w jaki sposób jego umysł zetknął się z moim zeszłej nocy, powoli przemykając przez moje ciało w poszukiwaniu urazów, jakich doznałam. Teraz jednak kontakt ten się rozluźnił i byłam ledwie świadoma odczuć Danausa, tak jak emocji większości ludzi.

Danaus kiwnął tylko głową, rozsądnie powstrzymując się przed skomentowaniem faktu, że nie wiedziałam, iż Tristan wpadł w kłopoty, aż było prawie za późno na interwencję.

Z drugiej strony ubiegłej nocy wyciągnęłam go jednak z bardzo poważnych tarapatów. A Sadira nie powinna teraz nastęczać problemów przed dłuższy czas.

Kiedy zawróciłam w stronę sypialni, by wrzucić na siebie jakieś ubranie, Danaus wskazał na wielkie pudło, dostarczone do pokoju przed paroma godzinami. Pokręciłam głową i zaniiosłam je do sypialni, wiedząc bez otwierania, kto je przysłał. Valerio uważał, że wygląd zewnętrzny jest wszystkim, co potrzebne do zachowania twarzy.

Położyłam wielkie, białe pudło na ubrania na łóżku i zdjęłam wieko. W środku znalazłam cienką czarną jedwabną koszulkę na ramiączkach i biały koronkowy szal. Prosta czarna spódnica, z rozcięciem z tyłu, sięgała łydek. I, oczywiście, była tam też para pantofli na wysokim obcasie, z szerokimi czarnymi paskami, zapinanymi na wysokości kostek.

Ubrawszy się szybko, postanowiłam w ostatniej chwili pozostawić włosy rozpuszczone.

Jeszcze tylko zerknęłam w lustro i nie zdołałam powściągnąć uśmiechu. Mój nowy strój był

elegancki, a przy tym odpowiednio stonowany. A również okazał się seksowny i kusicielski, tu i ówdzie odsłaniając małe partie mojej bladej skóry. Gdyby Valerio potrafił na dłużej oderwać uwagę od spraw mody i przestał tak troszczyć się o wygląd, stałby się naprawdę groźny.

Wciąż się uśmiechałam, kiedy wychodziłam z apartamentu i zjeżdżałam windą do hotelowego holu. Gdy wymykałam się z pokoju, miałam na końcu języka ostrzeżenie dla Danausa, że Rowe działa w pobliżu, jednak wiedziałam, że gdybym tylko wypowiedziała imię tego naturi, nie mogłabym uczestniczyć w nadchodzącym spotkaniu wolna od jego mrocznego cienia. Poza tym Danaus potrafił wyczuwać obecność naturi, co całkiem niezłe go chroniło. Mógł się obejść bez mojego ostrzeżenia.

Kiedy weszłam do wielkiego marmurowego hotelowego holu, słońce akurat schowało się za widnokreśm i nastąpiła noc. O mało się nie potknęłam o nagły przypyływ mocy, który falował w powietrzu. Przez krótką chwilę poczułam się bardziej rozbudzona i ożywiona, połączona z czymś potężniejszym ode mnie. Jednak równie nagle odczucie to się ulotniło.

Znowu znalazłam się w swoim żywiole.

Cichy śmiech przyciągnął moją uwagę w tym prawie pustym miejscu. Valerio złożył

gazetę, którą niby to czytał, odłożył ją na bok i wstał z krzesła.

Przedstawiał sobą klasyczny obraz wampira. W niczym nie przypominał

rozkładającego się, człapiącego upiora o trupim tchnieniu. Stanowił wersję wampira rodem z Hollywood, o ciemnych włosach i jasnoniebieskich oczach barwy lodowca obmywanego przez morze. Bardzo blada skóra opinała smukłą sylwetkę; pod skórą rysowały się mięśnie wyrobione za jego ludzkiego życia pod wpływem ciężkiej pracy fizycznej, a w późniejszym bytowaniu w wyniku nieustannej aktywności. Valerio był ode mnie niższy, ale nieznacznie.

Zresztą i to nie rzucało się zbyt w oczy. Kiedy wchodził do pomieszczenia, jego obecność stawała się na tyle dominująca, że przestawało się zauważać kogokolwiek oraz cokolwiek innego. Stawał się wszystkim i był wszędzie.

„Przystojny” to niewystarczające słowo na opisanie jego urody. Valerio był piękny jak Dawid Michała Anioła albo jak Wenus z Milo. Roztaczał taki rodzaj uroku jak letni zachód słońca nad Morzem Śródziemnym z księżycem w pełni, świecącym z oddali. Wzbudzał

zachwyt. Zapierał dech w piersi. Był to ów typ spokojnej, niewysłowionej piękności, która skłaniała do wiary w Boga i w dobro panujące na świecie. Za jej sprawą chciało się przeżyć kolejny dzień.

Ale nie tylko jego wygląd zewnętrzny odpowiadał wizerunkowi, jaki ludzie przypisywali obecnie wampirom. Chodziło także o jego zachowanie. Biła od niego spokojna, niewzruszona pewność siebie, trzymająca w ryzach mięśnie jego szczupłego ciała.

Wyczuwało się to w sposobie, w jaki chodził i stał, opanowany i zawsze czujny, świadom tego, co go otacza. Był obdarzony uwodzicielskim urokiem śpiącego jaguara - pięknego, ale i śmiertelnie niebezpiecznego po przebudzeniu.

Sadira wpoila mi wiedzę o władzy i kontroli rządzących światem nocnych wędrowców. Jabari przekazał mi wiedzę o lojalności i honorze, nieodłącznie związanych z dziejami mojej rasy. Ale to Valerio nauczył mnie, jak prowadzić życie wampirzycy i jak żyć w zgodzie ze sobą. Otworzył mi oczy na przyjemności i radości. Na nowo nauczyłam się śmiać.

Dzięki Valerio przedstawiciele mojej rasy mieli podstawy, by się mnie lękać. Nauczyłam się igrać ze swoimi ofiarami, w sensie fizycznym i mentalnym, wzbudzając w równym stopniu poczucie szczęścia, jak i lęk.

Gdy opuściłam Sadirę i Jabariego, nie wracałam myślami ku przeszłości. Wyszłam z ich cienia i zaczęłam życie na własny rachunek. Jednak wciąż nie otrząsnęłam się z wpływu Valeria. Mijały lata i oto znowu przesiadywałam w jakimś eleganckim salonie albo też chodziłam po pełnym szcurów zaułku z Valeriem uśmiechającym się u mego boku.

Rozstawałam się z nim z niewypowiedzianymi słowami w rodzaju „nigdy więcej”, jakie miałam na końcu języka, wołałam jednak nie wymawiać ich na głos. Nasze drogi ciągle się przecinały.

Nie miałam pojęcia, ile ma lat. Był dosyć stary. Miał w sobie coś tak spokojnego i niekrępującego,

że wolałam nie zastanawiać się nad zakresem jego mocy, nikt jednak nie ośmielał się go zdenerwować, i nie bez przyczyny. Czy odrodził się jako figurant, czy może należał do Pierwszej Krwi? Wolałam nie zgadywać.

Nie obawiałam się go i wiedziałam, że może się to okazać moim najpoważniejszym błędem. Nie ufałam mu i w jego towarzystwie byłam wyjątkowo ostrożna, ale to, że się go nie bałam, mogło mnie doprowadzić do zguby. To Valerio nauczył mnie lękać się siebie samej.

Podszedł do miejsca, w którym stałam, z protekcyjnym uśmiechem na pełnych ustach, błyskając białymi zębami.

- *Cara Mira* - zaśmiał się, a włoski akcent lekko zabarwiał jego słowa. -

Zapomniałem, że zwykle sypiasz do późna, przegapiając narodziny nocy.

- Po co chciałeś się ze mną zobaczyć? - spytałam ostro, opanowując początkowe zaskoczenie tym, że po stanowił zwracać się do mnie po angielsku. Z wysiłkiem powstrzymałam się od skrzyżowania rąk na wysokości piersi. Nie chciałam, aby zobaczył, jaka jestem spięta, lecz nie wątpiłam, że mógł się o tym przekonać na widok moich zeszywniałych ramion i zmarszczek, które ściągały mi kąciki ust.

- A gdzie twój towarzysz? Tamten łowca - zapytał, wsuwając dłonie do kieszeni.

- W hotelu. Przypuszczałam, że zależy ci na spotkaniu tylko ze mną.

- O, tak - odrzekł, uśmiechając się szerzej. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu, a klapy jego marynarki otarły się o moje piersi. Lewą ręką schwycił moją prawą dłoń, zwieszoną swobodnie, a prawą ręką objął mnie w talii i zmusił do zatańczenia szybkiego walca wokół holu. Gdybyśmy nie byli skryci przed wzrokiem ludzi zgromadzonych przy okazałym wejściu, jestem pewna, że przyciągnęlibyśmy sporo zdumionych spojrzeń. -

Czekałem na możliwość omówienia z tobą kilku spraw, słodka Miro.

Pochyliłam nieco głowę, aby spojrzeć mu prosto w oczy, a wtedy Valerio wykorzystał

naszą bliskość i przywarł ustami do moich warg. Moje ciało zareagowało na ten znajomy bodziec, zanim mózg zdążył zainterweniować. Przerwaliśmy taniec i wtuliłam się w jego twarde ciało, odprężając się pod wpływem jego dotyku i zamykając oczy. Przesunął rękę z talii ku moim plecóm, przyciągając mnie mocniej do siebie. Znajomy dotyk rozluźnił napięcie w moich ramionach i w nogach. Jego woń drażniła kusząco moje nozdrza, próbując przywołać dobre wspomnienia, które ukryłam przed nim. Z jakiegoś osobliwego powodu ten nocny wędrowiec pachniał cynamonem.

To było jednak niewłaściwe. Myślami przebiłam się w końcu ponad wrażenia wibrujące w mym ciele. Valerio to źródło kłopotów. Był jeszcze jednym manipulatorem i zabójcą. A pocałunek nie różnił się od tego, którym obdarzył mnie Rowe i który pozostawił

we mnie wrażenie, że zostałam wykorzystana i zbrukana. Więcej nocy, które spędziłam w towarzystwie Valeria, spłynęło krwią niż w ciągu wszystkich wspólnych lat z Sadirą i Jabarim.

Różnica polegała tylko na tym, że dla Valeria noce były okazją do zabawy, a jego poprzednicy zamieniali je w koszmar.

Przerywając pocałunek, próbowałam oderwać się od jego piersi. Nocny wędrowiec nie mocował się ze mną, po zwałając wyrwać się z objęć i cofnąć o kilka kroków. Przecierając oczy, pokręciłam głową, dziwiąc się, jak szybko zdołał mnie opętać.

- Nie dotykaj mnie - powiedziałam zimno.

- Tęskniłem za tobą, Miro - odezwał się cicho, przyciągając moje spojrzenie z powrotem ku swojej twarzy.

Zachnęłam się, tłumiąc gorzki śmiech, który niemal wyrwał mi się z gardła.

- A zeszłej nocy nazwałeś mnie zdrajczynią. Nie jestem taka głupia, Valerio.

- Czasami nierozsądna, ale nie głupia - potwierdził. Uśmiechał się teraz szeroko, ukazując idealnie białe kły.

Machnęłam ręką lekceważąco i odwróciłam się, by odejść, ale moją uwagę przyciągnął odgłos przytłumionych kroków. Spojrzałam na gruby biały dywan na podłodze.

Hotelowy westybul był cały obłożony marmurem. Podniosłam oczy i się przekonałam, że nie jestem już w holu hotelu Cipriani, tylko w jakimś salonie, pełnym zabytkowych mebli.

- Do licha, Valerio! - warknęłam, podchodząc do jednego z zasłoniętych okien na przeciwległej ścianie. - Gdzie ja jestem, do cholery?

Wystrój wnętrza był zupełnie inny od tego, co widziałam w Cipriani. Właściwie nie przypominał niczego, co widywałam w całej Wenecji.

- W miejscu bardziej prywatnym - odrzekł.

Puszczając to mimo uszu, chwyciłam zasłony i rozsunęłam je gwałtownie, po czym ujrzałam beton tam, gdzie wcześniej widniały kanały. Rozejrzałam się po ulicy, ale nie od razu rozpoznałam budynki. Paniczny lęk ścisnął mi żołądek i zmusiłam się do wypuszczenia zasłon z rąk, gdyż miałam ochotę je podpalić.

- Do diabła, gdzie jestem? - rzuciłam, zwracając się w stronę nocnego wędrowcy. Stał na środku pokoju, znów z rękami w kieszeniach. Mój wybuch nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

- W moim prywatnym mieszkaniu w Wiedniu - odpowiedział, nieznacznie wzruszając ramionami.

- W Wiedniu, w Austrii? - wrzasnęłam. - Odeślij mnie z powrotem, i to już.

Byłam wściekła na niego i na siebie. Pocałował mnie, abym nie zauważyła naglej zmiany otoczenia, a

ja dopuściłam do tego, licząc, że na chwilę usunę z pamięci wspomnienie pocałunku Rowe'a. Chciałam zapytać Valeria, kiedy nabył umiejętność znikania i przemieszczania się na wielkie odległości, którą dysponował też Jabari. Valerio zaprezentował mi to po raz pierwszy, co wprawilo mnie w niemałe podenerwowanie. Tylko Starsi mieli taki talent, a Valerio nigdy nie przyznał się do tego, że ma ponad tysiąc lat.

- Musimy porozmawiać, Miro, a to było niemożliwe w Wenecji - powiedział

spokojnie.

- Nie pozwolę, żeby dwór znowu skrzywdził Tristana albo zagroził Danausowi.

Natychmiast przenieś mnie z powrotem do Wenecji - wycedziłam przez zaciśnięte zęby. -

Najpierw Nikołaj, a teraz ty. Zawsze myślałam, że nie przystoi ci rola kogoś, kto odwraca uwagę od głównych spraw.

- Nie działałam w imieniu Sabatu ani jego pachołków - podjął, nieporuszony moim wzburzeniem. - Opuściłem tamtą wyspę zeszłej nocy, na krótko przed tobą, i nie wróciłem już na San Clemente. Nie wiem, jakie Sabat ma dziś plany co do ciebie, ale daję słowo, że sprowadzenie cię tutaj to nie próba zastraszenia tych, którzy do ciebie należą.

- W takim razie odeślij mnie do Wenecji - powtarzałam z uporem. Moja furia przycichła, ale w głosie wciąż przebijało sfrustrowanie. Lękałam się, że Jabari albo ktokolwiek z Sabatu wyczuje, że opuściłam Wenecję. A wtedy wykorzystają tę okazję do zaatakowania Danausa i Tristana. Musiałam ich chronić, a nie mogłam tego uczynić, znajdując się w odległym od Wenecji kraju.

- Nie mogę. Musimy porozmawiać, a sądzę, że w Wenecji to niezbyt bezpieczne -

przyznał w końcu. Umilkłam, zauważając po raz pierwszy wyraz napięcia wokół kącików jego oczu i dziwnie niepewny uśmiech. - Wyślij swoje moce i wniknij do umysłu Tristana.

Przekonaj się, że on jest bezpieczny. Przeniknij do myśli tego łowcy.

Nachmurzyłam się, ale nie powiedziałam na to nic. Przenikanie do umysłu Danausa było trudne i powątpiewałam, czy zdołam to uczynić z takiego oddalenia. Jednak dotarłam do myśli Tristana. Właśnie się obudził z dziennej drzemki. Myśli miał jeszcze ospałe i chaotyczne, ale był spokojny.

Kiedy ponownie napotkałam wzrok Valeria, byłam już nieco odprężona. Nocny wędrowiec zgarbił się trochę, a jego ciało zdradzało lekkie napięcie.

- Wierzysz mi teraz? - spytał łagodnie, a na jego ustach znów pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Na razie tak - rzuciłam, odchodząc od niego. W drzwiach pomiędzy moim umysłem i myślami Tristana pozostała uchylona szczelina. Nie tkwiłam w jego głowie, odczytując wszystkie myśli, ponieważ chciałam zapewnić mu nieco prywatności, ale dzięki temu nieprzerwanemu połączeniu zostałabym zaalarmowana w chwili, gdyby coś zaczęło się dziać nie tak jak trzeba.

Podeszłam do przeciwniejszej ściany i rozsunęłam zasłony na trzech oknach, dzięki czemu zyskałam sposobność przypatrzenia się temu wspaniałemu staremu miastu. Minęło dużo czasu od mojego ostatniego pobytu w Wiedniu, który opuściłam wtedy z dość przykrych powodów. A jednak długie lata stępiły ból i złagodziły gorycz wspomnień. Hardziej niepokoił

mnie teraz fakt, że ból, który, jak sądziłam, powinnam poczuć, gdy znów znajdę się w Wiedniu, był zaledwie jego cieniem.

- Nie skłamałem, Miro - podjął Valerio. Gdy się do mnie zbliżał, słyszałam szelest materiału jego ubrania. - Tęskniłem za tobą.

- Ty nigdy nie kłamałeś, Valerio. Po prostu wolałeś przemilczać najważniejsze sprawy

- powiedziałam, nie racząc zwrócić się w jego stronę. Nadal wyglądałam przez okno.

Położyłam dłonie na gładkim, drewnianym parapecie, czubkami palców bezwiednie przesuając po drobnych spękaniach wyschniętej białej farby.

Valerio położył dłonie na moich ramionach i zaczął mocnymi palcami masować naprężone mięśnie; napięcie, nagromadzone w nich przez kilka dni, ustępowało. Powoli przesunął dłonie, zrzucając ze mnie koronkowy szal.

- Było nam razem tak dobrze - wyszeptał, delikatnie całując moje ramię. - Pamiętasz, jak się zabawiliśmy w Maroku? Zdaje się, że nie wytykaliśmy nosa z apartamentu przez prawie dwa tygodnie.

- A wizyty w barach po korridzie w Pampelunie - podchwyciłam z cichym śmiechem.

- Szkoda matadora. Raczej nie doszedł do siebie.

- A co powiedział tamten Amerykanin? Chciał stanąć w konkury - zachichotał Valerio, znowu całując moją odsłoniętą skórę, tyle że tym razem leciutko mnie ugryzł. Odezwał się znów, gdy przestał się zaśmiewać. Głos miał urokliwie miękki, niczym muśnięcie policzka przez kochanka. - Od czasu wyprawy do Nowego Świata już mnie nie odwiedziłaś.

- Mogłeś przyjechać do Stanów Zjednoczonych - odparłam, obracając się nieznacznie, aby wejrzeć mu w oczy. Najwyraźniej potrafisz się błyskawicznie przemieszczać.

- Nigdy mnie nie zaprosiłaś.

Ściągnęłam brwi i zmrużyłam oczy, słysząc tę zadziwiającą uwagę.

- Moje terytorium to jedno jedyne miasto w Ameryce. To wszystko. Niepotrzebne ci moje zaproszenie, gdybyś chciał odwiedzić ten kraj.

- Wielu nie zgodziłoby się z takim stwierdzeniem. Wiadomo, że nocni wędrowcy z tamtego kraju słuchają twojego osądu w większości spraw, zwłaszcza jeśli chcą jeszcze trochę pożyć. Nie oszukuj

mnie ani siebie. Wiesz dobrze, że twoje wpływy sięgają daleko poza obręb twego uroczego miasta.

Obróciłam się wokół, by stanąć z nim twarzą w twarz, i odsunęłam się tak, by mnie nie dotykał. Uśmiech na moich ustach zgasł.

- Znam pytanie bez czytania w twoich myślach: Czy zamierzam zająć wolne miejsce w Sabacie? Odpowiem ci tak samo, jak wszystkim innym. Nie. Nie chcę tego stanowiska. Nie chcę mieć z Sabatem nic wspólnego.

Valerio odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Odgłos tego śmiechu odbijał się echem, gdy wampir podążył ku przeciwległej części pokoju i tam spoczął w wygodnym fotelu.

- Miro, mój mały robaczku świętojański, może powinnaś się zastanowić, dlaczego tak wielu zadaje ci to pytanie - podsunął, chichocząc. - Założyłaś własne małe królestwo w Nowym Świecie.

- Panuję tylko w Savannah - wtrąciłam.

- A jednak w całym twoim ukochanym kraju, od wybrzeża do wybrzeża, polowałaś i niszczyłaś tych nocnych wędrowców, którzy zagrażali wydaniem naszego sekretu - odparł

Valerio. Skrzyżował ręce na brzuchu i położył kostkę zgiętej lewej nogi na prawym kolanie.

- Na żądanie Sabatu.

- Czyli organu, wobec którego nigdy nie ukrywałaś swojego braku szacunku. A teraz wróciłaś do Wenecji po ponad pięćdziesięcioletniej nieobecności...

- Również na życzenie Sabatu - wyjaśniłam, jednak już słabym głosem, a palce mi drżały. Zaczynałam postrzegać wszelkie swoje poczynania w nowym, koszmarnym świetle.

- Może i tak, ale zjawiałaś się z wysoko podniesionym czołem i mając u boku łowcę nocnych wędrowców, przy czym nie robiłaś tajemnicy z tego, że go chronisz. - Nie mogłam zaprzeczyć jego słowom, więc ciągnął dalej głosem podszytym rozbawieniem. - A potem, na dodatek, odstawiłaś popisowy numer, wykradając własnej stwórczyni jedno z jej dziełek, i urządziłaś rzeź w Wielkiej Sali Sabatu. Nie widywałem czegoś podobnego od kilku stuleci.

Do licha, chyba od czasu, kiedy stawiałaś się na dworze ostatnim razem.

- Valerio - powiedziałam szeptem, gdyż od jego słów ścisnęło mi się w gardle. - Nie chcę tego miejsca w Sabacie. Ja tylko staram się przetrwać.

- Przetrwać? - rzucił w przerwie przed kolejnym wybuchem niedowierzającego śmiechu. - Sposób na przetrwanie to nie wychylać się i siedzieć cicho. Gdybyś chciała przetrwać, pozwoliłabyś Sabatowi zabawić się z Tristanem i z tym łowcą. Przeżyciu nie sprzyja rozszerzanie własnej stwórczyni i członków Sabatu.

Energicznie wstał z fotela i w mgnieniu oka znalazł się przy mnie. Ujął w duże dłonie moje policzki i

otarł kciukami spływające łzy po nich; nawet nie wiedziałam, że płaczę.

- Zawsze podziwiałem ostrożność, jaką zachowywałaś w życiu - podjął cicho, a jego słodki głos był jak delikatna pieszczota, kojąca moje zszargane nerwy i splątano myśli. - Ale ostatnio zaczęłaś postępować tak porywczo.

Nie potrafię sobie wyobrazić, z jakiego powodu działasz w samobójczym ferworze, skoro naprawdę nie pragniesz zginąć.

Podniosłam nań, oszołomiona, oczy, i napotkałam jego skonfundowany wzrok; zwilżyłam usta językiem i zmusiłam się do przepchnięcia jednego słowa przez ściśniętą krtani:

- Naturi.

Poczułam, jak sprężył się i wzdrygnął na dźwięk tego wypowiedzianego szeptem słowa, ale nie odsunął dłoni od moich policzków, a jego oczy przybrały kształt dwóch lodowatych, niebieskich szparek.

- Naturi nadchodzą - ciągnęłam.

- O czym mówisz, najdroższa? - zapytał. Jego niski głos był mocny, ale już nie tak pewny, jakbym sobie tego życzyła. Valerio puścił ręce.

Zamknęłam oczy i wciągnęłam powietrze, wychwytyjąc cytrynową nutę zmieszaną z wonią róż, stojących w kryształowej wazie w przeciwnej części pokoju. Kiedy ponownie spojrzałam na Valeria, podjęłam długą opowieść, zaczynając od pobytu Neriana na moim terytorium i opisując napaści na nas w Egipcie i Londynie. Opowiedziałam o masakrze w siedzibie Temidy oraz o odkryciu, że nie dość, iż Danaus ma wejść w skład triady, która zmusi naturi do odwrotu, to ja miałabym stać się bronią, którą byliby się posłużyli.

Powiedziałam mu nawet o żeńskiej naturi, która - co nie ulegało wątpliwości - poruszała się swobodnie po rezydencji Sabatu. Mówiłam tak długo, aż ochryłam i zakrztusiłam się łzami, których nie chciałam już skrywać. Wspomniałam o śmiertelnym lęku i zapierającym dech bólu, ogarniających mnie każdej nocy, i o nabraniu pewności, że kostucha depcze mi już po piętach.

Mówiłam, aż zabrakło mi słów i upadłam na kolana, roztrzęsiona i wyczerpana wspomnieniem tego wszystko, co się wydarzyło, oraz strachem przed tym, co nastąpi.

Podniosłam oczy i ujrzałam Valeria, stojącego w przeciwległej części pokoju, wspartego ręką o ścianę, tak jakby miał się zaraz przewrócić. Jego piękna twarz nie wyrażała niczego, ale nie potrafił ukryć przerażenia w oczach. Dystans, który nas oddzielał, sprawiał, że czułam się tak, jak gdybym sama moją obecnością groziła rozprzestrzenianiem się zarazy, która zgubi całą naszą rasę - lub może już ją zgubiła. Przecież nocni wędrowcy z mojego otoczenia nie żyli długo.

Nagle mnie olśniło, że on chyba mi nie wierzy. Gdybym sama tego wszystkiego nie przeżyła, też uznałabym to za jakieś szaleństwo. Naturi nie ujawniali się od stuleci, pozornie radzi z tego powodu, że popadli w zapomnienie.

- Drzwi - powiedział nagle bardzo cicho, a słowo to zabrzmiało chropawo. Valerio obrócił się, by spojrzeć mi w oczy, i powoli odepchnął się od ściany. Zrobił parę kroków w moim kierunku, ale nadal zachowywał spory dystans między nami. - Na niższych poziomach w rezydencji Sabatu zamontowano wielkie żelazne drzwi przed pokojami, w których śpimy za dnia. Innymi zamknięto jedną z komnat, pilnowaną przez strażę dzień i noc. Nikt nie ośmielił się zapytać Sabatu o przeznaczenie tych drzwi, ale wszyscy wiedzą, że żelazo ma wpływ tylko na jedne stworzenia. Spędziłem w Wielkiej Sali jeden dzień. O wschodzie słońca nie znajduję już wytchnienia w murach siedziby Sabatu. Skoro sam Sabat nie czuje się bezpiecznie na San Clemente, to i nikomu z nas nie zapewni bezpieczeństwa.

- Nadchodzą naturi. Następny nów będzie za trzy noce, w dniu starego pogańskiego święta. Myślę, że naturi znowu spróbują wtedy złamać pieczęć - wyjaśniłam. Wspierając się lewą dłonią płasko o podłogę, usiłowałam powstać z kolan, ale bezskutecznie. - Nie mam zielonego pojęcia, co Sabat planuje. Ty jesteś starszy od większości z nas. Przypuszczałam, że będziesz wiedział więcej.

- Nic nie wiem - przyznał, kręcąc głową. - Ci, co kręcą się na dworze Sabatu, to bezmyślna zgraja, skłonna do plotkowania. Gdyby ktoś z nich wiedział, co się dzieje, sądzę, że dowiedziałbym się o tym do tej pory.

- Macaire wkrótce spróbuje spotkać się ze mną na osobności - odezwałam się cicho, kierując spojrzenie ku jego twarzy. Ponownie zaciął pełne usta, a na policzkach zarysowały się głębokie bruzdy, wyrażające zaniepokojenie. Przydawało to jego obliczu wiekowej szacowności.

- Kolejne gierki - rzucił półgłosem, w zamyśleniu przechadzając się po pokoju.

Miałam wrażenie, że mówi raczej do siebie niż do mnie.

- Jabari i ja... się posprzeczailiśmy - powiedziałam, szukając słów, które oddałyby moją nienawiść do tej kreatury. A przecież niegdyś kochałam Jabarię i poważałam. Zabrakło mi odpowiednich określeń, ale to nie było teraz ważne.

- Gierki - powtórzył Valerio, tym razem pewniejszym głosem.

- Nie będę pionkiem Sabatu - stwierdziłam stanowczo. Valerio przystanął i spojrzał na mnie z góry. Nikły, smutny uśmiech zawitał na jego ustach i błysnął w oczach.

- Robaczku, przecież zawsze byłeś tylko pionkiem.

- Nawet dla ciebie?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej nieśmiało, słysząc to pytanie. Wyciągnął do mnie rękę, której nie chwyciłam, i oznajmił:

- Nigdy cię w tym celu nie wykorzystałem, ale to nie znaczy, że nie zrobiłbym tego albo nie zrobię, jeśli nadarzy się okazja.

Wzburzyła mnie ta odpowiedź, jednak wyrażała prawdę, a to więcej, niż uzyskiwałam od wszystkich innych. Powstrzymując się, by nie zgrzytnąć zębami, wsunęłam lewą rękę w dłoń Valeria, żeby pomógł mi się podnieść. A on niespodziewanie zastygł w bezruchu, wpatrzony w moją dłoń. Dopiero kiedy poczułam, jak przesuwa kciukiem po moim serdecznym palcu, zdałam sobie sprawę, że przygląda się pierścieniowi, który mi podarował

przed kilkoma wiekami. Była to srebrna obrączka z wygrawerowanymi falami oceanu, w stylu starogreckim.

- Wciąż go masz - wyszeptał, nie próbując ukryć zdziwienia w głosie.

- Lubię wspomnienia - przyznałam, gdy pomógł mi wstać.

- I kogoś, z kim te wspomnienia są związane?

- Był nie najgorszy w niektóre noce - powiedziałam prowokująco, muskając ustami jego policzek tuż przy uchu.

- Zdaje się, że w niektóre noce byłem, twoim zdaniem, całkiem dobry - przypomniał

niskim chrapliwym ciosem. Nadal trzymał moją dłoń w swojej, ściskając ją nieco mocniej.

Pociągał mnie - swoim powabem, obietnicą szczęścia z dala od chaosu, jaki, wydawało się, obecnie zapanował w moim życiu.

- Valerio... - zaczęłam, ale urwałam, gdyż głos mi się załamywał. Gdy zdołałam się wreszcie odezwać, moje słowa nie zabrzmiały głośniejsz od szeptu. - A w co ty grasz?

Nocny wędrowiec popatrzył na mnie, uśmiech powrócił na jego usta, ale w oczach nie było radości.

- Staram się przeżyć. - Odchylił nieco głowę i pocałował mnie w policzek, tuż pod uchem. - Nie musimy tam wracać - powiedział szeptem, muskając ustami moją chłodną skórę.

- Zostań ze mną. Z daleka od naturi.

- I wciąż mam uciekać przez Sabatem? - spytałam, zamykając oczy. Przez chwilę podsunięty przez niego pomysł wydawał się naprawdę kuszący; bardziej niż fantazje, które Sadira roztoczyła przede mną zeszłej nocy, gdyż wyglądał na realny. Znowu spędzać noce na łowach i rozkoszach z Valeriem u boku. Żadnych naturi. Bez Starszych z Sabatu. Bez troszczenia się o to, czy jakiś nocny wędrowiec da sobie radę beze mnie. Bez tego straszego brzemienia odpowiedzialności, które mnie przytłaczało.

- Z czasem o tobie zapomną.

Z westchnieniem odstepałam od niego o krok i mrugając, powstrzymałam kilka nieoczekiwanych łez.

- Nie, nie zapomną. A naturi nie znikną tylko dlatego, że ukryję się razem z tobą.

- Obwiniam Jabariego za tę twoją niemądrą szlachetność. Z pewnością to nie ja ci ją wpoilem - droczył się ze mną Valerio, zanim musnął wargami moje usta. - Jednak nie cofam swojej propozycji.

- Nie mogę spędzić reszty życia na uciekaniu przed Jabarim.

- Zetknięcie się z nim tylko to życie skróci.

- Ja...

Miro!

Nagły, niespodziewany krzyk Tristana w mojej głowie omal nie rzucił mnie znowu na kolana. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek przywyknę do tak wielu istot, wdzierających się do mojego mózgu.

Tylko proszę bez wrzasków. Przez chwilę się zastanawiałam, czy te słowa zabrzmiały wystarczająco sarkastycznie. Nigdy dotąd nie poświęcałam wiele czasu na komunikowanie się z innymi nocnymi wędrowcami w taki sposób. Nigdy nie byłam pewna, czy zobaczą lub usłyszą tylko to, co chciałam im przekazać, a poza tym lubiłam zachowywać prywatność.

Naturi. Są tutaj!

Nie podałam w wątpliwość jego słów. W innych okolicznościach wyśmiałabym go i wyzwała od stukniętych, ale nie teraz. Jakaś naturi przebywała w katakumbach Wielkiej Sali Sabatu, a Rowe stroił fochy na San Michele. Dlaczego więc inni naturi nie mieliby przechadzać się po popękanych weneckich trotuarach?

- Muszę wracać - powiedziałam, spoglądając na Valeria.

- Co się stało?

- Naturi są w Wenecji.

Słowa te sprawiły, że wampir odstał ode mnie parę kroków i wcale go za to nie winiłam. Nocny wędrowiec nie pcha się tam, gdzie mogą być naturi. Dlatego właśnie nie słyszy się historii o wampirach, wędrujących samotnie po lasach w bezksiężycowe noce.

- O, nie - rzuciłam, błyskawicznie skracając dystans między nami. Zaciśnęłam pięści na klapach jego marynarki, przyciągając go bliżej ku sobie. Albo wrócimy teraz razem do Wenecji, albo paskudnie cię poparzę. Musisz ich zobaczyć. Musisz zrozumieć.

- Miro...

- No, już, Valerio!

Nie miałam okazji do wysunięcia kolejnego argumentu, gdyż poczułam, jak fala magii przepływa przez moje ciało. Zdażyłam mrugnąć i znalazłam się w swoim apartamencie w hotelu Cipriani.

Otworzyłam usta, żeby podziękować, kiedy Valerio oplótł mnie ramionami, mocno przycisnął do siebie i pochylił się raptownie do przodu. W sekundę później rozległ się charakterystyczny łoskot noża, wbijającego się w drewno.

Valerio powstał i pomógł mi się wyprostować. Oboje rozejrzeliśmy się wokoło i zobaczyliśmy srebrny nóż z czarną rękojeścią, wbity we framugę drzwi jednego z pokoi sypialnych. Wtedy nasz wzrok powędrował w stronę Danausa, który stał i patrzył na nas spode łba.

- Czy on zawsze próbuje cię zabić, kiedy wchodzisz do pokoju? - spytał Valerio prowokująco, powoli wypuszczając mnie z objęć.

- Nasze relacje mają szczególny charakter.

Odsunęłam się od nocnego wędrowca. Nie musiałam Danausowi niczego wyjaśniać.

Łowcę wystraszyło nasze nagłe pojawienie się i zareagował odruchowo. Dzięki takiemu refleksowi żył tak długo. Byłam też niezmiernie zadowolona z faktu, że Valerio najwyraźniej może swobodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce. Zawsze dotąd sądziłam, że taki rodzaj podróżowania podlega licznym regułom i ograniczeniom. Niestety, wypytywanie o to Valeria wprost oznaczało stratę czasu. Nie był to typ informacji, jakich chętnie udzielał.

- Miro. - Słaby głos Tristana przypomniał mi o powodach, dla których w ogóle znalazłam się w Wenecji. Stał przed rzędem okien, ubrany tylko w parę dzinsów, które były na niego za duże. Przydeptywał piętami nogawki, a spodnie zsuwały mu się na biodra.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy są to dzinsy Danausa, skoro tylko on i ja wzięliśmy odzież na zmianę, ale postanowiłam o to nie pytać. Zerknęłam na plecy Tristana i dostrzegłam na nich tylko kilka nikłych czerwonych śladów.

Marszcząc czoło, podeszłam do okna, a Valerio stanął koło mnie. Nie musiałam wypatrywać miejsca wskazywanego przez Tristana. Pomimo ciemnego nieba trzy czarne sylwetki zmierzające ku wyspie San Clemente można było dostrzec bez trudu. Leciały jak nietoperze, szybko poruszając skrzydłami, i nie szybowały w powietrzu jak ptaki. Zresztą były za duże jak na jakiegokolwiek stworzenia, które ludzie widywali na niebie. Tymi zjawami z nocnych koszmarów byli naturi.

- Kim oni są? - zapytałam, nie mogąc oderwać oczu od sylwetek, które zbliżały się do oddalonej wysepki. Trzy postacie zatoczyły nad nią koło i zniżyły lot ku kępie drzew.

Zmierzały w kierunku Wielkiej Sali Sabatu. Położyłam dłoń na ramieniu Tristana, w geście, który miał mu dodać otuchy, ale cofnęłam ją, gdy drgnął pod wpływem dotyku. Jego strach przepłynął przeze mnie, wyczerpując moje własne rezerwy energii, dzięki którym funkcjonowałam w trakcie kilku ostatnich nocy. Wszyscy goniliśmy resztkami sił, a kresu tej gonitwy nie było wcale widać.

- Nie wiem dokładnie - przyznał Danaus. Spojrzałam na niego. Stał niecały metr ode mnie. Na jego zapadniętej twarzy było widoczne skupienie. Przez parę sekund spoglądał na mnie. - Ale to nie wróży nic dobrego.

- Racja. Musimy szybko wynieść się z Wenecji. Jeśli oni podejmą następną próbę złamania pieczęci, postarają się to zrobić podczas dożynek i nowiu. Księżycowy nów będzie już za kilka nocy, a nie mamy pojęcia, gdzie złożą ofiarę. Czas ucieka.

Część mnie chciała się dowiedzieć, gdzie ta następna ofiara zostanie złożona. Przecież moglibyśmy moim prywatnym odrzutowcem udać się do tego odległego miejsca i pokrzyżować plany naturi. Jednak to nie powstrzymałoby pozostałych od przybycia z innych zakątków świata. Wywiązałyby się bitwa trwająca trzy kolejne noce. Gdyby jedno z nas zginęło, lub gdybyśmy zginęli oboje, zanim wszędzie nowy księżyc, już nic nie zapobiegłoby złożeniu ofiary przez naturi.

- Ale... - Uśmiech powoli rozjaśnił mi twarz, gdy popatrzyłam na łowcę. - Ale możemy wpaść tam po drodze do Sabatu i zobaczyć, co się dzieje.

Jabari ściągnął nas tu nie bez przyczyny, a ja nie mogłam uwierzyć, że po to, aby naturi nas zniszczyli. Nie przepuściłby okazji, by samemu mnie zabić, jeśli tak rozpaczliwie pragnął mojej śmierci. Danaus i ja musieliśmy znaleźć się na tamtej wyspie, by zniweczyć plany Sabatu i naturi.

Nieczęsto widywany uśmiech uniósł kąciki pełnych ust Danausa i pojawił się w jego głębokich, niebieskich oczach.

- Trochę to ryzykowne, nie sądzisz?

- Och, na pewno ryzykowne, ale nie aż tak, jak ci się zdaje. Poza tym może być nawet zabawnie. - Zaśmiałam się.

- Bardziej niebezpieczne niż pogoń za prawie tuzinem naturi w lesie? - spytał Danaus, zerkając na mnie spod uniesionej, gęstej brwi.

- Nie - odparłam, a uśmiech zamarł mi na ustach pod wpływem wspomnienia o tym.

Stanął mi przed oczami pospiesznie przeprowadzony atak w lasach w pobliżu Stonehenge i musiałam przyznać, że postąpiłam wtedy głupio i wysoce nagannie. Kierowały mną lęk i wściekłość. Powinnam była się poważnie zastanowić przed zaatakowaniem naturi w lasach, mając u boku niedoświadczonego nocnego wędrowca. To, że nikt z nas trojga wtedy nie zginął, graniczyło z cudem.

Pokręciłam głową, odpędzając to wspomnienie i chęć zbesztania siebie za własną głupotę i działanie pod wpływem impulsu. Teraz takie działanie nie przyniosłoby nic dobrego i przyrzekłam sobie, że tym razem będzie inaczej.

- Sabat potrzebuje nas oboje żywych. A to nasz atut. Wchodzisz w to?

- Zdecydowanie tak. Z bronią? - spytał, zsuwając prawą rękę do noża, nadal przypiętego do pasa.

- I to naładowaną. - Rozejrzałam się i zobaczyłam Tristana, który obserwował mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Czekał, chcąc się przekonać, czy rozkażę mu towarzyszyć Danausowi i mnie. I wybrałby się wraz z nami, gdybym tego zażądała, choć ciągle dygotał ze strachu.

- Ty zostajesz. Jesteś za młody.

- Miro, ja mogę...

- Nie - przerwałam mu, zanim dokończył, i zacisnęłam dłoń na jego ramieniu. - Pójdę tam tylko z Danausem. Łatwiej nam będzie się stamtąd wyrwać.

- Naprawdę sądzisz, że oni cię za to nie zabiją? - zapytał ostro Valerio. Zapomniałam, że wciąż jest w pokoju. Zerknęłam na niego przez ramię i ze zdumieniem stwierdziłam, że na jego urodziwej twarzy pojawiło się zmęczenie. Wyglądał na strapionego. Wydatne usta teraz ściśnięte, przybrały kształt cienkiej kreski, a płytkie bruzdy biegingy z kącików jego oczu aż ku czołu.

Naturi stanowili temat sensacyjnych historyjek, które opowiadaliśmy wszystkim młodym, niedoświadczonym nocnym wędrowcom, żeby ich trochę nastraszyć, ale teraz wszyscy nagle się przebudziliśmy ze świadomością, że ten prawie wymarły gatunek nagle znowu stanął do walki. Groziło nam, że nocne koszmary staną się rzeczywistością i zostaniemy wystawieni na działanie słońca. Ponownie.

- To jeszcze jedno pytanie, na które mam nadzieję uzyskać odpowiedź - przyznałam z uśmiechem. - Czy naprawdę nie jestem niezastąpiona? Czy oni zaryzykują otwarcie wrót, zabijając mnie albo Danausa? Czy szykują zagładę wszystkim nocnym wędrowcom tylko po to, by ich plan nie zakończył się fiaskiem? A może tak właśnie przedstawia się ich plan?

- Nie jesteś kimś aż tak ważnym, Miro - upomniał mnie Valerio, jeszcze bardziej marszcząc czoło.

Była to zapewne prawda, ale nie zamierzałam tak łatwo dać się zabić. Ciągle miałam w rękawie asa, a nawet dwa - w osobie Danausa. Oczywiście cały ten plan mógł mnie kosztować głowę, którą tak się starałam ocalić, gdybym błędnie oceniła zamiary Jabariego.

- Potrzebna mi twoja pomoc - zwróciłam się do Valeria i schwyciłam go za rękaw marynarki z metalowymi guzikami, choć przecież nie zatrzymałabym go, gdyby nie zechciał tu być.

- Nie wybiorę się z tobą do Sabatu. Potrzebują mnie żywego jeszcze mniej niż ciebie.

- Słusznie, ale to mnie jesteś potrzebny żywy - odparłam. Ujęłam w dłonie jego lewą rękę. - Udaj się na wschód. Odnajdź innych, starszych niż ja. Opowiedz im o wszystkim, co usłyszałaś ode mnie. Jeśli Sabatowi powiesz się to, co planują razem z naturi, nasza rasa musi być na to przygotowana.

- Chcesz, żebym zmobilizował dla ciebie armię - powiedział Valerio, usiłując wyswobodzić dłoń.

- Nie. Jeżeli Sabatowi i naturi się uda, to będzie twoja armia. Ktoś musi chronić nocnych wędrowców przed Sabatem.

- Miro, ja nie jestem przywódcą.

- Bzdura. Po prostu zawsze unikałaś odpowiedzialności. Dobrze. W takim razie wyszukaj kogoś, komu można powierzyć to zadanie. I nie zachowuj tego, co już wiesz, tylko dla siebie.

Valerio ściągnął brwi i uściśnął mi rękę.

- Chociaż nie chcesz stanowiska w Sabacie, jesteś jedyną osobą, która na nie zasługuje.

- Byłoby lepiej dla nas, gdybyś się mylił.

Rozdział 16

Kiedy znowu włożyłam skórzane spodnie i jeden z kilku bawełnianych topów, które przetrwały trudy wojaży, wraz z Danausem szybko wsiedliśmy do motorówki i pospieszaliśmy w kierunku wyspy. Łowca kierował łodzią, mocno zaciskając duże dłonie na kole sterowym. Jego czarne włosy powiewały na wietrze, odsłaniając zaciśniętą szczękę i przymrużone oczy, napięcie buzowało w muskularnym ciele, a nagłe wyładowania energii bezgłośnie uderzały w pokład motorówki wokół niego. Chciałam pozostać na przeciwległym końcu motorówki, z dala od Danausa, ale to nie wchodziło w grę. Musieliśmy porozmawiać, dojść do jakiegoś porozumienia przed wkroczeniem do Wielkiej Sali Sabatu.

Usiadłam obok Danausa i wpatrywałam się w wysepkę, do której się zbliżaliśmy.

- Czy zgadujesz, co takiego przyleciało na tę wyspę? - zapytałam.

- Wielkie nietoperze - mruknął.

- Nieźle. Czy tylko one?

Umilkł, gdy moce wyskoczyły z jego ciała i rozprzestrzeniły się wokół niego. Obmyły mnie niczym ciepła fala. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek przywyknę do tego odczucia i zawsze pragnęłam osłonić się tymi mocami choćby minutę dłużej, nim nastąpi konfrontacja z zimną rzeczywistością, wyłaniającą się przed nami.

- Nie zdołam precyzyjnie wyczuć, co znajduje się na tej wyspie, dopóki do niej nie dotrzemy, ale są tam nie tylko tamte naturi - oznajmił. W jego głosie pobrzmiwała nuta roztargnienia, jak gdyby skupiał uwagę na jakimś bardzo oddalonym punkcie. Powściągnęłam ochotę wyrwania mu sterownicy z rąk i pozostałam na swoim miejscu. - Na lądzie stałym, w okolicach Wenecji, przebywa szóstka kolejnych naturi. Trudno ich zlokalizować. Może są gdzieś koło Padwy albo Werony. I jeden, samotny, jest w Wenecji. Ale nie wiem, gdzie dokładnie, nie powiem ci, na której z wysp.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Rowe - wyszeptałam, mówiąc do siebie, ale wiedziałam, że Danaus dosłyszał to imię, kiedy tylko wyrwało mi się z ust. Czasami zapomniałam, że ma wyjątkowo wyostrzony słuch.

- Myślisz, że on tu jest? - zapytał. Na moment odwrócił głowę w moją stronę, by na mnie spojrzeć, a potem znów popatrzył na otwarte wody przed nami.

- Ja to wiem - przyznałam. - Natknęłam się na niego ostatniej nocy, gdy już ulokowałam Tristana w hotelu. Rowe wie, że inna naturi jest na San Clemente, ale jej nie zna i nie ma pojęcia, co ona tam

robi.

- Czy nie sądzi, że jest tam więziona?

- Być może wyprowadziłam go z błędu - powiedziałam z nikłym uśmiechem, przypominając sobie jego zaskoczenie zeszłej nocy. - W każdym razie przynajmniej wiadomo już, że on nie macza palców w tym, co knuje Sabat.

Danaus zwolnił, kiedy zbliżaliśmy się do wyspy.

- W jaki sposób ma to nam sprzyjać?

- Powoduje zamieszanie wśród jego rasy. Może jak odciągnie uwagę, okaże się słabością, którą uda się nam potem wykorzystać - powiedziałam, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. - Myślę, że ta pozostała szóstka na łodzi ma stanowić wsparcie, gdyby coś poszło źle. Wliczając tę trójkę, którą widzieliśmy z okna pokoju w hotelu, łącznie dziewięcioro naturi zostało wysłanych przez Rowe'a dla uwolnienia uprowadzonej naturi, albo też nie działają oni zgodnie z planami Rowe'a i trzymają z tą naturi, która już przebywa na San Clemente.

- Wolno spytać, czy ty masz jakiś plan?

- Wydostać się stąd żywa - odparłam z przekąsem, krzyżując przed sobą ręce.

Zachmurzył się znowu i koncentrował na przybijaniu do przystani. Nie należało to do najtrudniejszych zadań, bo przy kamiennym nabrzeżu cumowała tylko jeszcze jedna łódź.

Najwidoczniej rezydencję opuścili dworacy przed przybyciem gości Sabatu. Łowca wybrał

miejsce najbardziej oddalone od Wielkiej Sali. Skoro nie było dworaków, mogliśmy stąd szybko przejść do siedziby Sabatu i miałabym zarazem trochę czasu na wyniszczenie paru najistotniejszych spraw. Wprawdzie nie byłam pewna, czy Danaus je zaakceptuje, ale musiałam spróbować.

Oczywiście, obiecałam zachować go przy życiu podczas naszego pobytu w Wenecji, więc musiałam go chronić bez względu na to, co się wydarzy w rezydencji Sabatu. A jednak w umowie tej nie zaznaczyłam, w jakim stanie łowca ma przeżyć. Gdyby zaczął postępować nazbyt ryzykownie, to skopałabym go i pozbawiła przytomności do czasu opuszczenia Wenecji.

- Musimy zdobyć informacje - powiedziałam. - Musimy się wywiedzieć, co Sabat planuje, dlaczego naturi pojawili się w Wenecji i na co, do licha, się zgodzili. Uzyskanie którejś z tych informacji nie oznacza jeszcze konieczności zabijania.

Danaus unieruchomił silnik i popatrzył na mnie tak, jak gdybym wybełkotała coś, używając języka staroceltyckiego.

- Twoi tak zwani przywódcy układają się z wrogiem, a ty nie chcesz ich zabijać? Po tym, jak pilno ci było skończyć z nimi zeszłej nocy? - zapytał ostro, wsuwając kluczyki do kieszeni. Odruchowo obmacał dłońmi parę noży przytwierdzonych do pasa oraz miecz przypasany poprzecznie na plecach.

A w krytycznej sytuacji miał mu posłużyć także pistolet w kaburze pod pachą.

- Źle mnie zrozumiałeś - zaśmiałam się, podnosząc się z ławki płynnym ruchem.

Niestety, nie wyszło mi to z taką gracją, jak się spodziewałam - nagłe poruszenie zakołysało motorówką, czego nie wzięłam pod uwagę. Dotąd rzadko pływałam łodzią. Dla utrzymania równowagi uchwyciłam się oparcia ławki, na której wcześniej siedziałam, i ciągnęłam: -

Chcę, żeby oni wszyscy zwijali się z nieznośnego bólu, żeby ich ciała oddzielały się powoli od zmurszałych, starych kości, a oczy wyłaziły z orbit, kiedy będą błagać o śmierć. Chcę, aby Sabat i naturi zmarli w największych mękach, ale teraz na to nie pora. Gdyby Sabat został

zniszczony, przepadłyby też ich tajemnice, a to nie sprzyja naszym planom.

- Ale nie powstrzymało cię przed podjęciem takiej próby zeszłej nocy. - Danaus ponownie przypomniał mi kąśliwie, wychodząc z motorówki na przystań.

- To był błąd - przyznałam, zeskakując za nim na brzeg. - Nie rozumowałam jasno i dałam się ponieść złości. Tym razem będzie inaczej. Potrzebna mi twoja pomoc, ale musisz mi obiecać, że bez mojej zgody nie będziesz się starał zlikwidować Sabatu i naturi.

- Miro...

- Mówię poważnie - rzuciłam szybko, bo w jego głosie usłyszałam ton protestu. - Czy myślisz, że zabicie członków Sabatu dzisiejszej nocy naprawdę powstrzyma naturi przed wdarciem się do naszego świata? Że zabicie tych skrzydlatych monstrów zapobiegnie nowym ofiarom? Czy naprawdę uważasz, że gdybyśmy dzisiaj ich zgładzili, to Ryan zdoła okiełznać naturi przez trzy noce?

- W takim razie co powstrzyma ich przed zabiciem nas w chwili, kiedy wejdziemy do Wielkiej Sali?

- Strach. - Prychnął pogardliwie i zaczął zmierzać w kierunku krętej dróżki, która prowadziła przez las do rezydencji Sabatu. Dogoniłam Danausa i zastąpiłam mu drogę, znów go zatrzymując. - Wzbudzam w nich lęk albo przynajmniej silny niepokój, a ty ich po prostu przerażasz.

Danaus zachnął się ponownie i usiłował mnie obejść, ale go zatrzymałam, kładąc dłoń na jego szerokiej piersi. Pod palcami czułam serce, które waliło jak młotem. Zaskoczyło mnie jego wzburzenie, choć tego nie zdradzały ani głos, ani wyraz twarzy.

- Zabiłeś wielu nocnych wędrowców, w tym, czego jestem pewna, niejednego Starszego. Jabari też przekonał się na własne oczy, czego możemy dokonać razem. Teraz naturi już się dowiedzieli, co się wydarzyło w Anglii. Obie strony tego konfliktu mogą dać nam nieco wolnej ręki.

- Nie boisz się mnie - powiedział Danaus, zaskakując mnie tym stwierdzeniem.

Popatrzyłam w jego krystalicznie czyste oczy, zmuszając się do uśmiechu.

- Bo wiem, że w głębi duszy jesteś wielkim puszystym kotkiem. Nie skrzywdziłbyś muchy -

drażniłam się z nim, a potem się odwróciłam i ruszyłam ścieżką, zanim zdążył

odpowiedzieć. To dobrze, że włożyłam solidne buty, ponieważ ścieżka stawała się grząska.

Czy bałam się Danausa? On mnie przerażał. Starłam się na ogół nie zadawać z istotami, które mogły mnie zniszczyć jedną myślą. Albo, co gorsza, unicestwić za pomocą myśli całą moją rasę, posługując się mną jako orężem.

Drogę do Wielkiej Sali Sabatu pokonałam bez przeszkód, ale przez cały czas mieliśmy się na baczności, trzymając broń w rękach. Ja ścisnęłam mały sztylet, i to tak mocno, że kiedy ujrzelśmy wielkie podwójne drzwi bolały mnie kostki. Uniosłam rękę i gestem dałam znać Danausowi, aby podążył za mną ku linii drzew. Przy drzwiach frontowych nie było dwóch strażników, a na całej wyspie mogłam wyczuć obecność zaledwie garstki nocnych wędrowców. Chociaż wcale się nie ukrywaliśmy, czułam się troszkę lepiej, kiedy nie staliśmy na otwartej przestrzeni.

- Kto jest na wyspie? - spytałam, wyglądając zza wielkiego dębu, aby przypatrzeć się przytłaczającej kamiennej budowli.

- Pięć wampirów - odrzekł, zanim jeszcze poczułam, że wysłała swoje moce. -

Pojedynczy ludzie i czwórka naturi. Zaraz! Jest tu i ten wilkołak.

- Nikołaj? - spytałam i obejrzałam się raptownie, by spojrzeć na łowcę, gdy ponownie przeczesywałam teren własnymi mocami. Sprawdzałam okolicę chwilę przed Danausem i wyczułam wampiry oraz ludzi, ale teraz i ja zorientowałam się, że przebywa tutaj również Nikołaj. Wyczuwałam go słabo, ale nie miałam wątpliwości. Przeklęty Jabari! Po co mi zdolność wyczuwania innych, skoro okazywała się zawodna akurat wtedy, gdy była naprawdę potrzebna?

- Co on tu jeszcze robi? - zapytał Danaus, wpatrując się w budynek.

- Och - rzuciłam, kiedy elementy układanki zaczęły się układać w logiczną całość w moim mózgu. - Czy sądzisz, że może być następną ofiarą? - podsunęłam, ponownie ściągając na siebie wzrok Danausa. Uniósł pytająco brew, gdy rozważał tę sugestię. - Nów na pewno im nie sprzyja, skoro muszą złożyć taką ofiarę w czasie pełni księżyca. Ale mogę się założyć, że zabicie wilkołaka stanowiłoby dla ciebie niezły zastrzyk energii. Wystarczający, żeby przebić się przez magiczną pieczęć, która utrzymuje zamknięte wrota między dwoma światami.

- Możliwe.

- Czy byłoby wielką tragedią, gdybym odebrała im ich ofiarę?

Szeroki uśmiech pojawił się na mojej twarzy, gdy Danaus roztrząsał tę myśl.

- Zamierzasz wykraść kolejnego sługusa? - spytał, nawiązując do tego, jak łatwo udało mi się zawładnąć Tristanem na oczach Sadiry. Gdybym uprowadziła Nikołaja, mogłabym mieć pełne ręce roboty z utrzymaniem tego wilkołaka przy życiu, jednak to było raczej problemem na później. W tej chwili zajmowało mnie głównie to, jak wydostać się żywa z wyspy. Nikołaj stanowił kluczową

postać w przetargach prowadzonych przez Sabat.

Wyjaśniałoby to, dlaczego w ogóle Jabari napuścił go na mnie. I oto zyskałam okazję do pokrzyżowania im szyków.

- Chodźmy po moją zdobycz - oznajmiłam, wyłaniając się zza drzewa i ruszając ścieżką.

- Oni wiedzą, że tu jesteśmy - stwierdził Danaus, choć czułam, że miało to zabrzmieć raczej jak pytanie.

- Niewątpliwie.

- Nie uda nam się przedostać przez te drzwi.

- Wdarcie się do środka nie będzie problemem.

Zmusiłam się do postawienia stopy na pierwszym ze stopni wiodących do podwójnych odrzwi. Pomyślałam, że naprawdę trudne okaże się ujście stąd cało.

Rozdział 17

Nikt nie czatował, żeby skrócić nas o głowę, kiedy otwarliśmy pchnięciem podwójne wrota prowadzące do Wielkiej Sali Sabatu. Staralam się uznać to za dobry znak.

Pozostawiwszy otwarte ciężkie drewniane i żelazne drzwi frontowe, skierowaliśmy uwagę na kolejne, blokujące drogę do komnaty tronowej. Świece w żelaznych kandelabrach skwierczały, ich ogniki tańczyły na lekkim wic trze, a kilka zgasło, wypuszczając smużkę szarego dymu. Machnęłam dłonią w ich kierunku i podobne do kropli łez ogniki uspokoiły się i rozbłysły jaśniej, gdy omiatałam wzrokiem pograżone w głębokim cieniu kąty, wypatrując potencjalnych napastników. Choć wyczuwaliśmy obecność tylko pięciu wampirów i garstki ludzi, wolałam nic ryzykować.

Właśnie mieliśmy przejść do sali audiencyjnej, kiedy otworzyły się jedne z drzwi, a przez wąską szczelinę w nich przecisnęła się Elizabeth. Szybko zamknęła drzwi za sobą, zanim któreś z nas zdołało zajrzeć do środka. Elizabeth, w jasnożółtej sukni w empirowym stylu, z wysoką talią, wyglądała jak wiosenny tulipan. Przypominała mi Józefinę, tę od Napoleona, opanowaną i władczą, o długich ciemnych włosach, starannie upiętych; jej szyję zdobiły błyszczące brylanty.

Zatrzymałam się, powstrzymując chęć, by sięgnąć po sztylet, który wcześniej wsadziłam do pochwy przy pasie. Widziałam się z nią po raz pierwszy, odkąd zabiłam Gwen i położyłam jej serce na krześle Elizabeth. Taki czyn raczej nie mógł zjednać mi przychylności Starszych, lecz nie spodziewałam się bezpośredniej konfrontacji z tą wampirzycą.

- Nie masz tu czego szukać - powiedziała cierpko po angielsku, z lekkim obcym akcentem, którego nie potrafiłam określić. Być może był to francuski, tyle że dawny.

Elizabeth była drobna, niewysoka, miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, i to łącznie z kokiem misternie upiętym na czubku głowy z wijących się kosmyków. Rąk, zwieszonych po bokach ciała, nie

zaciskała w pięści. Na końcu języka miałam już uwagę, że wysłano ją, by udaremnić mi wtargnięcie do tamtej komnaty, ale nie chciałam już sobie przysparzać kłopotów. Po co prowokować konflikt z powodu doprawdy drobiazgu, skoro mógł on mnie zantagonizować od razu z całym Sabatem?

Lekko skinęłam jej głową. Był to niezupełnie wiernopoddańczy gest, do jakich niewątpliwie przywykła, ale w każdym razie nie próbowałam jej zignorować.

- Mam sprawę do Jabariego - oznajmiłam.

- A ja wciąż mam coś do załatwienia z tobą - odparła, unosząc podbródek, aby spojrzeć mi w oczy. - Zniszczyłaś moją własność.

- Wcześniej ostrzegłam tę twoją własność, żeby trzymała się z daleka od tego, co należy do mnie - wycedziłam i zbliżyłam się o krok, aby spojrzeć na nią z góry. -

Uprzedzałam, że pociągnie to za sobą konsekwencje. Jeśli chciałaś ocalić swoją własność przed zniszczeniem, należało ją przywołać do porządku. - W butach na wysokich obcasach górowałam nad tą kobietą o jakieś ćwierć metra, a pomimo mocy, którymi, jak wiedziałam, dysponowała, moja fizyczna obecność i może także moja reputacja wystarczyły, by skłonić Elizabeth do zrobienia kroku w tył. Rozjaśniłam nieco ogniki świec wokół nas i zapłonęły żwawiej, rozpraszając cienie. Wkurzała mnie ta rozmowa o Gwen jak o jakimś kłamocie.

Może i jej, Gwen, nie cierpiałam, ale ostatecznie była „żywą”, czującą istotą.

- Jesteś moją dłużniczką, Krzesicielko Ognia - ciągnęła Elizabeth. Wypowiadała teraz słowa ostro i szybko, jak gdyby przemielili ją wcześniej zębami.

- W takim razie proponuję, żebyś wpisała to na mój rachunek, bo zanim opuszczę tej nocy to miejsce, będzie jeszcze gorzej - odparłam, rozkoszując się złośliwym uśmiechem, który uniósł lewy kącik moich ust.

Gdy próbowałam ją obejść, dostrzegłam kątem oku, jak zamachnęła się lewą ręką na moje plecy. Odwróciwszy się na prawej pięcie, dobyłam sztylet z pochwy na biodrze, aby przeciąć Elizabeth gardło. Nie spodziewałam się, że mnie zaatakuje. Nie było to w stylu Starszych. Brudną robotę odwalali za nich pomagierzy. Nie wiedziałam o Elizabeth właściwie nic, co czyniłoby z niej kogoś równie groźnego, jak Macaire i Jabari.

Jednakże Danaus zdążył już wkroczyć do akcji, chwytając wampirzycę za przegub dłoni oraz unieruchamiając jej rękę nad głową, zanim jeszcze ostrze mojego sztyletu zetknęło się z bladą skórą Starszej.

- Mam ją zabić teraz? - zapytał beznamiętnie. Spojrzałam z góry na Elizabeth, która patrzyła wytrzeszczonymi oczami to na mnie, to na Danausa. Gdyby tylko drgnęła, Danaus bez zastanowienia zmiażdżyłby jej rękę. A gdybym rzekła choć słowo, zagotowałby krew płynącą w jej żyłach, aż zaczerniłaby skórę i przemieniła narządy wewnętrzne w cuchnącą breję.

Wsunęłam nóż z powrotem po pochwy.

- Później - powiedziałam, marszcząc lekko czoło. Gdyby Elizabeth przyszłoby na myśl, że darowaliśmy jej życie, moglibyśmy później domagać się od niej pomocy. Poza tym nie byłam pewna, czy Danausowi uda się zgładzić ją tak łatwo.

Kiwnął głową i puścił wampirzycę, popchnąwszy ją lekko w kierunku drzwi, wiodących do Wielkiej Sali Sabatu. Starsza nie odezwała się ani słowem; sztywnym krokiem ruszyła ku drzwiom, które same się otworzyły, gdy do nich podeszła. Był to jeden z tych talentów, których najbardziej zazdrościłam Starszym. Nocni wędrowcy na ogół nie rozwijali zdolności telekinezy przed osiągnięciem tysięcznego roku życia. Liczyłam, że opanuję tę sztuk nieco wcześniej. Na razie potrafiłam tylko wprawić na odległość w drżenie filiżankę ze spodkiem, co nie było specjalnie przydatne ani budzące lęk.

Wielka komnata, wysoka na trzy kondygnacje, rozświetlona była blaskiem świec, jakby ktoś się obawiał monstrów zaczajonych w mrocznych kątach. Na ścianach wschodniej i zachodniej zawieszono dwadzieścia kandelabrow, a w każdym z nich tkwiło ponad tuzin wielkich żółtych świec. Żyrandole pod sklepieniem także lśniły blaskiem, oświetlając flagi i sztandary zwisające z sufitu. Światło odbijało się nawet od czarnej marmurowej posadzki.

Tylko podest z krzesłami dla członków Sabatu i Naszego Władcy pozostawał skryty w cieniu. Elizabeth wróciła na swoje miejsce na podium, obok Macaire'a. Jabari zajmował

trzecie z krzesel, czwarte pozostawało puste, podobnie jak fotel Naszego Władcy. Trójka nocnych wędrowców była na pozór sama, ale Danaus wyczuł obecność naturi, które czaiły się w pobliżu. Czy opuściły komnatę, zanim do niej wkroczyliśmy?

- Nie przypominam sobie, żebym cię wzywał - oświadczył Macaire, kiedy wraz z Danausem znalazłam się na środku sali. Zatrzymaliśmy się, woląc zachować pewien dystans między nami a Sabatem, choć to bynajmniej nie zapewniało nam większego bezpieczeństwa.

Miałam tylko nadzieję, że w ten sposób zyskamy sekundę lub dwie, gdyby należało szybko zareagować.

- Przybyłam odzyskać coś, co należy do mnie - odrzekłam, wsuwając palce dłoni w tylne kieszenie spodni i przyjmując swobodną postawę. Nie wiem, czy to mogło zrobić wrażenie, gdyż byłam pewna, że każdy w tym pomieszczeniu mógł poczuć mój lęk.

- Nie uzgadnialiśmy, że zjawi się tu ta wampirzyca. - Hipnotyczny głos rozległ się gdzieś pod sufitem. Melodyjny ton był jak sen i odbijał się echem od ścian, zanim w końcu spłynął ku mnie. - I obcy, wcale tu niepotrzebny. Mamy powrócić wraz z widmem świtu, kiedy nie zastaniemy tutaj niepożądanych uszu?

- Wilkołak, po którego przybyliśmy, jest w pobliżu - odrzekł drugi głos, nieodległy od pierwszego. Był znacznie cichszy, lecz równie uwodzicielski jak tamten. - Jak wiadomo, nie uraduje nas odejście, póki nie padną słowa, które mamy usłyszeć, potem zaś powrócimy do domu z młodym wilkołakiem.

- O, proszę mi wybaczyć - wtrąciłam pospiesznie, kłaniając się nisko i teatralnie przed trójką członków Sabatu znajdujących się przede mną. - Nie wiedziałam, że macie gości.

Chętnie odejdę, kiedy tylko Jabari wyda mi Nikołaja.

- Dlaczego miałbym to uczynić? - zapytał powoli Jabari, wbijając we mnie spojrzenie ciemnych oczu, a równocześnie zaciskając palce na podpórkach tronu. Wydawało mi się, że usłyszę zgrzyt i trzask miazdzonego drewna.

- Zaprzeczasz, że wydałeś mu rozkaz zabicia mnie? - spytałam głosem słodszy od cukru. Przechyliłam lekko głowę w lewo i błysnęłam uśmiechem, ukazując zęby. Wiedziałam, że się domyślił, co tu robię, ponieważ co najmniej jedna z drewnianych poręczy wyraźnie zatrzeszczała. Jakaś drobna część mnie modliła się w duchu, żeby to była z jego strony tylko gra na użytek pozostałych członków Sabatu, gdyż w przeciwnym razie musiałam się liczyć z poważnymi kłopotami.

- Został posłany po twoje serce - przyznał Jabari. Pod wpływem narastającego gniewu jego akcent stał się twardszy, bliższy językowi egipskiemu, którym Jabari tradycyjnie się posługiwał. Pochylił się i przesunął na brzeg krzesła, jakby szykując się do skoku na mnie.

Sporo wysiłku mnie kosztowało, by nie zrobić kroku w tył. Włoski na karku stanęły mi dęba. Starcie z Jabarim było jak walka z tygrysem - miałabym szczęście, gdyby nie rozszarpał mi twarzy, jeślibym popełniła jakiś błąd.

- Wobec tego przybyłam, żeby się upomnieć o korzyści, które wynikły z tej walki.

Darowałam mu życie, więc teraz on należy do mnie - rzekłam z wymuszonym uśmiechem.

Taka panowała tradycja wśród naszej rasy, choć nie odwoływano się do niej zbyt często, gdyż zwykle zabijaliśmy tego, kto nas zaatakował.

- Nie możesz go dostać - rzucił Jabari.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał ostro Macaire. Mars na twarzy zmącił jego szlachetne rysy, gdy spoglądał to na mnie, to na Jabarięgo.

- On nasłał tego wilkołaka, żeby zabił Mirę - odparł Danaus, robiąc krok naprzód i stając tuż obok mnie. Bynajmniej nie usiłując ukryć niechęci do całej grupy przed sobą, położył dłoń na rękojeści jednego z noży przy pasie.

- Mira? - zabrzmiał krzykliwy kobiecy głos ponad moją głową. Potem słyhać było nagle skrobanie w sufit, jakby ktoś drapał szponami w kamieniste sklepienie. Rozległy się szepty, ale słów nie potrafiłam zrozumieć, choć miałam dobry słuch. Zrobiłam krok w tył i zadarłam głowę, próbując dojrzeć stwory przyczajone pod sufitem, te jednak skrywały się pośród flag i sztandarów. Robiąc następny krok, rozmyślnie otarłam się ramieniem o bark łowcy.

Co tam jest, do cholery? - Skierowałam pytanie bezpośrednio do jego mózgu, starając się, aby nie zdradzić przerażenia, jakie odczuwałam.

Nie mam pojęcia.

Szybko odstąpiłam od Danausa na odgłos trzepotu skrzydeł i widok czegoś niewyraźnego, ukrytego w cieniu. Jedno ze stworzeń sfrunęło spod sufitu i wylądowało miękko na podłodze dokładnie między mną a Sabatem. Musiałam przygryźć język, by powstrzymać okrzyk, gdy wyraźnie zobaczyłam to monstrum.

Stwór ten, mający około półtora metra wzrostu, wyglądał niemal kobieco, choć uznanie go za kobietę wymagało sporej wyobraźni. A także niezwracania uwagi na skrzydła jak u nietoperza, rozciągające się między cienkimi ramionami i bokami ciała tej postaci. Z

końca skrzydeł wyrastały po trzy kościste palce z czarnymi pazurami. Skóra miała mięsistą barwę i wydawała się cienka jak papier, marszcząc się na rachitycznym ciele. Jednak to krogulcze stopy z długimi szponami postukującymi złowieszczo o marmurową posadzkę ostatecznie odświeżyły moją pamięć. Stworzenie owo było źródłem antycznych mitów o harpiach.

Po starciu z dwiema naturi płci żeńskiej z klanu wiatru w lasach Anglii przypuszczałam, że wszystkie stwory tego rodzaju mają baśniowy wygląd, twarze jak elfy i motyle skrzydła. Jasne, że Rowe wyglądał inaczej, ale przecież wszystko w nim było inne -

od czarnych włosów przez blizny po czarne skrzydła. Nigdy się nie spodziewałam, że ujrzę naturi o tak okropnym wyglądzie.

- To potworna istota, która zapanowała nad płomieniami i obraca nas w popiół -

powiedziała naturi, robiąc niepewny krok w moim kierunku. Owinęła się skrzydłami, chwytając dłońmi za kościste ramiona i zasłaniając nagie ciało. - Godna imienia, pod którym się narodziła. A jednak spoza niej wylania się istny śmieć. - Stworzenie zwęziło żółte oczy zwrócone ku Danausowi i baczenie mu się przyjrzało, robiąc kolejny niezgrabny krok ku nam.

- Kto to taki? Powiedz mi, proszę - zapytał trzeci głos spod sufitu. Ten zabrzmiał

młodziej, niemal dziecinnie, piskliwie i niecierpliwie. - Cuchnie potem i słabym ludzkim ciałem, ale nie ciągnie za sobą cienia śmierci. To nie człowiek.

- Ani nie wampir - zadźwięczał drugi głos ponad głowami.

- Ani też z wilczego rodu, wyjącego do księżyca - podsumowała naturi, stojąca metr od nas.

- On nie jest na sprzedaż, więc nie napalajcie się tak rzuciłam, a ich dziwna mowa zaczęła mi działać na nerwy. Odstąpiłam w bok, by znaleźć się pomiędzy Danausem a naturi. Stworzenie łypnęło na mnie i cofnęło się o krok, zachowując między nami dogodny dystans. Zaskoczyło mnie, że te stwory nie potrafiły zidentyfikować źródła mocy posiadanych przez łowcę. Naturi i bori byli zaprzysięgłymi wrogami i to od samych początków istnienia.

Można było się spodziewać, że naturi powinny rozpoznawać obecność bori, choćby ledwie wyczuwalną. A jednak upłynęło więcej wieków, niż da się zliczyć, odkąd ostatni bori wędrował po

ziemi. Może naturi zapomnieli, jakie odczucia wywołują w nich bori.

Z wysiłkiem odrywając wzrok od stworzenia ze sztywnymi siwymi włosami, spojrzałam na Sabat i powiedziałam:

- Oddajcie Nikołaja, a zaraz sobie pójdziemy.

- Nie możemy tego zrobić - stwierdził Macaire. - Mamy co do niego inne plany.

- Pora te wasze plany zmienić. - Uśmiechnęłam się, wysuwając sztylet z za pasa.

Wyciągnęłam lewą rękę za siebie, w stronę Danausa, który ją ujął. - Albo ja i Danaus obrócimy w popiół wszystko, co cuchnie naturi. Odeślijcie tego wilkołaka.

Zapanował chaos. Pierwsza z harpii wzbiła się w powietrze ze zdumiewającą szybkością i gracją, znikając wśród zawieszonych wysoko flag. Znów rozbrzmiały ich głosy, gdy stwory omawiały coś we własnym języku, którego nie rozumiałam. Albo nie zważały na moje groźby, albo pojęły, że wilkołak, którego wydania się domagałam, to ich przyszła ofiara do złożenia.

Kiedy podniosłam oczy, próbując zlokalizować trójkę naturi uczepionych sufitu jak wielkie nietoperze, mój mózg przepełnił się bólem. Początkowo to Jabari przedostał się przez moje myśli, ale szybko i Danaus się w nie wdarł. Energia obu tych istot przepłynęła przez moje ciało, walcząc o dominację. Łowca brał górę w tych zmaganiach ale miałam wrażenie, że tylko dlatego, iż utrzymywał ze mną fizyczny kontakt, ujmując mnie za rękę, podczas gdy Jabari wciąż siedział w odległości paru metrów na podwyższeniu. Mój krzyk wstrząsnął

powietrzem, gdy z bólu ugięły się pode mną nogi. Prawie nie dosłyszałam odgłosu noża uderzającego o zimną marmurową posadzkę, gdy upadłam na kolana.

Czułam się tak, jakby ktoś miał mi kości na proszek, gdy Jabari i Danaus walczyli o kontrolę nade mną. Danaus wciąż trzymał mnie za rękę, a ja próbowałam mu się wyrwać w instynktownej próbie powstrzymania bólu. Oczywiście zachodziło ryzyko, że gdyby mnie puścił, Jabari zapanowałby nade mną i łowca by zginął. Tym razem nie słyszałam w głowie żadnych głosów. Pulsowała w niej tylko surowa, wściekła moc. Wrzasnęłam ponownie, pragnąc znaleźć jakiś sposób na wyparcie ich obu z głowy, ale nie miałam się czego uchwycić, nie było żadnego punktu oparcia. Obydwaj byli jednocześnie wszędzie, oddzielni, lecz niemal identyczni w różnych odcieniach bólu, jaki mi zadawali.

Kiedy nabierałam pewności, że dłużej już nie wytrzymam, Danaus w końcu zatriumfował, wypierając Jabarię z moich myśli. Niestety, zbyt dużo energii przepływało przez moje boleśnie spięte ciało. Nie potrafiłam się jej pozbyć. Ognisty krąg, średnicy czterech metrów, zapłonął w jednej chwili. Płomienie na sekundę wystrzeliły kolorami jasnożółtym i pomarańczowym, by po chwili przybrać barwę bladego błękitu. Nikt nie wzbudził w moim mózgu potrzeby wzniesienia ognia; ogień po prostu zapłonął.

Ale zajaśniał nie tylko krąg prawie trzymetrowych płomieni. W całej komnacie rozbrzmiał blask

świec, małe ogniste języki wyciągnęły się i wydłużyły, jakby ożyły. Dwie z flag stanęły w ogniu, rozpraszając jeszcze bardziej mrok czający się w komnacie. Jedno z krzeseł, jakie przetrwały potyczkę z zeszłej nocy, również zajęło się płomieniami, trzaskając i jęcząc, jakby i ono było ogarnięte wściekłością gorejącą w mojej duszy. Płomienie te działały na mnie kojąco, choć Danaus nadal czaił się w moim mózgu, zupełnie jakby nim zawładnął, oczekując, jak się wydawało, na kolejny atak Jabarięgo.

Jednakże atak spadł z góry. Usłyszałam prawie bezgłośny szelest skórzastych skrzydeł

zaledwie na sekundę przed tym, jak coś odrzuciło mnie do tyłu. Dłoń Danausa wyszarpnęła się z mojej ręki, a łowca uniósł się nad posadzkę. Obracając się w miejscu, gdzie klęczałam, dostrzegłam, jak dwie harpie porywają go w powietrze, wbijając stopy zakończone szponami w jego szerokie barki. Im bliżej sklepienia się znajdował, tym słabiej zaznaczała się jego obecność w moich myślach, w których znów zaczął dominować Jabari.

Rozpaczliwie usiłowałam przełamać mentalne bariery, nie bacząc, komu się przeciwstawiam. Ułożywszy obie dłonie na posadzce przed sobą, zgrzytnęłam zębami i wyparłam z mózgu wszystko, co nie było na pewno moimi własnymi myślami, choć te coraz trudniej odróżniałam od innych. Z gardła wyrwał mi się warkot, gdy z ledwością powstrzymywałam chęć ciśnięcia ognistymi kulami w harpie. Tego jednak nie mogłam zaryzykować, obawiałam się bowiem, że trafię nimi również Danausa.

Miro... Głos Jabarięgo w mojej głowie był beztroski i drwiący, kiedy tak klęczałam na podłodze. Nie brzmiał jeszcze zbyt mocno, lecz miał moc wyczerpywania mojej energii.

Oddaj mi Nikołaja i przywołaj do porządku te harpie. Moje żądanie zabrzmiało ochryple i bardzo cicho nawet dla mnie, gdy przesyłałam je Jabarięmu, życząc mu, by się nim udławił.

Niech się trochę zabawią. Z łatwością mogłam wyobrazić sobie, jak wzrusza szczupłymi ramionami, śląc mi tę myśl. Każde jego słowo tańczące w moim mózgu było oplecione śmiechem. *Poza tym czy nie wydaje ci się, że zgromadziłaś wokół siebie zbyt wielu pacholków, których nie potrafisz ochronić?*

Zaświtało mi w głowie, że jego myśli wolne są od wściekłości i frustracji, które okazywał jeszcze przed chwilą, gdy przemówił. A niech go szlag! Manipulował mną.

Wiedział, że przybędę po Nikołaja, ale do czego tak naprawdę zmierzał? Chciał śmierci Danausa? Mojej? A może sterował mną, abym zabiła dla niego naturi? Nie pojmowałam jego gry.

Te układy z naturi są niedopuszczalne, przekazałam mu.

Porwanie Nikołaja ich nie pokrzyżuje, stwierdził.

A czy będzie im sprzyjało? Czekałam na jego odpowiedź. Po wszystkim, co się wcześniej wydarzyło, czułam się tak, jakbym zdesperowana wyciągała ku niemu dłoń, błagając o pomoc - mimo że przecież to on wmanipulował mnie w tę całą historię.

Rozwścieczała mnie myśl o tym, co mógł ze mną zrobić, a nienawidziłam go tym silniej, że go potrzebowałam.

Będą się ciebie bać jeszcze bardziej, wyznał w końcu.

Ponad nami przeciął ciszę kobiecy głos - wstrząsający wrzask. Inny głos zawył z bólu sekundę później, po czym rozległ się odgłos rozrywanej tkaniny. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, jak Danaus spada na posadzkę. Wylądował na niej miękko jak kot, z nożem w rękę, splamiony czerniejącą krwią. Jedna z flag upadła na podłogę za nim, rozdarta w miejscu, w którym się jej uchwycił, próbując spowolnić upadek.

Jeśli znowu zaczniesz walczyć z Danausem o kontrolę nade mną, to zniszczę to, co pozostało z mojego umysłu i ciała. A to ci nie pomoże w osiągnięciu celu. Cisnęłam tą myślą w Jabariego, kiedy Danaus zaczął się zbliżać. *Wydadz mi Nikolaja, to odejdziemy stąd.*

Miałam tylko sekundy na uzyskanie przyzwolenia od Jabariego. Ognisty krąg nie powstrzymałby Danausa od znalezienia się znowu u mego boku. Wiedziałam, że nie przeżyję, jeżeli łowca ponownie mnie dotknie. Ramiona mi drżały, a żołądek zdawał się przenicowany i zanurzony w żrącym kwasie.

Jesteśmy już Misko.

Chciałam go spytać, co ma na myśli, ale zabrakło na to czasu. Tak naprawdę nie miało znaczenia, czy to zrozumiałam. Byłam tylko orężem, a nie wojownikiem.

- Dość! - ryknął Jabari, zrywając się na równe nogi. Coś, co pobrzmiwało jak kwilenie dziecka, było teraz jedynym odgłosem w komnacie. Najwyraźniej Danaus poważnie zranił jedną z harpii. Przez krótką chwilę rozlegało się skrobanie i stukanie szponów o posadzkę, a potem płacz przycichł i umilkł.

Z wahaniem powściągnęłam płomienie tak, że strzelały teraz w górę zaledwie na pół

metra i otaczały mnie ciasniejszym kręgiem, o metrowej średnicy. Danaus zatrzymał się o kilkadziesiąt centymetrów od ognistego koła, wciąż z nożem w dłoni, jak gdyby czekał na to, co Jabari ma do powiedzenia.

- Zabij ją, Jabari - rozkazał Macaire. Potrzęsnał rękami, którymi wcześniej trzymał się poręczy fotela, ledwie mogąc usiedzieć na miejscu. Obłądne zielone światło błyszczało w jego oczach, przedzierając się ku mnie przez roztańczone płomienie.

Dudniący chichot zagrział w piersi Jabariego, a zimny uśmiech odmienił jego szczupłą twarz. Już raz go takiego widziałam. Zrzucił maskę ciepłej empatii w Warowni Temidy, kiedy mi powiedział, że jestem bronią, stworzona przez triadę do powstrzymania natury. Tym razem lodowate rozbawienie Jabariego zostało wywołane przez Macaire'a, a nie przeze mnie.

- Domagasz się jej śmierci od chwili, gdy się odrodziła.

Słowa Jabariego wśliznęły się niczym jadowity wąż przez moje uszy do komórek mózgowych i

sprawiły, że nieopanowane drżenie objęło moje wyczerpane ciało. Jabari przeszedł na nasz język, rodzimą mowę nocnych wędrowców, zapisaną w naszej krwi. Nikt z nas się jej nie uczył. Każdy wampir odradzał się z płynną znajomością tego języka, lękając się go. Nikt nim nie mówił bez ważkiego powodu. Jabari najwyraźniej miał do powiedzenia coś ważnego i nie chciał, by zostało to zrozumiane przez naturę.

- Jeśli pragniesz jej śmierci, musisz zbrukać własne ręce, bo ja z nią jeszcze nie skończyłem - ciągnął Jabari, z wdziękiem siadając znowu w fotelu. - Ale przypomnij sobie jatkę z ostatniej nocy. Ona potrafi to i owo. A przy niej stoi doświadczony łowca istot naszej rasy.

- Brzmi to tak, ja gdybyś sam bał się ją zaatakować - zadrwił Macaire, posługując się tym samym językiem. Nie brzmiał on w jego ustach równie elegancko i zastanawiałam się, czy nie dlatego, że Macaire obawia się mnie i Jabariego.

- Nie.

I to wszystko, co Jabari miał do powiedzenia. Mógł mnie zniszczyć, nawet nie kiwając przy tym palcem, i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Nie powodowały nim ani lęk, ani wahanie.

Zabiłby mnie, gdybym przestała być dla niego użyteczna.

- Ależ ona chce ci uprowadzić pacholka - powiedział Macaire. Niewątpliwa desperacja zabarwiała każde jego słowo. Nie był w stanie nakłonić Jabariego do zrobienia czegoś, czego tamten nie chciał. Skoro Macaire pragnął mojej śmierci, musiał sam do niej doprowadzić.

- Tak czy owak, już z niego zrezygnowałem - stwierdził Jabari z obojętnym wzruszeniem ramion. Nasłał wtedy na mnie Nikołaja, wiedząc, że albo zabiję tego wilkołaka, albo nim zawładnę. Przeklęty Jabari. Przeżył ze mną prawie sto lat i poznał mnie aż za dobrze.

Kiwnął ręką, a jedne z bocznych drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę.

Nikołaj wkroczył do komnaty, szybko przebiegając wzrokiem po wszystkich obecnych. Był

czujny, lecz wyczerpanie zaczynało już dawać mu się we znaki. Miał podkrążone miedzianobrazowe oczy, a szczecina zarostu pokrywała szczękę i policzki. Stał koło podwyższenia, opodal Jabariego, starając się patrzeć prosto przed siebie. A jednak wyczuł

albo dosłyszał harpie i od czasu do czasu zerkał w górę, w mrok pod sklepieniem.

Słyszało się tylko ciche skapywanie krwi jednej z harpii na marmurową posadzkę.

Bicie serc Nikołaja i Danausa dudniło mi w głowie, gdy naraz poczułam narastający głód.

Zmagania z Jabarim i innymi nocnymi wędrowcami w trakcie ostatnich dwóch nocy zbytnio mnie wyczerpały i musiałam znów się pożywić.

Niechętnie ugasiałam ostatnie płomienie, lecz pozostałam na klęczkach, oszczędzając resztki energii,

jakich potrzebowałam, by uciec z tego koszmaru.

- Jeśli zdołasz go ochronić, może być twój - stwierdził Jabari. W jego głosie pobrzmiwała wyraźna protekcyjna nuta. Już raz nie zdołałam ustrzec Tristana i Jabari na pewno nie wierzył, że uda mi się obronić Nikołaja, kiedy Macaire go zaatakuję.

Wstałam i zaskoczyło mnie, że się nie zatoczyłam, choć moje myśli były spowite gęstą warstwą mgły i bólu, a całe ciało niemal wyło przy każdym ruchu. Jeśli jeszcze pozostał

we mnie choćby gram krwi, zdawała się ona ściągać mnie ku ziemi. Chciałam zwinąć się w kłębek i modlić o nadejście świtu, który wymaże z pamięci wspomnienia. Zamiast tego rozprostowałam ramiona i skinęłam głową. Oboje, Jabari i ja, wiedzieliśmy, że nie wstając nawet z krzesła, pokonał mnie, gdyż mógł mnie kontrolować. Dostałam Nikołaja, ponieważ tego chciał Jabari, a nie dlatego, że odniosłam zwycięstwo.

Jabari uśmiechnął się do mnie szeroko, błyskając białymi kłami, i dwoma palcami skinął na Nikołaja, nakazując mu podejść do mnie. Zmieszany i wstrząśnięty wilkołak patrzył

to na Starszego, to na mnie, nim zrobił kilka powolnych, niepewnych kroków w moim kierunku. Napięłam mięśnie, oczekując, że ktoś z Sabatu rzuci się i zaatakuje wilkołaka, ale nikt z tej trójki nawet nie drgnął. Jednakże uwieszone sufitu naturi zaczęły pojmować, co się dzieje. Szybko zamachały wilgotnymi, mięsistymi skrzydłami, patrząc, jak Nikołaj staje obok mnie.

- Co to jest, nocny wędrowcze? - wykrzyknęła jedna z harpii melodyjnym głosem.

- O tym wilkołaku nie było mowy w pierwotnym porozumieniu - odrzekł Jabari szorstko; słysząc ten ton, zadrżałam.

- Nie! - Pisk rozległ się echem w sali, gdy jedna z harpii sfrunęła spod sklepienia, wyciągając szpony, aby pochwycić nimi barki wilkołaka. Bez wahania cisnęłam ognistą kulą w atakujące monstrum, a równocześnie niewidzialna ręka uderzyła stwora, rzucając go na odległą ścianę. Harpia wrzasnęła i odbiła się od ściany, powracając do bardziej bezpiecznego cienia w kątach sklepienia. Nie musiałam podnosić wzroku ku podium, by wiedzieć, że to Jabari uchronił Nikołaja. Nie był pewien, czy mnie wystarczy na to energii po szarpaninie z nim samym.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na podrapanego i okrwawionego Danausa, i rzuciłam polecenie:

- Zabierz go stąd.

Łowca okazał się na tyle mądry, by nie oponować. Wiedział, że gonię resztkami sił.

Nie zdołałabym odpędzać harpii przez całą noc i równocześnie przeciwstawiać się Sabatowi.

Danaus chwycił więc zszokowanego Nikołaja za ramię i wypchnął przez drzwi, wciąż przenosząc wzrok z podium ku sklepieniu i z powrotem, spodziewając się kolejnej napaści.

Już sam fakt, że Danaus i ja wychodziliśmy stamtąd z Nikołajem, wskazywał, że wciąż byliśmy

potrzebni Sabatowi żywi, bez względu na mroczne plany, jakie tam knuli. Na razie nie posuwałam się za daleko. Co więcej, wypełniłam zadanie, którego realizacji Jabari zawsze ode mnie oczekiwał. Drań. Wolałabym przekonać się, co takiego Sabat szykuje wraz z naturi, ale byłam rada, że w ogóle się z tego wykaraskałam. Wciąż jeszcze było nieco czasu na rozszyfrowanie planów Starszych.

Ponownie spojrzałam na podwyższenie oraz na troje Starszych, z których każde chciało doprowadzić do mojej zguby. Tego byłam pewna. Macaire wpatrywał się we mnie z twarzą bez wyrazu, ale knykcie jego dłoni, zaciśniętych na poręczach fotela, mu zbieleły; cały był spięty. Nie był zachwycony tym, co zrobiliśmy ja i Jabari. Tyle że jeszcze nie wiedział, które z nas będzie mu łatwiej zabić. Poza tym nadal mogłam iść o zakład, że chce się ze mną spotkać na osobności. Macaire to typ, który manipulował mentalnie innymi; próbował ich zjednać za pomocą „logiki” i mnóstwa kuszących obietnic. Nie palił się do brudzenia sobie rąk, podobnie jak Jabari.

Elizabeth milczała przez cały czas; niepokoiła mnie przez to jeszcze bardziej niż Macaire. Potrafiłam odgadnąć zamiary Macaire'a i Jabariego, ale nie wiedziałam, po czyjej stronie stanie ona albo czy też zmierza do jakiegoś własnego celu. Nie miałam jednak wątpliwości, że woleliby wystawić mnie na działanie słońca, niż oglądać ponów nie w Wielkiej Sali.

Na koniec spojrzałam na Jabariego, który obserwował mnie z rozbawieniem, tańczącym w jego ciemnych oczach. Skłoniłam przed nim głowę, nie pragnąc już poznawać jego planów, które wiązały się ze mną i z zadawaniem mi bólu. Już miałam odwrócić się i wyjść, gdy mój wzrok padł na puste krzesło po prawej ręce Jabariego. Na miejsce Tabora.

Wolne miejsce w Sabacie. Jednak członkostwo Sabatu oznaczałoby stanie się marionetką w rękach Jabariego. Niegdyś spełniłabym życzenia tego Starszego po prostu dlatego, że w niego wierzyłam. Teraz uczyniłabym to tylko wtedy, gdybym nie miała innego wyjścia.

Zerknęłam znów na Jabariego i ujrzałam, że uśmiecha się do mnie szeroko, odgadując moje myśli. Powitał by mnie w składzie Sabatu z otwartymi ramionami, gdyż wzmocniłoby to jego pozycję wobec dwojga pozostałych członków konwentu. Odwzajemniłam jego uśmiech, obróciłam się na lewej pięcie i sztywnym krokiem wyszłam z Wielkiej Sali Sabatu.

Zanim zajęłabym miejsce w Sabacie, łowca wyrwałby mi serce z piersi.

Rozdział 18

Zamknawszy za sobą ciężkie drzwi, przystanęłam na szczycie starych granitowych schodów i zadarłam głowę ku gwiazdom, które mrugały do mnie, jakby śmiejąc się z jakiegoś wielkiego kosmicznego żartu. Powietrze było ciepłe i wilgotne i zaczął zrywać się wiatr, szepcząc mroczną obietnicę letniej nawałnicy, która mogła zalać plac Świętego Marka ćwierć metrową warstwą wody. Powodzie następowały tu zazwyczaj w późniejszym okresie lata, ale zdarzały się i pod koniec lipca.

Dopiero gdy otoczyło mnie letnie powietrze, zdałam sobie sprawę, że jest mi zimno.

Dreszcz, który mnie przeszywał, zaczął przechodzić w pulsujący ból, który zdominował moją świadomość. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się posiłałam. Czy jeszcze w Londynie?

Wydawało się to tak dawno, choć upłynęło zaledwie kilka nocy. A jednak musiałam pożywić się ponownie i to prędko.

Ze zmarszczonym czołem zaczęłam schodzić po schodach, lecz kolana odmówiły mi posłuszeństwa. Nogi były miękkie jak z waty i całkiem bezużyteczne. Wyciągnęłam ręce, aby się czegoś przytrzymać, przez moment zastanawiając się, czy ramiona okażą się wystarczająco silne, gdy naraz znalazłam się w mocnych objęciach Danausa. Nie zauważyłam, kiedy się tu znalazł. Nie byłam nawet świadoma tego, że jest tak blisko mnie, ale mniejsza o to. Miałam wystarczająco dużo innych trosk na głowie.

Danaus ostrożnie oplótł moje barki lewym ramieniem, a potem bez słowa wziął mnie na ręce. Kroczył miarowo i niespiesznie, zmierzając w kierunku motorówki. Przymknęłam oczy, opatulona jego ciepłem, które uśmierzało przepełniający mnie ból. Słyszałam, jak Nikołaj stąpa po prawej stronie Danausa.

- Mój bohaterze - odezwałam się cicho, opierając głowę na barku Danausa. Prychnął

zdegustowany, na co bezgłośnie się zaśmiałam. Nie wątpiłam, że wolałby mnie upuścić, abym poczołgała się do motorowej łodzi, lecz wtedy nie wydostalibyśmy się szybko z tej przeklętej wyspy.

- Warto było? - zapytał. Mogłam wyczuć zamęt w jego głowie i bijący we mnie niepokój, zupełnie jak własne emocje. Nasza więź wciąż pozostawała silna, a mnie brakło energii, by wznosić mentalne mury i odgradzać się od niego, zresztą niewiele by mi to dało.

Danaus i Jabari mogli przenikać do mojego umysłu, kiedy tylko chcieli.

- Tak - westchnęłam. Prawą rękę zsunęłam z jego barku na pierś i poczułam pod dłonią bicie jego serca. Teraz wiadomo, że Sabat nie ustalił swoich planów jednomyślnie i że Nasz Władca nie wie nic o zamierzeniach Starszych. Wiemy też, że Jabari utrzyma nas przy życiu do czasu, aż zniweczymy to, co oni knują razem z naturi. W każdym razie woli, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

- Zakładając, że nie mylisz się co do Jabariego - wtrącił Danaus.

- Dzięki za tę miłą uwagę - zauważyłam i otworzyłam jedno oko, żeby na niego spojrzeć. Nie pierwszy raz straszliwie się pomyliłam co do Jabariego, płacąc za to słono.

- A co z nim? - spytał łowca, kiwając głową w stronę Nikołaja. - Nie stał się ofiarą.

- Może miał nią być, a w ostatniej chwili to się zmieniło - podsunęłam.

- Ofiarą? - odezwał się Nikołaj. - O czym wy, do cholery, mówicie?

- Czy wiesz, że miałeś być wydany tym harpiom? - zapytałam, znowu zamykając oczy. Wzburzenie Nikołaja sprawiło, że jego moce zwiększyły się i otarły o moją skórę. Nie działały tak kojąco jak moce Danausa, więc wtuliłam się w łowcę jeszcze bardziej.

- Harpie? - Głos Nikołaja stał się wyższy, tracąc szorstkość. - Te, które były z nami w tamtej komnacie? Nie, nie miałem o tym zielonego pojęcia.

- Po co mu to mówisz, skoro mógł podjąć walkę jeszcze przed ich przybyciem? -

powiedział do mnie Danaus. - Naturi pewnie nie interesują uszkodzone dary.

Stłumiłam chichot, przygryzając dolną wargę. Danaus ujął problem w sposób chłodny i bezduszny, ale bardzo celny.

- Myślę, że Jabari mówił prawdę. Nikołaj nie był elementem ich pierwotnego porozumienia. Może postanowiono później, że będzie czymś w rodzaju rękojmi, aby nie stała się krzywda tamtej naturi w rękach Sabatu. A może miał być darem. Nie wiem. Ostatecznie liczy się to, że się zjawiliśmy i wychodzimy stamtąd z Nikołajem. To oznacza, że Sabat nie zdołałby nas powstrzymać. Teraz naturi mają nowy powód, żeby się nas obawiać. Nikołaj był

tylko pionkiem w tej grze.

- Dzięki - mruknął wilkołak.

- Spójrz na to w taki sposób - odparłam, odwracając głowę tak, aby na niego popatrzeć. - Gdybyś był kimś naprawdę ważnym w planach Sabatu, za nic nie wydestalibyśmy cię stąd. Ale nie martw się. Kiedy tylko powstanie naturi zostanie zgniecione, Jabari przy pierwszej okazji upomni się o twoją głowę.

Była to ponura i przykra prawda. W najlepszym razie udało mi się przedłużyć żywot Nikołaja o kilka dni. Gdyby zdołał dobrze się ukryć, może przetrwałby nawet kilka miesięcy.

Jednak oboje wiedzieliśmy, że ostatecznie Jabari nas wytropi.

Gdy zwróciłam twarz ku piersi Danausa, nagle przytłoczył mnie zapach jego krwi. I to nie tylko tej pulsującej pod jego skórą, ale i schnącej na nim i wsiąkającej w jego koszulę w miejscach, gdzie harpie przeorały mu ramiona szponami. Zagryzłam zęby, czując blisko siebie jego ciepło i kusząco tętniącą krew. Bestia w mojej piersi poruszyła się i zepchnęła duszę w mroczne zaułki ciała, walcząc o dominację. Pragnienie krwi narastało we mnie, aż niemal przygniotło wszelkie inne myśli. Odchyliłam głowę i rozwarłam usta, aby poczuć na języku powiew wiatru. I dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że tracę nad sobą panowanie.

Gwałtownie odepchnęłam się od piersi Danausa, wysuwając z jego mocnych ramion.

Grzmotnęłam o ziemię z hukiem, lecz to sprawiło, że odzyskałam jasność myślenia. Leżąc zwinięta w trawie koło chodnika, który prowadził do rezydencji Sabatu, wbiłam palce w piasek i zacisnęłam powieki. Nie ukąsiłabym Danausa. Nie napiłabym się jego krwi, nawet gdyby był ostatnim stworzeniem, chodzącym po ziemi. Czy nie dość, że on i Jabari mnie kontrolowali? Nie mogłam bezwolnie ulegać głodowi.

- Nie dotykajcie mnie! - wrzasnęłam, słysząc jak obaj, Danaus i Nikołaj, podchodzą do mnie bliżej. - Ja... Potrzebuję tylko paru sekund. - Z zamkniętymi oczami zwinęłam obolałe i oporne ciało w kłębek. - Idźcie do łodzi. Przyjdę tam za chwilę.

- Nie zostawię cię - odparł stanowczo Danaus. - To zbyt niebezpieczne.

- Co się dzieje? - zapytał Nikołaj. Wyczuwałam obecność wilkołaka o pół metra od siebie, z prawej strony.

- Ona jest głodna - odpowiedział Danaus, zanim zdążyłam otworzyć usta. - Musi się pożywić.

Jego słowa odebrały mi mowę. Zapomniałam, że Danaus potrafi wyczuwać moje emocje. Odczytywałam wyraźnie jego odczucia, lecz zapomniałam, że moje przenikały do jego umysłu równie łatwo. Wiedział, że walczę z głodem, ale i tak wziął mnie wcześniej na ręce. Czy poddawał mnie próbie? Nie miałam wątpliwości, że skończyłby ze mną, gdybym go ukąsiła.

Kiedy stłumiłam głód, emocje Danausa znowu wpełzły do mojego mózgu. Mogłam usłyszeć serce, bijące mocno w jego piersi, jak gdyby ukończył właśnie bieg maratoński, a jego odczucia stanowiły chaotyczną mieszankę lęku i... czegoś jeszcze. Wpływu adrenaliny?

Głodu? Do minowały strach i frustracja, przytłaczające inne emocje, więc nie potrafiłam ich jasno rozpoznać. I, tak naprawdę, nie sądziłam, by któreś z nas chciało już wtedy wiedzieć, co jeszcze Danaus odczuwa.

- Miro, czy możesz napić się krwi wilkołaka? - zapytał Nikołaj, klękając koło mnie na trawie. Niektóre wampiry mogły posilać się krwią wilkołaków. Większość nie. Ja mogłam.

Miałam pewne domysły co do przyczyn takiego stanu rzeczy, ale wynikające z tego implikacje nie były czymś, co przedłużyłoby mi życie; w każdym razie nie w owej chwili.

- Odejdź, Nikołaju - odezwałam się cicho, powoli naprężając mięśnie ramion, aby szybko odsunąć się od niego, gdyby się do mnie zbliżył. Panowałam nad sobą lepiej niż jeszcze parę minut temu, jednak łatwo mogłam to opanowanie stracić. - Nadstawiałam karku, żeby ocalić twój bezwartościowy tyłek nie po to, by kilkaset metrów dalej wysączyć z ciebie krew.

- Nie cofam złożonej propozycji - powiedział Nikołaj, a potem wstał, nie dotykając mnie.

Drżąc, rozwarłam zęby i podniosłam się także. Głód wciąż pulsował mi w piersi, ale znowu nad sobą panowałam. Póki mogłam trzymać się z dala od nich dwóch, byłam w stanie powściągnąć pragnienie pożywienia się do czasu powrotu na główne wyspy Wenecji. A tam mogłam wmieszać się w tłum i wybrać ofiarę spośród hord ludzi, zapełniających to miasto.

Powrotna droga do hotelu upłynęła szybko i w milczeniu, a Nikołaj i Danaus w miarę możliwości nie zbliżali się do mnie ani do siebie nawzajem. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zacumowaliśmy na przystani w pobliżu hotelu Cipriani, ale tam Nikołaj prawie przeciągnął

strunę. Stał przede mną, kiedy usiłowałam wyjść z motorówki, i chwycił moje ręce w swoje duże dłonie. Moje ciało natychmiast ożyło pod wpływem jego energii i fizycznego kontaktu.

Z wielkim trudem się opanowałam, ledwie słysząc to, co on mówi.

- Czy naprawdę możesz dziś zapolować, nie zabijając przy tym swojego łupu? -

zapytał głosem twardym jak granit. Jego wielkie łapska rozluźniły nieco chwyt, gdy nie próbowałam mu się wyrwać.

- Tak - syknęłam, zaciskając zęby. To najlepsze, co mogłam zrobić, aby od razu nie wbić kłów w jego szyję. Był taki ciepły, tak pełny życia i energii, opływającej mnie nieustannymi falami. Danaus i Nikołaj powoli wpędzali mnie w obłąd. Musiałam się pożywić, zanim uczynię cos naprawdę głupiego.

- Dwa razy ocaliłaś mi życie - powiedział sztywno. - Mogę ci się odwdzięczyć przynajmniej tak, że zaoferuję swoje usługi.

Zanim wymyśliłam na to jakąś ciętą odpowiedź, wilkołak nachylił się i zarzucił mnie sobie na ramiona. Nic pamiętam, abyśmy mijali Danausa, przechodząc przez hotelowy hol, czy nawet wjeżdżając windą do naszego apartamentu. Skupiłam myśli na zgrabnym zadku Nikołaja i zastanawiałam się, czy warto wbić kły w jeden z jego jędrnych pośladków.

Ostatecznie doszłam do wniosku, że nie - większość krwi wsiąkłaby w jego niebieskie dzinsy, a nie spłynęła mi do gardła.

- Miro! - Głos wstrząśniętego Tristana wyrwał mnie z zamyślenia. Popatrzyłam na młodego nocnego wędrowca przez gęste kosmyki moich rudych włosów, gdy wchodziliśmy do apartamentu.

- Nic mi nie jest - zawołałam, kiedy Nikołaj skierował się do jednej z sypialni. -

Zajmij się Danausem. Pogadamy przed świtem.

Moje ostatnie słowa zagłuszył huk zatrzaskiwanych drzwi.

Nikołaj próbował rzucić mnie na łóżko i odstąpić, ale nie dopuściłam do tego. W

chwili, kiedy opadłam plecami na materac, wyciągnęłam rękę i schwyciłam jego ciemnoczerwony podkoszulek. Ledwie się zdążyłam usunąć, zanim zwałił się ciężko na łóżko. W mgnieniu oka usiadłam okrakiem na jego biodrach, złapałam ręką długie pukle blond włosów i odchyliłam jego głowę na bok, odsłaniając piękną szyję Nikołaja.

Chciałam zapytać go po raz ostatni, czy tego właśnie pragnie. Chciałam dać mu możliwość wycofania się, ale już nie byłam w stanie. Mózg wypełniała mi czerwona mgiełka głodu. Częstka świadomości podszeptowała mi, że znalazłam się w bezpiecznym miejscu wraz ze źródłem krwi. Jego chęci i zamiary już się nie liczyły. Mogłam pocieszać się później myślą, że ściągnąwszy mnie tutaj, Nikołaj wiedział, w co się pakuje.

W chwili, gdy jego ciepła krew spłynęła mi na język, świat zanikł. Nie było niczego poza ciepłym ciałem, leżącym koło mnie, i bijącym w nim sercem. Cały ból i wszelkie dolegliwości ustąpiły, a bestia w mojej piersi odetchnęła z ulgą. Rozluźniłam nieco mocny uchwyt wokół jego głowy. Któreś z nas jęknęło, kiedy on oplótł mnie ramionami, przyciskając do swego muskularnego ciała. Pijąc jego

krw, wniknęłam w jego umysł, rozbudzając w nim setkę przyjemnych doznań. Tym razem byłam pewna, że to jęknął Nikolaïj, przesuając palcami po moich plecach i wymacując nimi rąbek mej koszuli.

Czując dotyk jego rąk na skórze, odsunęłam się od niego. Podpełzłszy do krawędzi łóżka, usiadłam, przywierając plecami do drewnianego wezglowia. Z odchyłoną głową przeciągnęłam językiem po zębach, smakując Nikolaïja. Jego bicie serca i ciężki oddech były jedynymi odgłosami w pokoju. Nie upiłam z niego zbyt dużo krwi, o wiele mniej niż potrzebowałam. Mogłam pożywić się ponownie później, ale jego krew przytłumiła mój głód i przywróciła mi panowanie nad sobą.

Nikolaïj poruszył się na łóżku, a kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że leży na brzuchu i patrzy na mnie, z uśmiechem na ustach. Powędrowałam wzrokiem ku jego szyi i ujrzałam, że rana już sama zaczyna się goić. To był jeden z plusów pożywiania się krwią wilkołaków - leczyli się tak prędko, że istniało małe prawdopodobieństwo pozostawienia na nich śladów po ugryzieniu.

- Nie napiłaś się wystarczająco dużo - jego niski głos przypominał zduszone dudnienie.

Przezeszałam prawą ręką włosy, odgarniając je z twarzy, i uśmiechnęłam się.

- Dostatecznie dużo, żeby doczekać się kolejnego posiłku - mruknęłam, czując się odprężona po raz pierwszy od kilku nocy. - Nie wysączę z ciebie krwi do cna, żeby ugasić pragnienie.

Nikolaïj się zaśmiał.

- Nie proponuję ci całej swojej krwi - rzekł, a uśmiech rozjaśnił mu twarz, rozprasząc z troską, czające się w jego oczach, odkąd go poznałam. Przesunął prawą rękę, by lekko objąć jedną z moich kostek. - Ale mogę być czymś więcej niż tylko małą przekąską.

- Mam wrażenie, że proponujesz mi coś więcej niż jedynie posiłek - rzekłam ostrożnie, opuszczając wzrok ku długim palcom, owiniętym wokół mej kostki. Tego nie planowałam, zagłębiając zęby w jego szyi.

- Nie odpowiada ci ta propozycja? - zapytał, nie starając się nawet zatuszować sarkazmu w głosie. Ukląkł, po czym usiadł i ściągnął koszulę przez głowę, ukazując opaloną skórę i mięśnie, pulsujące ciepłem i żywotnością. Zdaje się, że przerzucił tę koszulę o brzeg łóżka, lecz szczerze mówiąc, nie mogłam oderwać oczu od jego piersi i ramion.

Zadawałam się z przystojnymi facetami w swoim długim życiu; z ludźmi, wilkołakami i nocnymi wędrowcami. Miałam ich wielu i zdawało mi się, że nie będę się już oglądała za zgrabnym ciałem czy ładną twarzą. Jednak Nikolaïj wystawił to moje postanowienie na próbę.

Nie był tak uderzająco piękny jak Valerio. Nie był bez skazy. Na klatce piersiowej widniała długa blada blizna, rozciągająca się ponad sercem. Brzuch miał niemal wklęsnięty i zastanawiałam się, czy ostatnio nie jadał zbyt mało i zbyt rzadko. Jednak zniewalało w nim to idealne połączenie kruchości i siły.

Z trudem zamknęłam oczy, ale obraz jego piersi utrwalił się już pod moimi powiekami.

- Nie chcę twojego ciała w zamian za uratowanie ci życia. - Musiałam się zmusić do wypowiedzenia tych słów, gdyż coś w środku skłaniało mnie do przeciągnięcia językiem po jego klatce piersiowej.

Słyszac śmiech Nikołaja, znowu otworzyłam oczy. Powoli opuszczał dłonie i pochwycił w nie obie moje kostki, co sprawiło, że poczułam się bardzo mała. Szybkim ruchem przesunęłam się na łóżku ku niemu, tak że leżałam teraz płasko na plecach, ocierając się kolanami o jego biodra. Ujął w dłonie moją głowę i pochylił się, aż jego usta znalazły się zaledwie o centymetry od moich.

- Ta krew była w podzięce za moje życie - powiedział szeptem, po każdym słowie muskając ustami moje wargi. Poruszył głowę, przesuwając usta po mojej brodzie. - Seks znaczy dla mnie tyle, co dla ciebie. W ciągu ostatnich kilku dni widzieliśmy tyle śmierci i przemocy, że wystarczyłoby na całe życie. A to jeszcze nie koniec, prawda?

To pytanie wyrwało mnie z oczarowania, w jakie wprowadził mnie jego niski głos.

Popatrzyłam mu w oczy i ujrzałam, że te wielkie, miedzianobrazowe tęczęwki zadają takie same pytania, jakie widziałam w oczach Tristana, Sadiry, Jamesa, Alexandry, a nawet, przez jedną krótką chwilę, Danausa. Czy przeżyjemy? Czy zamierzam ich ochronić? Czy jest nadzieja, której warto się uchwycić? I z jakiego powodu wszyscy szukali we mnie ocalenia. A przecież wśród swoich byłam wyrzutkiem. Przekleństwem dla Sabatu.

Przesuwając palcami lewej dłoni po złocistej fali włosów, które okalały jego twarz, przyciągnęłam go bliżej siebie, by musnąć ustami jego wargi.

- To nieważne. Liczy się tylko chwila obecna - wyszeptałam. Nikołaj uśmiechnął się i pochylił, żeby mnie pocałować.

Zamknęłam oczy i czułam tylko jego usta i ciepło, oplatające mnie jak cudowny kokon, kojący wszelkie myśli o reszcie świata. Wsunęłam język między jego rozchylone wargi. Smakował jak miód i świeży chleb, przywołując wspomnienia domu, który musiałam opuścić o wiele lat za wcześnie. Moje palce zsunęły się z włosów Nikołaja na jego muskularne ramiona, dotykając skóry, która wydawała się nieprawdopodobnie miękka.

Obróciłam głowę i przesunęłam ustami po jego szyi, a rękami po plecach, lekko drapiąc go paznokciami, kiedy moje dłonie powróciły na jego barki.

- Nadal masz ochotę na kęs? - Zaśmiał się, muskając wargami moją szyję, zanim zatrzymały się na płatku moje go ucha. Westchnęłam, kiedy przeciągał czubkiem języka po tym wrażliwym fragmencie ciała. Napięcie, dręczące mnie przez tak wiele nieskończonej długich nocy, zaczynało ustępować z kolejnych partii mięśni.

- Hm... Są dużo ciekawsze miejsca, których mogłabym spróbować - powiedziałam kusicielsko. Opierając stopy na łóżku i oplatając go ramionami w pasie, przetoczyłam nas oboje tak, że on znalazł się na plecach, a ja usiadłam okrakiem na jego biodrach.

Zaskoczenie rozświetliło mu oczy, ale szybko się z niego otrząsnął. Wyglądało na to, że nie miał ochoty tak łatwo mi ulegać. Raptownie oplótł dłonią mój kark i przyciągnął ku ustom moje wargi, aby złożyć na nich długi, głęboki pocałunek. Przesunął językiem po jednym z mych kłów, nakłuwając się na niego. Nie próbowałam nawet tłumić jęku, który narastał mi w gardle pod wpływem smaku krwi. Wyciągnąwszy się wzdłuż jego ciała, przylgnęłam do niego i ssałam krew z jego języka, póki mała ranka sama się nie zagoiła.

Gdy przeszył mnie dreszcz, przerwałam pocałunek i przesunęłam ustami po jego szczęce koło szyi.

- Już to kiedyś robiłeś - zamruczałam.

- Pytasz, czy byłem z wampirzycą? - spytał, zsuwając dłonie po moich plecach, by objąć pośladki. Kiedy przyciągnął mnie bliżej siebie, uniósł nieco biodra, ocierając się o mnie twardą męskością. - O tak. Jesteś zaskoczona?

- Nie. - Roześmiałam się, unosząc się lekko na rękach, i popatrzyłam na niego.

Przestałam się jednak śmiać, kiedy sobie o tym pomyślałam. Na dworze Sabatu Nikołaj pozostawał u boku Jabariego. Wiedział, do jakich potworności zdolni są dworacy. - Kiedy tam byłeś?

Nikołaj usiłował przyciągnąć mnie z powrotem do siebie, lecz wszystkie mięśnie w moim ciele stężały i nie zdołał mną poruszyć.

- Nie - odpowiedział stanowczo, ale łagodnie. - Nikt mnie nie tykał, kiedy tam przebywałem. Mam doświadczenia z czasów na długo przed spotkaniem Jabariego.

Wzięłam wdech, starając się rozproszyć chwilowe napięcie. Zgadzałam się z tym, że oboje potrzebowaliśmy ukojenia, a seks dałby je nam choć na moment. Jednak robienie czegoś, do czego być może zmuszono go z inną wampirzycą, nie byłoby dla niego dobre.

Nikołaj przyciągnął mnie ku sobie i zatopiliśmy się w następnej serii oszałamiających pocałunków, które tylko rozbudziły pragnienie, potrzebę bliskości. Kusił mnie zapach jego krwi, tuż pod ciepłą skórą. Jego krew była cudowna, lepsza od czystej ludzkiej krwi. Bogatsza i mocniejsza. Jednak łaknienie jej stopniowo ustępowało we mnie potrzebie poznania każdego miejsca na jego ciele.

Nikołaj nie oponował. Już ścigał mi przez głowę bawełnianą koszulkę, gdy się nieco uniosłam. Ponownie dosiadłam go okrakiem i sięgnęłam dłońmi ku plecom, żeby rozpiąć czarny koronkowy stanik. Nikołaj skorzystał z okazji i, siadając, zsunął ze mnie biustonosz, odsłaniając moje piersi.

Zamknęłam oczy, kiedy językiem zataczał powoli kręgi wokół mojego lewego sutka, zanim ujął go w usta. Palcami prawej dłoni zmagalam się dwukrotnie z haftkami, zanim w końcu rozpięłam stanik obiema rękami. Cudowne wilgotne ciepło na lewej piersi i mocne, ugniatające ciało palce Nikołaja na prawej rozwiały dręczące mnie myśli. Zarzuciłam mu na ramiona ręce, które, jakby kierowane własną wolą, podążyły ku włosom, łagodnie przytrzymując jego głowę, kiedy wygięłam plecy, przywierając do niego mocniej. Oderwał

usta od moich piersi, a jego oddech prześlizgiwał się po moim wilgotnym ciele, rozbudzając w nim

dreszcze. Zanim Nikola'j zajał si' drugą piersiá, jego j'zyk zagłębił si' w dolink' mi'ędzy piersiami.

Ciche westchnienie uleciało z moich rozwartych ust. Był tylko Nikola'j, jego delikatne r'ce i łapczywe wargi. Ile czasu upłynęło, odkąd ktoś mnie w taki sposób dotykał? Tygodnie?

Miesiące? Wspomnienie ostatniego razu, kiedy rozkoszowałam si' chwilá taká jak ta, przemknęło mi z szybkością błyskawicy przez mózg, ale szybko odepchnęłam je od siebie.

Popelniłam tyle błędów. Padło tyle kłamstw i usłyszałam tyle wykretów, które prowadziły tylko do śmierci. Potrzebowałam tego teraz, oderwania od zjaw, które mnie dręczyły, ucieczki od bólu, który na mnie czekał. Rozkoszowania si' delikatnymi dłońmi, które wcale nie chciały mnie uderzyć, dźgnąć ani rozszarpać. Uniosłam głowę Nikola'ja, pocałowałam go mocno i pchnęłam z powrotem na łó'zko.

- Mam ochotę na następná przekáskę - powiedziałam cicho, kiedy w końcu oderwałam usta od jego warg. Całowałam i lizałam j'zykiem jego ciało od piersi w kierunku pasa spodni.

Całowałam twarde wybrzuszenie poniżej brzucha, jednocześnie rozpinając palcami guzik spodni. Pocałowałam go znowu, ale tym razem drasnęłam lekko zębami gruby materiał. Nie ośmieliłabym si' tam ugryźć. Ka'żdy normalny mężczyzna zemdlałby w jednej chwili, jednak taka kusicielska pieśczota wystarczyła, aby Nikola'jowi znowu podskoczyło t'ętno.

- Miro - odezwał si' chrapliwym głosem, którego ton był prawie ostrzegawczy.

- Nawet o tym nie śniłam - wyszeptałam, rozpinając mu spodnie. - Stawiam na inne miejsca.

Wsunęłam palce w spodnie i bokserki, powoli je ścigaając i równocześnie przesuając si' na łó'zku. Zatrzymałam si' na chwilę, by zdjąć z niego buty i skarpetki, nim obrzuciłam wzrokiem całe jego ciało. Teraz Nikola'j leżał wyciągnięty przede mná, cały ze złocistej skóry i twardych mięśni. Jasne włoski wiły mu si' na nogach; przesunęłam dłońmi po jego łydkach, sadowiąc si' między udami. Pocałowałam wewnątrz prawego uda, wyrysowując czubkiem j'zyka symbol nieskończoności.

- Miro - wypowiedział moje imię bezgłośnym szeptem, niemal błagalnie. Wiedział, czego szukam; dużej żyły, przebiegającej wzdłuż wewnętrznej części uda, pulsującej życiem.

Kiedy przebiłam kłami skórę, oplotłam palcami jego twardá męskość, gładząc ją, aż si' wyprężył, i utrzymywałam go w takiej pozycji, racząc si' szybkim drinkiem.

Zamknąwszy ranę po upływie paru sekund, przesunęłam usta nieco wyżej.

Pocałowałam go, przeciągając j'zykiem po mi'kkim cielem w tym miejscu. Byłam oszołomiona władzá, jaká nad nim miałam. Nie liczyła si' siła fizyczna ani moc, którą zyskałam jako nocny wędrowiec. Chodziło wyłącznie o kobiecego powab, a Nikola'j pragnał

mnie jako kobietę, tak jak ja pożądałam go, gdyż był tak przystojnym mężczyzną.

Pozwolił mi przesunąć j'zykiem po nabrzmiałym penisie, zanim wplótł palce w moje włosy i przyciągnął mnie z powrotem ku swoim ustom. Przywarłszy do moich warg, przetoczył mnie na

plecy, aby łatwiej mu było mnie całować, gdy ściągał ze mnie spodnie.

Nie pamiętałam tego zbyt dokładnie; czułam tylko jego język w ustach, gdy gmerał przy guziku. Po chwili nie miałam już na sobie spodni. Jego rozgrzana skóra ocierała się o moją skórę, a twarda męskość dotykała intymnego zakątka mojego ciała.

- Miro?

Zamrugałam i zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy, które były teraz bardziej miedziane niż piwne. Jego głos brzmiał nisko i chrapliwie, ale dosłyszałam w nim pytanie.

Nikołaj pozostawał w całkowitym bezruchu, czekając na moją odpowiedź. Nie byłam pewna, czy daje mi ostatnią szansę wycofania się, czy też naprawdę chce wiedzieć, czy jestem gotowa. Nieważne. Byłam daleka od wszelkich myśli.

- Proszę. Teraz. - Tylko na takie słowa mogłam się zdobyć, a wypowiedziałam je tonem rozpaczliwego błagania. To wystarczyło.

Nikołaj wszedł we mnie, wyciskając mi z gardła krzyk. Okazał się bardziej męski, niż sądziłam, a ja nie byłam tak gotowa, jak przypuszczałam, więc pograżyłam się w równym stopniu w rozkoszy i bólu. Nieważne. Przy następnym pchnięciu wygięłam w jego stronę biodra, przyjmując go całego. Wyszliśmy już poza fazę subtelnego dotykania i delikatnych pieszczot. Teraz wszystko było ostre i szybkie, a jego mocne ręce przyciągały nas oboje bliżej ku temu rozkoszemu zapomnieniu, które leżało za widnokrzem.

Wrażenia przepelniały mój umysł. Bicie jego serca dudniło mi w mózgu, mieszając się z ciężkimi oddechami i cichutkimi jękami, gdy wbijał się we mnie. Wdychałam jego woń, wciągając w płuca ten wyjątkowy aromat potu i seksu, by i to w sobie zatrzymać. Uniosłam się nieco i przeciągnęłam językiem po jego szyi aż do ucha, pragnąc utrwalić w sobie jego smak.

Nikołaj wyciągnął ręce i ujął w wielkie dłonie moje pośladki, zmieniając nieco kąt nachylenia i zapadając się we mnie głęboko. Rozkosz w końcu przewyższyła ból w walce, toczonej w moim ciele. Ostatni krzyk wydarł mi się z ust, gdy moje ciało eksplodowało orgazmem, który spał każdy mięsień. Rozbłysło oślepiające światło gwiazd i zalała mnie fala rozkoszy, przepelniająca całe ciało. Dobry Boże, niech to się nie kończy...

Dopiero po upływie kilku minut mój mózg zaczął pracować na tyle sprawnie, bym uświadomiła sobie, że Nikołaj leży na mnie, wstrząsany dreszczami orgazmu. Uśmiešek pojawił się na moich ustach, kiedy zastanawiałam się przez chwilę, czy to możliwe, aby orgazm mógł niszczyć komórki mózgowe. Pewnie nie, ale wcale nie czułam się mądrze, gdy usiłowałam pozbierać myśli.

Nikołaj zaczął powoli się poruszać, zagłębiając twarz w mojej szyi. Skubnął zębami płatek ucha, na co się zaśmiałam, i w końcu uniósł głowę. Jego duże oczy nabrały znów brązowego odcienia, z nikłą miedzianą nutą. Wpatrując się w cień, w jakim kryła się jego uśmiechnięta twarz, uświadomiłam sobie, że żadne z nas nie zadało sobie trudu zapalenia światła. Oczywiście, oboje widzieliśmy w ciemności niczym koty, więc po co zawracać sobie tym głowę?

- Czujesz się lepiej? - zapytał, a miłe samozadowolenie przebijało w jego głosie.

- O wiele lepiej. - Uśmiechnęłam się, składając delikatny pocałunek na jego ustach. -

Dziękuję.

- To ja dziękuję - odpowiedział, odwzajemniając pocałunek. - Dobrana z nas para.

- Gdy nie próbujesz mnie zabić - stwierdziłam prowokująco.

Beztronski uśmiech zniknął z jego ust.

- Nie miałem wyboru - rzekł stanowczo, zanim stoczył się ze mnie. Potem leżał na plecach, milcząc, i parę razy potarł szorstko twarz dłońmi, jakby w ten sposób mógł rozjaśnić myśli. W końcu ułożył ręce wzdłuż boków i wbił wzrok w sufit. - Poza tym najwyraźniej nie jestem pierwszym napastnikiem, jakiego poskromiłaś.

- Nie interpretuj błędnie mojego tymczasowego porozumienia z Danausem -

powiedziałam, obracając się na bok. Wsparłam się na łokciu i zaczesalam za ucho kosmyk włosów. - Jeśli będzie miał okazję, zamierza mnie zabić, kiedy to wszystko już się skończy.

Tu nic się nie zmieniło.

- Pomimo faktu, że go chronisz?

- Nasze relacje mają szczególny charakter. - Błysnęłam szerokim uśmiechem, pozwalając kłom wysunąć się spod górnej wargi, a potem wstałam z łóżka.

- Seks?

Nie potrafiłam powstrzymać śmiechu, który zbulgotał mi w krtani, gdy schwyciłam czarny jedwabny szlafrok, przerzucony przez jedno z krzeseł stojących w sypialni.

- Nie, po prostu zawarliśmy rozejm, póki nie nadejdzie odpowiedni czas, żeby pozabijać się nawzajem.

Narzuciłam na siebie szlafrok, podeszłam do okna i rozsunęłam ciężkie kotary. Okno wychodziło na plac Świętego Marka i Wielki Kanał. Rozległe *campo* lśniło światłami, a na niebie tu i ówdzie migotały gwiazdy. Fale na wodach laguny wzmożyły się w ciągu kilku minut, a ich białe grzywy wskazywały, że nadciąga sztorm.

- Skoro już mowa o wyjątkowych relacjach - zaczęłam powoli, nie patrząc na Nikołaja. - Co takiego Jabari ma na ciebie?

Czekałam na odpowiedź, ale on milczał. Ściągając brwi, odwróciłam się od okna i podeszłam ku krawędzi łóżka, krzyżując ręce na piersiach. Nikołaj wciąż leżał bez ruchu jak martwy, a jego

złoście ciało połyskiwało w blasku gwiazd, wpadającym przez okno.

- W obliczu Sabatu wzięłam cię pod swoją opiekę. Zażądałam od Starszego wydania mi ciebie - mówiłam, podkreślając intonacją każde słowo. - Obiecałam chronić przed wszystkimi, którzy mogliby cię skrzywdzić, w tym i przed członkami Sabatu. Nie wiem, czy wśród wilkołaków obowiązuje podobna przysięga, ale nocni wędrowcy traktują ją bardzo poważnie. Jeśli Jabari upomni się o twoją głowę, a ja poświęcę się, żeby go powstrzymać, to wołałabym wiedzieć dokładnie, dlaczego właściwie wyrwie mi serce.

Kiedy Nikolaï wreszcie się odezwał, miał głos cichy i wyrzuty z emocji, ale jego słowa niemal rzuciły mnie na kolana.

- Członkowie mojej sfory pomagają naturi.

- Niemożliwe - powiedziałam na przydechu, szorstkim głosem. W myślach mi zawirowało, gdy usiłowałam zrozumieć sens tych słów. Po co ktoś miałby pomagać naturi?

Przecież to przerażające stwory, których jedynym celem jest zniszczenie wszystkiego, co nie wywodzi się z ich rasy. - Z własnej woli? Czy oni pomagają naturi dobrowolnie? - zapytałam, czepiając się rozpaczliwie próby zrozumienia tego, co mówił Nikolaï. Może ktoś ich do tego zmusił i sterując umysłami, pozbawił wyboru.

- Tak.

Poruszałam się bezwiednie. Przed chwilą stałam u wezglowia łóżka, a już za moment klęczałam przy Nikolaïu z obnażonymi kłami, wyciągając ręce w stronę jego gardła. Nikolaï złapał mnie za nadgarstki w ostatniej sekundzie i mocował się, by mnie powstrzymać.

- A ty? Czy i ty pomagasz naturi? - warknęłam.

- Nie! - krzyknął. - Za nic nie pomagałbym naturi. Wiem, co takiego zrobili. I wiem, do czego są zdolni.

- Po co więc jesteś potrzebny Jabariemu? - spytałam, wyszarpując dłonie z jego uchwytu.

Nikolaï uniósł się, wspierając się na przedramionach i łokciach.

- W naszej sforze było troje sympatyków naturi. Jabari w jakiś sposób się o tym dowiedział i zagroził, że rozpowie o tym innym sforom. A wtedy wszyscy z mojej grupy zginęliby, bez najmniejszych wątpliwości. Zamiast tego zabił od razu dwóch sympatyków, a trzecią z tej paczki chciał wziąć jako zakładniczkę. Wyprosiłem u Jabariego, żeby zabrał mnie zamiast niej.

Przysiadłam na piętach, wstrząśnięta jego słowami i gardząc sobą za to, że się za nim wstawiłam. Naturalnie, gdybym sama znalazła się na miejscu Jabariego, niewątpliwie zniszczyłabym całą tę sforę i to bez namysłu, nie czując z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. W tej wojnie walczyliśmy z naturi. Nie było miejsca na współczucie ani na zdradę. A jednak zdrada zdawała się otaczać mnie zewsząd, gdy chodziło o naturi.

Zaufanie kurczyło się jak zwłoki w promieniach słońca. Wampiry i wilkołaki zadawały się z naturi. Wilkołaki i wiedźmy trzymały z Przymierzem Światła Dnia. A ja byłam sama, z półkrwi bori u swego boku.

- Czy chodziło o twoją dziewczynę? - spytałam po długiej chwili milczenia, zastanawiając się nad osobą, o której Nikolaï wspomniał.

- To była moja siostra - odrzekł cicho.

Warcząc, zesłam z łóżka i podeszłam znowu do okna, ponownie splatając ciasno przedramiona na brzuchu, jakby chcąc w ten sposób ochronić się przed myślą o tym wszystkim. Odpowiadając, Nikolaï podkreślił słowo „była”. Oboje wiedzieliśmy, że sfora zabiłaby jego siostrę już w chwili, gdy Jabari oddalił się z Nikolaïem. Nie tylko zdradziła własną rasę, ale także zagroziła układowi zawartemu z innymi stworzeniami, dotyczącemu wspólnej walki z naturi. Mając do wyboru długie, pełne cierpienie bytowanie w niewoli u nocnego wędrowcy i szybką śmierć, Nikolaï zapewnił siostrze łaskawszą opcję. Czy i ja byłabym tak wyrozumiała wobec kogoś, kogo kocham?

Szorstkim ruchem przeczesalam włosy, odgarniając je z twarzy i próbując nie roztrząsać odpowiedzi, która szybko przyszła mi na myśl. Pomimo pozornie szlachetnych poczynań w obronie Tristana, nie byłam wcale taka dobra, kiedy chodziło o naturi. Krew spływała wtedy potokiem, z czego czerpałam aż za wiele radości.

Dręczyła mnie tylko myśl, że Jabari odkrył tę zdradę w Stanach Zjednoczonych.

Wprawdzie nie na moim terytorium, ale i tak całkiem blisko. Starsi nigdy nie podróżowali do Nowego Świata, a w Ameryce w ogóle przebywała tylko garstka Starszych. Myśl, że Jabari zjawił się tam i wyjechał bez mojej wiedzy, sprawiała, że poczułam się... zbezczeszczona.

Może rzeczywiście zaczynałam postrzegać wszystko w Nowym Świecie jako swoje. Albo przynajmniej jako wolne od bezpośredniej ingerencji Sabatu.

- Przykro mi - odezwałam się szeptem. Oboje wiedzieliśmy, że po zdradzie jego siostry musiał ją spotkać taki los, ale świadomość tego nie zmniejszyła cierpienia z powodu doznanej straty. - Muszę przerzucić cię na swój teren - powiedziałam, kiedy znowu zapadło milczenie. Odwróciłam się od okna, podeszłam do stolika przy łóżku i sięgnęłam po telefon komórkowy. Zanim go podniosłam, Nikolaï nakrył ręką moją dłoń, przyciągając mój wzrok ku swojej twarzy.

- Nadal będziesz mnie strzegła? - zapytał, ściągając brwi z miną wyrażającą zmieszanie.

- Obiecałam cię chronić. I dotrzymam słowa - odparłam uroczyście, potakując głową.

- Ale nie poradzę sobie z tym tutaj. Muszę przerzucić ciebie i Tristana na swoje terytorium w Stanach Zjednoczonych. W zamian za to masz pilnować Tristana za dnia podczas podróży do mojego kraju. Musisz obiecać, że w razie konieczności oddasz za niego życie.

- Przysięgam, że tak uczynię. Nie stanie mu się żadna krzywda. - Składając tę obietnicę, Nikolaï uściśnął moją dłoń. Próbowałam się do niego uśmiechnąć, dodać mu otuchy, ale bez powodzenia.

Wierzyłam mu. Zginąłby, zanim pozwoliłby komukolwiek tknąć Tristana, a to było pokrzepiające. A jednak kiedy tak na niego patrzyłam, zastanawiałam się po cichu, czy wiedział wcześniej, co robiła jego siostra. Czy starał się tuszować jej poczynania? Chronić ją tak, jak uchronił ją przed Jabarim?

- Prześpij się trochę. Muszę poczynić pewne przy gotowania. Odlecisz rano. -

Wzięłam komórkę i bez słowa przeszłam z sypialni do saloniku, zamykając za sobą drzwi.

Do świtu pozostały cztery godziny i musiałam wykorzystać każdą minutę na opracowanie odpowiedniego planu. Strawiłam prawie godzinę na sprzeczaniu się przez telefon z Barrettem, Alfą sfory wilkołaków z Savannah. Nie był zachwycony pomysłem sprowadzenia przeze mnie obcego wilkołaka na jego terytorium; wcale go za to nie winiłam.

Naturalnie, nie mogłam mu wyjaśnić prawdziwego powodu, dla którego Nikolaj znalazł się pod moją opieką. Nie sprzyjało sprawie i to, że sfora z Savannah miała bardzo osobliwy charakter, gdyż większość znajdujących się w niej wilkołaków była ze sobą spokrewniona lub połączona więzami małżeńskimi i obcym bardzo rzadko pozwalano na przenosiny do tamtego regionu. Sądzę, że Barrett ostatecznie uległ mojej prośbie pod wpływem obietnicy, że to tylko przejściowe rozwiązanie.

Choć doszło między nami do krótkiego, zażartego sporu w tej kwestii, w sumie rozmowa z nim wprawiła mnie w dobre samopoczucie. Odkąd wyjechałam z Savannah przed tygodniem, naturi przestali się pojawiać na moim terenie. Nie było tam więcej napaści, nikt już nie zginął. Przed moją wyprawą do Egiptu z Danausem, naturi zaatakowali klub nocny dla ludzi oraz prywatny klub nocnych wędrowców, doprowadzając do śmierci kilku osób -

niektóre z nich padły z rąk wilkołaków, sterowanych przez naturi. Nadal odczuwało się napięcie, ale ogólnie na tamtym obszarze panował spokój.

Kiedy w końcu zapewniłam Barretta, że wszystko będzie w porządku, połączyłam się z moją asystentką Charlotte, która zajęła się organizowaniem prywatnego lotu z Wenecji do Savannah. Wcześniej odbierała ode mnie aż za często podobnie dziwne telefony, więc nie zadawała zbyt wielu pytań. Po rozmowie z nią skontaktowałam się z moim ochroniarzem, Gabrielem, wciąż dochodzącym do siebie w Anglii po naszej ostatniej bitwie z naturi.

Ścisnęło mnie w gardle, gdy usłyszałam jego słodki, tak dobrze mi znany głos. Przymknęłam oczy i mogłam sobie wyobrazić jego uśmiezek. Gabriel strzegł mnie od lat i znał moje sekrety. On także miał tej nocy odlecieć do Ameryki i czekać w Savannah na przybycie Tristana i Nikolaja. Mój anioł stróż powinien zadbać o to, by Tristan znalazł się pod troskliwą opieką, gdy trafi na moje terytorium.

Chciałam też zadzwonić do Knoxa. Choć wciąż był młody, okazał się na tyle zdolny i inteligentny, aby zarządzać całym regionem, kiedy przebywałam poza Savannah. Pragnęłam usłyszeć jego głos, z ową szczyptą ciętego humoru, którą nasączał każdą wypowiedź.

Chciałam się od niego dowiedzieć, czy wszyscy nocni wędrowcy, których pozostawiłam na swoim terenie, nadal są bezpieczni. Ale Tristan i Danaus powrócili akurat w momencie, gdy kończyłam rozmowę z Gabrielem, i usiedli na miękkich poduszkach na sofie, co zmusiło mnie do odłożenia

telefonu.

Tristan okazał się na tyle rozważny, by udać się na łowy, kiedy zajmowałam się Nikołajem. Żadne z nas nic wspomniało o tym, jak spędziłam późny wieczór, ponieważ Tristanowi strzeliło do głowy, aby sprzeczać się ze mną przez następną godzinę o to, czy pojedzie ze mną na miejsce złożenia następnej ofiary i bitwy z naturi.

W końcu postawiłam na swoim i zgodził się odlecieć na moje terytorium. Przecierpiał

już dostatecznie dużo, a nie miałam ochoty stracić go w walce z naturi. Modliłam się o to, by oznaczało to początek serii dobrych posunięć z mojej strony.

Rozdział 19

Gdybym była człowiekiem, rzuciłabym się i przewracała na łóżku, kołując gładką bawełnianą pościel. Minuty upływałyby wolno, a ja wpatrywałabym się w sufit, wyobrażając sobie setki zagrożeń i niebezpieczeństw, które mogłyby czyhać na Tristana, spoczywającego za dnia bezradnie, bez możliwości bronienia się. Leżałabym tak, nienawidząc Danausa i Nikołaja, i obawiając się, że zawiodą moje rozpaczliwe zaufanie do nich. Do licha, gdybym była człowiekiem, odwiozłabym pogrążonego we śnie bez życia Tristana na lotnisko i osobiście strzegłabym go w prywatnym odrzutowcu.

Ale nie byłam istotą ludzką i czasami zastanawiałam się, zważywszy na moją straszną przeszłość, czy kiedykolwiek żyłam w postaci człowieka. Byłam nocnym wędrowcem. Gdy słońce wylaniało się zza horyzontu, a noc wydawała ostatnie, drżące tchnienie, traciłam świadomość bez względu na to, jak bardzo pragnęłam dalej czuwać. Myśli o Tristanie ulatywały i nie mogłam mu już zapewnić żadnej ochrony. Była tylko przygnębiająca ciemność i pustka, z których nie mogłam się wyrwać. W tych ostatnich sekundach nocy nienawidziłam świtu i własnej słabości, i to nie pierwszy raz od chwili, gdy się odrodziłam.

A jednak mojego dnia nie wypełniała całkowita nicość. W ostatniej godzinie przed przebudzeniem obrazy Tristana pojawiały się w przeblyskach w moim umyśle, niczym demoniczny pokaz slajdów. Nie przypominały koszmarów dręczących mnie w Anglii i Egipcie. Te mroczne wizje stanowiły mieszankę moich wspomnień i narastających lęków.

Owe okropne obrazy pochodziły też ze wspomnień Macaire'a z nocy, gdy torturowano Tristana na dworze Sabatu. Pojawiały się jednak bezładnie, nie po kolei. Wspomnienia Starszego wyświetlały mi się w mózgu niczym taśma filmowa, posklejana byle jak z pojedynczych klatek. Przez krótką chwilę widziałam, jak Tristan garbi się, zalany krwią, ze skatowanymi plecami, dygocząc z bólu. A za chwilę stoi nietknięty, w otoczeniu pobratymców, oczekując swojego losu.

Jedyne w tym koszmarze, co zachowywało ciągłość, to myśli Tristana. Szeptaly w mojej głowie jak upiorna ścieżka dźwiękowa; najpierw było w nich niedowierzenie, że ukochana stwórczyni porzuciła go na pastwę losu, a potem, urywanym szeptem, błaganie, by przyszła mu na ratunek. Uchroniła przed bólem. Uratowała przed ciemnością, w którą pogrążyły się jego nadzieje. Aż w końcu te kruche, rozbite myśli składały się w jedno wyraźne słowo: Mira. Wiedział, że przybędę i położę kres jego

męce.

Gdy wreszcie uwolniłam się od tych piekielnych koszmarów i się przebudziłam, moje ciało zaczęło się trząść. Stłumiłam szloch. Przetaczając się na łóżku na bok, zwinęłam się w kłębek, czekając, aż drżenie przejdzie. Mój umysł pracował ospale; miałam wrażenie, że pokrywa go gruba, smolista błona - odrażający osad, pozostały po mentalnej ingerencji Macaire'a.

Gdy wreszcie udało mi się rozprostować palce, zaciśnięte kurczowo na pościeli, myślami poszukałam Tristana, ale natrafiłam tylko na martwą przestrzeń. Raptownie usiadłam na łóżku, zginając przed sobą nogi i mocno zaciskając powieki. Ponownie się skoncentrowałam. Całą energię skupiłam na dotarciu do myśli Tristana, aby wyczuć jego obecność. Musiałam się przekonać, że jest bezpieczny.

Gdy tego poranka wschodziło słońce, Tristan leżał obok mnie. Danaus i Nikołaj zgodzili się przewieźć go całego i zdrowego na pokład wycarterowanego odrzutowca. Obaj mieli dogodną okazję do zglądzenia go, gdy spał.

Nie. Pokręciłam przecząco głową, wiedząc, że Danaus nie zabiłby uspiętego nocnego wędrowca. Łowca może i nienawidził mojej rasy, ale poczucie honoru brało w nim górę.

Gdyby chciał śmierci Tristana, zaatakowałby go wtedy, gdy nocny wędrowiec nie spał i mógł się bronić.

Nikołajowi natomiast nie ufałam. Mógł przecież kłamać. Może sam sympatyzował z naturi, a ja pozostawiłam Tristana na jego łasce. Cholera! Jakaż ze mnie idiotka.

Poruszywszy się gwałtownie na łóżku, chwyciłam komórkę leżącą na nocnym stoliku i wybrałam numer Gabriela. Mój strażnik odebrał telefon już po drugim sygnale, a kurcz w brzuchu zaczął powoli ustępować na dźwięk jego głosu.

- Jest z wami Tristan? - szybko zapytałam, niezadowolona z surowego tonu własnego głosu.

- Tak. Coś cię trapi? - spytał.

Zignorowałam to pytanie. Miałam na głowie mnóstwo problemów, lecz ani on, ani Tristan nie mogli im zaradzić.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Miro - zaczął Gabriel z wahaniem. - On jeszcze śpi. Dochodzi dopiero druga trzydzieści po południu.

Opadłam z powrotem na poduszki i zaśmiałam się bezgłośnie, ubawiona własną głupotą. Cały ten chaos wokół wytrącił mnie z równowagi. Tak się niepokoiłam o bezpieczeństwo Tristana, że zapominałam o sześciogodzinnej różnicy czasu.

- Wybacz - wymamrotałam.

- Jest bezpieczny - zapewnił mnie Gabriel głosem, który stał się jeszcze łagodniejszy. -

Razem z Nikołajem wylądowali około pierwszej.

- Czy Nikołaj jest teraz z tobą?

- Nie. Nie mówiłaś, że mam z nim zostać, więc ulokowałam go w twoim domu w mieście. Nie był tym zachwycony.

Nikły uśmiezek pojawił się na moich ustach. Nikołaj pewnie nie powierzyłby opieki nad słabym Tristanem Gabrielowi, ale wcześniej wyjaśniłam Wilkołakowi, że Gabriel to mój ochroniarz.

- Musiałem obiecać, że nakażę Tristanowi zadzwonić do Nikołaja, gdy tylko się obudzi - ciągnął Gabriel.

- A czy w ogóle widziałeś Tristana?

- Otworzyłem bagażnik, kiedy zajechaliśmy do twojego garażu. Był zwinięty w kłębek, ale głowę i serce miał na miejscu - zażartował i wcale mnie to nie zdziwiło. Stawałam się chorobliwie podejrzliwa. - Nie zostawię go, póki nie znajdzie się w domu i nie zapozna z systemem alarmowym.

- Dzięki ci, mój aniele - westchnęłam, przymykając oczy. System zabezpieczeń w moim domu może nie był aż tak rozbudowany jak w Fort Knox, gdzie przechowuje się rezerwy złota federalnego w USA, ale odstraszyłby większość ludzi i zaalarmował Tristana, gdyby jakiś stwór zbliżył się zanadto w nocy. W piwnicy znajdowała się także komora z oddzielnym układem zabezpieczeń, zapewniająca schronienie w ciągu dnia. Nawet Gabriel nie potrafił wyłączyć tego alarmu. Podałam Tristanowi kod do niego, zanim zasnął tego ranka.

- Bardzo tam źle u ciebie? - zapytał Gabriel po chwili odprężającego milczenia.

- Kiepsko. - Nie chciałam wyjaśniać więcej. Potrwałoby to za długo i nie przyniosłoby niczego dobrego. - Wzdrowiałaś już? - spytałam, zmieniając temat. Ostatnim razem, kiedy się z nim widziałam, cierpiał z powodu ran boku i uda i wciąż kurował się z kontuzji ramienia, jakiej doznał w Egipcie.

- Na tyle, żeby się mnie bano.

Kiedy to mówił, mogłam sobie wyobrazić rzadko goszczący na jego ustach uśmiezek.

Gdy mój uśmiech przygasł, poleciłam Gabrielowi skontaktować się z moją asystentką Charlotte, aby tej nocy przygotowała odrzutowiec do wylotu z Wenecji. Nów księżyca miał

nastąpić za dwie noce. Pozostawało dostatecznie dużo czasu, by dotrzeć do miejsca, gdzie miano złożyć następną ofiarę. Wystarczająco dużo czasu na, jak liczyłam, ostateczną konfrontację z naturą.

Stoczyłam się z łóżka, wzięłam prysznic i się ubrałam. Niestety, pozostała mi ostatnia zmiana odzieży - bawełniana sukienka bez rękawów, sięgająca do kostek. Zamierzałam założyć ją wcześniej, w Egipcie, kiedy, przechadzałam się wśród niszczących posągów, wsłuchując się w plusk wód Nilu. Ta zwiewna, ciemnoniebieska kiecka zawadzałaby mi w walce, ale wiedziałam, że nie zetnę się z Macaire'em, kiedy on wreszcie postanowi się zjawić.

Ten Starszy był pewnie na mnie poważnie rozzłoszczony, ale wiedział też, ile znaczy dobry oręż. A jeśli dowiodłam czegoś przez długie lata, to tego, że jest ze mnie skuteczna zabójczyni.

Miałam nadzieję, że uda mi się niepostrzeżenie wydostać z apartamentu, jednak w saloniku siedział Danaus i pił kawę. Resztki jego kolacji leżały na wózku, wwiezionym przez hotelową obsługę. Przelotny uśmiech zagościł na moich ustach, gdy spojrzałam na łowcę, usadowionego wygodnie na kanapie. Zawsze mnie bawiło, kiedy widziałam go podczas takich przyziemnych czynności, jak rozkoszowanie się filiżanką gorącej dobrej kawy. Wciąż nie wiedziałam, jak go traktować - Danaus był w moich myślach to bezwzględny zabójcą, to zwykłym człowiekiem.

Łowca miał na sobie granatową płócienną koszulę z krótkimi rękawami, która odsłaniała jego opalone na brąz, muskularne ręce. Sięgające ramion włosy zaczesał do tyłu, dzięki czemu mogłam dobrze przypatrzeć się twardym rysom jego twarzy. Zgolił ciemną szczecinę, a mimo to na policzkach pozostał cień zarostu. Danaus wyglądał jak zamożny włoski dżentelmen na wakacjach, ale w jego szafirowych oczach czaiła się powaga, coś mrocznego, czego nie mogło zamaskować nawet drogie ubranie.

W innych okolicznościach nie miałabym nic przeciwko spędzeniu nocy na wpatrywaniu się w niego, na niespiesznym zapamiętywaniu szczegółów jego twarzy. Chętnie przesiedziałabym taką noc z podkulonymi nogami w fotelu, na rozmowach z nim o filozofii, mitologii i naszym miejscu we wszechświecie.

- Wcześniej się zbudziłaś - powiedział, odstawiając filiżankę na blat stolika przed sobą.

Wstał z kanapy i wsunął dłonie w kieszenie spodni. Znow miał przytroczony do pasa nóż, a na prawym przedramieniu nosił ochronną opaskę z grubej skóry. Ta broń i osłona nie pasowały do ubrania, przypominając mi, kim Danaus jest naprawdę - łowcą.

- Zdaje się, że czeka mnie kolejne spotkanie - odparłam. Czulałam się wewnętrznie wypalona po tym wszystkim, co wydarzyło się w trakcie kilku ubiegłych nocy. Podeszłam do rzędu okien, oparłam się o ścianę i splotłam ręce na brzuchu.

- Takie jak zeszłej nocy?

- Nie.

- Wybierasz się tam sama?

Wyrzałam przez okno, podziwiając paletę barw, rozlaną na niebie. Odkąd zostałam nocnym wędrowcem, niebo miało dla mnie kolor atramentowej czerni i mdłych odcieni szarości. A jednak tu,

w Wenecji, miałam okazję ujrzeć je w bardziej bogatym zestawie barw.

Tej nocy niebo było skąpane w ciemnej czerwieni i różnych odcieniach pomarańczowego, gdy słońce kryło się za horyzontem.

- Nie - odrzekłam, uśmiechając się ze zdziwieniem. Danaus wiedział już prawie tyle, co ja. Po co miałabym to ukrywać? On również był częścią triady. Skoro Macaire chciał ze mną porozmawiać o naturi, będzie musiał opowiedzieć o tym również Danausowi.

- Musimy wyjechać stąd dziś w nocy - przypomniał Danaus. Wiedziałam o tym. Nów miał nadejść za dwie noce. Zbliżało się także Lughnassadh, pogańskie święto poprzedzające dożynki. Według pradawnych podań czczono wtedy zaślubiny boga Lugha z Matką Ziemią.

Choć nie mogę powiedzieć, że pokładałam szczególną wiarę w pogańskie baśnie, jednak można było przypuszczać, że naturi spróbują złamać pieczęć właśnie wtedy, niszcząc jedną z przeszkód na drodze do zjednoczenia dwóch światów.

- Czy wiesz, gdzie zostanie złożona następna ofiara? - spytałam i odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

Pokręcił przecząco głową, a kąciki jego ust uniosły się w ponurym uśmiešku.

- Miałem cię zapytać o to samo.

- Nieźle - mruknęłam pod nosem i usiadłam na jednym z krzeseł koło kanapy. -

Brakuje nam czasu.

- Nie powinniśmy w ogóle tu się zjawiać. Trzeba było się zająć poszukiwaniami kolejnego miejsca składania ofiar albo przynajmniej spróbować wytropić Rowe'a - warknął

Danaus, ale, ku mojemu zdumieniu, wydawał się krytykować w równym stopniu siebie, jak i mnie.

- Nie pamiętam, żebyśmy mieli większy wybór w tej mierze - powiedziałam, wbijając chmurne spojrzenie w łowcę. - W każdym razie ja nie miałam wyboru. Jabari chciał mnie widzieć tutaj. A z nim nie mogłabym walczyć. Jestem jego marionetką, wiesz o tym?

Danaus usiadł znowu na kanapie, pochylając się do przodu, aby oprzeć łokcie na kolanach. Patrzył gdzieś w przestrzeń, zatopiony we własnych myślach. Niestety, taka sprzeczka prowadziła donikąd.

- Naturi nie mogą zrobić niczego przez następne dwie noce - powiedziałam, wzdychając. - Gdybyśmy tu nie przybyli, miotalibyśmy się to tu to tam, uganiając się za wszystkim, co wygląda podejrzanie. A to byłoby stratą czasu i skrajnie niebezpieczne. Rowe mógł zaatakować o dowolnej porze za dnia. A tak przynajmniej tu byliśmy chronieni.

Ta uwaga sprawiła, że Danaus gwałtownie poruszył głową, krzywiąc się. „Chronieni”

oznaczało tylko tyle, że nie zagrażali nam tu naturi, ponieważ obszar ten kontrolowali nocni wędrowcy. I najwyraźniej dlatego, że Sabat zawarł jakiś układ z naturi.

- Spójrz na to od innej strony: gdybyśmy tutaj nie przyjechali, Tristan i Nikolaï prawdopodobnie by zginęli. Nie dowiedzielibyśmy się, że Sabat knuje coś z naturi, i tego, że Rowe nie ma pojęcia o tym sojuszu. Jak już się dowiemy, co planuje Sabat, łatwiej będzie ich powstrzymać - przekonywałam.

- Jednak nadal mamy bardzo poważny problem - odparł Danaus. Podniósł filiżankę do ust i dopił resztę kawy.

Wyprostowałam się, opierając dłonie na poręczach krzesła.

- Sądzę, że problemów mamy więcej. Jaki masz na myśli?

- Gdzie złożą następną ofiarę?

- Powinniśmy się tego dowiedzieć tej nocy. Myślę, że Macaire nam to wyjawia -

powiedziałam, na co Danaus skrzywił się z niedowierzaniem.

- A dlaczego uważasz, że tak postąpi?

- Powiedzmy, że to przecucie. - Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się do łowcy. - Rozmawiałaś ostatnio z Ryanem? Czy twoi ludzie także zajmują się poszukiwaniami?

Czarownik Ryan stał na czele Temidy, grupy, która od stuleci obserwowała wampiry, wilkołaki i podobne obmierzłe stwory, o których istnieniu pozostała część ludzkości nie ma pojęcia. Temida to grupa na tyle liczna, że jej członkowie mogli obserwować wszystkie dwanaście tak zwanych miejsc świętych i meldować o wszystkim, co się w nich dzieje. I mieli nad nocnymi wędrowcami przewagę, bo mogli zobaczyć wszystko, co działo się za dnia. Choć naprawdę oczekiwałam, że Macaire zdradzi nam miejsce złożenia następnej ofiary, chciałam też, aby Ryan potwierdził tę informację. Macaire miał wskazać miejsce, a ja chciałam mieć pewność, że wskaże prawdziwe.

- Ryan się tym zajmuje - odparł Danaus. - Na razie nic nie wiadomo na temat tego miejsca.

- Gabriel kontaktuje się właśnie z Charlotte. A ona załatwi nam odlot dziś w nocy -

rzekłam, wstając. Z wymuszonym uśmiechem, kiwnęłam głową w stronę drzwi. - Gotowy?

W muskularnym ciele łowcy niemal słychać było buczenie energii, gdy skierowaliśmy się w dół do głównego zejścia. Przystanąłam nad kanałem. Chciałam się odprężyć, uwolnić ramiona i nogi od napięcia, by spłynęło palcami stóp. Wiała lekka letnia bryza, tańcząc nad kanałami i przeciskając się między budynkami. Zaświeciły się latarnie uliczne, a łuna nad placem Świętego Marka zaczęła jaśnieć.

- Czy odpowiadają wam pokoje? - łagodny głos za moimi plecami zapytał po angielsku, z dziwnym akcentem. Obróciłam się raptownie, zaskoczona, widząc Macaire'a siedzącego na ławce w

odległości zaledwie metra od nas. Przed chwilą nie wyczuwałam jego obecności, nie poczułam nawet, jak się zbliża, ale przypuszczałam, że właśnie dzięki takim umiejętnościom został Starszym.

Danaus instynktownie sięgnął po nóż, lecz łagodnie chwyciłam go za nadgarstek, powstrzymując ruch jego ręki. Macaire nie uczynił jeszcze nic, co mogło nam zagrozić.

Zamierzałam na razie zachować zimną krew. Nie miałam powodu wszczynać walki. Później będzie na to mnóstwo czasu.

- Są wspaniałe, zwłaszcza ten rząd okien wychodzących na wschód - odparłam, a na jego twarzy pojawił się szeroki, choć nieco złośliwy uśmiech. - Kiedy Sabat nabył hotel Cipriani?

- Kilka lat temu - odrzekł, wstając i podchodząc do nas. Mówił po angielsku bezbłędnie, ale z osobliwym akcentem. Wiedziałam, że Macaire nie jest aż tak stary jak Jabari, co kazało mi powątpiewać, że wywodzi się z wymarłej już cywilizacji. Słowianin, Europejczyk ze wschodniej części kontynentu, może Rosjanin? Nie, nawet to chyba nie było prawdą.

Macaire miał na sobie jasną koszulę w kolorze mięty, zapinaną na guziki, ładnie kontrastującą z jego ciemnymi, piwnymi oczami. W białych płóciennych spodniach i miękkich brązowych mokasynach wyglądał niegroźnie i miło. Powinien był prezentować się bardziej agresywnie; tak, aby pokazać światu, że jest jednym z najpotężniejszych nocnych wędrowców na tej planecie.

Stanąwszy koło mnie, podał mi ramię. Z wielkim wysiłkiem zdołałam zachować kamienny wyraz twarzy, gdy wsuwałam dłoń w zagięcie jego ręki, jednocześnie z drugiej dłoni uwalniając nadgarstek Danausa.

- W naszej rezydencji przyjmujemy zbyt wielu gości, co powoduje problemy z zapewnieniem im wygodnego noclegu - ciągnął, zadowolony, że gotowa jestem podjąć jego grę. Prześliznął się wzrokiem po Danausie, jakby rozważając jakąś myśl. - Sądziliśmy, że będzie mądrzej, jeśli zaczniemy trzymać niektórych przybyszów z dala od naszej wyspy.

- Pięknie tu. Zawsze lubiłam spokój Guidecci - powiedziałam, idąc z nim ulicą. W

oczach przechodniów wyglądaliśmy jak troje turystów na wieczornej przechadzce po wąskich uliczkach wyspy, a nie jak wrogowie, którzy starają się osiągnąć własne cele, nie tracąc przy tym życia.

- Jak tam Tristan? - zapytał nagle Macaire, kiedy przechodziliśmy mostem, zmierzając w głąb wyspy Guidecca.

- Przypuszczam, że ma się dużo lepiej od Sadiry. - Nie potrafiłam powściągnąć uśmiechu. Jej wrzaski rozległy się echem w mojej pamięci przez krótką chwilę, lecz na tyle długą, abym poczuła skurcz mięśni ramienia Macaire'a. Pewnie przysłuchiwał się niektórym z moich myśli.

- Tak, obawiam się, że będzie cierpiała jeszcze przez jakiś czas - powiedział

twardszym głosem. - A to niezbyt dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że powinna być silna, aby pomóc ci

w walce z naturi.

- Dość nierozsądnie wybrała sobie przeciwników - wtrącił ponuro Danaus.

Byłam zadowolona tą uwagą łowcy, ale wolałam nie zawracać sobie głowy rolą rozjemcy w sporze Starszego z Danausem, gdyż wciąż próbowałam zdobyć jakieś informacje.

- Niepokoi cię to? - spytałam szybko, unosząc brew i zerkając na Macaire'a z góry.

Macaire przystanął i obrócił się do mnie przodem. Położył rękę na mojej dłoni, która lekko spoczywała na jego ramieniu.

- Oczywiście, że tak.

- A ja mam pewne wątpliwości - stwierdziłam, marszcząc czoło. - Biorąc pod uwagę to, z kim teraz prowadzicie interesy, odniosłam wrażenie, że Sabat skończył już z polityką zamkniętych drzwi.

- Ach - rzucił Macaire, podejmując przechadzkę. - To nieporozumienie, moja mała.

Słyszając ten pobłażliwy ton, zacisnęłam zęby, ale wiedziałam, że na razie muszę to znosić.

- Zupełnie nie wiem, dlaczego. - Zacisnęłam w pięść ukrytą w rękawie dłoni. - Co jest grane, Macaire? Co takiego zrobił Sabat?

- Zawarliśmy dość osobliwe porozumienie.

- Czy Sabat postanowił zniszczyć nas wszystkich?

Macaire znów się zatrzymał. Położył dłonie na moich policzkach, a jego wzrok zmiękł

i w oczach pojawił się wyraz łagodnego zatroskania. Ten nocny wędrowiec wyglądał starzej od wielu innych. Musiał mieć ponad czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, kiedy się odrodził jako wampir. Ciemnoszatyńskie włosy były gęsto przetykane siwymi, co przydawało mu mądrego i nobliwego wyglądu. Miał dołek w podbródku i głębokie zmarszczki wokół ust i oczu.

Dziwne. Wydawał się niemal dwa razy starszy od Jabariego, mimo że to Egipcjanin był z nich dwóch o wiele bardziej sędziwy.

- To, co uczyniliśmy, zrobiliśmy dla dobra naszej rasy - zapewnił mnie. Wymownie przeniósł wzrok ze mnie i wbił go w Danausa, który stał za moim prawym barkiem.

- A co ty zrobiłaś, by chronić nasz ród?

Wycofałam się poza zasięg jego rąk i ściągnęłam gniewnie brwi.

- Nie jestem głupia. Nie możecie zawierać układów z naturi i spodziewać się, że oni dotrzymają warunków porozumienia.

- Niektórzy powiedzieliby to samo o tobie - skonstatował smutno, zerkając to na Danausa, to na mnie.

- Dość tego! Co się dzieje?

Macaire z uśmiechem uniósł ramię, cierpliwie wyczekując, aż ponownie wsunę mu dłoń pod łokieć. Podobała mu się ta farsa, a ja wiedziałam, że nic nie powie, póki nie spełnię jego życzeń. Niemalże warcząc z poczucia bezsilności, podałam mu rękę i podjęliśmy spacer.

- Kilkadziesiąt lat temu grupka naturi potajemnie zaczęła szukać kontaktu z Sabatem -

rozpoczął, a brzmiało to tak, jakby opowiadał o jakiejś niefortunnej przygodzie, która przydarzyła się tym dzierżącym władzę wampirom. - Powiedzieli nam, że ich królowa planuje otworzyć wrota między naszymi światami. Wydaje się, że tamci naturi byli radzi z tego, jak się potoczyły sprawy po ich separacji od innych istot. Nie mieli ochoty znaleźć się z powrotem pod despotycznymi rządami swej znamienitej władczyni. I ta grupka przybyła do nas z prośbą, abyśmy nie tylko zamknęli wrota, ale także zabili Aurore.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, kiedy słuchałam tych słów, jak gdyby sam ów pomysł unieruchomił mi mózg. Stałam ja wryta, ślepo wpatrując się przed siebie na wielki plac, na który wkraczaliśmy.

- Zabić Aurore - powtórzyłam bezmyślnie.

- W zamian chcę powrotu do spokojnej egzystencji, do jakiej przywykli. Aurora do tego nie dopuści. Będzie nadal snuła plany likwidacji zarówno ludzi, jak i nocnych wędrowców.

- Nie wierzę. - Pokręciłam przecząco głową, usiłując uporządkować pytania, kłębiące się w głowie. Macaire chciał iść dalej, ale ja nie byłam w stanie się ruszyć.

- I nie musisz - powiedział cierpliwie. - Starsi uwierzyli.

- Aby zabić Aurore, musiałaby ona najpierw przejść przez wrota, a to oznaczałoby, że musimy im pozwolić na otwarcie tych wrót - zauważył Danaus. - Byłoby bezpieczniej powstrzymać ich, zanim je otworzą. Mogą upłynąć wieki, nim ona zyska nową okazję do ich otwarcia.

- Wzięliśmy to pod uwagę i wyłonił się pewien problem... - Macaire urwał, przenosząc wzrok z Danausa na mnie. - Jesteś nim ty.

Odstąpiłam raptownie na bok, aby odsunąć się od Macaire'go. Chodnik jakby się zwęził i poczułam się w potrzasku między Danausem a Starszym. Ta rozmowa przybierała dziwny, niespodziewany obrót.

- Jak to?

- Jesteś potrzebna do zamknięcia tych wrót i założenia pieczęci. Uważamy też, że to ty możesz nam najbardziej ułatwić zniszczenie Aurory - powiedział. - Niestety, wzięwszy pod uwagę twój nierozważny styl życia i twojego nieoczekiwanego sprzymierzeńca, Sabat nie ma pewności, że uda ci

się przetrwać na tyle długo, aby powstrzymać Aurorę, jeżeli podejmie ona następną taką próbę po upływie kilku stuleci.

- Najbardziej ułatwić... To znaczy, że jestem waszą najlepszą bronią? - spytałam zirytowana.

- Tak - odparł przeciągle. - Jesteś doskonałą bronią, czy to działając sama, czy też sterowana przez innych. Sabat uważa, że to nasza największa szansa powstrzymania Aurory raz na zawsze. Zakończenia tej sprawy. Nie jesteśmy pewni, czy nadarzy się następna podobna okazja.

- A więc mamy pozwolić jej przejść przez wrota i je zamknąć, a następnie ją zabić -

stwierdziłam, spoglądając na niego ponuro. - A potem naturi, którzy się do nas zgłosili, mają odejść wolni.

- Powrócić do swojego spokojnego życia - rzekł, kiwając głową i splatając krótkie grube palce za plecami, po czym ruszył dalej chodnikiem, który wychodził na wielki, otwarty plac.

- A co my z tego będziemy mieć? - zapytałam, nie potrafiąc ukryć sceptycyzmu.

Skrzyżowałam ręce na piersiach i wbiłam twardy wzrok w Starszego. Zignorował moje ponure spojrzenie.

- Poza okazją do zniszczenia ich królowej i osłabienia ich rasy?

- Tak. W tej grze to my ryzykujemy wszystkim.

Macaire uśmiechnął się i przeszedł na środek *campo*, z rękami splecionymi ciasno za plecami. Danaus i ja z wahaniem podążyliśmy za nim ku centralnej części placu. Okolica była prawie pusta. Na odległym skraju *campo* kilku ludzi dekorowało scenę. Czynili przygotowania do jakiegoś święta, choć nie wiedziałam, do jakiego. Na scenie ustawiono rząd pięciu krzeseł z wysokimi oparciami, co przypominało mi podium w Wielkiej Sali Sabatu.

Najwidoczniej Macaire z góry zaplanował wyprawę w tę okolicę. Miał na względzie coś jeszcze.

- Co wiesz o Wielkim Przebudzeniu? - spytał takim tonem, jakby chciał się dowiedzieć, jaka będzie jutro pogoda.

- Tylko ogólniki. A co? Podobno ma ono nadejść dopiero za pięćdziesiąt lat, a i ten termin jest sporny.

- Właśnie ten spór niepokoi Starszych - powiedział. Jego ręce wyłoniły się zza pleców; zwiesił je swobodnie po bokach. Rozejrzał się wokół, przypatrując się girlandzie światełek ponad głową oraz stolikom na obrzeżach placu. Jutro w tym miejscu zapewne będzie mnóstwo jedzenia, a cały plac rozbrzmi gwarem rozmów i śmiechu. - Wygląda na to, że Nasz Władca pragnie zmienić termin Przebudzenia.

- Na jaki?

- Na przyszły rok.

- Czy on oszalał? - rzucił Danaus; aż skrzywiłam się, słysząc ton i natężenie jego głosu. Nikt nie ośmielał się wypowiadać w taki sposób o Naszym Władcy. Nie wiadomo, kto mógł to usłyszeć. Sama prawie zawsze mówiłam to, co leżało mi na sercu, jednak wolałam nie przekraczać pewnych granic.

- Nie tak bym to ujął - powiedział Macaire, a w jego ponurym głosie zabrzmiała reprimenda.

- To za wcześnie - zwróciłam się do Starszego, opierając się pokusie położenia ręki na ramieniu Danausa dla odzyskania równowagi. Mój świat raptownie wymykał się spod kontroli i rozpaczliwie zapragnęłam uciec od tego wszystkiego. - Ludzie może się i przystosują, ale wciąż jest kilka spraw, które należy uwzględnić. Ułatwiłyby one tę przemianę. Terminarz został ustalony dla dobra naszej rasy. Nie da się go teraz odrzucić.

- Wspominasz o czymś, o czym Sabat już dyskutował. - Macaire w zadumie machnął dłonią w moją stronę. Mars na jego ponurej twarzy się pogłębił.

Podeszłam i stanęłam tuż przed nim. Nasza gorączkowa rozmowa przyciągała ciekawskie spojrzenia osób na scenie i w przeciwległej części placu.

- A co z innymi rasami? - rzekłam ciszej. - Co one na to?

- Życzą sobie dotrzymania dotychczasowego terminu.

Zamknęłam oczy, nie chcąc już tego słuchać, ale pozostawało jeszcze jedno pytanie, które należało zadać.

- Czy Nasz Władca postąpi wbrew woli innych ras?

- Taki ma zamiar.

- W takim razie wybuchnie wojna - powiedziałam zmęczonym głosem. Pozostałe rasy zaatakowałyby nocnych wędrowców na całym globie, aby powstrzymać nas przed odrzuceniem zasłony, skrywającej wspólny sekret. Gdybym nawet przeżyła zaplanowane zabójstwo Aurory, znalazłabym się w ogniu wojny ze stworzeniami, z którymi od wieków pokojowo współżyliśmy. A w końcu i tak ludzie przedwcześnie dowiedzieliby się o naszym istnieniu. Nie zdołalibyśmy w nieskończoność skrywać przed nimi naszej wojny i dokoniliby wspomnianego odkrycia w sposób najgorszy z możliwych.

- A zatem teraz rozumiesz już nasz dylemat - Starszy też wyglądał na znużonego; w jego głosie przebijało brzemie przeżytych stuleci.

- Co więc planuje Sabat?

I znów Macaire uśmiechnął się do mnie; dreszcz przebiegł mi po skórze. Nocni wędrowcy może i nie byli wcieleniem zła, ale zdarzały się chwile, kiedy uważałam, że w piersi Macaire'a naprawdę

się ono kryje.

- Naturi mogą działać za dnia. Potrafią zmylić strażę.

- Planujecie...

- Nie waz się wypowiadać na głos tych słów! - rzucił ostro. Nawet potężnym Macaire'em targaly lęki. Wiedziałam, co zaplanowali. Sabat chciał, aby naturi zamordowali Naszego Władcę, gdy będzie spał za dnia.

- I cały Sabat to uzgodnił?

- Oczywiście.

- Nawet Tabor?

Starszy rzucił spojrzenie na Danausa, nim zdołał się przed tym powstrzymać, a następnie przypatrywał mi się przez długą chwilę. Mogłam niemal dostrzec myśli, kłębiące się w jego głowie, gdy rozważał to pytanie. Usta mu zadrgały nerwowo. Nie w uśmiechu. To było coś innego. Może powściągnął się w ostatniej sekundzie przed wypowiedzeniem jakiegoś słowa.

- To interesujące pytanie - powiedział w końcu. - Sądzę, że przystaliby na to, gdyby pożył dłużej.

- Jednak początkowo się sprzeciwiał - podsunęłam. Coś w tym wszystkim nadal mi się nie zgadzało. A może po prostu instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, abym nie wierzyła nawet jednemu słowu z tego, co mówi Macaire. Uważałam, że w jego opowieści tkwi ziarno prawdy, ale wiedziałam również, że pominął kilka istotnych szczegółów. Nigdy nie zetknęłam się osobiście z Naszym Władcą i nie czułam się z nim szczególnie związana. Z

tęgo, co wiedziałam, nie zrobił dla mnie nic i zasadniczo nie obchodziło go moje życie.

Mówiąc prawdę, Nasz Władca i Sabat wywierali niewielki wpływ na conocne życie przeciętnego wampira.

- Miał pewne wątpliwości - przyznał Macaire. - A dlaczego pytasz?

- Ze zwyczajnej ciekawości - odrzekłam, wzruszając ramionami.

Ruszyłam przez plac, kierując się ku scenie, lecz nagle się zatrzymałam, skupiając wzrok na pięciu krzesłach. Ludzie, którzy zawieszali ostatnią z ciemnopurpurowych zasłon, przesłaniających belki wspierające scenę, skończyli prace i opuścili plac. Pozostaliśmy na nim tylko my: Danaus, ja i Starszy.

- Poproszę o kolejny zestaw pytań - zawołałam do nikogo żartobliwie, zamierzając w taki sposób uśmierzyć lęk, jaki mnie ogarniał.

- O co ci chodzi, moja droga? - zapytał Macaire, podchodząc i stając obok mnie. Głos miał słodki i

miły. Wiedział już, jakie myśli wirują w mojej głowie.

- Przypuśćmy, że Naszego Władcę spotka przedwczesna śmierć z rąk naturi. Wtedy po raz pierwszy od kilku tysiącleci nasza rasa pozostanie bez akceptowanego przez wszystkich przywódcy. To nie leży w interesie naszej nacji.

- Może i nie - odpowiedział, kręcąc głową. - Ale nasza rasa nie pozostanie bez przewodnictwa. Sabat będzie istniał nadal.

- Tak więc rządy jednego władcy i czterech członków Sabatu zostaną zastąpione rządami trójki - stwierdziłam. Nie kojarzyło mi się to z postępem.

- Aż do czasu, kiedy ktoś na tyle urośnie w siłę, że zajmie tron, a czwarta osoba zajmie wolne miejsce w Sabacie.

Znowu zmarszczyłam czoło. Sabat nie był lepszy od Naszego Władcy, gdyby uznać to, co działo się na dworze, jako zapowiedź przyszłości, czekającej naszą rasę. Starsi robili, co chcieli, choć Nasz Władca trzymał ich w ryzach. Być może nie byłam skora poprzeć jego plan odrzucenia przyjętego terminarza i wzniesienia wojny, ale to drugie rozwiązanie także nie budziło mojego zachwytu.

Gęste, ciężkie cienie zaległy na wielkim placu, a ludzkie głosy ucichły. Nastąpiła głęboka noc. Ku mojemu zaskoczeniu Macaire wskoczył na scenę. Tam usiadł na środkowym krześle, opierając kostkę lewej nogi na prawym kolanie.

- Wśród naszej rasy panuje przekonanie, że to ty zajmiesz wakujące stanowisko w składzie Sabatu - podjął beztrąsko, wskazując na jedno z krzeseł, jakby było ono tym, na którym zasiadał kiedyś Tabor.

Z trudem powstrzymałam się przed zaciśnięciem zębów. Byłam skazana na wysłuchiwanie tych słów, póki nie popadnę w obłąd.

- Nie zaliczam się do Starszych - odparłam bardzo ostrożnie.

- To raczej wymóg tradycji niż prawa - stwierdził, lekceważąco machając ręką.

Milczałam, czekając, aż on w końcu wypowie to, co ma na myśli, ale powinnam się domyślić, że nie przyjdzie mu to łatwo. - Pogłoski o tym zaczęły zataczać coraz szersze kręgi teraz, po twoim powrocie do Wenecji i małym popisie z Gwen owej nocy. Nigdy nie gromadziłaś wokół siebie pachołków. Słyszałam też, co powiedziałaś Valeriovi tamtej nocy o zmianie frontu. Ktoś mógłby pomyśleć, że zaczynasz zyskiwać grono popleczników.

Wszystko to zostało wypowiedziane z niezwykłą obojętnością i z zimnym znudzeniem, ale nie dałam się nabrać. Chciał coś ode mnie usłyszeć i czepiał się każdego mojego słowa.

- Moje działania w ciągu kilku poprzednich nocy nie miały nic wspólnego z Sabatem, za to wiązały się całkowicie ze zwalczaniem naturi. To wszystko - powiedziałam ostro.

- A co z Nikołajem?

Uśmiechnęłam się szeroko, odsłaniając kły. Zastanawiałam się, kiedy on się dowie, co stało się z tamtymi harpiami.

- To tylko drobna rozrywka.

- Jak uważasz. Jednak pytanie pozostaje...

- Każdy z członków Sabatu ma możliwość bronięcia własnej pozycji, a ja nie jestem na tyle silna, by to zrobić - zauważyłam.

- I mówi to ktoś, kto dopiero co próbował zniszczyć wszystkich troje członków Sabatu za jednym zamachem - zadrwił, z głuchym hukiem stawiając stopę na scenie i pochylając się do przodu.

- To było głupie z mojej strony. Poniosło mnie i nie myślałam wtedy jasno -

przyznałam. Opuściłam wzrok na kostkę brukową na placu i przybrałam postawę wyrażającą uległość. Ale wcale nie czułam skruchy. Gdyby Danaus mnie wtedy nie powstrzymał, byłam gotowa rozprawić się z kimś z Sabatu, zanim by mnie unieszkodliwiono.

- To prawda, ale w przeszłości czyniłaś paskudne rzeczy z naturi. Ale to zrozumiałe i przebaczyłem ci.

Chciałam mu powiedzieć, żeby się udławił tą swoją wielkodusznością, lecz wolałam nie nastawiać do siebie Macaire'a wrogo, skoro na razie dogadywaliśmy się całkiem nieźle.

Postanowiłam więc roztropnie zignorować tę uwagę i podjęłam:

- Bez względu na niedawne wypadki wiem, że co najmniej jedna osoba spośród Starszych nie poprze mojego wejścia w skład Sabatu - wykręciłam się ostrożnie, ciekawa, co on na to. - A zabijając Gwen, udało mi się narazić się następnej. Nawet ty domagałeś się mojej śmierci ubiegłej nocy.

Macaire westchnął teatralnie i lekko pokręcił głową, śmiejąc się do siebie.

- Naprawdę potrafisz wynajdywać argumenty - mruknął, prostując się na krześle. -

Zeszłej nocy zachowałem się porywczo. Sprawa z Nikołajem przybrała niespodziewany obrót. Nie wprawiałaś co prawda w zachwyt Elizabeth, ale rzeczywiście ostrzegłaś Gwen.

Zdecydowała się walczyć. Elizabeth się z tym pogodziła.

- A Jabari? - spytał Danaus, podszedłszy do mnie. Położył mi rękę na ramieniu, ale nie odczułam jego obecności w swoich myślach. To jego nagłe zainteresowanie wzbudziło we mnie nieufność. Czy szczerze pragnął, żebym weszła w skład Sabatu? Chciałam wybić z głowy tę myśl. Danaus tak naprawdę pragnął jedynie wbić mi kołek w serce i skrócić mnie o głowę. Ta nowa refleksja zagnieździła się we mnie niczym robak w jabłku.

- Nie, Jabari będzie się domagał głowy Miry, gdy już wrota zostaną zamknięte -

powiedział ze smutkiem Macaire.

- Nie mogę go pokonać. - To stwierdzenie było wyzute z emocji. Stanowiło zwyczajną konstatację faktu, którego byłam świadoma, odkąd zostałam nocnym wędrowcem. Dopóki Jabari mógł mnie kontrolować, nie mogłam go zniszczyć. Zresztą nawet bez tego Jabari był

bardzo stary i bardzo silny. Wątpiłam, czy ktokolwiek byłby w stanie naprawdę go zwyciężyć.

- Sądzę, że przeceniasz jego siły. - Otworzyłam już usta, żeby zaproponować, ale Macaire uniósł rękę. Milczałam. - Jeśli połowa z tego, co twierdzi panna Brooks, jest prawdą, to myślę, że mogłabyś łatwo wziąć nad nim górę z pomocą twojego łowcy.

- Ale nie byłoby to wtedy moje zwycięstwo.

- Nikt inny by się o tym nie dowiedział. - Te słowa wyszły z wąskich ust Macaire'a jako szept, a uśmiech znowu zagościł na jego obliczu.

- Nikt poza tobą - uściśliłam. Niezłe to obmyślił. Znalazł sposób na pozbycie się nie tylko Naszego Władcy, ale również Jabariego. Na jego nieszczęście nie miałam zamiaru dać się tak wykorzystać.

- Nie będę marionetką w twoich rękach.

- Jakże to? Z pewnością już odgadłaś, że nie mogę wykorzystywać cię tak, jak czyni to Jabari - rzekł Macaire ze sporą dozą rozgoryczenia.

- Nie zrobię tego.

- Lojalna do końca - zadrwił, wykrzywiając usta tak, że dostrzegłam błysk kłów. -

Nawet po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. I nawet jeśli miałyby to dla ciebie oznaczać kres życia.

- Gdybym miała pokonać Jabariego, dokonałabym tego sama. Poza tym nie chcę stanowiska w Sabacie. - Nie chciałam mieć nic wspólnego z Sabatem. Pragnęłam tylko wrócić do domu i zapomnieć o nich wszystkich. Oczywiście, gdyby udało mi się zabić Jabariego po pokonaniu naturi, oznaczałoby to już dwa wakaty w Sabacie i wystawienie Naszego Władcy na niebezpieczeństwo. Wtedy łatwo byłoby Macaire'owi zająć tron i utworzyć własny Sabat.

- Skoro taka twoja woła - powiedział cicho. Wstał z krzesła i zeskoczył z podium.

Odwrociłam się do niego plecami i odstąpiłam od Danausa, omiatając spojrzeniem plac.

Światła z okien wystaw sklepowych i domów tworzyły na placu kalejdoskop złotych prostokątów. Wyczuwałam, jak za murami domostw ludzie zajmują się swoimi sprawami, szykują kolację albo rozmawiają z bliskimi. Załedwie o metry od miejsca, w którym się znajdowałam, wiedli spokojny żywot, nie wiedząc, że balansują na krawędzi życia i śmierci, a utrzymanie równowagi zależy od stworzeń, których istnienia ci ludzie nawet nie przeczuwali.

- Szykujesz się do wyjazdu? - zapytał Macaire, kierując moje myśli ku najbardziej pilnemu problemowi.

- Odrzutowiec będzie gotowy do odlotu o północy. Dokąd mamy się udać? - spytałam, tłumiąc przerażenie i złość, które wciąż mnie przepelniały. Oto dlaczego zostałam ściągnięta do Wenecji. Nie dla zapewnienia mi bezpieczeństwa, tylko żeby się przekonać, o jaką stawkę toczy się gra. Według Macaire'a zawezwano mnie, bym wypełniła ostatnie zadanie w imieniu Sabatu. Spodziewał się, że gdy nadejdzie czas, zabiję Aurorę, jakbym była niesforną wampirzycą, wszczynającą zamęt w jakimś miasteczku, na poły zapomnianym przez świat. A jednak wyglądało na to, że Jabari chciał ode mnie czegoś innego. Sprowadził mnie tutaj tylko po to, żebym odkryła te konszachty, i żeby naturi napędzili mi strachu. Ale nie miałam pojęcia, jaki jest jego ostateczny cel. Usłyszawszy od Macaire'a o całej tej okropnej sprawie, zastanawiałam się, czy Jabari naprawdę chciał, bym rozbiła prowadzone układy, skoro mogły one zapobiec dwóm wojnom.

- Na Kretę - odparł Macaire na moje pytanie.

Wybuchłam śmiechem i pokręciłam przecząco głową. No tak, mogło być gorzej. Nie byłam na Krecie, odkąd uciekłam z owej przeklętej wyspy jako młoda kobieta, aby umknąć przed motłochem, który domagał się mojej głowy. Upłynęło ponad sześćset lat, odkąd opuściłam tamtą ziemię, i nie miałam ochoty ponownie odwiedzać ani jej, ani widm, które tam na mnie czekały.

Danaus przystąpił o krok. Nie dotknął mnie, ale poczułam powiew jego ciepłych mocy na odsłoniętych ramionach. Były niczym kojące objęcie.

- I czego właściwie mam tam dokonać? - rzuciłam, gdy wreszcie znów opanowałam emocje.

- Umożliwić naturi złożenie ofiary - odrzekł Macaire. - Pieczęć musi zostać złamana, jeżeli oni mają otworzyć wrota.

- Więc po co posyłać tam mnie? - zapytałam, robiąc krok w jego kierunku. Jego logika zaczynała doprowadzać mnie do szału. - Po co posyłać kogokolwiek? Jeżeli zaatakujemy naturi ponownie, to spora szansa, że zginieemy.

Jego usta ułożyły się w ponury uśmiech. Podszedł bliżej, nie obawiając się ani mnie, ani mojej reputacji.

- Bo chcę, żebyś zabiła Rowe'a. To ich przywódca. Może najbardziej nam przeszkodzić, kiedy zaatakujemy Aurorę. I również jemu najlepiej udaje się utrzymywanie naturi w ryzach. Pozostali naturi najpewniej pójdą w rozsypkę albo wyginą bez silnych przywódców, takich jak Aurora czy Rowe.

- A czy wasi nowi partnerzy wiedzą o tym elemencie planu? - zapytałam słodko.

- Nie, ale uzmysłowiliśmy im, że bardzo prawdopodobne, iż wielu zginie w trakcie tej kampanii.

Kiwnęłam głową i cofnęłam się o krok, plecami niechcący opierając się o pierś stojącego tuż za mną Danausa. Bardzo sprytnie pomyślane. Trudno mi było uwierzyć, że Sabat może przystać na

cokolwiek, co pozwoli naturi odejść i żyć w spokoju. Liczono na to, że jeśli unicestwi my tych, którzy rządzą monarchią naturi, pociągnie to za sobą całkowitą zagładę ich rasy.

- Czy Jabari i Sadira dołączą do nas na Krecie?

- Nie.

- Wyślecie tam kogoś jeszcze?

- Kilkoro innych wezwano i posłano zawczasu. Przybędą tam tej nocy. Polecono im, żeby trzymali się z dala od miejsca składania ofiar i pozostali w ukryciu, aż skontaktujesz się z nimi i przedstawisz im plan ataku. Pamiętaj, nie wolno ci przystąpić do akcji aż do chwili zakończenia rytuału ofiarnego - poinstruował.

Ściągnęłam brwi, wpatrując się w mrok. Nadal nie wiedziałam, co mam zrobić. Ale i nie miałam w tej kwestii większego wyboru. Byłam tylko orężem. O ile przyznawałam rację, że wszystkim nam się polepszy, kiedy Aurora zginie, o tyle otwarcie wrót wiązało się z wielkim ryzykiem. Jediną kartę atutową w perspektywie nadciągającej katastrofy stanowił

Danaus, ale nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak on się zachowa w takiej sytuacji.

- Musisz zabrać ze sobą tego łowcę, Miro - powiedział Macaire, nie zważając na Danausa stojącego blisko mnie. Najwyraźniej znowu podsłuchiwał moje myśli. Miałam ochotę się zaśmiać. Danaus nie pozwalał sobą kierować nikomu, a już w najmniejszym stopniu mnie.

- Zrobię to, co zdołam. A Danaus uczyni to, co zechce - uprzedziłam.

- Nie możemy sobie pozwolić na błędy.

- Wiem - wyszeptałam, ale kiedy chciałam spojrzeć na Macaire'a, stwierdziłam, że już zniknął. Drań. Rozwścieczało mnie odstawianie takich sztuczek przez Starszych.

Zaczęłam powoli opuszczać plac, lecz przystanęłam i spojrzałam ponownie na scenę.

Pięć krzeseł na niej ustawionych górowało nad dużym placem wybrukowanym kamieniami.

Jabari utrzymywał stan równowagi w Sabacie, strzegł spokoju. Gdybym go zabiła, chyba nikt już nie mógłby powstrzymać Macaire'a, może jedynie Elizabeth. Niestety, nie wiedziałam o niej prawie nic. Zapamiętałam ją jako kogoś podobnego do Tabora, milczącą postać, która od czasu do czasu brała udział w rozrywkach, ale najczęściej pozostawała w cieniu. Czy ona naprawdę uważała, że taki plan się uda, czy może raczej lękała się, że zginie jak Tabor?

Żałowałam, że nie mogę z nią porozmawiać choć przez kilka minut; przekonać się, czy stoi po stronie Naszego Władcy, czy też Macaire'a. Jednak po tym, co zrobiłam z Gwen, nie przewidywałam, by taka rozmowa coś dała. Obawiałam się również, że Elizabeth nie zechce w ogóle rozmawiać, bojąc się, że Macaire ją podsłucha. Przekonawszy się zeszłej nocy, że Jabari jest gotów zniweczyć porozumienie z naturi, wiedziałam już, że ten plan i w nim nie wzbudza zachwyty. To wyjaśniałoby,

dłaczego Jabari nieustannie się ukrywa - po to, by ani Macaire, ani naturi nie mogli go odnaleźć.

Westchnęłam cicho i skrzyżowałam ramiona na piersiach. Co mi pozostawało? Dać się zabić Jabariemu, kiedy przestanę już być potrzebna, by równowaga wpływów w Sabacie została utrzymana. Taka perspektywa nieszczęśliwie mnie kusila. Gdybym zabiła Jabarię, czy musiałabym zająć jego miejsce i spędzić resztę życia na sporach z Macaire'em, aż doprowadzi on do mojej śmierci? Czy raczej powinnam ostrzec Naszego Władcy? Jeśli nie brać pod uwagę tego, że usiłował teraz doprowadzić do zguby nas wszystkich, był lepszy od Macaire'a. Oczywiście, cała ta historia mogła się okazać wierutnym łgarstwem.

W dodatku nigdy dotąd nie poznałam osobiście Naszego Władcy. Nie wiedziałam, gdzie przebywa ani jak się z nim skontaktować, gdybym chciała go ostrzec. Nie wspominając już o tym, że nic nie wskazywało, by uwierzył w tak niedorzeczną historię. Jak już nieraz mogłam się przekonać, nie byłam najbardziej lubianą istotą wśród swojej rasy.

Jednak wszystko to było czymś drugorzędym wobec poważniejszego problemu: co miałam zrobić po dotarciu na Kretę? Rozkaz zgładzenia Rowe'a nie była dla mnie szczególnie kłopotliwy do wykonania. Nie widziałam żadnych korzyści w pozostawianiu go przy życiu, ponieważ chciał mnie albo wykorzystać, albo zabić. Ale przecież umożliwienie naturi złożenia ofiary pozwoli im na otwarcie wrót w późniejszym terminie. Gdyby wtedy zostały popełnione jakieś błędy, wszyscy naturi wylegliby na świat wraz z Aurorą. A to byłoby bardzo złe.

Z drugiej strony, gdyby w ogóle nie doszło do otwarcia wrót, a Aurora nie zginęłaby, naturi nie spełniliby obietnicy zgładzenia Naszego Władcy. Nie życzyłam mu śmierci, lecz na pewno nie chciałam, aby posłał nas na wojnę z wszystkimi innymi rasami tylko po to, by zapobiec przedwczesnemu Wielkiemu Przebudzeniu. Byłoby to kolejne bardzo złe wyjście.

Wydawało się, że pozostaje do wyboru tylko jedno z dwojga: wojna z naturi albo wojna ze stworzeniami, z którymi wcześniej pozostawaliśmy w przyjaźni.

Gdy powłócząc nogami, wracałam do hotelu razem z milczącym Danausem, w mojej głowie kłębiły się najprzeróżniejsze myśli. I wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że odstąpiłam od własnego, pierwotnego planu działania. A był to plan dobry i przemyślany: 1. Zabić Neriana.

2. Odszukać Jabarię lub któregoś z innych Starszych.

3. Wyjawić Starszemu plan naturi.

4. Wrócić do domu.

Och, i jeszcze zabić Danausa.

Ale i z tego planu nic nie wyszło. Do diabła z planami. Za niespełna dwadzieścia cztery godziny miałam, otoczona przez naturi, stanąć na szczątkach tego, co kiedyś nazywałam domem. Zważyłam, czy kolejny błyskotliwy plan może mnie ocalić. Niechże los mi przebaczy, ale musiałam rozmówić się z Jabarim.

Rozdział 20

Po skórze przebiegły mi ciarki. Zaczęłam schodzić na płytę lotniska imienia Nikosa Kazandzakisa w Iraklionie i poczułam ostry skurcz w żołądku. Zaciskając zęby, postawiłam stopę na schodkach przy swoim odrzutowcu i objęłam się ramionami, tak jak gdybym mogła ochronić się przed wspomnieniami, które w moim mózgu zdawały się powstawać ze zmarłych.

Mogłam nigdy wcześniej nie mieszkać w tym mieście - moja rodzina żyła w niewielkim domu na południe od Chanii, miasteczka portowego na zachód od Iraklionu - ale oto powracałam do ojczystego kraju. Gdy stałam przez krótką chwilę na płycie lotniska, poczułam znajome zapachy. Od południa zerwał się wiatr, powiał nad wyspą i dotarł do mnie.

Ciepła bryza przemknęła przez dolinę i ponad pasmem górskim, dzielącym wyspę na pół, i przyniosła ze sobą mocną woń jerozolimskiej szaławii, kreteńskich orchidei i ciemnego kreteńskiego hebanu, porastającego klify koło Sitei. Woń ta mieszała się z uderzającym do głowy zapachem oliwy i jagnięcego mięsa z rusztu. Boże, powróciłam do domu.

Odkąd opuściłam Kretę jako młoda kobieta, nie oglądałam się wstecz i nie postawiłam nogi na piaszczystych brzegach tej wyspy. Moja matka zmarła, gdy miałam dwanaście lat, a kiedy wyjechałam na kontynent, ojciec pozostał sam w Chanii. Sypiając pod gołym niebem w Grecji przeklinałam siebie, i to nie raz, za porzucenie własnego ojca, żałując, że nie miałam siły i odwagi, by go nakłonić do wyruszenia wraz ze mną. Powinnam była domagać się, aby opuścił Kretę i dołączył do mnie na kontynencie. Żadne z nas nie miało już nic do roboty na tej wyspie. Ale on na nią wrócił. Powrócił do domu, w którym się urodziłam i w którym on przyszedł na świat, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie czuł się u siebie.

- Miro?

- Nic mi nie jest - rzuciłam do Danausa, zanim jeszcze pomyślałam, o co mu chodzi.

Wyprostowałam plecy, poprawiłam torbę na lewym ramieniu i odeszłam o kilka kroków od odrzutowca, żeby Danaus mógł zejść na płytę lotniska. - Czy mamy towarzystwo?

- Jakiś wampir zmierza w tym kierunku, ale poza nim nie wyczuwam obecności nikogo w tej okolicy - odrzekł Danaus, stając obok mnie. Torba z ubraniem i bronią zwisała mu z prawego ramienia. Nie wyglądał na osobę uzbrojoną, ale wiedziałam, że zawsze ma pod ręką jakiś oręż.

W trakcie krótkiego lotu omawialiśmy możliwe scenariusze tego, co mogło się wydarzyć na lotnisku po wylądowaniu. Naturi powinni się spodziewać, że zmierzamy do pałacu w Knossos, po tym, jak powstrzymałam ich w Stonehenge zaledwie kilka nocy wcześniej. Mieliśmy nadal krzyżować im szyki, aż w końcu dadzą za wygraną lub wyginą.

Nie byłam w nastroju do rozmyślań, co z tego wyniknie.

Nocne powietrze było zaskakująco spokojne. Spodziewałam się, że naturi zaatakują nas, kiedy tylko wyjdziemy z samolotu. Tuż po locie byliśmy nieco zeszywniali i cokolwiek zdezorientowani, zanim

zdążyliśmy się zaaklimatyzować w nowym otoczeniu. A to stanowiło dla nich dogodną okazję. Oczywiście, najlepszą porą do takiej napaści jest wschód słońca, a ja wciąż musiałam obmyślić jakiś dobry plan na podobną ewentualność. Część mnie pragnęła wrócić na pokład samolotu i odlecieć do Grecji, gdzie mogłam spędzić porę dzienną w spokoju. Nie chciałam przesypiać jej tutaj. Czy na Krecie krążyły o mnie opowieści? Stare baśnie o demonicznym dziecku z włosami koloru piekielnych ogni? Do licha, pragnęłam oddalić się z tej wyspy i uciec od związanych z nią wspomnień!

Zmusiłam się do skoncentrowania uwagi, przeszukałam myślami okolicę i wyłowiłam obecność pary nocnych wędrowców, z których tylko jeden się do nas zbliżał. Nie tego się spodziewałam. Zaledwie dwoje wampirów przebywało w całym tym regionie. Pałac znajdował się niedaleko miasta. W okolicy powinno się wręcz roić od nocnych wędrowców.

A Sabat zdecydował się na przysłanie tu zaledwie dwóch wampirów? Dranie. Wszyscy oni to dranie.

Jeden z owych nocnych wędrowców powoli szedł po płycie lotniska od strony pobliskiego hangaru. Była to wampirzyca; jej obcasy stukwały głośno o twardą nawierzchnię, gęste czarne włosy spływały na lewe ramię i plecy, a na ustach widniał tajemniczy uśmiezek.

Podchodząc, nie spuszczała wzroku z Danausa. Nie potrafiłam odgadnąć, co takiego przykuło jej uwagę: jego atrakcyjny wygląd czy też pogłoski, które dotarły tu z Wenecji.

- Kto cię przysłał? - zapytałam ostro, zanim zdążyła się odezwać. Sam fakt pobytu na Krecie wprawiał mnie w podenerwowanie, a wciąż nie mieliśmy planu pokonania naturi.

Zaczynało brakować nam czasu. Nasz wylot z Wenecji nastąpił z opóźnieniem, a dochodziła już prawie czwarta nad ranem. Zbliżał się świt.

- Sabat - odrzekła, wykrzywiając usta, i obrzuciła mnie spojrzeniem. Miałam na sobie pogniecione i wymięte ubranie, które wyglądało tak, jakbym zwinęła je beładnie w kulę przed założeniem. Ona zaś była w porządnym luźnym kremowym spodniach i jasnoniebieskiej bluzce; musiałam wyglądać przy niej jak zagubiony włóczęga.

- Mam na imię Penelopa - podjęła. - Macaire zażądał, żebym się z wami spotkała i wsparła was w walce z naturi.

- A gdzie inni? - Z trudem powściągnęłam chęć przeciągnięcia dłońmi po sukience w bezsensownej próbie wygładzenia choć niektórych fałdów.

- Hugo czeka nieco dalej, czuwając nad naszym bezpieczeństwem - odparła.

- I nikt poza nim?

- Nikt.

Miałam ochotę na kilka soczystych przekleństw pod adresem Macaire'a i reszty Sabatu. Czysta groteska. Nie było szans, abyśmy w czworo - Danaus, dwoje nocnych wędrowców i ja - mogli pokonać wszystkich naturi, czających się na tej wyspie. Dysponując taką przewagą, naturi nie

powinni mieć większych kłopotów ze złamaniem pieczęci i, przy okazji, z wbiciem mi kołka w serce. Jednak zanim zdążyłam dać upust irytacji, odezwał się Danaus:

- Musimy się stąd ruszyć. - Jego tubalny głos zagłuszył moją złość. Miał rację.

Stanowiliśmy łatwy cel, stercząc na samym środku lądowiska.

Bez dalszych dyskusji Penelopa wyprowadziła nas z lotniska ku czekającej taksówce.

Co pewien czas któreś z nas zerkało za siebie. Nieme zagrożenie wisiało w powietrzu. Gdzieś w pobliżu znajdowali się naturi i nas obserwowali. Nie wiedziałam, dlaczego jeszcze nie zaatakowali, i nie bardzo chciałam poznać odpowiedź na to pytanie.

Penelopa zawiozła nas do niewielkiego kwadratowego domu, który wynajęła. Jego wnętrze pomalowano na biało, dach był płaski. Wyglądało na to, że część tego dachu pokrywał rodzaj zadaszania, pod którym można wypoczywać wieczorami i popatrywać na pobliskie miasto. Mimo upływu tylu stuleci, większość tutejszych budynków nadal zdradzała wpływy weneckie. Przez pewien okres Kreta pozostawała pod panowaniem Wenecjan, którzy odcisnęli piętno na kreteńskiej sztuce i architekturze. Miasta takie jak Iraklion czy Chania wciąż odzwierciedlały, piękno ginącej starej Wenecji.

Wnętrze domu było typowe dla Krety, z oknami wyłącznie na frontowej ścianie; na pozostałych ścianach wisiały gobelinowe tkaniny oraz malowane talerze. Łukowato sklepione przejście oddzielało główny pokój od kuchni i jadalni, natomiast sypialnie mieściły się na tyłach, z dala od izby kuchennej. W jednym z niewielu okien znajdował się wywietrznik, burcząc cicho i wdmuchując stały strumień chłodnego powietrza. Wieczorami temperatura na zewnątrz spadała do około dwudziestu stopni Celsjusza, ale mury domu dość długo utrzymywały popołudniowy żar.

Było to znacznie większe domostwo od tego, w jakim dorastałam, i, rzecz jasna, dużo nowocześniejsze, jednak uderzało wiele podobieństw, jeśli chodzi o konstrukcję i barwy. Ręce mi drżały, a w gardle, jakby zacisnął się nierozwiązywalny węzeł.

Upuściłam na podłogę torbę z ubraniami i raz jeszcze spróbowałam usunąć z myśli wspomnienia swego dawnego pobytu na Krecie i skupić się na celu obecnego przyjazdu na tę wyspę.

- Od jak dawna tu jesteś? - zapytałam, siłąc się na uprzejmy ton, pomimo napiętych nerwów i narastającej frustracji.

- Zjawiłam się na tej wyspie kilka godzin po zachodzie słońca - odparła Penelopa.

Obserwowała mnie bacznie z drugiego końca pokoju. Stała pod łukowatym sklepieniem, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Mieszkam w Atenach od ponad stulecia, a na Kretę przyjeżdżam w letnim sezonie turystycznym.

- Czy ten Hugo należy do ciebie, czy może i jego podesłał Macaire?

Podeszłam do kanapy, stojącej przed narożnym kominkiem z kamieni ułożonych w ciekawą mozaikę,

oparłam się o nią, zwrócona przodem do wampirzycy.

- Przysłał go Macaire - odrzekła Penelopa. - To prawda, że powstrzymałaś naturi w Stonehenge? - Nawet nie usiłowała ukryć sceptycyzmu, zadając mi to pytanie, zanim sama przystąpiłam do przesłuchiwania jej.

Uśmiechnęłam się i potarłam kostki prawej dłoni o przód sukienki, jak gdybym polerowała paznokcie. Gdy uniosłam rękę, palce natychmiast stanęły mi w niebieskawym ogniu.

- Mam kilka asów w rękawie.

Tak jak się spodziewałam, Penelopa cofnęła się o krok, ale szybko się zatrzymała i powróciła na dawne miejsce, nie dając się zastraszyć.

- Będą ci one potrzebne - zauważył Danaus.

- Ilu ich tu jest? - zapytałam, natychmiast gasząc płomienie. Dosyć zabawy.

Musieliśmy przystąpić do rzeczy. Należało ustalić dokładnie, z kim mamy do czynienia i jak pokonać nieprzyjaciół.

Moce Danausa otarły się o mnie, wylęgając z domu i omiatając wyspę. Jego oczy pozostały otwarte, gdy penetrował Krete, lecz nie skupiał uwagi na niczym w pokoju.

- Kilkudziesięciu. Mniej niż w Anglii - odparł.

Zaskoczyło mnie to. Przeprowadzili potężny atak na Warownię Temidy, gdzie zaatakowało nas więcej naturi, niż, jak sądziłam, znajduje się na całej ziemi. Czy ponieśli na tyle poważne straty, by nie ryzykować równie silnego ataku, pomimo doniosłości zbliżającego się wydarzenia? Można było na to tylko liczyć.

- Gdzie są?

Danaus skupił się i skierował na mnie błękitne oczy.

- Nie znam tej wyspy.

- Może przyda się mapa? - spytała Penelopa głosem tak słodkim, aż zagrało mi to na nerwach.

- Tak - rzuciłam, zanim Danaus zdążył odpowiedzieć.

- Poszukaj jakiejś.

Rzuciwszy mi nieprzychylnie spojrzenie, Penelopa wyszła z pokoju i znikła w kuchni, kierując się na tyły domu. Danaus prychnął, co sprawiło, że znowu na niego zerknęłam.

- Co cię wprawia w tak podły humor? - zapytał.

- Chcę po prostu załatwić tę sprawę i wynieść się stąd - warknęłam, już nie starając się skrywać złości.

Ku mojemu zaskoczeniu wyraz jego twarzy złagodniał. Zirykowało mnie to. Nie potrzebowałam współczucia ani litości ze strony łowcy. Wołałam, gdy jest rozgniewany, zirytowany lub w jakimkolwiek innym złym nastroju, bo to zwykle widywałam na jego obliczu. Chwilę później poczułam w mózgu słaby dotyk, jakby ręki, wymacującej na ślepo w ciemnościach.

Może pora, żebyś zmierzyła się ze swoją przeszłością. Odgłos myśli Danausa odbił się echem w moim umyśle. Łowca stawał się zbyt dobry w telepatycznym porozumiewaniu się ze mną. Upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, odkąd ostatnim razem przeniknął we mnie swoimi mocami, ale nasza więź stawała się mocniejsza za każdym razem, ilekroć to robił.

Do diabła z moją przeszłością. Teraz nie czas na freudowskie analizy tego, co mi się zdarzyło. Mamy odszukać naturi i zniszczyć ich. To wszystko - odesłałam mu mentalnie komunikat.

Danaus nie odpowiedział, ale mogłam wyczuć, że się ze mnie śmieje; niemy chichot dudnił w jego umyśle i przenikał do mojego.

Wrażenie to rozwiało się jednak pod wpływem odgłosu poruszanej klamki u drzwi.

Jak za dotknięciem magicznej różdżki w dłoni Danausa natychmiast pojawił się nóż, a on obrócił twarz w kierunku kogoś, kto wchodził do domu. Ja stałam na lekko ugiętych nogach, gotowa na cokolwiek. Oboje równocześnie omietliśmy mocami dom, by stwierdzić, że znalazł się w nim kolejny nocny wędrowiec. I żadne z nas się nie rozluźniło, kiedy wszedł do pokoju z uniesionymi rękami i otwartymi dłońmi.

Hugo był wielki jak szafa. Ten wampir pewnie spowodowałby zaćmienie księżyca, gdyby przed nim stanął. Miał szerokie bary, wąską talię i biodra oraz nogi, które przypominały konary drzew. Mógłby bez trudu objąć palcami jednej dłoni piłkę do koszykówki. Cofnęłam się odruchowo, gdyby nie to, że opierałam się lewym biodrem o tył

jasnożółtej kanapy. Nigdy dotąd nie widziałam wampira równie zwalistego jak Hugo. Jediną pociechę stanowiło to, że nie był stary; nie miał nawet stu lat.

- Ty jesteś Hugo? - zapytałam twardym głosem.

- *Ja* - burknął, opuszczając ręce.

Przekleństwo podeszło mi do gardła, ale je przełknęłam. Mówiłam słabo po niemiecku i upłynęło dużo czasu, odkąd ostatnio używałam tego języka.

- *Sprechen Sie Englisch?*

- *Ja* - odparł i od razu mi ulżyło. - Mira?

- *Ja* - odrzekłam, usiłując naśladować jego gardłowy głos, ale nie bardzo to mi się udało. Zdaje się,

że potrzebowałabym do tego specjalnego mikrofonu.

- A to ten łowca. - Usta Hugona wykrzywiły się pogardliwie, gdy spojrzał na Danausa.

- Cieszę się, że przedstawianie się sobie mamy już z głowy. A teraz, jeśli moglibyśmy przystąpić do rzeczy, to...

Powstrzymał mnie odgłos stukających o podłogę obcasów Penelopy, która wróciła z kuchni. Otworzyła coś, co wyglądało na turystyczny przewodnik po Krecie, i rozłożyła kolorową mapę wyspy.

- Czy któreś z was widziało albo napotkało naturi od chwili przybycia na tę wyspę? -

spytałam, podchodząc do stołu, na którym rozłożyła mapę.

- Nie, ale jesteśmy tu od niedawna - odrzekła Penelopa, kręcąc przecząco głową, a czarne włosy omiotły jej twarz, niemal przesłaniając oczy. Po raz pierwszy odkąd ją ujrzałam, na jej obliczu pojawił się cień lęku.

- Danausie - odezwałam się, zerkając na łowcę przez ramię, aby nie napotkać wzroku Penelopy. Na mapie wskazałam palcem Iraklion, leżący w północno-wschodniej części wyspy. - Jesteśmy tu. Gdzie ukrywają się naturi? W mieście czy gdzieś dalej?

Stanął za mną, by przypatrzeć się mapie, ale przy tym nie odwrócił się całkiem plecami do Hugona. Sama wołałam widzieć tego wielkiego wampira choćby kątem oka, jednak gdyby Hugo zorientował się, że niepokoi mnie jego potężne cielsko, nie słuchałby moich rozkazów. A w owej chwili musiałam go skłonić do bezwzględного posłuszeństwa.

Raz jeszcze moce Danausa wypłynęły z jego ciała, opływając mnie jak ciepły wiatr i zagrażając, że wymiotą mi duszę z ciała i rozwłóczą po całej wyspie.

- Są dalej - odezwał się cicho. - Żadnego naturi nie ma teraz w mieście.

- Czy... czy on potrafi ich wyczuwać? - zapytała Penelopa drżącym głosem.

- Hm... zna różne sprytne sztuczki. - Kąciki moich ust uniosły się w niewesołym uśmiechu. Wampirzyca odeszła od stołu, a jej lewa dłoń zwinęła się w pięść. Zerknęła przez ramię na Hugona, ale nie zauważyłam, jaką zrobił minę. Danaus uniósł rękę, przesuwając ją znad Iraklionu na zachód.

- Zbierają się w jednym miejscu - ciągnął, zawieszając dłoń nad sporą częścią wyspy.

Pochyliłam się, aby odczytać drobny druk na mapie.

- Czy możesz określić charakterystykę tamtego regionu? Czy to zielone łąki? Góry?

- Miro, moje moce nie są aż takie wyczułone - rzucił, przesuwając dłoń jeszcze nieco na zachód. - Nie wyczuwam terenu, tylko naturi.

- A co z ludźmi? - zapytała Penelopa, niepewnie podchodząc z powrotem do stołu. -

Jeżeli są w dolinie Amari, to znajdują się tam inne wioski. Ludzie powinni przebywać w tamtej okolicy.

- Nie, nie ma tam ludzi. Przynajmniej w pewnej odległości.

- W takim razie oni są na górze Idi - rzekłam, prostując się nad blatem stołu.

Spojrzałam na Penelopę, która także się wyprostowała, zaciskając pełne usta w cienką kreskę.

- Cała tamta okolica jest upstrzona jaskiniami - stwierdziła, przesuwając dłonią ponad fragmentem mapy. - Naturi mogłyby się tam skryć gdziekolwiek i zajęłoby nam kilka nocy wykurzenie ich stamtąd.

- Nie musimy ich wykurzać - powiedziałam. - Za dwie noce znajdą się w pałacu w Knossos.

- Chcesz czekać dwie noce, a potem zaatakować od razu wszystkich naturi? - zapytał

Hugo z miejsca w saloniku, z którego się nie ruszał. - Kazano mi zabić jakiegoś naturi o imieniu Rowe. Jak mam go dopaść, jeśli będzie w otoczeniu swoich pobratymców? Przecież jest nas tylko czworo.

Hugo powiedział to z niewiarygodnie ciężkim, niemieckim akcentem, nasilonym przez wzrastające wzburzenie. Dopiero po paru sekundach zrozumiałam, co mówi.

- Chwileczkę! A więc nie ma nikogo poza nami? Nikt inny nie przybędzie? - zawołała Penelopa, uderzając obiema dłońmi w stół. - Nie zgłosiłam się na samobójczą misję. W

opowieściach o Machu Picchu była mowa o setkach nocnych wędrowców. Dlaczego teraz nie zapewniono nam wsparcia?

- Nie wiem. Wkurzyłaś może ostatnio Macaire'a albo resztę Sabatu? - spytałam.

Chciałam dodać coś jeszcze, ale zadzwoniła moja komórka. Na ten dźwięk wszyscy zamilkli.

Oddaliłam się od pozostałych i przeszłam do salonu, podwijając sukienkę i wyciągając telefon zza paska na nodze. Nie miałam kieszeni.

Na małym ekranie komórki wyświetlił się numer mojego domowego telefonu w Savannah. Tylko dwie osoby mogły zadzwonić do mnie stamtąd.

- Kto mówi? - zapytałam.

- Gabriel powiedział, że mam się do ciebie odezwać - zabrzmiał miękki głos; poczułam ulgę tak wielką, że zaczęły drżeć mi ręce. To był Tristan. Obudził się, cały i zdrowy. Choć raz coś poszło dobrze.

Odwróciłam się od pozostałych i zgarbiłam nieco, jakbym mogła przez to zniknąć im z widoku. Ponadto mówiłam cicho, choć wiedziałam, że wszyscy oni i tak będą mnie wyraźnie słyszeć. Nieważne. Potrzebowałam tej chwili na prywatną rozmowę z Tristanem, żeby uspokoić nerwy.

- Masz się dobrze? Czy Gabriel pokazał ci wszystko? - zapytałam, niezadowolona z tonu własnych pytań. Mówiłam jak przesadnie troskliwa matka. Jak Sadira.

- Powiedział, że zrobi to, jak do ciebie zatelefonuję. Wciąż jesteś w Wenecji? Co z naturi? Mogę wam...

- Nie, jestem na Krecie - przerwałam mu i od razu pożałowałam swojego surowego tonu. - Powinniśmy uporać się z tym wszystkim w ciągu kilku nocy. Wrócę do domu za trzy albo cztery noce, a wtedy można będzie... znaleźć jakieś... mniej tymczasowe miejsce dla ciebie.

Zapadło ciężkie milczenie. Nie potrafiłam zgadnąć, o czym Tristan myśli. Albo powątpiewał w to, że w ogóle wrócę, albo poczuł się urażony pomysłem, że już teraz chcę się go pozbyć jak jakiegoś zbitecznego bagażu. Właśnie dlatego nigdy nie chciałam zakładać rodziny. Nie chciałam, by ktoś pętał mi się pod nogami, a teraz nie wiedziałam, co zrobić z kimś, kto pojawił się w moim życiu.

- Nie powinienem stanowić dla ciebie ciężaru - powiedział Tristan półgłosem.

- Zaczekaj! Ja... Jeśli nie odezwę się do ciebie w ciągu następnego tygodnia, to...

chciałabym, żebyś odszukał nocnego wędrowca, który nazywa się Knox. On... tak jakby mi pomagał... - Zaczynałam się. Czułam się tak, jak gdybym wyjaśniała krewnemu, gdzie znajdzie mój testament, jeśli coś mi się stanie. Nie zgromadziłam zapasów, nie naszykowałam niczego z myślą o Tristanie na wypadek, gdyby coś mi się przydarzyło. Będzie zdany na samego siebie w obcym kraju. Jednak przynajmniej na razie przebywał z dala od Sadiry i Sabatu.

- Rozumiem. Dam sobie radę. A ty zajmij się Rowe'em - powiedział, a potem przerwał połączenie, zanim zdążyłam jeszcze palnąć coś naprawdę idiotycznego.

Wsunęłam komórkę za pasek na nodze i odwróciłam się, by zobaczyć, że wszyscy się na mnie gapią. Hugo wyglądał na nieco poruszonego, natomiast Penelopa nie skrywała ironicznego uśmiechu. Z kolei mina Danausa nie wyrażała niczego. Ale on jeden wiedział, kto zadzwonił. Wiedział, dlaczego Tristan znalazł się na innym kontynencie.

- Jak już mówiłam - stwierdziłam, próbując nie zwracać uwagi na rumieniec, jaki zabarwił mi policzki - nie potrzebny nam nikt więcej. Naturi są teraz mniej liczni.

Zdziesiątkowaliśmy ich i nadal będziemy to robić, póki w końcu nie dopadniemy Rowe'a.

- Ale...

- Na jutrzejszą noc zaplanujemy serię wypadów na ich bazy - ciągnęłam, przerywając Hugonowi, zanim cokolwiek powiedział. - Postaramy się zlikwidować ich przed nowym księżycem.

- Mogę przeprowadzić zwiad za dnia - zaproponował Danaus. Już otworzyłam usta, żeby zaproponować, kiedy moja komórka ponownie zadzwoniła.

- Na Boga, Miro - zachnęła się Penelopa. - Zatrudnij niańkę.

Odwrociłam się od niej i pominęłam ten docinek milczeniem, sięgając po komórkę.

Tym razem jednak wyświecił się inny numer, taki, którego nie pamiętałam. Niewiele osób miało mój numer, a i te, które go znały, dzwoniły tylko w nadzwyczajnych sytuacjach.

- Słucham? - zapytałam groźnie.

- Mira? - odezwał się zalekniiony głos. - Tu James. James Parker. Poznaliśmy się kilka dni... to znaczy kilka nocy temu. Jestem z Temidy.

- Tak, pamiętam cię, James - powiedziałam i odwróciłam się, by spojrzeć na innego członka Temidy, obecnego w pokoju. Nie musiałam pytać, w jaki sposób James zdobył mój numer. Kilka dni temu Danaus zadzwonił do niego z mojego telefonu. - Jestem teraz trochę zajęta.

- Właściwie to szukam Danausa. No bo, wiesz, jesteśmy tutaj i musimy się dowiedzieć, gdzie...

- Co takiego? - zawołałam, a potok myśli zastopował z piskiem w mózgu. - Co to znaczy „tutaj”? Jakie „tutaj”? I jacy znowu „my”? - Dałam upust targającym mną uczuciom.

Był to pierwszy zgrzyt tej nocy. Pozostała niespełna godzina do świtu i musiałam jeszcze znaleźć kryjówkę przed dziennym światłem oraz przed ludźmi. - Mniejsza o to. - Przeszłam przez pokój i włożyłam komórkę w otwartą dłoń Danausa.

Oparłam się o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i patrzyłam za nim, kiedy powoli od nas odchodził. Łowca szybko poinstruował swojego asystenta, żeby zatrzymał się w hotelu, gdzie i on się uda po wschodzie słońca. Wszyscy podsłuchiwalismy tę rozmowę.

Nie istniało coś takiego jak prywatność, gdy nocny wędrowiec przebywał z innymi w tym samym pomieszczeniu.

Wstrząsnęła mną wieść, że James przybył do Iraklionu z zamiarem pomagania Danausowi. Skontaktowaliśmy się z nim nieco wcześniej, przed opuszczeniem Wenecji, chcąc, aby Temida potwierdziła, że Kreta może się okazać miejscem złożenia kolejnej ofiary, gdyż, prawdę mówiąc, nie ufałam Sabatowi. Częściowo z tego powodu opóźniliśmy odlot, czekając, aż towarzystwo badaczy z Anglii zbierze informacje od swoich ludzi w terenie, operujących w dwunastu wybranych punktach świata.

A jednak zaniemówiłam, kiedy James wyjawiał, że na Kretę przybył również Ryan. Ten czarownik o złocistych oczach wróży pojawienie się kłopotów. Może i na jakiś czas uciekłam od knozań i tortur Sabatu, lecz teraz znów czekała mnie konfrontacja z niezwykle potężnym człowiekiem, którego dążeń wciąż do końca nie pojmowałam.

- Co to takiego ta Temida? - zapytała cicho Penelopa, robiąc parę kroków w moją stronę.

- Pomoc, której szukaliście.

Mój wzrok powędrował znowu w stronę Danausa, kiedy zakończył rozmowę przez telefon. Przebywałam z łowcą nieustannie od chwili naszego spotkania z Macaire'em i słyszałam obie jego rozmowy z Jamesem. Nie wspomniał mu jeszcze o pakcie Sabatu z naturi. A jednak teraz planował spotkać się z Ryanem beze mnie.

Powiesz mi? - zapytałam, gdy przelotnie dotknął palcami mojej dłoni, oddając mi komórkę.

Muszę.

Nie. Jeszcze nie. To tylko rozpętałoby wojnę.

A jeśli nie powiem, wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie, przekonywał, patrząc na mnie spode łba. Jednakże jego oczy wyrażały coś innego. Danaus był

zaniepokojony i niepewny. Potrafiłam to dostrzec i poczuć emocje, krążące między nami.

Wstrzymaj się na jeszcze jedną noc, poprosiłam.

Po co?

Potrzebuję więcej czasu na przemyślenia. Musi być jakieś lepsze wyjście. Proszę cię.

Zwlekanie nam nie pomoże.

Da nam jeszcze jedną noc bez wywoływania wojny wszystkich ras. Czy nie wystarczy, że walczymy z naturi?

Po chwili Danaus cicho mruknął i oddalił się ode mnie. Zyskałam jeszcze jedną noc.

Ufałam, że Danaus dotrzyma słowa, choć niczego wprost nie obiecał. Zamęt panował wokół

nas i musieliśmy postępować ostrożnie, jeśli chcieliśmy mieć nadzieję, że ocalimy to, co cenne na tym świecie. A miałam mroczne podejrzenia, że dane nam to będzie tylko raz.

Rozdział 21

Nikt nie wydawał się zadowolony, kiedy następnej nocy ostatecznie opuściliśmy hotel, gdzie zatrzymał się Ryan. Danaus nie chciał, żebym rozmówiła się w cztery oczy z Ryanem; Ryanowi nie odpowiadała współpraca Danausa z Penelopą; Penelopa nie chciała pozostawać sam na sam z łowcą, a James wolał, abyśmy nie zostawiali go w hotelu. Tylko Hugo niby na nic się nie skarżał, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że w ogóle nie ma na to wszystko ochoty. Gdy sprzeczki ucichły, miałam zamiar porzucić ich wszystkich. Na szczęście tak bardzo jeszcze nie zwariowałam.

Czekaliśmy na Ryana, aż przebierze się z garniturowych spodni w parę znoszonych dżinsów, po czym czarownik i ja pojechaliśmy taksówką do pałacu w Knossos. Danaus już wcześniej potwierdził, że naturi zesłi z gór i zbliżają się do tego miasta. Jednakże nie znając dobrze tej okolicy, nie potrafił powiedzieć, czy dotarli już do ruin, będących zabytkiem kultury minojskiej.

Potarłam oczy, usiłując rozproszyć napięcie, które we mnie szumiało. Czułam się podminowana. Kreta burzyła we mnie spokój umysłu. We śnie nawiedzały mnie koszmary, w których uciekałam od rozwścieczonego motłochu, a ojciec walczył o moje ocalenie, by samemu zginąć. W dodatku wiedziałam bardzo mało o czarowniku, który koło mnie siedział.

Poznaliśmy się zaledwie kilka nocy wcześniej w Warowni Temidy w Anglii. Owszem, teoretycznie znajdowaliśmy się po tej samej stronie, lecz przecież jakiś czas temu Ryan nakazał Danausowi mnie zabić. Nie byłam do końca pewna, czy przypadkiem wykonanie tego rozkazu nie zostało tylko zawieszona na czas uporania się z naturi.

Ciekawiło mnie, i to bardzo, czy Ryan przybył do Iraklionu sam. Oczywiście, z tego, co zaobserwowałam w trakcie swojej krótkiej wizyty w Warowni, w Temidzie raczej nie roilo się od magików. Być może tylko on, Ryan, dysponował takimi mocami i umiejętnościami, aby naprawdę nam się przydać, lecz to wcale nie poprawiało mi humoru. Jednak na razie ważniejsze pytania tłukły mi się w zaułkach mózgu.

- Co cię napadło, żeby sprowadzać tu Jamesa? - zapytałam, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt zjadliwie.

- Jak to? - spytał Ryan, znakomicie odgrywając rolę niewiniątka. Nieodłączny drwiący uśmiezek nie zniknął z jego ust.

- On nie jest taki jak my. Narażasz jego życie - ściszyłam głos. Taksówkarz mógł nas bez wątpienia podsłuchać; liczyłam tylko, że nie rozumie dobrze po angielsku. Albo że przynajmniej uważa nas za parę zwariowanych turystów. - Jest tu niepotrzebny.

- To niezwykle urocze z twojej strony, Miro - powiedział Ryan ukryty za swoją niewzruszoną fasadą niewinności. - Nie spodziewałem się tego.

- Och, daj spokój, Ryan! - warknęłam, błyskając zaciśniętymi zębami. - Przecież nie jesteś taki tępy.

Uśmiech pozostał na jego szczupłej twarzy o nieokreślonym wieku, ale zniknął ze złocistych oczu. Wpatrywał się we mnie z zastraszającą intensywnością, nim w końcu zaczerpnął powietrza i rzekł:

- Ściągnąłem go tu z trzech różnych powodów. Po pierwsze, do pomocy zarówno Danausowi, jak i mnie. Będzie nas wspomagał we wszelkich sprawach, którymi sami nie zdołamy się zająć, zaprzątnięci bieżącym problemem.

Był to jakiś powód. Niezbyt jednak, moim zdaniem, przekonujący. Charlotte Godwin, moja asystentka, znajdowała się w Savannah i zajmowała się codziennymi sprawami, wynikającymi z prowadzenia moich interesów i organizowania mi podróży - sprawami, które zazwyczaj trzeba było

załatwiać za dnia.

- Po drugie, James działa w Temidzie od kilku lat - ciągnął Ryan - ale ma małe doświadczenie jeśli chodzi o pracę w terenie. Pomyślałem więc, że to będzie dla niego dobra okazja do zdobycia takiego doświadczenia.

- Mogłeś powierzyć mu na początek coś trochę mniej niebezpiecznego -

skrytykowałam go, kręcąc głową. Kiedy zatrzymaliśmy się przed skrzyżowaniem, wychyliłam się nieco do przodu i zwróciłam się do kierowcy. - Jak daleko do Knossos? -

zapytałam łamanym kreteńskim dialektem języka greckiego. Pomimo wszystkich lat, które upłynęły, nie zapomniałam całkowicie tego języka, czego można było się spodziewać.

Jednakże posługiwałam się dość archaiczną jego odmianą. Mało prawdopodobne, aby ktoś mógł mnie zrozumieć. Mimo to, podsłuchując innych, łapałam nowe zwroty. Niewątpliwie mogłam uchodzić za turystkę.

- Mniej niż kilometr - odpowiedział, zerkając na mnie przez ramię. Był starszym mężczyzną, z siwymi włosami oraz twarzą pomarszczoną od słońca i upływu czasu.

- Proszę nas tu wysadzić - powiedziałam, wyciągając kilka euro z przedniej kieszeni skórzanych spodni. Wymieniłam resztę egipskich funtów na euro w hotelu Cipriani, zanim wraz z Danausem wylecieliśmy na Kretę. Nie miałam przy sobie większej gotówki, ale sądziłam, że wystarczy mi na następnych parę nocy. Poza tym musiałam przeżyć kolejne starcie z naturą, dopiero później zamierzałam martwić się o pieniądze.

Taksówkarz chyba chciał oponować, ale zamilkł, kiedy usłyszał, że Ryan już wysiada z samochodu. Nie wiedział, co takiego nas gna do tego pałacu o tak późnej porze, ale, kosztem lekkiego wysiłku mentalnego, zdołałam skłonić go do podwiezienia nas tutaj.

Pozostawiliśmy za sobą Iraklion i znaleźliśmy się na pagórkowatym obszarze, pełnym winnic i gajów oliwnych. Szybko omiotłam mocami okolicę i ku swojej uldze stwierdziłam obecność bardzo niewielu ludzi. Nie musiałam się więc zbytnio troszczyć o to, że ktoś z nich mnie wypatrzy albo będzie świadkiem śmiertelnej potyczki. Problem z wieloma tak zwanymi świętymi miejscami polegał na tym, że stały się one teraz atrakcjami turystycznymi, a wokół

nich wyrastały jak na drożdżach sklepiki, restauracje i hotele dla strudzonych turystów, mających za dużo kasy.

Ryan i ja w milczeniu czekaliśmy w ciemności, póki nie zobaczyliśmy, że taksówkarz zawraca w stronę Iraklionu, gdzie było w miarę bezpiecznie, a potem weszliśmy na pustą ścieżkę, wiodącą do ruin cywilizacji minojskiej. Danaus i Penelopa wzięli taksówkę dziesięć minut przed nami, kierując się na południe od pałacu, by tam wysiąść i także wyruszyć pieszo ku ruinom. Hugo pojechał jeszcze innym autem i miał dotrzeć do pałacu od wschodu.

Gdybyśmy nie zdołali zatrzymać natury, mieliśmy ich przynajmniej zepchnąć w kierunku pieczar na

górze Idi, odgradzając od większych miast i miasteczek w okolicy. Było to doraźne rozwiązanie, w razie gdyby nie udało się zniszczyć naturi.

Po raz pierwszy odkąd zostałam nocnym wędrowcem, ciemność przytłaczała mnie jak fizyczny ciężar dźwigany na barkach, nie wpływając na mnie, jak wcześniej, kojąco.

Mroczne, okrutne wspomnienia pełne strachu i nienawiści, wyłaniały się zza każdego drzewa.

Śmierć mojej matki, widma mężczyzn, których zabiłam - wszystkie te zjawy czekały na moją chwilę słabości, by mnie dopaść. Z zaciśniętymi pięściami starałam się skupić na celu, który widniał przede mną, oraz na osobie potencjalnego przeciwnika koło mnie.

- Powiedziałaś, że są trzy powody ściągnięcia tu Jamesa - rzekłam do Ryana po przejściu w ciemności krótkiego odcinka drogi, podejmując rozmowę, prowadzoną wcześniej w samochodzie. - Co jest trzecim?

Ryan milczał przez dłuższy czas, aż zaczęłam powątpiewać, czy w ogóle mi odpowie.

Wreszcie wziął głęboki wdech i przestał swobodnie wymachiwać rękami w marszu.

- Coś się wydarzyło, a James, jako człowiek odpowiedzialny, uznał, że powinien cię o tym osobiście poinformować.

- A dlaczego mam wrażenie, że to ty nie chcesz, aby on mi o tym powiedział?

- Wolałbym, żeby przynajmniej nie mówił ci tego sam. Obawiam się, że jesteś jedną z tych, co zabijają posłańców przynoszących złe wieści - stwierdził Ryan, przekrzywiając głowę i zerkając na mnie z góry.

- Nie zabiłam Danausa, kiedy opowiedział mi o naturi. To chyba o czymś świadczy.

Wsunęłam dłonie w tylne kieszenie i oderwałam wzrok od czarownika, aby spojrzeć na rzędy drzew i wznesień, które okalały teren wokół krętej drogi. W kaburze na plecach miałam browninga, którego dał mi Danaus, i gotowa byłam użyć tej broni, gdyby cokolwiek tam choćby drgnęło. W najbliższej okolicy wyczuwałam jednak tylko Ryana i to doprowadzało mnie do szału. Powietrze było spokojne, woniejące ziemią i dzikim kwieciem.

Wydawało się, że świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na nieuchronną bitwę.

- Danaus jest ci potrzebny żywy - odparł Ryan. - Poza tym nie jestem do końca przekonany, że zdołałabyś go zabić.

Powstrzymałam się od rzucenia ciętej uwagi, która przysła mi do głowy, i ruszyłam dalej. Ryan próbował zmienić temat i nie było powodu, aby złapać się na taki haczyk.

- Powiesz mi wreszcie, czy też mam to wyciągnąć później od Jamesa?

- Michael zaginął - powiedział cicho Ryan.

Westchnęłam, nieco tylko głośniejsze od chrzęstu butów na żwirowej ścieżce.

- Michael nie zaginął. On nie żyje.

- Tak, wiem. Gabriel nam powiedział. - Ryan zatrzymał się i popatrzyłam na niego.

Siwe włosy okalały wąską twarz tego wysokiego mężczyzny, wyglądającą teraz dziwnie, kiedy cienie wypełniły jego zapadnięte policzki. - Nie możemy odnaleźć jego ciała.

Nagle mnie poniosło i zrobiłam krok w jego kierunku. Musiałam się przemóc, aby nie zacisnąć dłoni na jego gardle, ale udało mi się jakoś przed tym powstrzymać. Wokół mojego mocarnego towarzysza aż iskrzyło od magii i nie miałam wątpliwości, że odrzuciłby mnie od siebie bez mrugnięcia okiem.

A jednak niebezpieczeństwo ze strony czarownika straciło na znaczeniu wobec usłyszanej od niego strasznej wieści. Michael był przez kilka lat jednym z moich aniołów stróżów. Okazał się sprawnym, oddanym ochroniarzem; przy tym słodkim, łagodnym facetem i wyrozumiałym kochankiem. Czuwał nade mną podczas godzin dziennych i stanął u mego boku w walce z naturi, którzy go zabili - w sensie fizycznym. Niedawno zdałam sobie sprawę, że wcześniej sama powoli wykradałam mu życie, a naturi odebrali mi szansę zadośćuczynienia mu za to.

I co teraz? Zaginął? Zaginęły jego zwłoki?

- Jak to? W noc tamtego ataku pozostawiłam go we frontowym holu. Co z nim zrobiliście? - krzyknęłam, nie dbając o to, że mogłam przyciągnąć uwagę wszystkich naturi w okolicy. Michael zasłużył na lepszy los. Chciałam zabrać go do kraju, aby tam mógł spocząć na wieki.

- Nie udało nam się go odnaleźć. Spotkałem się z nim. James też go znał. Był tam Gabriel. Przeszukaliśmy każdy kąt w gmachu i całą okolicę w pobliżu Warowni. Nie było go tam - powiedział Ryan ze spokojem. Położył wielkie dłonie na moich ramionach i lekko je ścisnął. Pod wpływem tego nacisku napięcie ustąpiło nieco z moich barków, lecz nadal nie mogłam rozewrzeć szczęk.

- Kto? - wyszeptałam zdławionym głosem. - Kto go ma?

- Miro... - Ryan znowu urwał i zwilżył językiem spieczone usta. - Naturi znajdowali się na całym piętrze budynku...

- Nie! - Wyrwałam mu się i odeszłam na drugą stronę drogi, kręcąc przecząco głową.

Ręce mi drżały. Sama myśl, że naturi tknęli martwe ciało Michaela rozpałała we mnie irracjonalny płomień. - Absolutnie wykluczone! Nie! Jego ciało im niepotrzebne. Po co mieliby to robić?

- Aby dopaść ciebie.

- Nie, nie wierzę ci. To wy go przetrzymujecie.

- W jakim celu? By zrzucić winę na naturę i sprawić, żebyś znenawidziła ich jeszcze bardziej? - argumentował coraz mocniejszym głosem. - Przecież to niemożliwe. Według Danausa twoja nienawiść do natury jest bezgraniczna i wieczysta. Nic nie mogłoby jej wzmocnić.

Przeszłam z powrotem przez drogę i zbliżyłam się do Ryana, zwinąwszy palce w rozdygotane pięści. Przepelniała mnie chęć podpalenia okolicznych pól i byłam jak czajnik z wrzącą wodą, grożącą wykipieniem.

- Dlaczego? - jęknęłam.

- Nie wiem, kto ma Michaela, ale to nieważne. Jak sama stwierdziłaś, on nie żyje.

Teraz już nic mu nie mogą zrobić.

Owszem, logika podpowiadała, że Michael znalazł się w jakimś lepszym miejscu, a losy jego ciała nie były aż takie ważne. Ale mnie było ono potrzebne. Chciałam pochować go na poletku, które przeznaczyłam dla swoich strażników. W ciągu stulecia, jakie spędziłam w Stanach Zjednoczonych, przeżyłam już kilku innych ochroniarzy i zajęłam się ich pochówkiem, gdyż nie mieli rodzin. Michael powinien spocząć obok nich, w swoim kraju, w Savannah. Tam, gdzie mogłam nad nim czuwać.

Odwróciwszy się od Ryana, podjęłam marsz w kierunku pałacu. Po paru sekundach Ryan mnie dogonił. Nie wiedziałam, czy mu wierzyć. Nie dostrzegałam sensu w tym, by Temida lub natury zabrali zwłoki Michaela, ale wiedziałam, że sprawa ta powróci do mnie pewnego dnia i zacznie mnie dręczyć.

Wspięliśmy się na pagórek, skąd roztaczał się widok na dolinę rozpościerającą się przed nami, z farmami i winnicami w oddali. Gdy droga skręciła w lewo, drzewa jakby się rozstały i ukazały się ruiny pałacu. Wydały mi się wielkie niczym miasto.

A jednak coś tu było nie tak. Kilka minut później zwolniłam kroku, kiedy zbliżyliśmy się do minojskich ruin. Uniosłam przed sobą prawą rękę, rozwierając dłoń. W powietrzu narastała energia, lecz nie elektryczne iskrzenie jakie biło od Ryana. Coś innego; coś gorącego i gęstego, jak żywy stwór, nabierający fizycznego kształtu.

- Czujesz to? - zapytałam szeptem, przystając. Teraz trzymałam przed sobą obydwie dłonie, a wydawało mi się, że dotykam żyjącego stworzenia, choć okolica była pusta.

- Tak, energia - odpowiedział. Stał koło mnie, lewą ręką zamachał powoli w powietrzu przed sobą. - Wyczuwałaś to w Stonehenge?

Czy wyczuwałam to w Stonehenge? Kiedy tam przybyłam, ciało miałam całe obolałe, gdyż Danaus wyczuł je chwilowo z mocy dla własnych celów. Nie mogłam tego znieść i każdy centymetr mnie był ze straszliwego bólu. Coś bolesnego wisiało wtedy w powietrzu, lecz zmysły miałam tak przyćmione, że nie byłam pewna, czy to, co czułam, miało związek ze Stonehenge, czy też z narastającą mocą, bijącą od ziemi.

- Nie jestem pewna. Chyba tak - powiedziałam ostrożnie, ostatecznie zmuszając nogi do podjęcia

marszu na nowo. Opuściłam rękę i kilkakrotnie rozprostowałam palce, żeby rozluźnić mięśnie. Moc w powietrzu była od tej budowli. - Potrafisz określić, czy natężenie tej energii osiągnie szczyt dzisiejszej nocy, czy raczej jutrzejszej? - spytałam, zerkając na Ryana.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył szerokimi, a przy tym szczupłymi ramionami, zanim na mnie spojrzał.
- Nie znam się na ziemskich mocach.

Z marsową miną przystanąłam przed spękkanymi i pokruszonymi schodami, które wiodły do pałacu. Magia dzieli się zasadniczo na dwie kategorie: ziemską i duchową, zwaną także magią krwi. Większość czarowników para się obiema, lecz w końcu zaczyna się specjalizować w jednej albo w drugiej. Obie grupy potrafią czynić podobne magiczne rzeczy, ale każdy z tych stylów magii ma własne wymagania i ograniczenia.

No i pozostawał jeszcze Rowe. Jako naturi był, co naturalne, dobry w magii ziemskiej, chociaż wydawał się równie sprawny w magii krwi, mimo że wpadł w kłopoty, aranżując żniwa w Egipcie przed niespełną tygodniem. Sytuacja przedstawiałaby się znacznie prościej, gdyby naturi uprą wiali magię ziemską, a bori - magię krwi. Wtedy wiedziałabym, na czym stoję, gdyby zaczęło się robić nieciekawie.

Z jedną stopą na schodach, spenetrowałam swoimi mocami okolicę. Danaus i Penelopa znajdowali się na południu od nas, zbliżając się powoli, a Hugo był nieco dalej na wschód. Niestety, z naszej piątki tylko Danaus potrafił wyczuwać obecność naturi.

Czekaliśmy na niego, aż da ostrzegawczy strzał, że naturi są tutaj, gdyby ktoś z pozostałych nie zareagował na to wcześniej.

Doszłam do szczytu schodów, a tam przystanąłam i przykucnęłam, przykładając dłonie do zwietrzałych kamieni. Pałac wznosił się na szczycie wzgórza, na którym stał.

Gdybym weszła w te ruiny, stałabym się łatwym celem dla każdego naturi. Pomimo nocnych ciemności mogłam łatwo przenikać wzrokiem gęste cienie. Lecz dostrzegałam tylko kolumny i fragmenty pokruszonych głazów. Okolica wydawała się opustoszała, ale wiedziałam, że naprawdę jest inaczej.

Poruszyłam ramionami i zacisnęłam zęby. Napór mocy w tym miejscu wzmógł się nieco, kiedy wchodziłam po schodach. W skroniach zaczęłam odczuwać pulsowanie i coś uciskało mi podstawę czaszki. Z zupełnie nowego powodu zaczęłam liczyć na to, że ta batalia nie potrwa zbyt długo. Ból zaczynał mnie dekoncentrować i nie byłam pewna, jak w takim stanie utrzymam w ryzach swoje moce.

Ryan przycupnął i usiadł naprzeciwko mnie na schodach. Nie wiedziałam, jak dobrze widzi w całkowitych ciemnościach, jednak przypuszczałam, że dzięki jakimś zaklęciom może wyostrzyć swój ludzki wzrok.

- Czy Danaus opowiedział ci o Rowe'em? - zapytałam szeptem, a siwowłosey czarownik znowu spojrzał mi w twarz. Przytaknął skinieniem głowy, więc ponownie zajęłam się myślami, które nie

dawały mi spokoju. Jak często przychodziło mi znajdować się w towarzystwie sędziwego czarownika, o mózgu nabitym wiadomościami o magii? - On jest inny. Przeróżający. Ma ciemne włosy i ciemne oczy. Inaczej niż pozostali naturi. Czy to efekt czarów?

Ryan zawahał się na moment, zanim kiwnął głową.

- On kła magię, więc i czary skalają jego - odpowiedział wreszcie cichym głosem. -

Korzysta z ziemskich mocy dla rozniesienia magii krwi.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu przez długą chwilę, przyglądając się śnieżnobiałym włosom i złocistym oczom, jakich nigdy nie widziałam u istoty ludzkiej w ciągu przeżytych sześciuset lat, aż wreszcie wypowiedziałam myśl, która przemknęła mi przez głowę, to o czym oboje wiedzieliśmy.

- Odwrotnie niż ty. Kalasz ziemską magię, rozbudzając ją za pomocą magii krwi.

Nieodłączny uśmiech, przyklejony, jak się zdawało, do ust Ryana, zaniknął, a twarz czarownika stała się nieprzenikniona. Żadne prawa nie zakazywały tego, czym on sam oraz Rowe się parali. A jednak, jak rozumiałam, mieszanie tych dwóch stylów magii było niebezpieczne i nie wzbudzało niczyjego zachwyty.

- Teraz nie czas na rozmowę o tym - stwierdził Ryan lodowatym tonem.

- Wręcz przeciwnie - sprostowałam, uśmiechając się do niego szeroko. Nachyliłam się lekko i położyłam dłoń na jego nadgarstku. - Znasz ziemskie zaklęcia. Czerpiesz potężną moc, wypływającą tutaj z ziemi. Wykorzystaj ją. Rzuć jakieś zaklęcie. Jakiegokolwiek.

Odchylił się i wykrzywił usta.

- Ziemskich zaklęć, jakie znam, nie należy rzucać beztróska, a moja siła nie pochodzi z ziemi. To byłoby zbyt niebezpieczne.

- Bardziej niebezpieczne od umożliwienia naturi złożenia tutaj ofiary jutrzejszej nocy?

- zapytałam, na krótko podnosząc głos. - Jeżeli wypowiedzisz tu teraz zaklęcie, to czy nie odbierzesz im nieco mocy? Czy nie mogłoby to pokrzyżować ich planów złamania pieczęci?

Czarownik oderwał ode mnie spojrzenie i zaczął wpatrywać się w ruiny. W

zamyśleniu ściągnął brwi, rozważając moje słowa. Pojmowałam tylko dość ogólnikowo, jak działają czary, ale mój wywód wydawał się logiczny. Gdybyśmy użyli magii tu, na oczach naturi, moc płynąca z ziemi rozpuściłaby się i przemieściła w inne miejsce. Bardzo mało prawdopodobne, by naturi zdołali odnaleźć to miejsce przed nowiem następnej nocy.

Musieliby wtedy czekać do jesiennego zrównania dnia z nocą, czyli jeszcze przez ponad miesiąc. A to dałoby nam wystarczająco dużo czasu do wytropienia Rowe'a i zniszczenia go.

- Jest jeszcze jeden problem - stwierdził Ryan po upływie kilku minut. - Bez względu na to, jakie ziemskie zaklęcie rzucę, musiałbym zacząć od magii krwi i dopiero wtedy przejść do magii ziemi.

- Możesz to zrobić? - spytałam, na co chytrze się uśmiechnął, a radosna iskra zatańczyła w jego zwężonych oczach. - No więc w czym tu problem?

- Nie wykorzystuję własnej duszy do rozbudzania czarów - przyznał, nie przestając się uśmiechać.

- Jasne, że nie. Coś takiego było dla nowicjuszy. Po co zużywać własną duchową energię, skoro można czerpać ją od kogoś, kto akurat jest w pobliżu? Nic dziwnego, że tak mu dobrze na czele Temidy. Nie tylko miał dostęp do znakomitego źródła informacji na temat istot wszystkich innych ras, ale także stale miał wokół siebie dogodne źródła energii.

Podobnie jak nocni wędrowcy, czarownicy od magii krwi zawsze trzymali się w pobliżu wielkich miast, podczas gdy nieliczne czarownice od magii ziemskiej wołały obszary lesiste.

Należało przebywać w pobliżu źródeł pożywienia, a w przypadku magów - źródeł duchowej stawy.

- Powtarzam: w czym tkwi problem?

- W pobliżu nie ma ludzi.

Miałam już na końcu języka, że przecież Danaus znajduje się gdzieś blisko, ale nie wypowiedziałam imienia łowcy. Oboje, Ryan i ja, wiedzieliśmy, że Danaus to nie do końca człowiek, choć zastanawiałam się, czy Ryan jest świadom tego, iż Danaus ma jakieś powiązania z bori. Najwyraźniej posłużenie się w takim celu łowcą nie wchodziło w grę, co zresztą pewnie było dobre dla wszystkich zainteresowanych.

- A możesz skorzystać z energii nocnego wędrowca? - spytałam. Właściwie niezbyt zachwyciła mnie myśl o Ryanie czerpiącym energię, jaka utrzymywała mnie przy życiu, jednak bardziej obawiałam się konfrontacji z naturą w kolejnej bitwie o zachowanie pieczęci.

- Nie mogę. Ty nie masz d...

- To bzdura i dobrze o tym wiesz - syknęłam, zaciskając mocniej dłoń na jego nadgarstku. - Nocni wędrowcy mają dusze. Poza tym jesteśmy ściśle powiązani z magiczną mocą krwi. Dzięki niej żyjemy.

Poruszył ramieniem, wykręcając je tak, bym go puściła.

- Mogę spróbować. Nigdy dotąd tego nie robiłem, więc nie mam pewności, czy...

- Dam sobie radę - przerwałam mu. Zwracając uwagę ponownie ku ruinom, rozejrzałam się po okolicy, szukając jakiegokolwiek oznaki bytności natury. Panowała cisza, słychać było tylko lekki szum liści na okolicznych drzewach poruszanych przez wiatr. Zanim ruszyliśmy dalej, dotarłam myślami do Penelopy i Hugona, i przekazałam im, co tu zaplanowaliśmy. Oboje mieli nas osłaniać, podczas gdy Ryan będzie rzucał zaklęcie.

Wstałam, podpierając się obiema rękami, i pokonałam ostatnie kilka schodów, wchodząc w głąb ruin po kamiennym podłożu. Skoro Danaus nie oddawał ostrzegawczego strzału, Ryan i ja zakładaliśmy, że w ruinach nie ma naturi. Naturalnie, upewniłam się, i to nie raz, że Danaus żyje i jest przytomny. Nie sądziłam, by Penelopa mogła zabić Danausa, ale z pewnością jej nie ufałam. W owej chwili żywy łowca potrzebny był mi dużo bardziej niż ona.

- Dokąd idziemy? - zapytał szeptem Ryan, nachylając się ku mnie. Wydało mi się to niemądre. Stanowiliśmy łatwy cel, nie mając się gdzie skryć. Skoro naturi nas nie dostrzegali, to nie zamierzałam się martwić tym, że nas usłyszą. Oczywiście sama również odpowiedziałam mu szeptem. Pewne sprawy wymykają się nakazom logiki, kiedy strach zwija żołądek w ciasny węzeł.

- W centrum pałacu znajduje się wielki dziedziniec. Mogę się założyć, że magia działa tam najsilniej - odrzekłam. Większość czasu podczas lotu na Kretę spędziłam z Danausem na studiowaniu planów pałacu w Knossos. Znajdowało się tu niejedno miejsce, które naturi mogli wykorzystać do złożenia ofiary, czemu nam, w piątkę, byłoby trudno przeszkodzić.

Lepiej już od razu oczyścić ten pałac z magii i dzięki temu pokrzyżować im plany.

Przystając za skrajem jednej z niewielu ścian, jakie się dotąd ostały, ujrzałam, jak Ryan badawczo przypatruje się wyblakłemu freskowi, który przetrwał przez stulecia. Nawet w ciemnościach mogłam stwierdzić, że barwy tego malowidła były nadal stosunkowo żywe, pomimo upływu wieków. Żałowałam, że nie mam czasu na wędrowki po tych ruinach i podziwianie tego, co pozostało z tej niegdyś zdumiewającej budowli. Na razie jednak to naturi dominowali w moich myślach.

- Miro - powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu, nim zdołałam odsunąć się od ściany.

- Te dawne mity o labiryncie...

- Labirynt miał się znajdować pod pałacem.

- A Minotaur?

Uniosłam zaskoczona brew, słysząc to pytanie. Szczerze mówiąc, nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy Ryan żartuje, czy też nie. Minotaur? Ten półczłowiek, półbyk, trzymany ponoć w niewoli w tutejszym labiryncie?

- Oni stworzyli wilkołaki - przypomniał mi Ryan, kiedy milczenie zaczynało się niezręcznie przedłużać.

- Tego nigdy nie dowiedziono - odrzekłam półgłosem, kręcąc przecząco głową.

Trudno mi było zaakceptować ten mit dotyczący wilkołaków i naturi, ponieważ miał on coś wspólnego z odrażającymi opowieściami na temat pochodzenia mojej własnej rasy. - Nie było nikogo takiego jak Minotaur. To tylko barwna baśń, wymyślona przez ludzi.

Podążaliśmy naprzód przez następnych kilka minut, aż doszliśmy do rozległego pustego miejsca w centrum pałacowych zabudowań. Miało ono kształt prostokąta, a jego skraj znaczyły porozbijane

kamienie, które składały się na mury, kolumny i zadaszenie tej budowli przed wiekami. Słyszałam stare opowieści o pałacu w Knossos, kiedy dorastałam w Chanii, ale wtedy nie oddalałam się zbyt od rodzinnego domu.

- Masz na myśli jakieś zaklęcie? - zapytałam, odwracając się tyłem do Ryana, gdy stanął na środku tego placu. Moc w powietrzu była niewiarygodna, napierając na mnie tak, jak gdyby mogła przeniknąć przez moją skórę aż do narządów wewnętrznych. Jednakże równocześnie energia wydawała się gęsta i ciężka. Jej porcje zdawały się za duże, by we mnie wnikać, choć niestrudzenie do tego dążyły.

- Tak - odrzekł. Nawet jego głos wydawał się tutaj przytłumiony, jakby dźwięki z trudem przedzierały się przez energię. - Zamierzam wywołać burzę.

Obróciłam się nagle, by stanąć z Ryanem twarzą w twarz, i otworzyłam usta, słysząc taką zapowiedź.

- Czy to nie za potężne zaklęcie? Większość mocy znajdzie się w powietrzu i można w ten sposób zniszczyć połowę wyspy, nie wspominając już o nas.

- Tak naprawdę gdybym nie był przy tym wyjątkowo ostrożny, spustoszyłbym nie tylko tę wyspę, ale i kilka okolicznych - powiedział. Głos miał spokojny, jakby myśl o niezliczonych ofiarach śmiertelnych nie poruszała go w najmniejszym stopniu. - Przecież sama tego chciałaś.

- Chcę, żebyś rzucił zaklęcie, a nie wywoływał masową zagładę. Po co coś tak potężnego?

Może nie znałam się zbyt na magii, lecz wiedziałam, że zaklęcia związane z pogodą są bardzo skomplikowane i wymagają olbrzymiej energii. Mogli je rzucać tylko nieliczni, a z tych, którym się to udawało, tylko niektórzy potrafili zapanować nad ich skutkami.

- Już ci mówiłem, że nie jestem od magii ziemskiej. Nie znam zbyt wielu zaklęć związanych z ziemią, a te nieliczne, które znam, są bardzo niebezpieczne. A więc chcesz, abym to zrobił? - zapytał ostro. Uniósł obie ręce na boki, zwracając wnętrza dłoni na zewnątrz. Wyglądało to tak, jakby zamierzał schwycić powietrze wokół siebie i wtłoczyć je w swoje ciało.

Ku mojemu zdumieniu, wahałam się tylko przez chwilę. To było głupie. I niebezpieczne. Ale także mogło stanowić jedyną dla nas okazję powstrzymania natury na Krecie. Pomyślałam, że gdybyśmy powstrzymali ich tej nocy, udałoby się poświęcić kilka następnych tygodni na ściganie Rowe'a - naszego głównego przeciwnika.

- Zrób to.

Ryan wziął głęboki, oczyszczający wdech, równocześnie zamykając oczy. Znowu zwróciłam się do niego plecami, kiedy rozległ się huk wystrzału. Cholera. Mieliśmy towarzystwo. Teraz czarownik nie zdałby mi się już na nic. Nie można było go rozpraszać podczas rzucania trudnego zaklęcia, w co się zaangażował, a ja musiałam go ochraniać bez względu na okoliczności.

Wyciągnęłam pistolet z kabury na plecach, powoli obróciłam się wokół i, trzymając broń w obu dłoniach przed sobą, omiotłam wzrokiem okolicę. Niczego nie dostrzegłam.

Rozległ się drugi strzał, a kula odbiła się rykoszetem od kamienia za mną.

Ścisnęło mnie w żołądku i odwróciłam się w samą porę, by ujrzeć, jak biegnie ku mnie naturi z krótkim mieczem wzniesionym nad głową. Trzykrotnie nacisnęłam spust, zanim w końcu zdołałam trafić pociskiem w jego pierś. Trafionego naturi podrzuciło, a potem zachybotał się na pogruchotanych kamieniach i upadł na ugięte kolana i ręce. Miecz potoczył

się na podłoże z donośnym brzękiem, a naturi głośno jęknął.

Uśmiechnęłam się, lecz wtedy zostałam niespodziewanie obalona na kolana. Opadły mi ręce, a broń niemal wysliznęła się ze zdrętwiałych palców. Nic mnie nie trafiło. Coś jakby wlokło mnie za plecy, jak gdyby coś mnie zaplatało w sieć. Straciłam ostrość widzenia, a zmęczenie zaciążyło na moich ramionach.

To Ryan zdołał zaczerpnąć moją energię. Wątpię, czy jakikolwiek człowiek odczułby coś takiego; może najwyżej przystanąłby i ziewnął, ogarnięty nagłą falą zmęczenia, a po chwili powrócił do swoich zajęć. Jednakże źródłem mojego istnienia była czysta energia duchowa, której nie mogłam generować, wobec czego musiałam posilać się krwią innych.

Jeśli Ryan nie uwolnił mnie szybko, musiałabym albo pożywić się, albo usnąć. Ani jedno, ani drugie nie wchodziło w owej chwili w grę. I choć pragnęłam wysączyć ostatnią kroplę krwi z jęczącego naturi, wiedziałam, że ich krew była trucizną dla wszystkich nocnych wędrowców.

Skrobanie o kamień i nowy odgłos ocuciły mnie. Druga naturi uklękła przy tym, którego postrzeliłam kilka sekund wcześniej. Prawą ręką pomagała mu usiąść, a w lewej dzierżyła miecz.

Powstałam równocześnie z nią. Zgrzytając zębami, szykowałam się do ataku, gdy zobaczyłam, jak Danaus i Penelopa wyłaniają się z mroku po mojej prawej stronie. W końcu dołączyli do tej rozgrywki. Uzmysłowiłam sobie wtedy, że naturi atakują ze wschodu.

Okrążyli nas, by działać z zaskoczenia. Oznaczało to jednak również, że albo obeszli Hugona niezauważeni, albo też zabili tego nocnego wędrowca przed dotarciem do pałacu. Niestety, nie mogliśmy wyruszyć na jego poszukiwanie do czasu uporania się z naturi.

Zwróciwszy się ponownie w stronę Ryana, zobaczyłam, że czarownik stoi tam, gdzie go zostawiłam. Wyciągał ręce ponad głową, kierując je ku niebiosom, nad którymi chciał

zapanować. Szybko poruszał ustami, ale nie słyszałam tego, co mówił. Zerwał się silniejszy wiatr, a temperatura spadła o kilka stopni. Ponad nami ciemne, gęste chmury skłębiły się na czystym wcześniej niebie, przesłaniając gwiazdy. Nadciągała potężna burza.

Ciężar spadł nagle z moich ramion, a zmęczenie odeszło jak fala powracająca do morza. Ryan uwolnił moją energię i zaczął czerpać z ziemi moc, która wznosiła się spod naszych stóp. Czarownik odchrząknął, a wtedy znów na niego spojrzałam. Na jego obliczu pogłębiły się zmarszczki świadczące o napięciu. Wzniesione nad głową jego długie palce drżały. Chciałam go zapytać, czy nic

mu nie jest, wie działał jednak, że nie wolno go rozpraszać. Bez względu na to, co by odparł, teraz nie było już odwrotu.

Szelest ubrania, uniesienie się włosów na moim karku - to jedyne sygnały ostrzegawcze, jakie odebrałam. Obróciłam się wokół własnej osi na lewej pięcie i jednocześnie uniosłam trzymaną w obu dłoniach broń. Wpakowałam w naturi cztery kule, zanim padł martwy na ziemię. Zaciśniłam zęby, pospieszyłam w jego stronę i podniosłam krótki miecz, który wypuścił z rąk.

Stojąc nad zabitym naturi, poświęciłam chwilę na odcięcie mu głowy. Nie należało ryzykować. Nie miałam zbytnej wprawy w posługiwaniu się bronią palną. O dziwo, ten naturi był z klanu ziemi. Z doświadczenia wiedziałam, że nie specjalizowali się w walce wręcz. Tę pozostawiano członkom klanu zwierzęcego. Klan ziemski wołał posługiwać się magią, pozwalając ziemi i roślinom walczyć zamiast niego.

Tymczasem owi naturi nie korzystali z czarów. Czyż nie z obawy przed wyczerpaniem energii ziemi, przepelniającej tę okolicę? Uśmiechnęłam się, gdy zwróciłam się ku miejscu, gdzie Danaus i Penelopa walczyli z naturi. Moje przypuszczenie mogło okazać się słuszne.

Wielkie krople lodowato zimnego deszczu zaczęły padać z nieba, skapując na moją głowę jak drobne kamyki i błyskawicznie wsiąkając w podkoszulek. Błyskawica rozwidliła się na niebie, przelatując od jednej skłębionej masy czarnych chmur do drugiej, zanim rozległ

się głośny grzmot. Burza się nasilała.

Zerwał się wiatr, zwiewając mi włosy na twarz, co oślepiło mnie na moment.

Odgarnęłam je w porę, widząc kolejnego naturi z klanu ziemi, biegnącego w naszą stronę ze wzniesionym mieczem. Umieszczając pistolet z powrotem w kaburze na plecach, uderzyłam tego stwora krótkim mieczem trzymanym w prawej ręce. Uznałam, że pogarszająca się pogoda raczej nie pomoże mi dobrze celować, i musiałam oszczędzać ostatnie naboje, które zostawiłam na czarną godzinę.

Ciężko było odpierać ataki naturi, kiedy burza wciąż przybierała na sile. Wiatr huczał i padały strugi ulewnego deszczu, oślepiając nas. Błyskawice strzelały na niebie, oświetlając okolicę jak światło stroboskopowe w zadymionym nocnym klubie. Pozbywszy się w końcu przeciwnika po wbiciu mu miecza w serce, zwróciłam się z powrotem w stronę Ryana, przyciskając lewą dłoń do uda, by zatamować krwawienie. Naturi zdołał mnie zranić, zanim go zabiłam. Ból odczuwałam w zaułkach umysłu tylko jako lekko pulsujące ćmienie.

Ulewa się tak nasiliła, że nie mogłam już dostrzec Danausa i Penelopy. Wszelkie odgłosy bitewne zostały zagłuszone przed deszcz i grzmoty. Ryana nie widziałam już także.

Wcześniej znajdował się zaledwie parę metrów za mną. Zrobiłam kilka gorączkowych kroków do przodu i nabrałam w płuca powietrza, aby zawołać go po imieniu, kiedy niemal się potknęłam o jego stopę. Czarownik siedział na ziemi, z ramionami wspartymi na kolanach ugiętych nóg.

Uklęklam przed nim i schwyciłam go za skulone ramię. Ryan się poderwał, gwałtownie unosząc głowę. Natychmiast jednak się rozluźnił, gdy przekonał się, że to ja.

- Załatwione - obwieścił, ocierając z oczu wodę. Przemoczone ubranie przylgnęło do jego szczupłej postaci; cały drżał, z zimna lub z wyczerpania.

Spojrzałam w górę, ku niebu. Burza wokół nas nadal przybierała na sile. Błyskawice, które wcześniej zadowalały się przeskakiwaniem z chmury na chmurę, teraz coraz częściej uderzały w ziemię. Z paru trafionych przez pioruny drzew już poszedł snop iskier i odłamków drewna.

- Jak to: „załatwione”? - przekrzykiwałam ulewę. Deszczowa woda mąciła mi wzrok i skapywała z czubka nosa. Gdybym oddychała jak ludzie, bałabym się, że się nią zadławię. -

Burza potężnieje.

- Burza czerpie energię z tego miejsca. Będzie przybierała na sile, póki ta energia się nie wyczerpie - odpowiedział krzykiem Ryan.

Natychmiast go puściłam i niemalże straciłam równowagę, gdy świat zakołysał mi się pod stopami. Burza czerpała moc z tego ziemskiego źródła. A wydawało się ono niewyczerpane.

- Oszalałeś? - wrzasnęłam. - Musisz to powstrzymać!

Gdyby burza ta przemieściła się znad Krety, a na Morzu Egejskim rozpętałyby się sztorm, zmiotłby kolejne wysepki, a potem uderzył w stały ląd. Zginęłyby tysiące ludzi.

Wpatrywał się we mnie, parokrotnie otwierając i zamykając bezgłośnie usta.

- Nie mogę - powiedział wreszcie, gdy zdołał wydobyć z siebie głos. - Rzuciłem to zaklęcie. Nie potrafię go odwołać ani opanować.

- Oszalałeś? - powtórzyłam. Tylko tyle zdołałam wypowiedzieć. Przerazenie zmroziło moje myśli.

- Sama kazałaś mi wykorzystać tę energię - krzyknął ze złością.

- Tak, ale nie miałaś przy okazji niszczyć całego południa Europy. - Chwyciłam go mocno za oba ramiona i potrząsnęłam nim. - Musisz to powstrzymać.

Zaklęcie, wisząc nadal w powietrzu, nie naruszyło mocy, wyłaniających się z ziemi.

Ryan musiał jakoś je powstrzymać, zanim zrobi się jeszcze gorzej.

Ból przeszył mi policzki i szczękę, i odrzuciło mnie w tył, kiedy Ryan wyszarpnął

ramiona z moich rąk. Zjechałam w dół po roztrzaskanym kamieniu, zatrzymując się na większej, nieruchomej skale. Jej ostra krawędź wbiła mi się w plecy, prawie że wdzierając się między kręgi.

Jęcząc, spojrzałam w górę i ujrzałam Rowe'a, stojące go koło oszołomionego Ryana.

Przemoczony, lecz wcale nie zbity z pantafelów przez wzmagającą się burzę, naturi uśmiechnął

się do mnie, spychając czarownika na bok. Stając na szeroko rozstawionych nogach, Rowe jakby od niechcenia uniósł nad głowę lewą rękę, nie spuszczać ze mnie wzroku, kiedy wstawałam.

Burza na niebie się uspokoiła. Ulewa przeszła w miarowy deszcz, a wiatr nie próbował już miotać mną po otwartej przestrzeni. Rowe zapanował nad burzą i to bez specjalnego wysiłku.

Nie powinno mnie to zaskoczyć. Już wcześniej zademonstrował mi zdolność manipulowania pogodą, gdy spotkaliśmy się w Wenecji. Nie spodziewałam się tylko, że przyjdzie mu to tak łatwo. Bez żadnych starań. Bez wysiłku. Zwyczajnie uniósł rękę, a rozwścieczony żywioł wniknął mu w dłoń.

Kiedy naturi uspokajał szalejącą burzę, szybko rozejrzałam się wokoło. Nadal nie było tu ludzi, co oznaczało, że Rowe nie może złożyć ofiary. A potem mój wzrok natrafił na czarownika, który także powstał. Naturi nie mogli złożyć ofiary, chyba że pochwycą Ryana.

Musiałam go stąd ewakuować. Nie przypuszczałam, aby Rowe próbował tej nocy złamać pieczęć, ale i nie chciałam ryzykować, by przekonać się później, że jednak się pomyliłam.

- Miło cię tu spotkać - zawołałam, otrzepując podrapane dłonie o nogawki skórzanych spodni. Byłam potłuczona, posiniaczona i całkiem przemarznięta. Potrzebna mi była wanna pełna gorącej wody. Zamiast tego miałam przed sobą tego aroganckiego naturi.

- Starożytne ruiny. Środek nocy. Typowe miejsce schadzek kochanków - naigrywał się, a jego uśmiešek przeobraził się w szeroki, złośliwy grymas.

Powoli odstąpiłam w lewo, w kierunku Ryana. Chciałam się znaleźć między nim a Rowe'em, ale naturi odgadł mój plan. Nieznacznie poruszył palcami i piorun huknął w ziemię między Ryanem a mną. Oboje odskoczyliśmy w przeciwne strony, a powietrze wokół nas wprost zaiskrzyło energią.

Kiedy, powstawszy, spojrzałam znów na Rowe'a, ów przypatrywał się bacznie Ryanowi. Czarownik szykował się do rzucenia jakiegoś zaklęcia; nie miałam pojęcia, jakiego.

Obawiałam się tylko, że wyzuje mnie z energii i pozostawi tu osłabioną i bezsilną.

- Głupi ludzie - warknął Rowe, opuszczając rękę. - Nigdy nie nauczycie się panowania nad pogodą. Nie jesteście w stanie pojąć mocy ziemi.

- No, proszę! - zadrwiłam, znowu przyciągając ku sobie wzrok Rowe'a. - Nigdy bym nie pomyślała, że taki z ciebie szowinistyczny fiut. - Koncentrując energię, zanim Ryan mógłby z niej skorzystać, wywołałam na obu dłoniach ogniste kule. Z powodu nieustannego deszczu wymagało to zużycia nieco większej mocy.

Jednak wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Energia, która wcześniej na mnie napierała, przeniknęła do mojego ciała. Ogniste kulki, wielkości piłeczek tenisowych, których żar starałam się

podtrzymywać, przeobraziły się w moich rękach w kule o rozmiarach piłek do koszykówki, strzelających iskrami i kipiących wściekle energią. Cisnęłam nimi obiema w Rowe'a, zanim zdążyłam pomyśleć. Kiedy energia wniknęła we mnie, nie mogłam jej okiełznać. Moc stale narastała, gorąca i kłująca.

Zamrugałam, próbując wznieść się ponad ten strumień mocy i patrząc, jak Rowe uskakuje przed ognistymi kulami. Energia przepełniała mnie i nie miałam wyboru - musiałam nadal miotać kulami w mrocznego naturi w nadziei podpalenia tego drania. A nie było to proste zadanie, nawet gdy energia przepływała przeze mnie swobodnie. Korzystałam z wielkiego źródła mocy, ale utraciłam częściowo zdolność panowania nad nim, którą doskonaliłam przez długie stulecia.

Kiedy Rowe przewrócił się na ziemię, machnął ręką w moją stronę. Błyskawica wystrzeliła z nieba, uderzając o parę metrów od miejsca, w którym stałam. Oskoczyłam do tyłu, zaprzestając ciskania w niego ogniem. Rowe skorzystał z tej chwili przerwy i sprawił, że burza znów się wzmogła. Kolejne gromy spadały na ziemię, a każdy z nich coraz bliżej mnie.

Rowe spychał mnie z centrum placu pośród ruin.

Zmuszając mnie w ten sposób do odwrotu, powstrzymywał mnie też przed wykorzystaniem mocy, gromadzącej się w moim ciele. Nie potrafiłam jej z siebie wypchnąć.

Nie umiałam jej zatrzymać. Pocieszało mnie jedynie to, że byłam w stanie użyć tej energii, jednak nie mogłam się na tym skupić, uskakując przed spadającymi gromami.

Miro.

Ulga, jaką poczułam, usłyszawszy głos Danausa w swoim umyśle, była natychmiastowa. Tak bardzo skoncentrowałam się na starciu z Rowe'em, że zapomniałam, iż łowca czai się gdzieś w pobliżu.

Co chcesz, żebym zrobił?

Zabierz stąd Ryana. Oni mogą go wykorzystać, poleciłam w krótkiej chwili wytchnienia między uderzeniami piorunów. Szybko cisnęłam kolejną ognistą kulą w Rowe'a, ale spudłowałam, trafiając nią innego naturi, którego objęły ciekłe płomienie pomarańczowej barwy. Nie miałam czasu, aby dobrze wycelować.

Kolejny piorun. Uderzył o wiele za blisko. Oskoczyłam, ale nie widziałam, na czym ląduję. Prawą stopą natrafiłam na spory odłam skalny, zachwiałam się i upadłam ciężko na plecy. Krzyknęłam z bólu, który przeszył mi kręgosłup i żebra. Straciłam wszelką kontrolę nad energią, która wibrowała w całym moim ciele. Ściana ognia wyrosła wokół mnie z groźnym hukiem.

Leżąc na plecach, spojrzałam w górę i zobaczyłam otaczający mnie ognisty krąg, strzelający w niebo na wysokość prawie czterech metrów. Trzaskające pomarańczowe i żółte płomienie niczym piec suszyły mi ubranie i włosy oraz przepędzały chłód, który przeniknął

do kości. Wcześniej nie przyszło mi do głowy postawienie takiej ognistej zapory. Po upływie ponad sześciuset lat uczyniłam to odruchowo, tak jak odruchowo unosi się dłoń, osłaniając oczy przed zbyt

jasnym światłem.

Miro! Ten gorączkowy krzyk w mojej głowie stanowił jedyne ostrzeżenie. To był

Danaus. Nie tylko w moim umyśle, ale we mnie całej; jego moce wniknęły we mnie, aż nie mogłam już oddzielić się od niego. Ból eksplodował w moim ciele. Myślałam, że moc energii, jaką Danaus we mnie wciskał, pogruchocze mi kości.

Niemalże wrzasnęłam, by przestał, kiedy uświadomiłam sobie, że jego energia, która mnie wypełniała, wypiera moc płynącą z ziemi. Krąg ognia skurczył się, płonąc przy samym gruncie. Leżałam bez ruchu, z przymkniętymi oczami, koncentrując uwagę na walce, jaka toczyła się we mnie, ale bez mego udziału.

- Miro! - krzyknął Danaus. Wciąż pozostawał we mnie, lecz wołał mnie teraz. Był gdzieś blisko.

- Nic mi nie jest - odparłam półgłosem, niezupełnie w zgodzie z prawdą. Ciało bolało mnie na sto różnych sposobów i pożałowałam, że jednak nie dopuściłam, by Rowe trafił mnie piorunem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że jakiś nocny wędrowiec może przeżyć coś takiego. Naturalnie, miałam pecha, że spotkało to właśnie mnie.

Uwolnij mnie od tego, powiedziałam do Danausa, korzystając z naszego prywatnego połączenia. Nie istniał powód, by zdradzać innym nasz mały sekret. Mieliśmy dość innych problemów. Powoli poczułam, jak wycofuje swoje moce z mojego ciała, aż stałam się chłodniejsza, bardziej pusta. Natychmiast zauważyłam, że moce, które wcześniej wnikały we mnie z ziemi, nie powróciły do mojego wnętrza, tylko znowu napierały na moją skórę.

Lekki deszczyk zrosił mi twarz, a dudnienie grzmotu rozległo się gdzieś w oddali, przywracając mi poczucie rzeczywistości. Poruszyłam się raptownie i wyprostowałam, krzywiąc się pod wpływem bólu w plecach i głowie. Zaledwie kilka chwil temu Rowe ciskał

we mnie piorunami. A teraz przepadł. Przepadli gdzieś wszyscy naturi.

- Gdzie...? - wyszeptałam skołowana, odgarniając z twarzy kosmyki włosów.

- Odeszli - odpowiedziała Penelopa, niepewnie podchodząc bliżej. - Pouciekali, kiedy wzbiła się ta ściana ognia.

Przemknęło mi przez myśl, czy ta ich nowa ostrożna taktyka to przypadkiem nie efekt spustoszeń, jakie wywołaliśmy z Danausem, niszcząc tak wielu naturi koło Stonehenge.

- Czy mamy ich ścigać? - spytał Danaus. Wyciągnął w moją stronę rękę, aby pomóc mi się podnieść. Wahałam się przez sekundę, zerkając spode łba na jego dłoń. Wcześniej, kiedy przekazywał mi swoje moce, musiał mnie dotykać. Jednak, podobnie jak Jabari, Danaus nauczył się czynić to bez fizycznego kontaktu. Nie chciałam nawet wiedzieć, jak daleko znajdował się ode mnie tym razem.

- Nie - powiedziałam, kręcąc głową i wstając z jego pomocą. Przeczynałam, że mamy nowy problem. - Najpierw musimy się przekonać, co się stało z Hugonem.

Rozdział 22

Penelopa i ja, potykając się, brnęliśmy przez zarośnięty plac i okrążyliśmy ruiny, aż wreszcie dotarliśmy do wschodniego skraju pałacu w Knossos. Wciąż wyczuwałyśmy w pobliżu duszę nocnego wędrowca, obecność jej zaznaczała się jednak słabo, urywanie. Ten wampir nie przeżyje, jeśli szybko nie pospieszymy mu z pomocą. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę, dosyć irytującą, gdyż dodatkowo chłodziła powietrze i tak zimne jak na późny letni wieczór.

Poślizgnąwszy się na kałuży błota, odnalazłam w końcu Hugona leżącego pod kilkoma drzewami, zalanego krwią. Wcześniej nie spodobał mu się pomysł pozostawienia go sam na sam z naturi, ale mnie brakowało wsparcia. Liczyłam na to, że jego potężna postać podziała na naturi odstrasząco, a Hugo nie będzie musiał sięgać po miecz lub broń palną.

Jednak naturi wykorzystali fakt, że działał sam, i załatwili go.

Uklękałam koło rannego nocnego wędrowca. Zatrzepotał powiekami, usiłując otworzyć oczy. Zbliżyłam się do niego bezszelestnie, ale zdołał mnie wyczuć. Położyłam rękę na jego masywnej piersi, a on drgnął pod moim dotykiem. Jedno długie rozcięcie widniało na jego gardle, drugie w okolicy pasa. Płytsze rany cięte zobaczyłam też na ramionach i nogach.

Twarz miał posiniaczoną, a lewe oko tak opuchnięte, że niemal całkowicie zamknięte. Na szczęście nie obcięli Hugonowi głowy ani nie wykroili mu serca. Pozostawili go, aby cierpiał, kiedy litry krwi wysączały się powoli z jego ciała. Tracił krew zbyt szybko, by ciało mogło zagoić rany i zatamować krwotok.

Zerknęłam przez ramię na pobladałą Penelopę, która wpatrywała się w Hugona, i poleciłam jej ściągnąć samochód. Należało gdzieś przetransportować tego wampira. Jeśli miało nam się udać uratować go, to z pewnością nie w tym miejscu.

- Co zrobimy? - zapytał Ryan, stając za mną, gdy Penelopa odeszła.

Zgrzytnęłam zębami, wyczuwając woń jego krwi, przywianą lekkim wiatrem. Nie pomogłaby ona rannemu Hugonowi. Ryan nie nadawał się na jej dawcę. Nie każdy nocny wędrowiec dobrze reagował na krew czarownika, zresztą nie sądziłam, by Danaus dopuścił do oddania krwi przez Ryana, nawet gdyby ten wyraził zgodę.

- Zbierzcie zwłoki wszystkich zabitych naturi - powiedziałam, kładąc dłoń na ranie na brzuchu Hugona w rozpaczliwej próbie spowolnienia krwotoku. Wampir jęknął cicho, gdy lekko ją nacisnęłam, bo świeża fala bólu przeszła jego ciało. - Złóżcie je w jednym miejscu.

Muszę się ich pozbyć, zanim się stąd oddalimy.

Odczekałam, aż odgłos kroków Danausa i Ryana ucichł w oddali, a potem znowu skupiłam całą

uwagę na Hugonie. Jego ciało było lodowato zimne, gdy je dotykałam, a gdybym nie wyczuwała duszy w tym potężnym ciele leżącym przede mną, uznałabym, że Hugo już nie żyje.

Wniknęłam w jego umysł i od razu wciągnął mnie wir odczuwanego przez niego bólu.

Właściwie nie czułam tego bólu sama. Przemknął on przeze mnie jak mroczny chaos, przepelniając każdą myśl i wszystkie wspomnienia. Trudno było odnaleźć Hugona w tym chaosie, a nie pomagało i to, że wszystkie słowa rozbrzmiewały po niemiecku.

Czy możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło? - zapytałam w końcu, odnajdując Hugona we mgle bólu i głodu.

Naturi... wszędzie. Nastąpiła długa pauza i czułam, jak Hugo przedziera się przez ból, starając się skupić myśli. *Usłyszałem coś. Kamienie się poruszyły. Odwróciłem się, a oni byli już przy mnie. Za wielu. Zbyt blisko.*

Już dobrze, odezwałam się w jego głowie, żałując, że nie mogę użyzyć mu nieco swoich sił.

Nadeszli z... południowego zachodu... Myślałem, że was pozabijali, zanim dopadli mnie.

Nie. Nie widzieliśmy ich. Przymknęłam oczy, próbując nie zwracać uwagi na zapach jego krwi. A była ona wszędzie; zalewała mi ręce i wypełniała powietrze jakże słodką wonią.

Wciąż czułam się obolała i wyczerpana starciem z naturi. Sama musiałam się pożywić, choć niekoniecznie od razu.

Moje myśli błądziły. Nie wiedziałam, jak mam uratować Hugona. Należało dostarczyć mu krew, dużo krwi. Wpompować ją w niego, aż rany się zasklepią, a krwotok ustanie. Rany te musiały się zagoić, zanim wzejdzie słońce, gdyż inaczej krew spłynie z niego za dnia i Hugo nie obudzi się już po zachodzie słońca.

Odgłos samochodu dojeżdżającego do ruin wyrwał mnie z zamyślenia. Szybko zorientowałam się, że to Penelopa, i to nie sama. Przywiozła ze sobą dwoje ludzi. Właściwie nie prosiłam ją o ściągnięcie szybkiego posiłku dla Hugona, tylko o coś, co pomoże mu przetrwać krytyczne chwile. Naturalnie ja sama, bez względu na swoją formę, byłam dość wybredna, jeśli chodzi o odżywianie. Jednak zerkając teraz na Hugona i jego poszarzałą twarz, powątpiewałam, czy kaprysiłabym, będąc w takim stanie jak on.

Penelopa zaparkowała w pobliżu miejsca, w którym leżał Hugo, i podążyła ku nam tak prędko, jak tylko się dało. Wykrzywiłam ponuro usta, widząc starszą parę, idącą przed nią.

Znaczna utrata krwi zabiłaby tych dwoje, ale gotowa byłam iść o zakład, że Penelopa po prostu uprowadziła auto wraz z jego właścicielami. Nie było czasu na polowanie na wysportowanych młodych mężczyzn, którzy znieśliby oddanie paru szklanic krwi.

Świst miecza wyciąganego z pochwy sprawił, że lodowaty dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Nadal przyciskając dłoń do brzucha Hugona, odwróciłam się i zobaczyłam Danausa, który wymierzył

miecz w Penelopę, a ta wystąpiła przed dwoje ludzi, jak gdyby chroniąc ich przed łowcą.

- Miro! - Twardy głos Danausa spadł mi ciężko na barki.

- Danausie, zaczekaj!

- Hugo potrzebuje krwi - przekonywała Penelopa, warcząc i unosząc górną wargę, ukazując przy tym dwa nieskazitelnie białe kły. To było ostrzeżenie.

- Hugo nie przeżyje zbyt długo, jeśli nie wprowadzimy trochę krwi do jego organizmu

- powiedziałam, starając się zachowywać spokojny i zrównoważony głos. Odgłos dudnienia serca Danausa i Ryana zdawał się odbijać echem od zadrzewionej okolicy, zagłuszając szum liści. Wszyscy byli spięci pod wpływem walki z natury i emocje dochodziły do głosu. Nie mogłam dopuścić do tego, by komuś puściły nerwy.

- Ona chce zabić dla niego ludzi - rzekł Danaus, robiąc krok do przodu. Łowca skierował czubek miecza w stronę gardła Penelopy. - Puść tych ludzi.

- Nie! Hugo ich potrzebuje! - wrzeszczała Penelopa. - Miro, powstrzymaj go! Hugo potrzebuje krwi.

- Danausie! Odstąp!

- Nie pozwolę wam zabijać ludzi - powiedział Danaus. Ujął miecz nieco inaczej, mocniej. To było ostatnie ostrzeżenie.

Czas spowolnił bieg i zamarłam w bezruchu, siedząc na ziemi, z ręką na ciele Hugona.

Danaus dwukrotnie zamachnął się mieczem; pierwszy cios trafił Penelopę w pierś. Potem łowca wycofał broń, zatoczył nią w powietrzu zamaszty łuk i odciął Penelopie głowę.

Obserwowałam to wszystko, nie mogąc zdobyć się choćby na słowo protestu, kiedy Danaus poruszał się zwinnie i płynnie. Szok zmroził we mnie wszelkie sensowne myśli. W ciągu zaledwie kilku sekund wszystko całkowicie wymknęło się spod kontroli.

Fontanna krwi Penelopy spryskała nas wszystkich. Wraz ze śmiercią wampirzycy ludzie otrząsnęli się z transu, w jaki ona ich wcześniej wpędziła, aby zachowywali się spokojnie. Ich krzyki rozbrzmiały w dolinie, odbijając się echem od pobliskich gór i wyrywając mnie z ponurych przemyśleń. Starszy mężczyzna i jego kobieta gapili się na swoje okrwawione ręce i ubrania, wydzierając się i trzęsąc. Przebudzili się z transu, stojąc obok dwóch zalanych krwią ciał, leżących na ziemi, oraz trojga zmokniętych, przerażających postaci, wyłaniających się z mroku przed nimi. Patrząc w ich rozszerzone trwogą oczy, zastanawiałam się, co myślał Nasz Władca, kiedy zdecydował się na przyspieszenie Wielkiego Przebudzenia. To było czyste szaleństwo.

- Ryanie! - zawołałam roztrzęsionym głosem. Hugo się poruszył, a nowy jęk zagrzmiął w jego mózgu. Danaus odbierał mu ostatnią szansę na przeżycie. Strach ogarnął

tego nocnego wędrowca, a ja nie chciałam, żeby się ruszał i by otworzyły się na nowo rany, które zaczynały się goić.

- Rozumiem. - Czarownik przemówił głosem uderzająco spokojnym, pomimo obłędu, jaki się wokół rozgrywał. Machnął ręką, a dwoje ludzi natychmiast ucichło. Ich spojrzenie znowu wyrażało zdekoncentrowane otepienie. I znów nie byli świadomi tego, gdzie są i co się dzieje. Powinnam była przewidzieć, że Ryan zna podobne sztuczki. Wszyscy musieliśmy nauczyć się ukrywania na otwartej przestrzeni i kontrolowania umysłów innych, jeśli mieliśmy przetrwać w tym świecie, który wymagał od nas zachowania równie wielkiego sekretu.

Warcząc, skupiłam wreszcie uwagę na Danausie, który wkładał miecz z powrotem do pochwy na plecach.

- Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? Ona starała się tylko ocalić Hugona. Jak mogłeś ją zabić, ty draniu bez serca? - Mój głos dławił się i załamywał, gdy przepychałam słowa przez zaciśnięte gardło.

- Ona chciała mu pozwolić zabić tych dwoje ludzi - odpowiedział Danaus. - Przecież wiesz, że o to jej chodziło. Zamierzała poświęcić dwoje ludzi, licząc, że go uratuje. - Znowu podniosłam wzrok i zobaczyłam, że łowca na mnie patrzy, wbijając spojrzenie zwężonych błękitnych oczu w moją twarz. - Nie pozwolę wam zabijać ludzi po to, żebyście sami mogli przeżyć.

- Tak, o to jej chodziło! Tylko czy mnie spytałeś, co zamierzam? Czy przyszło ci do głowy, że kiedykolwiek dopuściłabym do czegoś podobnego?

Musiałam zamknąć powieki, by nie spłynęły spod nich łzy. Poczułam się zdradzona.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo uzależniłam się od Danausa. Błędnie sądziłam, że on zaczyna mi ufać, że wierzy, iż uczynię to, co słuszne i prawe.

Ale nawet pojęcie tego, co prawe, zaczynało się rozmazywać. Czy poświęcenie dwojga ludzi było czymś aż tak złym, skoro chodziło o ocalenie całej ludzkości przed naturą?

Utrzymanie Hugona przy życiu wzmocniłoby nas o jednego wojownika w boju z naturą. A teraz Penelopa nie żyła i było wysoce nieprawdopodobne, by Hugo dożył do kresu nocy.

Każdy nocny wędrowiec na moim miejscu bez zastanowienia wysączyłby z tych dwojga ludzi krew, lecz ja się zawahałam. Brakło mi już pewności.

- Nie zabijam ludzi, kiedy się pozywiam - powiedziałam głosem załamany i przybitym. - I nie pozwoliłabym też na to nikomu ze swojego otoczenia. Myślałam, że o tym wiesz. Postąpiłeś bezmyślnie i załatwiłeś nas wszystkich. - Pokręciłam głową i spojrzałam na Ryana, który stał obok dwojga ludzi. - Ty i Danaus, zabierzcie ich stąd. Wymażcie im wspomnienia i odeślijcie do domu. Zostawcie mi ten samochód. Ja zajmę się Hugonem.

- Ale...

- No, już - przerwałam Ryanowi, zanim zaoponował. - Ja tu posprzątam.

Siedziałam bez ruchu na ziemi koło Hugona, wciąż przyciskając mu rękę do brzucha, jak gdyby tylko to chroniło mnie przed obłędem na tym świecie. Po raz pierwszy odkąd stałam się nocnym wędrowcem, odczuwałam brzemień nocy, a wrażenie głębokiej pustki przepełniało moją pierś. Nawet kiedy przebywałam w niewoli u naturi, nie traciłam nadziei, że Sadira lub jakiś inny nocny wędrowiec przybędzie mi z odsieczą. Jednak teraz, widząc wampirycę, która zginęła z ręki człowieka, na którego pomoc byłam zdana, i mając innego wampira, konającego w moich ramionach, straciłam wszelką nadzieję. Naturi mieli zgnieść nas wszystkich.

Rozdział 23

Usiadłam z plecami przyciśniętymi do kamiennego muru mauzoleum, gdzie schowałam się na porę dzienną. Wyczerpanie przenikało głęboko do kości, utrudniając wszelkie ruchy, nie wspominając nawet o wyczołganiu się z krypty, by ukryć się gdzie indziej przed nadciągającym świtem. Zbyt wiele się wydarzyło w minionych kilku godzinach, a ja rozpaczliwie usiłowałam uczeplić się czegoś dobrego i wytrwać przy tym do końca.

Kiedy przeniosłam Hugona do samochodu, przekonałam się, że doznał on też rany klutej pleców, a ostrze naruszyło serce, co wyjaśniało, dlaczego wampir jest taki osłabiony.

Zatrzymując się na obrzeżach Iraklionu, wyciągnęłam kilkunastu okolicznych mieszkańców z ciepłych, wygodnych łóżek. Hugo posilił się po trochu krwią ich wszystkich, zanim odesłałam ich, pogrążonych w transie, z powrotem do domów. Moje moce uległy bardzo znacznemu wyczerpaniu, co zmusiło mnie, bym sama się pożywiła przed ułożeniem uśpionego Hugona w ciemnej krypcie na cmentarzu między Iraklionem a Knossos. Kiedy go tam zostawiłam, z najgorszych jego ran krew już tylko ledwie się sączyła. Miałam nadzieję, że Hugo przetrwa ten dzień.

Zostawiwszy go, powróciłam do ruin pałacu, gdzie zakopałam zwłoki naturi i Penelopy. Poczucie winy gryzło mnie z powodu grzebania jej wraz z ciałami naturi, ale nie miałam już siły na wzniecanie kilku ognisk i wolałam nie ryzykować, znajdując się tak blisko źródła energii bijącego z ziemi. Już raz uległam przez to poparzeniu; nie mogłam dopuścić, by się powtórzyło. Kości, których nie zniszczyłam, znalazły się w płytkim grobie. To było najlepsze, co mogłam uczynić. Nadchodził świt.

Po usunięciu wszelkich śladów naszej bytności w Knossos, oczyściłam auto z krwi i odcisków palców, i porzuciłam je w centrum Iraklionu. Po raz ostatni sprawdziłam, co z Hugonem, zanim wyszukałam kryptę dla siebie, blisko miejsca, gdzie go umieściłam.

A teraz, gdy siedziałam w ciemnościach otępiła, wyczułam, że ktoś się zbliża.

Wyciągnęłam browninga z kabury na plecach i położyłam go na ziemi obok siebie, ukrywając broń częściowo w cieniu, jaki rzucało moje ciało. Rychło się zorientowałam, że odwiedza mnie Danaus, ale z zaskoczeniem stwierdziłam, że mimo to wolę mieć broń przy sobie. Już mu nie ufałam. Wiedziałam, że gdyby doszło do starcia, to i tak nie zabiłabym go strzałem z pistoletu. Po prostu postarałabym się zranić go, spowolnić na tyle, by móc wydrzeć mu serce gołymi rękami.

- Nie powinieneś tu przychodzić - wymamrotałam znużona, kiedy łowca znalazł się w zasięgu wzroku. Wciąż był o kilka kroków ode mnie, ale słuch miał równie wyostrzony jak ja.

Dostyszał mnie.

- Przyszedłem pogadać - powiedział cicho, jak gdyby się obawiał, że zbudzi umarłych na cmentarzu.

Prychnęłam z ironią, ale mimo to rozluźniłam uchwyt na broni, leżącej w pobliżu. Nie obejmowałam już kolby palcami, jednak na wszelki wypadek nie odsunęłam od niej dłoni.

- Nie mam pojęcia, o czym moglibyśmy rozmawiać. Wszystko się wyjaśniło.

Danaus obszedł ostatnie z drzew, oddzielających nas od wypełnionej krzyżami części cmentarzyska, i ujrzałam go wyraźnie. Z tego, co widziałam, był nieuzbrojony. Nie miał

żadnego pistoletu, miecza na plecach ani też dwóch noży, jakie zazwyczaj nosił na udzie i przy pasie. Brakowało nawet skórzanej osłony na nadgarstek. Stał przede mną tak bezbronny, jak to tylko było możliwe w jego przypadku. Czy mimo to mógł mnie zabić?

Niewątpliwie. Mógł doprowadzić do wrzenia moją krew równie szybko, jak ja mogłam go podpalić, jednak wołał podejść do mnie bez oręża.

- Ja... przychodzę z przeprosinami - przyznał. Siedziałam oszołomiona w milczeniu przez chwilę, zanim potrząsnęłam głową, by rozjaśnić myśli.

- Nie mnie należą się przeprosiny. Powinieneś przeprosić Penelopę, za to, że skróciłeś ją o głowę. I Hugona, za to, że odebrałeś mu szansę na przeżycie - rzuciłam z goryczą.

- Przepraszam ciebie, bo powinienem był ci zaufać - sprostował, stojąc przede mną na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach. Podniosłam oczy, z równie ponurą miną jak on. - Znam cię. Nie dopuściłabyś, żeby Hugo zabił tamtych dwoje. Jednak Penelopa zrobiłaby to. I Hugo też. Zrobiliby to bez namysłu i właśnie tego nie mogłem im darować.

- Nie mogłeś im darować, że pragną przeżyć? - zapytałam, odruchowo zaciskając jedną dłoń na broni, a drugą grzebiąc w piasku.

- Nie mogłem im darować, że chcą zabić niewinnych ludzi - powiedział. Resztki empatii i współczucia uleciały z jego głosu, który stał się zimny i surowy jak syberyjska tundra.

- A jednak nie przeszkadzało ci to, że on umiera, podczas kiedy ty bronisz tamtych -

powiedziałam, zgrzytając zębami i siadając prosto. - Mamy walczyć i ginąć za nich, ale nie wolno nam uczynić niczego dla ratowania siebie.

- To nie tak - stwierdził z wahaniem. Zrobił niepewny krok do tyłu, lecz po chwili znów postawił stopę na poprzednim miejscu.

- Owszem, tak właśnie jest. - Powstałam zwinnie, korzystając ze swoich mocy, a nie z siły mięśni, tylko po to, by go w ten sposób zdenerwować i podkreślić własną odmienność.

Nie próbowałam nawet ukryć faktu, że chowam broń w kaburze na plecach. - Oboje świetnie ze sobą współpracujemy, gdy zapominasz, kim naprawdę jestem. Kiedy razem opieramy się całemu światu z mieczem w ręku, wtedy idzie nam świetnie. Ale gdy muszę się pożywić albo w jakiś inny drobny sposób przypominam ci, że jestem nocnym wędrowcem, wtedy ci odbija.

Nie możesz zrozumieć, że jestem kimś ponad tym, czym jestem.

- Zapominam o tym? - powiedział głośno. - Jak w ogóle mógłbym zapomnieć, kim jesteś? Wyczuwam cię wyraźniej niż jakiegokolwiek innego wampira. Kiedy jesteś głodna, odczucie to płonie w moich żyłach jak ogień. Kiedy używasz swoich mocy, są one dla mnie jak chłodny wiatr w letni dzień. Tkwisz w mojej głowie, a ja tkwię w twojej. Czy myślisz, że dzisiejszej nocy nie czułem twojego przerażenia i rozczarowania? Jestem łowcą! Mam chronić ludzkość przed zagrożeniami ze strony nocnych wędrowców.

- Może pora znaleźć sobie jakieś inne zajęcie - powiedziałam, już nieco mniej surowo.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak silnie odczuwa nasze połączenie. Nie chciałam mu przebaczać. Nie chciałam postrzegać spraw z jego punktu widzenia. Pragnęłam podtrzymywać w sobie złość do Danausa, aby łatwo od niego odejść, kiedy wreszcie uporamy się z naturi.

- Przestań, Miro - odrzekł zde gustowany. Udzieliłam mu już podobnej rady w przeszłości, tym razem jednak mówiłam poważnie.

- Czy wierzysz w przeznaczenie?

- W co?

- W przeznaczenie. W kosmiczny los, który wiedzie nas za życia po takich, a nie innych ścieżkach, aż ku...

- Tak, wiem, czym jest przeznaczenie. Nie, nie wierzę w nie.

- To może powinieneś uwierzyć - podsunęłam, wsuwając dłonie w tylne kieszenie skórzanych spodni. - Sama zaczynam się nad tym zastanawiać. Być może los sprawił, że masz polować nie na nocnych wędrowców, tylko na naturi. Jesteś silny, szybki, potrafisz wyczuwać ich obecność. Masz pod tym względem przewagę nad każdym z żyjących nocnych wędrowców. A więc może nadszedł czas, żebyś przestał ratować ludzkość przed moją rasą, a zaczął ją bronić przed naturi.

- A kto uchroni ludzkość przed wami? - spytał, kręcąc głową.

Nikły uśmiech poruszył kącikiem moich ust, kiedy spojrzałam na Danausa. Włosy spadły mu na twarz, ocieniając jego rysy.

- Przed nocnymi wędrowcami? Nikt nie będzie musiał. Wygląda na to, że czeka nas wyginięcie nawet

bez waszego udziału.

W istocie, mojej rasie zagrażało rychłe wyginięcie. Istniała nikła szansa, że uda nam się powstrzymać naturi przed otwarciem wrót i wylegnięciem na ten świat w celu rozpętania wielkiej wojny, a przecież pozostawał jeszcze plan Naszego Władcy. Pospieszne wprowadzenie Wielkiego Przebudzenia wywoła wojnę ze wszystkimi wilkołakami, czarownikami i wiedźmami na tej planecie. Wieści o tej wojnie wyjdą na jaw, a ludzie odkryją nasze istnienie przedwcześnie i ujrzą nas w najgorszym świetle. Dołączą do Danausa w łowach na nocnych wędrowców. Nasze noce były więc policzone.

Danaus zdumiał mnie, kiedy wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął kosmyk włosów z mojej twarzy. Popatrzyłam na niego i ujrzałam, jak nieznacznie się uśmiecha, pocierając palcami pukiel moich włosów, jakby chciał zapamiętać to wrażenie.

- Rowe cię nie dopadnie. Pamiętaj, musimy jeszcze doprowadzić do końca ten nasz taniec. Nie pozwolę jakiemuś parszywemu naturi ciebie zabić, skoro zarezerwowałem ten zaszczyt dla siebie.

- Czas nas nagli w tym tańcu - powiedziałam, odwzajemniając jego uśmiech.

Wzruszył potężnymi ramionami i puścił moje włosy; ręka mu opadła.

- Sprawy trochę się skomplikowały. A nadal mamy nieco czasu.

- Czyżby? Co powiedziałaś Ryanowi na temat układów? - niespodziewanie zmieniłam temat. Wiedziałam, że to może jedyna okazja wypytania o to łowcy, póki nikogo z nami nie było. Musiałam się przekonać, czy czarownik szuka sposobu wbicia mi noża w plecy przy pierwszej sposobności.

- Choć powinienem, nie wspomniałem mu o tym.

- Naprawdę? - Nie próbowałam ukryć zaskoczenia. Nie potrafiłam rozgryźć Danausa.

Ufał mi w jakiś dziwny sposób, gdy nie chodziło o zaspokajanie niektórych podstawowych potrzeb mojej rasy. Zaczęłam się głowić, czego on właściwie doznaje, wyczuwając mój głód.

Danaus przecesał obiema rękami włosy, odstępując ode mnie o kilka kroków.

- Sądziłem, że możecie mieć jakiś plan, niedopuszczenia do tego, żeby ta walka zamieniła się w wojnę między rasami. Ryan stoi bardzo wysoko w hierarchii czarowników.

Jeśli powie choć słowo o tym, co się dzieje w Wenecji, nic już nie zapobiegnie wojnie.

- Myślałam o tym, ale bez względu na to, co zrobimy, jesteśmy w potrzasku. Jeśli otworzymy wrota, żeby dopaść Aurorę, naturi wylegną na świat. Nie ukryjemy się przed nimi ani przed wojną, jaką wywołają. Do Wielkiego Przebudzenia dojdzie niezależnie od czyichś życzeń. - Oparłam się plecami o ścianę niewielkiej krypty, krzyżując ramiona na piersiach.

- A jeśli storpedujemy te układy?

- Założmy, że uda nam się powstrzymać złożenie ofiary i zabić Rowe'a. Wyobrażam sobie, że potem Macaire urządzi polowanie na mnie i obetnie mi głowę, poddając wcześniej torturom. Wielkie Przebudzenie nastąpi w następnym roku i wybuchnie wojna między rasami, ale przecież, jak sędzę, i tak już ku temu zmierzamy, skoro widzieliśmy czarownicę i wilkołaka podróżujących z członkiem Przymierza.

- A więc wojna albo dwie. Przed taką perspektywą stajemy. Wojny na jednym froncie lub na dwóch frontach.

Kiwnęłam energicznie głową i popatrzyłam na niego w milczeniu. Nie musiałam czytać mu w myślach, by się dowiedzieć, że łowca zastanawia się nad tym samym, o czym myślałam ja. W którejś fazie takiej wojny znaleźlibyśmy się oboje po przeciwnych stronach.

On walczyłby wraz z moją rasą przeciwko naturi, lecz zwróciłby się przeciwko nocnym wędrowcom, gdyby oznaczało to chronienie ludzi przed nami.

Przywykliśmy już do tego, że działamy ręka w rękę. Współdziałało nam się w tej walce dobrze, niby zgranej parze tancerzy w skomplikowanych tangu.

- Pokrzyżujemy te konszachty wspólnie - powiedziałam, przerywając przytłaczającą ciszę. - Nie będzie żadnego porozumienia z naturi. Wciąż możemy postarać się o powstrzymanie Naszego Władcy przed ujawnieniem naszej tajemnicy tak wcześnie. Jedyne problem w tym, jak przekonać frakcję naturi, że układy zostały zniweczone.

- Poza powstrzymaniem ich od złamania pieczęci? - dopowiedział Danaus, znów podchodząc do mnie.

Pokręciłam głową, przestępując z nogi na nogę. Noc zbliżała się do końca, a ja byłam wyczerpana. Pożywiłam się wystarczająco, ale musiałam odpocząć. Niestety, należało tę sprawę rozstrzygnąć przed jutrzejszą batalią.

- Chodzi o coś więcej. Trzeba dać im jasno do zrozumienia, że jesteśmy ich wrogami i że nie dopuścimy pod żadnym pozorem do otwarcia wrót. Muszą się dowiedzieć, że nie pozwolimy, aby cokolwiek przydarzyło się Naszemu Władcy.

- Mogłaś zabić tę naturi, którą spotkaliśmy w Wenecji - podsunął Danaus. - To pewnie by ich przekonało.

- Teraz trochę za późno na to, skoro znaleźliśmy się na Krecie. Nie mogę tam wrócić i...

- Ona jest tutaj - przerwał mi Danaus. - Widziałem ją tej nocy, a nie było jej potem wśród zwłok. Jest z Rowe'em. Najwyraźniej pilnuje, żeby wszystko szło zgodnie z planem.

- Brzmi to całkiem sensownie. - Skinęłam głową, a potem poruszyłam głowę w bok, aby rozruszać szyję. - A teraz zabieraj się stąd, żebym mogła trochę odpocząć. Jutro, razem z Ryanem, opracujemy bardziej szczegółowy plan działania.

- Co z Hugonem? - spytał niepewnie.

- Na razie odpoczywa. Jeśli mu się poszczęści, to może przeżyje ten dzień, ale jutro i tak nie możemy na niego liczyć.

Danaus kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca, w którym stał, wpatrując się we mnie.

- Mogę zostać.

Część mnie rozpaczliwie pragnęła, żeby ze mną pozostał. Kiedy znaleźliśmy się w pułapce w Warowni Temidy, czuwał przed drzwiami pomieszczenia, gdzie bezbronna musiałam przespać dzień w otoczeniu jego pobratymców. Przebywał tak blisko tyle razy, kiedy spałam, że teraz dręczyła mnie myśl o tym, że nie będzie go w pobliżu, gdy słońce wyłoni się na horyzoncie. Tylko Danaus dawał mi poczucie bezpieczeństwa na tym świecie, który ulegał zbyt szybkim zmianom. Groził zniszczeniem wszystkiego, w co wierzyłam, oraz wszystkiego, co chroniałam. Ale równocześnie pozostał jedyną osobą, która próbowała mnie bronić.

- Zjeżdżaj stąd. Zbyt zwracasz na siebie uwagę. Dam sobie radę - powiedziałam, gestem nakazując mu odejść.

Wahał się przez chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł z cmentarza tą samą drogą, którą tu przybył. Skupiłam na nim swoje moce, aż poczułam, że znalazł się na skraju miasta, dość daleko od cmentarzyska.

Bolało mnie całe ciało i czułam się jak jeden wielki siniak. Potrzebowałam nieco odpoczynku, ale nawet teraz, choć zbliżał się świt, właściwie nie byłam zmęczona.

Otrzeźwiła mnie nowa, przerażająca myśl. Oto zabicie żeńskiej naturi może wcale nie wystarczyć do przekonania skorej do układów frakcji, że jakaś samowolna wampirzyca zdoła doprowadzić do złamania obietnicy, złożonej przez Sabat. Wiedziałam, co w tej sytuacji należy zrobić. Jedyny problem tkwił w tym, że dla osiągnięcia swojego celu musiałam zapewnić sobie pomoc albo Jabariego, albo Macaire'a.

Rozdział 24

Nie chciałam, żeby słońce zachodziło. Świt sprowadził ostatecznie rozkoszny spokój, oddzielając mnie od śmierci, od zdrady Danausa, od wojen, których widmo nadciągało.

Zanim zdążyłam się ulokować w pozbawionej okien krypcie, drżałam cała z wyczerpania, które do cna wyzuło mnie z sił.

Leżąc o zmroku w tej kamiennej krypcie, nie zwracałam uwagi na szmery pełzającego wokół mnie robactwa i usiłowałam skupić myśli. Musiałam się dowiedzieć, ile nocy jeszcze pozostało. Potrzebny był mi plan uporania się z naturą. Jednakże nagle odniosłam wrażenie, że nie jestem sama w tym małym grobowcu. Omiotłam mocami najbliższą okolicę, ale nie wyczuwałam niczyjej obecności - ani człowieka, ani wampira, ani czarownika. Pomimo to nie mogłam się otrząsnąć z dziwnego

przecucia, że ktoś tu jednak jest.

Prawą dłoń zacisnęłam na broni, którą przed snem ułożyłam sobie na brzuchu. Drugą ręką odsunęłam ciężką kamienną płytę krypty, chroniącą mnie przed słońcem. Nie pierwszy raz spałam na cmentarzu i, choć może zabrzmiało to dość okropnie, wątpiłam, czy po raz ostatni.

W krytycznej sytuacji była to jedna z najbezpieczniejszych kryjówek, gdzie nie trzeba się bać wpływu słońca.

Usiadłam i wyciągnęłam broń przed sobą, kierując ją raz w jedną, raz w drugą stronę, usiłując wypatrzeć stwora, którego instynktownie i wyraźnie wyczuwałam w pobliżu. Strach i wściekłość nabrzmiewały we mnie; zacisnęłam zęby. Celownik broni zachybotał, kiedy mój wzrok padł na Jabariego, opartego o ścianę koło wejścia. Nadal go nie wyczuwałam, ale wiedziałam, że się tu znajduje.

Pomyślałam tylko, że zjawił się w chwili, gdy przebudziłam się wraz z nadejściem nocy i poczułam poruszenie energii w powietrzu.

- Możesz już opuścić broń - powiedział, wpatrując się ciemnymi oczami w moją twarz.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się to zbyt dobrym pomysłem - zadrwiłam, bardziej zirytowana faktem, że nie mogę powstrzymać drżenia ręki, niż samym Jabarim.

Jedna z brwi Jabariego uniosła się i wygięła w łuk w niemym, podszytym kpina pytaniu, gdy przeniósł wzrok na pistolet. Nie musiał nic mówić. Oboje wiedzieliśmy, że w każdej chwili mógł mnie zmusić do rzucenia broni. Albo gdyby miał szczególnie złe zamiary, sprawiłby, żebym przyłożyła sobie pistolet do skroni i pociągnęła za spust.

Z pomrukiem, którego nie zdołałam powstrzymać, wsadziłam broń z powrotem do kabury na plecach i wydostałam się z krypty.

- Co tutaj robisz? Myślałam, że nikt tu nie przyjdzie.

- Zjawiłem się, żeby sprawdzić, jak ci idzie - odparł. - Sprawy nie wyglądają tu dobrze. Hugo ledwie zipie.

- A więc przeżył jednak dzień? - wyrwało mi się pytanie. Obecność Jabariego zaskoczyła mnie tak bardzo, że zapomniałam omieść cmentarz mocami, aby się przekonać, czy wciąż mogę wyczuć obecność zwalistego nocnego wędrowca.

- Owszem, ale tej nocy nie będziesz miała z niego pożytku. On musi się pożywić i przespać kilka kolejnych nocy i dni, zanim zda się na coś komukolwiek. - Urwał, kiedy umieszczałam na miejscu płytę grobowca, osadzając ją na kamiennym grobie. - I jakoś nie wyczuwam tamtej wampirzycy, którą ci podesłałem...

- Penelopy - odezwałam się cicho. Opuściłam głowę i przeczesalam dłonią włosy.

Wciąż musiałam stawiać czoło koszmarowi, który odgrywał się w mojej głowie niczym zacinająca się płyta gramofonowa. - Ona zginęła. Danaus ją zabił, żeby uniemożliwić jej zgładzenie dwojga ludzi.

Oczekiwałam, że Starszy mnie uderzy, że zdruzgotuje mnie w jakiś bolesny sposób, ponieważ nie utrzymałam łowcy w ryzach. Nie zrobił tego jednak. Po kilku sekundach podniosłam wzrok i stwierdziłam, że Jabari nadal na mnie patrzy z miejsca koło drzwi, przy których stał.

- Nie potrafię go okiełznać - zaczęłam, chcąc po prostu zagłuszyć słowami przytłaczającą ciszę. - Nigdy nie twierdziłam, że potrafię nad nim zapanować, ale potrzebujemy go żywego. Bez względu na to, co o nim sądzisz, jest nam potrzebny żywy.

- Jednak uważasz, że cię zdradził - powiedział Jabari, robiąc krok do przodu. Szybko cofnęłam się o krok, wpadając plecami na kamienną kryptę, stojącą w poprzek tylnej ściany grobowca. Zaledwie metr gęstego mroku oddzielał mnie teraz od Jabariego. Starszy skracał

dystans, a ja znalazłam się w potrzasku. - Wyczuwam cierpienie, jakie od ciebie bije. On cię zdradził. Zaufałaś mu i sądziłaś, że i on ufa tobie.

Gorzki uśmiech wykrzywił mi usta, gdy popatrzyłam na swojego współtwórcę.

- Można sądzić, że powinnam już się nauczyć nie ufać potężnym istotom.

Jabari zbliżył się jeszcze, a oczy błyszczały mu lekko w całkowitej ciemności niczym ślepia kota, odbijające blask reflektorów samochodu. Nie miałam jak ukryć przed nim swojego strachu. Żołądek mi się ścisnął, a ręce drżały, mimo że chwyciłam się nimi krawędzi krypty. Może i byłam potrzebna Jabariemu żywa, lecz mógł mi zadać mnóstwo bólu.

- Nadał ufasz mnie - wyszeptał głosem cichym i hipnotycznym.

Zamknęłam na sekundę oczy, usiłując opanować drżenie, które, poczynając od rąk, opanowało całe moje ciało. Nie mogłam mieć racji. Nie pozwoliłabym mu na to. Miażdżąc tę myśl między zaciśniętymi zębami, otworzyłam oczy i stwierdziłam, że Jabari stoi przy drzwiach po przeciwnej stronie ciasnego pomieszczenia. Nie usłyszałam nawet, by się poruszył.

- Co tutaj robisz? - zapytałam, znowu mobilizując w sobie złość. Nie dałam się nabrać na jego tekst o tym, że sprawdzał tylko, jak sobie radzimy. Zaskoczyło mnie jego pojawienie się, choć nie powinno. Ostatnim razem zjawiał się równie nagle w Warowni Temidy, tamtej nocy, gdy nastąpił atak i składano ofiarę w Stonehenge. - Boisz się, że przepuścisz następną ofiarę?

Jabari tym razem się uśmiechnął, a uśmiech ten był mroczny i zły.

- Prawie się spóźniłem na poprzednią. - Uśmiech zamarł na jego twarzy, a Jabari znów stał się poważny. - Wiesz, dlaczego tu jestem. Z tego samego powodu, dla którego nakazałem ci przybyć do Wenecji. Do jedyne go miejsca na świecie, gdzie możesz wszystkich przekonać, jaka jesteś nieznośna.

- Z powodu tej natury w Wielkiej Sali Sabatu - powiedziałam.

Jabari kiwnął głową, a uśmiech powrócił na jego usta. Opuściłam ręce i oparłam się o grób, który posłużył mi jako legowisko za dnia.

- Powiedz szczerze, mój stary przyjacielu, czy Macaire wyznał mi prawdę? Pozostanie to tylko między nami i tymi pająkami tutaj.

- Nie wiem tego, ale przekonałem się, że Macaire bardzo rzadko mówi prawdę -

odparł Jabari, naśladując mój kpiący ton.

- Czy Sabat faktycznie dobił targu z naturi?

- Owszem, z nielicznym odłamem naturi - skorygował Jabari.

Przygryzłam dolną wargę, usiłując powściągnąć uśmiech wywołany przez ten dyplomatyczny unik.

- Oni chcą, żebyśmy zabili Aurorę.

- Zgadza się.

- A Sabat chce, by oni zgładzili Naszego Władcę.

Na to Jabari nie odpowiedział słowami, tylko skinął potakująco głową.

No tak, okazałam się jedynym nocnym wędrowcem na tyle szalonym, by wypowiadać te słowa na głos. Jednak z drugiej strony, skoro tyle osób próbowało mnie zgładzić, to co mógł znaczyć jeszcze jeden wróg?

- I wszystko dlatego, że on próbuje przyspieszyć Wielkie Przebudzenie.

I znowu Jabari przytaknął ruchem głowy.

- To niedorzeczne! - krzyknęłam, powstrzymując chęć, by przejść się po niewielkiej krypcie. - Zupełnie, jak te prowadzone przez Macaire'a gierki w celu zdobycia władzy.

Przecież on musi wiedzieć, że doprowadzenie do otwarcia wrót skutkuje Wielkim Przebudzeniem. Nie da się ukryć przed ludźmi wojny z naturi.

- To prawda, ale ta koncepcja jednak się sprawdza. Tabor otwarcie sprzeciwiał się temu planowi, grożąc, że wyjawia go Naszemu Władcy.

- I zginął - dopowiedziałam, kończąc tę myśl. - Domyślam się, że to przyczyna, dla której nikt nie mógł cię wytropić przez kilka ostatnich stuleci.

- Tak, wolę samotność - przyznał cicho Jabari, jak gdyby wszystko to było tylko beztruską słowną grą. Oparł się o ścianę naprzeciwko mnie, stawiając jedną nogę przed drugą.

Jego śniada skóra sprawiała, że niemal wtapiał się w ciemność, nadając mrokowi nocy aksamitną fakturę w miejscu, gdzie stał.

- Tylko czegoś tu nie rozumiem. - Przeciągnęłam ręką po zwichrzonych i brudnych włosach. - Po co wciągać mnie w to wszystko? Wystarczyło zabić Macaire'a i zerwać te układy. Nie potrzebowałeś mnie w Wenecji, żeby to osiągnąć.

- Byłaś mi potrzebna w Wenecji do wywołania zamętu, grożącego ujawnieniem naszej tajemnicy i zakłóceniem naszych rokowań z naturi. To wzbudza w nich strach, a oni powinni się nas bać. Poza tym bynajmniej nie należy lekceważyć Macaire'a. Jest w Sabacie dłużej ode mnie. Trudniej go zabić, niż ci się wydaje.

- Tak więc ściągnięto mnie do Wenecji, żeby odkryła ten sekret?

- Z łowcą u twojego boku było to nieuniknione.

- A Nikołaj?

- Zaoferowaliśmy go jako ofiarę.

- A zatem miałam go uratować...

- Nie, ty miałaś go zabić, jednak w końcu wszystko ułożyło się należycie - przyznał

Jabari, wruszając szerokimi ramionami.

- Jaki jest następny punkt twojego wspaniałego planu? - zapytałam, a nerwy zaczęły mi puszczać. Wykorzystywano mnie i manipulowano mną już od chwili, odkąd wysiadłam z samolotu w Wenecji. Jabari nie musiał używać swoich mocy, by mnie kontrolować. Postawił

na swoim, kiedy działałam samodzielnie, wywołując chaos, tam gdzie tylko się zjawiłam.

- Mam takie same plany, jak te, które, o czym jestem przekonany, ty opracowałaś już razem z tamtym łowcą - powiedział Jabari, odpychając się od ściany. Powoli podszedł i stanął

przede mną. Oddzielał nas tylko wąski słup powietrza, kiedy Jabari przemówił ponownie. -

Chodzi o zabicie naturi o imieniu Rowe. O powstrzymanie złożenia ofiary i zachowanie pieczęci. Musimy wykazać im jasno, że nie będzie żadnych układów między nocnymi wędrowcami a naturi.

- A tamta naturi z Wenecji? Ta z Wielkiej Sali. Ona jest z Rowe'em - powiedziałam, starając się stłumić lęk. Wzburzenie gdzieś się ulotniło, a teraz pozostał na jego miejscu tylko przeszywający chłód krypty, kiedy tak stałam sam na sam z jednym ze swoich stwórców i zarazem największych zdrajców. Raz jeszcze okazaliśmy się sojusznikami, lecz wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, nim znajdziemy się po przeciwnych stronach barykady.

- W takim razie zabijemy ją. A jeśli zjawią się harpie, to zgładzimy je również.

- Jabari, ja... ja... - Zawahałam się. Coś mnie niepokoiło w tych naszych planach, ale wołałam nie zgłaszać zastrzeżeń, póki nie będzie to absolutnie konieczne. - Czy nadal zamierzasz zabić i mnie?

Uniół rękę, ujął w dłoń moją twarz, nachylił się nieco i musnął ustami policzek. Jego wargi powędrowały w dół, ku podbródkowi i dalej, w stronę odsłoniętej szyi, a dreszcz przebiegł po całym moim ciele.

- Ty mój kruchy kwiecie pustyni - szepnął mi do ucha. - Pragnę, abyś zginęła, i to w najgorszy sposób. Ale na razie przydajesz mi się, więc będziesz żyła.

Tak właśnie sądziłam. Znalazłam się w pułapce, pośród stworów, które chciały mojej śmierci, jednak na razie wszystkim im przydawałam się jako oręż przeciwko naturi. Z

wyjątkiem Rowe'a. On chciał mnie użyć jako broni przeciw nocnym wędrowcom.

Stłumiłam westchnienie, kiedy Jabari odstąpił ode mnie. Nasza droga została wytyczona. Ten wielki, zły Starszy potrafił wszystko przedstawić w beztroskim świetle, ale ja znałam prawdę. Kiedy powrócimy tej nocy do minojskich ruin, naturi rzucą się na nas całą swoją potęgą, by doprowadzić do złożenia ofiary. Nie pozwolą, abyśmy powstrzymali ich po raz drugi.

Rozdział 25

Ryan i Danaus czekali na mnie przy drodze do pałacu w Knossos. Obaj wydawali się zaskoczeni, widząc Jabarięgo kroczącego koło mnie, jednak żaden z nich nie zapytał o Hugona, co zapewne okazało się dość rozsądne. Jego nieobecność wskazywała, że albo nie przeżył dnia, albo też jest zanadto osłabiony, aby w tę noc udzielić nam pomocy.

Po gwałtownej burzy z zeszłej nocy lato powróciło na wyspę; powietrze było wilgotne i ciężkie niby przeпоcony koc. Wiatr ustał, więc wszelkie hałasy, jakie robiliśmy, szybko docierały do uszu tych, których ścigaliśmy. Jednak i tak nie liczyłam zbytnio na to, że uda nam się podkraść do nich niepostrzeżenie.

Kiedy szliśmy poboczem drogi, a drobiny żwiru chrzęściły mi pod stopami, po raz drugi zajęłam się sprawdzeniem stanu mojego oręża. Broń, którą Danaus wydał mi podczas lotu do Wenecji, należało rozdzielić nieco inaczej, w związku z niespodziewanym przybyciem Jamesa i Ryana. Jeden z moich pistoletów przypadł więc Jamesowi, który, jak przypuszczałam, znowu dąsał się w samotności w hotelowym pokoju. Ponadto zamieniłam miecz na parę noży, znajdujących się w pochewkach przypasanych do moich nóg. Byłam bardziej zaprawiona w walkach wręcz, w których mój refleks czynił z noża zabójczy oręż.

Miecz oddałam Danausowi.

Jednakże nadal miałam przy sobie jeden z pistoletów, których nie znosiłam, a które wręczył mi wcześniej łowca. Wyciągnęłam browninga z kabury na plecach i sprawdziłam magazynek, wyciągając go z kolby. Brakowało w nim kilku sztuk amunicji.

- Masz - powiedział Danaus, idący obok mnie.

Zerknęłam na zapasowy magazynek, który łowca mi podawał. Z niechętnym mruknięciem wzięłam go i wsunęłam do tylnej lewej kieszeni. Nie wybaczyłam Danausowi.

Chciałam poświęcić kilka nocy na skatowanie go do utraty przytomności za to, co zrobił.

Część mnie pragnęła także zwinąć się w kłębek i zapłakać. Jednak naturi się mobilizowali i nie miałam czasu ani na jedno, ani na drugie, więc wzięłam od niego amunicję i szłam dalej.

- Jaki jest plan? - spytał Ryan, idący z tyłu.

- Jabari - powiedziałam pospiesznie, licząc na to, że ten nocny wędrowiec ochoczo wystąpi na czoło. Ostatecznie był przecież Starszym oraz Starszym z Sabatu.

- To twój taniec, Miro. I ty go powinnaś poprowadzić. Ja tu tylko zastępuję tych nocnych wędrowców, którzy padli - zawołał z tyłu Jabari. Niemal słyszałam jego ironiczny śmiech między każdą wypowiedzaną sylabą. Parszywy drań.

Zawahałam się, powściągnąwszy chęć, by spojrzeć na Danausa. Czy powiedział Ryanowi o konszachtach Sabatu z naturi?

- Musimy pogodzić się z faktem, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby człowiek przeznaczony na ofiarę przeżył - zaczęłam powoli. Żołądek mi się kurczył po każdym z tych przykrych słów. - Nawet jeśli pospieszymy na ratunek tej osobie, to dopóki on czy ona będzie się znajdować w obrębie pałacu, może stać się ofiarą. Jedyne rozwiązanie ryzyka to usunięcie wszystkich ludzi z okolicy.

- Mówisz o tym, żeby zabić tych ludzi, zanim naturi będą mieli taką sposobność? -

zapytał Ryan. W jego głosie nie pobrzmiewało ani zdziwienie, ani zdegustowanie. Zadał to pytanie rzeczowym tonem, jak gdyby chcąc po prostu potwierdzenia moich słów.

- Musimy się skoncentrować głównie na likwidacji zagrożenia ze strony naturi -

odparłam, uchylając się od odpowiedzi wprost, świadoma obecności Danausa. - Jabari i ja zajmujemy się Rowe'em. Ty oraz Danaus będziecie nam potrzebni, żeby osłaniać nas przed naturi.

Jeśli ktoś zamierzał skrytykować moje żalosne zdolności strategiczne, to stracił

okazję, gdyż właśnie dotarliśmy na skraj ruin pałacu. Z pistoletem trzymanym kurczowo w prawej dłoni i nożem w lewej, weszłam na pierwszy stopień wiodący do pałacu i wtedy przystanąłam. Nie było teraz czasu na strach lub złość. Pora pomartwić się o to, jak zabić Rowe'a i przeżyć następną godzinę.

Energia, jaką wyczuwałam zeszłej nocy, była niczym w porównaniu z tym, co biło we mnie teraz. Ryan wywołał wczoraj burzę i sztorm, które mogły zniszczyć nie tylko całą Kretę, ale i zmieść kilka

okolicznych wysp, lecz nie naruszyło to nawet energii wibrującej teraz w powietrzu. Napierała ona na moją skórę, próbując ponownie znaleźć dostęp do mojego ciała.

Tej nocy nie mogłam użyć własnych mocy. Ta energia rozerwałaby mnie na strzępy.

- Są tutaj - odezwał się cicho Danaus. Raptownie zwróciłam głowę w stronę łowcy, otrząsając się z mrocznych myśli.

- Ilu?

- Jakies dwa tuziny. Większość zesła się na głównym placu, ale kilkoro pozostaje nieco dalej na południe. Kolejnych dwoje szybuje w powietrzu.

Zanim się poruszyłam, by zrobić następny krok, sama również omiotłam wzrokiem okolicę, szukając miejsca, gdzie przetrzymywali człowieka przeznaczonego na ofiarę. Naturi powinni poczekać, aż noc osiągnie szczytowe stadium, ale pewnie już szykowali złożenie ofiary. Domyślałam się, że pewnie też Rowe kręci się gdzieś w pobliżu owego człowieka.

Jednak ten naturi zdołał zaskoczyć mnie ponownie.

- Cholera - warknęłam szeptem. Cofnęłam się o krok i opuściłam rękę z pistoletem.

- Jest ich tu troje - powiedział Jabari za moimi plecami, konstatuując to, co właśnie odkryłam. Odstąpiłam kilka kroków od wejścia do ruin, odciągając bezpiecznik broni, aby przypadkowo nie postrzelić się w stopę w chwili nieuwagi. Wewnątrz ruin znajdowało się troje ludzi. Nie jeden, tylko troje.

- Chcą nas w ten sposób zwabić? - zapytał Danaus, a ja zerknęłam na niego.

Szybko odwróciłam oczy, przeskakując spojrzeniem z Danausa na Ryana, i w końcu zatrzymałam wzrok na Jabarim.

- Możliwe - odparłam cicho, gdy Starszy na mnie patrzył.

- A jeden z tych wabików to James - oznajmił Ryan.

- Co takiego? Jak to? - rzuciłam zaskoczona, odczuwając potrzebę wycelowania broni w czarownika. Zabieranie ze sobą ludzi zawsze wydawało mi się podsuwaniem żywej przynęty, a teraz naturi pochwycili młodzieńca z Temidy.

- Uprowadzono go w biały dzień - odpowiedział Danaus. - Wyszedł do pobliskiego sklepu i już nie wrócił.

Chciałam zdzielić ich obu za to, że stracili Jamesa z oczu. Czy błąd, jaki popełniłam wcześniej sama, a który polegał na wplątaniu Michaela w walkę z naturi, niczego ich nie nauczył? Ludzie ginęli tam, gdzie dochodziło do starcia naturi z nocnymi wędrowcami.

Musieliśmy się pospieszyć. Noc zapadła już ponad godzinę temu. Być może naturi zaczęli już swoje przygotowania. Nie powinni dokończyć składania ofiary przed nadejściem srodka nocy; przeznaczali kilka godzin na rytuał, usuwając z ciała ofiary różne narządy i paląc je. Mogli utrzymać Jamesa przy życiu i przytomnego aż do samego końca. Ale nie było nadziei na uratowanie mu życia, jeśli już zaczęli go ćwiartować.

- Oto nowy plan - obwieściłam, mając obłądną nadzieję, że zdołam przekonać Danausa i Ryana do swego najnowszego pomysłu. - Jest tu troje ludzi, ale tylko jeden z nich to prawdziwa ofiara. Ja wytropię Rowe'a i zajmę tego drania. Danaus skoncentruje się na uwolnieniu Jamesa i przekazaniu go Ryanowi. Potem Ryan i James powrócą do Iraklionu.

- Miro, myślę, że mogę... - zaczął Ryan, ale szybko mu przerwałam.

- Nie, nie możesz. Jesteś nadal człowiekiem, mój panie czarowniku, i sam możesz stać się ofiarą. Ty i James musicie znaleźć się z dala od tego miejsca. Jabari zajmie się pozostałymi ofiarami. Ryaniu, chcę, żebyś nie wkraczał do akcji, zanim James zostanie uwolniony. Jeżeli Rowe albo jakiś inny naturi zaburzy pogodę, musisz temu przeciwdziałać.

- Miro, to magia ziemi. Nie jestem w tym najlepszy - przekonywał.

- Musisz spróbować. - Znów przesunęłam bezpiecznik broni i zrobiłam krok w stronę wejścia. - Rób, co tylko się da, żeby zakłócić ich czary. Postaramy się trzymać ich z dala od ciebie, abyś mógł robić swoje.

Odwrociłam się i ruszyłam ku wejściu po schodach, nie oglądając się na nikogo.

Wiedziałam, że żaden z tych ludzi tutaj nie odgrywa roli przynęty. Rowe nie ryzykował.

Musieliśmy powstrzymać go natychmiast, a on zakładał, że nie uda nam się pokrzyżować złożenia wszystkich trzech ofiar.

Gdy dotarłam na szczyt schodów, przeszywający pisk rozdarł nocną ciszę. Skuliłam się, chowając głowę, spodziewając się, że w jednej chwili rozgniewane niebo zwali mi się na kark. Okazało się jednak, że to co innego; dwie harpie z Wenecji przybyły do Knossos, żeby pomóc Rowe'owi w składaniu ofiary. A my najwyraźniej zostaliśmy dostrzeżeni.

Przemknęłam wokół jednej z ocalałych ścian pałacu, a moje usta poruszyły się w uśmiechu. Pomysł polegał na tym, bym ocalała pieczęć i zabiła Rowe'a. Plussem tego planu było to, że mogłam zabić każdego naturi, który stanąłby między nim, Rowe'em a mną.

Wiedziałam, że w każdym koszmarze potrafię dostrzec coś pozytywnego.

Zbliżyliśmy się do centralnego dziedzińca. Tylko garstka naturi wystąpiła naprzód, żeby nas nękać. Skoro jednak był z nami Jabari, szybko i bez większego trudu poradziliśmy sobie z nimi, zanim zdążyli użyć swoich mocy. Główne siły naturi zostały wycofane do pilnowania pochwyconych ofiar.

Nagle zerwał się wiatr i dwukrotnie zmienił kierunek, zanim dmuchnął mi w plecy, popychając

naprzód. Przechodząc przez niski, rozbity murek, który otaczał dziedziniec, ścisnęłam mocniej nóż i pistolet. Rowe stał w odległości kilku metrów, na szeroko rozstawionych nogach i z rękami na biodrach. Uśmiechał się do mnie. Za nim kilkanaście pochodni migotało i tańczyło na wietrze. Przed nami na szerokim dziedzińcu leżało troje ludzi: dwóch mężczyzn i małe dziecko. Byli związani, a ich ciała ułożono wzdłuż osi wschód-zachód. Zupełnie jak w Stonehenge nie tak dawno temu.

- To już wszyscy, których ze sobą ściągnęłaś? - zapytał Rowe, unosząc brew nad zdrowym okiem. - Myślałam, że zeszłej nocy wysłaliście tylko mały zwiad. Tylko tyle was?

- Po co angażować znaczne siły, skoro czwórka nas zupełnie wystarczy? - zadrwiłam.

- Skończymy z tym dzisiejszej nocy.

- Sądzę tak samo.

Wrzask wypełnił powietrze nade mną. Niechętnie oderwałam wzrok od Rowe'a i spojrzałam w górę w samą porę, by dojrzeć dwie harpie pikujące na mnie, z mięsistymi skrzydłami blisko ciała, aby zwiększyć prędkość opadania.

Rzuciłam się naprzód, padając ciężko na kamienne podłoże, zaś Danaus i Jabari dali nura w przeciwną stronę. Ostry ból przeszył mi żebra, kiedy uderzyłam o ziemię, ale nie zwracałam na niego uwagi, pozostając w ciągłym ruchu. Przetoczywszy się na plecy, uniosłam pistolet, szukając na niebie tych mitycznych stworów. Ale one gdzieś przepadły.

Uklękałam, a głowa odskoczyła mi do tyłu, gdy poczułam dotkliwy ból w szczęcie, i krzyknęłam, przewracając się na plecy. Rowe dopadł mnie w sekundę. Uderzył mnie pięścią w policzek i teraz pulsowały mi boleśnie obie strony twarzy. Usiadł na mnie okrakiem, przyciskając kolana do moich bioder.

- Powinnaś była przyjąć moją ofertę - warknął i zdzielił mnie pięścią w brzuch. - Teraz walczylibyśmy po tej samej stronie.

Zamachnęłam się prawą ręką, usiłując wymierzyć w niego broń.

- Nic z tego - rzuciłam.

Rowe bez trudu zbił mi na bok rękę, lecz na to właśnie liczyłam. Wykonałam zamach lewym ramieniem, wbijając nóż aż po rękojeść w jego bok. Wrzasnął i przyłożył mi na odlew, odsuwając się. Jego krew zalała mi dłoń, z której wysliznął się nóż, kiedy Rowe się cofał.

Powstałam, a twarz bolała mnie już mniej. Próbowałam zorientować się w sytuacji, gdy Rowe uciekł, by zaleczyć ranę, jaką mu zadałam. Nie zdążyłam jednak. Harpie tym razem zaatakowały bezgłośnie, a ja nie obserwowałam nieba.

Skrzydlate naturi spłynęły z wiatrem, przesłaniając słaby blask gwiazd. Cofnęłam się o krok, kiedy one wbiły niewiarygodnie długie szpony w moje ramiona i barki. Wrzask wydarł mi się z gardła, gdy moje stopy oderwały się od ziemi, a towarzyszył mu słodki śmiech naturi, kiedy mnie unosiły.

Próbowałam wyszarpnąć się z ich szponów, ale te wbijały się coraz głębiej w moje ciało i mięśnie, aż poczułam, jak skrobą o kości. Krew spłynęła z moich ramion, wsiąkając w bawełnianą koszulkę, poplamioną we wczorajszej potyczce. Unosząc dłoń, w której dzierżyłam pistolet, starałam się wycelować w którąś z porywaczek, gdy we trójkę wznosiłyśmy się ku nocnemu niebu. Zdołałam oddać tylko dwa strzały, zanim wyrwały mi broń z ręki, i spojrzałam w dół, widząc, jak spada z hukiem na ziemię, która stale się oddalała.

Ruiny wydawały się coraz mniejsze, kiedy para naturi unosiła mnie na północ, w stronę Iraklionu oraz morza.

Z każdym machnięciem ich masywnych skrzydeł uderzał we mnie podmuch wiatru.

Dreszcz przebiegał przez moje ciało, studząc krew, która sączyła mi się po brzuchu coraz większą strugą. Mimowolnie się zatrzęślam, przez co szpony wbiły się jeszcze głębiej.

Musiałam się wyswobodzić. Danausowi i pozostałym brakowało wsparcia. Należało ocalić Jamesa. Rowe miał wkrótce zakończyć składanie ofiary, a moc... Nie czułam już mocy.

Podobne do harpii naturi uprowadziły mnie za daleko.

Głowa opadła mi bezwładnie do tyłu, a bulgoczący śmiech wyrwał się z gardła na moment przed tym, jak trzymające mnie naturi stanęły w płomieniach. Ich wrzaski rozeszły się echem po niebie, a szpony się rozwarły. Błyskawicznie złapałam za kostki obie naturi, zanim zaczęłam spadać na ziemię. Ból przeszywał mi barki, zmuszając do rozluźnienia chwytu, ale jednak trzymałam nadal mocno. Gdybym straciła te stwory z oczu albo puściła je, nie mogłabym podtrzymać ognia, który je trawił.

Płomienie pochłaniały ich ciała, wypalając dziury w mięsistych skrzydłach, aż razem zaczęłyśmy spadać na ziemię jak jakaś odrażająca, spalona kupa mięsa. Naturi, które trzymałam, wiły się i krzyczały, nie tyle walcząc ze mną, ile po prostu próbując wyzbyć się bólu. W końcu puściłam ich nogi, gdyż ziemia przybliżała się w zaskakującym tempie.

Kiedyś już popełniłam podobny błąd, nie zwróciwszy uwagi na to, gdzie spadam. Wtedy, owym ostatnim razem, nabiłam się na konar drzewa i ledwie to przeżyłam. A teraz nie było w pobliżu Sadiry, która wówczas mnie ocaliła.

Lecąc ku ziemi, spojrzałam w dół i stwierdziłam, że spadam na gaj. Niech to diabli.

Wyglądało to jak gotowe kołki. Straciłam z oczu dwie naturi, więc ogień, który wznieciłam, od razu zgasł. Skrzyżowawszy ramiona na piersiach w rozpaczliwej próbie osłonięcia serca, przeleciałam przez mniejsze, górne gałęzi. Natrafiłam stopą na większą gałąź, ale noga mi się ześlizgnęła, więc spadłam na tę gałąź. Coś trzasnęło. Nie wiedziałam, czy to moje żebra, czy też gałąź, lecz chwilę później wraz z dużym drzewnym odpryskiem leżałam już na podmokłym gruncie.

Chciałam tam pozostać przez chwilę. Ból tętnił w ciele w kilku miejscach i pragnęłam zebrać myśli przed zliczeniem rozmaitych nacięć i ran, którymi byłam pokryta. Jednak dwa ciche jęki odwiodły mnie od tego. Dwie naturi wiatru przebiły się przez drzewo tuż za mną.

Opierając się o konar drzewa, przez które przeleciałam, wstałam, a potem pokuśtykałam do miejsca, gdzie naturi wiły się na ziemi. Ich jasnorożowa skóra była teraz szerniała i odpadała spopielonymi kawałkami. Skrzydła się spaliły, wobec czego naturi nie mogły już latać. Ale przecież wiedziałyśmy, że więcej nie wzbiją się w powietrze, nawet gdybym nie zniszczyła ich skrzydeł.

Wrzaski tych naturi rozlegały się przez prawie minutę, kiedy obie ponownie stanęły w jasnopomarańczowych płomieniach. Nie odczuwałam wyrzutów sumienia, żalu ani wahań.

Owe naturi wkrótce zamierzały uczynić to samo z wszystkimi napotkanymi stworzeniami.

Gdy spłonęły już do reszty, ich prochy zatańczyły na wietrze, a ja zebrałam siły i przeczesalam mocami wyspę w poszukiwaniu Danausa. Miałam niejasne przypuszczenia, gdzie mogę go odnaleźć, ale nie mogłam marnować czasu na błąkanie się w ciemnościach.

Łatwo zlokalizowałam miejsce pobytu łowcy. Był tej nocy moją latarnią przewodnią.

Tak szybko, jak tylko pozwalało na to moje poranione ciało, przebiegłam przez otwarte pola. Utraciłam nieco krwi, a mój organizm próbował się uleczyć, ale nie było to łatwe zadanie, bo nie chciałam się zatrzymać i odpocząć. Dotarłam znowu do drogi, przyspieszyłam i znalazłam się pośród ruin już po paru minutach.

Na głównym dziedzińcu odnalazłam Jabarię przy jednej z ofiar, tej, która znajdowała się na zachodnim skraju. Bez trudu unieszkodliwiał kolejnych naturi, gdy ci odważnie go szturmowali. Danaus był we wschodniej części dziedzińca i radził sobie, walcząc mieczem, a naturi otoczyli łowcę półkolem. James wciąż leżał skrępowany na ziemi, choć oswobodził już jedną rękę i starał się teraz uwolnić drugą.

Najbardziej niepokoiłam się o Ryana. Czarownik stał naprzeciwko Rowe'a. Zbliżyłam się do nich i przystanąłam na moment, by podnieść miecz z ziemi - porzuconą broń jakiegoś zabitego naturi. Nie taki oręż lubiłam najbardziej, ale utraciłam jeden z noży podczas wcześniejszego starcia z Rowe'em, a harpie odebrały mi pistolet. Pozostał mi wprawdzie jeszcze jeden nóż, ale mógł być przydatny, gdyby Rowe ponownie mnie przycisnął.

Na niebie zaczęły kłębić się chmury i zerwał się wiatr, zwiewając mi włosy na twarz.

Rowe wzniecał następną burzę. Grunt wokoło Ryana lśnił dziwnym jasnyniebieskim blaskiem. Czarownik stworzył wokół siebie rodzaj ochronnego kręgu, aby utrzymać Rowe'a w szachu. Jednak wiedziałam, że to nie uchroni Ryana przed błyskawicami. Przynajmniej nie na długo.

- Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy! - krzyknęłam przez dziedziniec. Rowe poderwał

głowę i przez chwilę wyglądał na naprawdę zaskoczonego. Potem zdumienie ustąpiło i to przelotne odczucie zostało zastąpione przez uśmiezek, który przypominał mi minę mojego dawnego oprawcy - Neriana.

- Miło cię widzieć w jednym kawałku - odparł Rowe. Zdrowym okiem spoglądał to na mnie, to na Ryana, gdy naturi starał się równocześnie obserwować czarownika i mnie.

Już miałam się rzucić na Rowe'a, kiedy ktoś o wiele ciekawszy zwrócił moją uwagę.

- Rowe, powiedziałeś kiedyś, że z pewnego ważnego powodu pozostawiono mnie wtedy przy życiu; że mam jeszcze do odegrania jakąś rolę - przekrzykiwałam podmuchy wiatru. - Teraz więc chcę ci się odpłacić za przysługę.

Rowe wydawał się naprawdę zbity z tropu, kiedy obeszłam go łukiem i zbliżyłam się do żeńskiej naturi, która stała opodal. To ona właśnie pojawiła się w Wielkiej Sali Sabatu. To z nią dobijano targu. Teraz trzymała w jednej ręce miecz, a usta zacisnęła w wąską kreskę, wyrażającą silny niepokój. Wiedziała, że ją rozpoznałam, choć teraz miała na sobie dzinsy oraz czarny top.

- Widzę, że odzyskałeś swoją przyjaciółkę - zadrwiłam. - Czy spodobał jej się pobyt w rezydencji Sabatu?

Czubek miecza Rowe'a obniżył się, gdy on sam spoglądał to na mnie, to na naturi u swego boku.

- Ona jest szalona - szybko powiedziała żeńska naturi, kręcąc głową. - Kłamie. Nie wiem, o czym ona mówi.

- Hm... - odezwał się na to Rowe, odstępując od niej o krok. - Może. Ale przecież Mirę znają z prawdomówności.

- Jabari! Czy to ona? - zawołałam przez dziedziniec, licząc na przyciągnięcie uwagi Starszego, który rozplatał kolejnego naturi. Przerwał to zajęcie na chwilę i zerknął na naturi, którą wskazywałam.

- Tak - powiedział i skinął potakująco głową. - Zabij ją. Tamta umowa już się nie liczy.

- Nie możecie zerwać umowy! - wrzasnęła naturi bez chwili namysłu. - Jeden członek Sabatu nie może zniweczyć układów. Przecież nam obiecaliście!

Nie sądziłam, że ona da się tak łatwo podpuścić. Nie wiedziałam, ilu z pozostałych naturi w okolicy należało do frakcji, która chciała uśmiercenia Aurory. Musiałam nie tylko przekonać Rowe'a, że doszło do konszachtów, ale także i naturi należący do wspomnianej frakcji musieli uwierzyć, że układy zostały zerwane. Lękałam się strasznie tej chwili, lecz teraz, kiedy nadeszła, nie odczuwałam spodziewanej paniki. Adrenalina pulsowała w moim ciele i zaciskałam dłoń na rękojeści krótkiego miecza, który dzierżyłam. Byłam gotowa ostatecznie wziąć sprawy we własne ręce i znowu, choćby częściowo, zapanować nad swoim życiem.

- Roszczę sobie prawo do objęcia wolnego miejsca w Sabacie - obwieściłam. - Jabari, czy uznajesz moje roszczenia?

Uśmiech pojawił się na jego twarzy i wyczuwałam, jak Jabari triumfuje.

- Uznaję je - odrzekł uroczyście, z ukłonem. A potem jego głos zmienił się, stał się bardziej mroczny i zjadliwy, kiedy dodał: - Witamy w składzie Sabatu.

- A zatem, tak jak powiedzieliśmy - podjęłam, zwracając się znów do naturi, która stała przede mną z twarzą poczerwieniałą ze złości. - Układy zostały zerwane. Jeżeli chcecie śmierci Aurory, musicie zabić ją sami. Wrota pozostaną zamknięte.

- Nie! - krzyknęła. Puściła się ku mnie biegiem, z mieczem wzniesionym nad głową.

Wolną ręką wyciągnęłam zza pasa przy boku nóż, przyklękłam i cisnęłam go prosto w jej pierś. Niewielkie ostrze wbiło się w serce. Naturi zatrzymała się i ustała na nogach na tyle długo, abym zdążyła wstać i ściąć jej głowę jednym płynnym ruchem.

Krew trysnęła wokół, oblewając mi twarz. Otarłam ją wierzchem dłoni i skupiałam całą uwagę znowu na postaci Rowe'a.

- Oczywiście nie musiałeś narażać na zgubę wszystkich swoich ziomków, ale właśnie to uczyniłeś.

- To samo można powiedzieć o tobie i twoim młodzieńcu - odparł Rowe, wskazując mieczem na Danausa.

James siedział już teraz, ale naturi się zbliżał. Danaus musiał stawiać czoło znacznie liczniejszemu przeciwnikowi, kiedy Jabari usiłował jednocześnie bronić dwoje pozostałych ludzi. Układy zostały zniweczone, ale nasze siły wydawały się zbyt nikłe, aby powstrzymać złożenie ofiary. Ponadto tym razem nie wchodziło w grę połączenie naszych mocy. Danaus i ja działaliśmy desperacko, jednak to, co uczyniliśmy ostatnim razem, było zbyt okropne, by to powtarzać. Należało znaleźć jakieś inne wyjście.

- Ja...

Cokolwiek Rowe zamierzał powiedzieć, urwał nagle, gdy zawołała go następna naturi.

Cały zeszywniał na dźwięk jej głosu. Szybko zrobił krok w tył, oddalając się nieco od Ryana.

Zauważyłam jednak też, że rozmyślnie stanął pomiędzy mną a przybyłą właśnie istotą.

Skupiłam na niej uwagę. Była ode mnie niższa i miała niewiarygodnie szczupłe ciało, przypominała szkielecik w miękkim szarym stroju. Gęste, proste, czarne włosy spływały jej na plecy. Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, które zdawały się mieć taki sam jasnoszary odcień jak jej ubranie. Tym, co ubarwiało to szczupłe stworzenie, były tylko rubinowe usta, które w owej chwili układały się w ni to uśmiech, ni to grymas. Przyglądałam się jej, póki Rowe nie przesłonił mi widoku, i przyszła mi do głowy szalona myśl, że jej postać wydaje mi się skądś znajoma.

Rowe krzyknął coś do niej, a ona mu odpowiedziała. Mówili we własnym języku, którego nie rozumiałam. Ale gesty Rowe'a i ton jego głosu wyrażały bardzo wiele. Wskazał

swoim mieczem w prawej dłoni na mnie, a jej kiwnął lewą ręką, nakazując się nie wtrącać.

Oczy mu się zwięziły i pochylił tułów, gotowy zaatakować mnie, gdybym tylko postąpiła choćby krok w jej stronę.

I znowu krzyknął w jej kierunku coś, czego nie mogłam zrozumieć. Ponad jego ramieniem dostrzegłam, że ona raz zerknęła na niebo. Nie było księżycy, ale wiedziałam, o co jej chodzi. Wypatrywała jakieś ciało niebieskie lub też nową falę uskrzydłonych naturi, które miały im nadejść z pomocą. Znałam tę minę - oszacowywała, jak długo jeszcze noc będzie trwać. Czas uciekał.

Ścisnęło mnie w żołądku, a ręce zaczęły mi drżeć. Teraz nadszedł ów moment, a ja poczułam, że znalazłam się w pułapce. Bałam się użyć swoich mocy. Pozabijałabym nas wszystkich. Zbyt dużo energii znajdowało się w powietrzu, a ja nie byłam w stanie jej opanować.

- Danausie! - wrzasnęłam. Miałam nadzieję, że łowca mnie dosłyszy. Liczyłam na to, że wyłapie rozpaczliwą błagalną nutę w moim głosie, że zrozumie, o co go proszę, gdyż nie było już czasu na snucie planów i wyjaśnienia. - Zabij ją! Powstrzymaj ją! - Mój głos rozbrzmiał ponad odgłosami walki, odbijając się echem w dolinie. Jabari, Danaus i Ryan usłyszeli mnie. Mieli powstrzymać tę naturi, jeśli ja nie zdołam tego uczynić.

Twarz Rowe'a wykrzywiła się z wściekłości na te słowa i zwrócił się w moją stronę.

Wzniósł miecz i natarł na mnie. Odparłam jego atak, a jego miecz zadzwieczał o mój ponownie i jeszcze raz, aż trysnęły wokół iskry. Oboje byliśmy zdesperowani, lecz Rowe także czegoś się obawiał, co go spowalniało. Unikając jego ciosu, który miał pozbawić mnie głowy, uderzyłam go pięścią w twarz, co odrzuciło go o kilka kroków. Ku mojemu zdumieniu przewrócił się na kamiennym odłamku i nie wstawał.

Otaczał mnie zamęt. Upuściłam krótki miecz, wniknęłam wewnątrz siebie i zmobilizowałam swoje zdolności. Byłam gotowa przywołać wszystkie piekielne ognie.

Składanie ofiar trzeba było powstrzymać. Należało chronić pieczęć.

Wraz z pierwszym błyskiem ognia wtargnęła we mnie energia, żywa i trzaskająca. Po raz pierwszy w swoim życiu znalazłam się w pełnym kontakcie z mocami ziemi. Nie było spokoju, słodkiej ciszy. Nie było szumu potoku ani szepczącego wietrzyku. Tylko trzaskająca wściekłe furia od dawna nie przywoływanej mocy. Matka Ziemia była ogromnie wzburzona, a teraz dała upust temu wzburzeniu za moim pośrednictwem.

Każdy naturi, który się do mnie zbliżał, w jednej chwili stawał w płomieniach, ale to nie zmniejszało ciśnienia, które narastało w moim ciele. Pochodnie zaczęły palić się całe, a wielkie ogniste kule, o rozmiarach piłek do koszykówki, wisiały w powietrzu, oświetlając dziedziniec tak, jak gdyby nastał wreszcie świt. Zorientowałam się, gdzie są Danaus i James, i szybko otoczyłam ich ochronną ognistą ścianą. To samo uczyniłam z Jabarim, jednak to nie wystarczyło.

Moc się wzmagała. Mogła mnie zniszczyć, a ja nie potrafiłam odnaleźć szarej żeńskiej istoty, którą Rowe tak bardzo chciał osłonić. Ta moc zabiłaby mnie, zanim zdążyłabym powstrzymać ową naturi.

Danausie. Zwróciłam się do niego mentalnie. Głos w mojej głowie przypominał cichy szepc w porównaniu z huczącą we mnie mocą. Już nie potrafiłam się skoncentrować. Ogień stawał się coraz większy, jaśniejszy, intensywniejszy. Groził zabiciem ludzi, których usiłowałam ochronić.

Jestem tutaj. Jego głos w moim mózgu podziałął jak chłodzący balsam na pożar we mnie.

Nie mogę się skupić. Nie mogę jej odnaleźć. Nie wiem, kogo zamierza złożyć w ofierze.

Ona jest tu.

- Nie! - krzyknęłam. - James!

Ból eksplodował we mnie. Nie mogłam nawet zareagować. Odrzuciło mnie całą do tyłu. Przeleciałam w powietrzu może kilka metrów w przerażającym wirze, zanim uderzyłam plecami o twarde kamienne podłoże. Nieartykułowany bolesny wrzask wydobył mi się z gardła, gdy się wiłam. Coś we mnie się rozerwało, jak gdyby coś lub ktoś atakował kruche cząstki mojej duszy, próbując wyciągnąć mi je z ciała. Zwinęłam się w kłębek, rozpaczliwie zatrzymując ducha w swoim porozbijanym ciele. Ból we mnie płonął. Końcówki włókien nerwowych drżały i się skręcały. Narządy wewnętrzne skwierczały. Straszliwy ból przeszył

mój mózg, wymiatając z niego wszelkie myśli.

I wtedy nastąpiła ciemność. Pochłonęła wszystko: ból, rozrywające uczucie w piersi, cały świat. Ten mrok przesłonił wszystko, a potem wprowadził mnie ze sobą.

Rozdział 26

Wyprostowałam się gwałtownie i westchnęłam, co sprawiło, że ostry jak brzytwa ból przeszył mi gardło i płuca, nim pierwsza jasna myśl zaświtała mi w mózgu. Nie musiałam oddychać, jednak pewnych instynktów nawet śmierć nie mogła zdusić. Kiedy budziłam się co noc z koszmarów, w pierwszym odruchu zawsze nabierałam raptownie powietrza. Ale tym razem to nie był senny koszmar.

Zamrugałam, aby wyostrzyć wzrok, i poczułam czyjąś rękę na swoich plecach i barku, gdy ktoś pomagał ułożyć mi się na ziemi. Zakasłałam i spróbowałam przetoczyć się na bok, wydychając zbyt ciężkie powietrze. Coś mnie w środku bolało. Moje myśli były mgliste, kiedy usiłowałam sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Nikt mnie nie tknął, ale ból szalał we mnie, przypiekając wszystkie narządy i komórki mózgowe.

- Odpocznij, Miro. - Tubalny głos Jabariego dobiegł mnie z prawej strony. Ułożyłam się na plecach i uniosłam powieki. Ryan klęczał koło mnie po lewej, trzymając mnie delikatnie za rękę. Jabari również przyklęknął. Jego ubranie było podarte i całe we krwi, lecz ciepły uśmiech czaił się na jego ustach. Postawił na swoim. Weszłam w skład Sabatu, a to było po jego myśli, ponieważ mógł mnie kontrolować.

- Co z Jamesem? - zapytałam, z lękiem czekając na odpowiedź, kiedy spojrzałam na Ryana. Czarownik skinął głową w stronę miejsca gdzieś za Jabarim. Poruszyłam się i ujrzałam młodzieńca, siedzącego pod ścianą; zakrwawionego, posiniaczonego i opuchniętego, ale wciąż żywego i oddychającego.

- Ale Danaus... - zaczęłam, a potem powoli pokręciłam głową, jak gdyby próbując rozproszyć mgłę, w której miałam spowite myśli. - Przecież powiedział, że naturi są przy nim.

Czy pieczęć nadal jest nienaruszona?

- Pieczęć została złamana - stwierdził Jabari, a jego uśmiech zamienił się w ponury grymas.

- Jak to? - wychrypiałam.

- Tamten człowiek, którego uwolniłem. Przeskoczył przez krąg ognia, który wznieciłaś, prosto w ręce czatujących naturi. Wystarczyło im tylko kilka sekund na skrępowanie go i dokończenie rytuału.

- A tamto dziecko? - spytałam szeptem.

- Śpi - odpowiedział Ryan. - Odwieziemy je do miasta dzisiejszej nocy i nie będzie pamiętało nic z tego, co tu się wydarzyło.

Przycisnęłam prawą dłoń do serca. Czy to właśnie złamanie pieczęci odczułam? Czy pieczęć ta była spleciona z moją duszą? Ból był straszliwy, jakby coś ze mnie wyrywano.

Jeszcze teraz panowała we mnie bolesna pustka.

Jabari skinął potakująco głową. Jego duża dłoń przesunęła się po moim czole, odgarniając z twarzy kosmyki włosów w zaskakująco czułym geście.

- Ty stworzyłaś tę pieczęć. To naturalne, że poczułaś jej zniszczenie.

Pod wpływem słów Jabariego ręka Ryana zacisnęła się na mojej mocniej.

- To ty stworzyłaś pierwotną pieczęć?

Wyszarpnęłam dłoń z jego uścisku i, przetoczywszy się, odsunęłam od niego. Nie mogłam spojrzeć czarownikowi w oczy. Podkulając kolana, powoli usiadłam. Jednakże porzuciłam myśl o tym, żeby wstać, kiedy rozejrzałam się wokoło. Na widok pobojowiska zrobiło mi się niedobrze. Wszędzie krew i zwłoki, zupełnie jak po bitwie w Warowni Temidy przed niespełną tygodniem. Nie miałam dokąd iść. Zniszczenie wydawało się nieustannie za mną kroczyć. Zamęt podążał moim śladem.

A teraz doszło do złamania pieczęci. Wkrótce naturi ustalą termin otwarcia wrót między naszymi dwoma światami i wybuchnie otwarta wojna. To, co widziałam teraz wokół

siebie, było zaledwie pokłosem drobnej potyczki.

- Jestem potworem - powiedziałam szeptem, kręcąc głową, gdy niepowstrzymane łzy spłynęły po mojej zadrapanej i brudnej twarzy. Spalone ciała wypełniały okolicę, a znad zwłok nadal unosił się dym. - Jestem potworem, skoro mam taką moc, a mimo to nie udaje mi się stanąć na wysokości zadania.

- Układy zostały zniweczone. Nasz Władca jest bezpieczny - przypomniał mi Jabari ciepłym tonem. - Udało nam się.

- Nie, przecież doszło do złamania pieczęci - jęknęłam.

Ukląkł przede mną, ujął moją twarz w obie dłonie i zmusił, bym spojrzała mu w jego ciemne oczy.

- Zawiedliśmy, bo nie współpracowaliśmy ze sobą. Rozdzieliliśmy się, podczas gdy największą siłę mamy wtedy, gdy działamy razem poprzez ciebie. Tak byłoby najlepiej. I to jedyny sposób na położenie temu wszystkiemu kresu na dobre. Zabijemy Aurorę i zniszczymy naturi raz na zawsze. Nie będzie już żadnych pieczęci i wrót do innych światów.

Skończymy z tym na zawsze.

- Ale...

- Aby bronić naszego sposobu życia, aby chronić ludzi, musimy zniszczyć naturi. A jedynym sposobem na to jest zgładzenie ich królowej.

Chciałam uwierzyć Jabariemu. Nie przypominałam sobie, bym kiedykolwiek pragnęła czegoś bardziej. I być może miał rację - jedyny sposób na zniszczenie naturi to zabicie Aurory. Jednak wszystko, co potrafiłam dostrzec, to ów czarny cień śmierci rozciągający się na ziemi. Aby dopaść Aurorę, tak wiele istot musiałoby zginąć - wampirów, wilkołaków i ludzi.

Ale przynajmniej na razie zyskaliśmy nieco czasu. Mieliśmy czas na przygotowanie planów. I na polowanie.

Odsunęłam się, wyzwalając twarz z jego objęć.

- Lepiej, żebyś się nie mylił.

Podniosłam się na nogi z bolesnym wysiłkiem. Odgłos wstającego Jabariego i Ryana wniknął do moich uszu, lecz skupiłam uwagę na poboju wokół siebie. Powoli zbliżał

się do nas Danaus. Był cały okrwawiony i pokiereszowany. Przez prawy policzek przebiegało długie rozcięcie, z którego krew ściekała na podbródek. Jego ciemnobłękitne oczy lśniły w blasku dogasających pochodni.

- Co z Rowe'em? - zapytałam.

- Nie wiadomo - odparł Danaus, nieznacznie kręcąc głową. - Był poważnie ranny.

Zabrali go stąd.

Wolałam się nie łudzić. Wieki temu pozostawiłam Neriana, aby skonał na szczycie Machu Picchu, przekonana, że ten naturi nie wepchnie wnętrza do brzucha, zanim wykrwawię się na śmierć. Ale się pomyliłam. Nie uwierzyłabym teraz, że Rowe naprawdę nie żyje, póki nie zobaczyłabym jego

zimnego ciała na ziemi przede mną. A nawet wtedy spaliłabym go na szary popiół, by się w ten sposób zabezpieczyć.

Jednak na razie chciałam dopaść Rowe'a żywego. Dowiedział się już, że w jego zgrai działa frakcja, która dąży do uśmiercenia jego królowej małżonki. Taki rozłam wśród naturi mógł przynieść nam korzyści w nadchodzących nocach. Rowe będzie zmuszony urządzić swoiste polowanie na czarownice pośród swojego ludu, by się przekonać, kto chce śmierci Aurory. Spowoduje to chaos, a właśnie najlepiej radziłam sobie z wszczynaniem zamętu.

Odwrociłam się i spojrzałam na jednego z nocnych wędrowców, który rzekomo miał mnie stworzyć. Coś w głębi mnie nienawidziło Jabariego za to, że mnie wykorzystał; za to, że uczynił ze mnie zabójczą zabawkę. Jednakże nie pamiętałam tamtych strasznych chwil, więc ich wspomnienie nie podtrzymywało jasnego płomienia nienawiści. Pamiętałam tylko jego urocze towarzystwo i zaufanie do niego. Nawet teraz, gdy dowiedziałam się o swoich początkach i swej przeszłości, coś we mnie wciąż pokładało w nim ufność i pragnęłam uwierzyć, że to, co mi powiedział, jest prawdą.

Bez względu na swoje uczucia do Jabariego, nie chciałam wchodzić w skład Sabatu, lecz na razie stanowiłabym w Sabacie przeciwwagę dla Macaire'a, a może nawet i dla Elizabeth. A póki Macaire nie ugnie się lub nie zginie, Jabari zadowolony pozostawieniem mnie przy życiu. Dzięki temu zyskam dla siebie oraz dla Naszego Władcy nieco czasu.

- Wyjeżdżam - oznajmiłam.

- Masz wrócić do siedziby Sabatu - polecił mi Jabari. - Tam twoje miejsce.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Nie - odpowiedziałam po prostu. - Udam się tam, gdzie jestem potrzebna. Wracam do domu. Kiedy nadejdzie czas na walkę z Aurorą i z naturi, będziesz wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Ruszyłam w kierunku północnego wyjścia, ale zatrzymałam się po przejściu zaledwie kilku metrów. Zerknęłam przez ramię i w milczeniu popatrzyłam na Danausa. Tyle pytań bez odpowiedzi, sprzecznych odczuć i paskudnych pomyłek. Bori w ludzkiej skórze. Łowca, który nie ma już pewności, kto jest jego wrogiem. I ja, nocny wędrowiec, który już nie wie, wobec kogo należy okazywać lojalność. Tylko jedno wiedziałam na pewno, jeśli chodziło o Danausa: jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

- Idziesz ze mną? - zawołałam.

Uniósł gęstą, czarną brew, patrząc na mnie. Jego wargi się poruszyły, a kącik ust wykrzywił w ironicznym uśmiešku.

- Będzie mi ciebie łatwiej zabić, jeśli nie będę musiała cię tropić - wyjaśniłam w odpowiedzi na pytanie, którego nie wypowiedział: *Po co?*

Danaus bez słowa wsunął zakrwawiony miecz do pochwy na plecach i ruszył za mną przez minojskie

ruiny. Chwilowo mogliśmy oboje posłać do diabła Sabat, Temidę i naturi.

Wracalam do domu, gdzie wraz z Danausem zamierzałam się skupić na ważniejszych sprawach. Takich jak kolejne próby pozabijania się nawzajem.

